

STRONNICTWO KRAKOWSKIE
O STYCZNIOWEM POWSTANIU

1863 r.

Rozprawa w Kole literackim we Lwowie
o książce p. Stanisława Koźmiana p. t. „Rzecz o 1863 r.“.

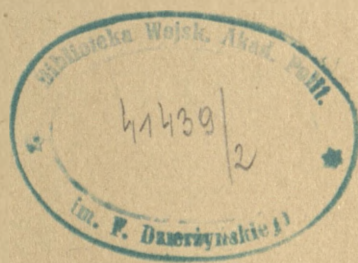


LWÓW.

DRUKIEM I NAKŁADEM „DRUKARNI LUDOWEJ“
pod zarządkiem Stanisława Baylego.

1895.

93/438/9



WSTĘP.

Wychodząc ze stanowiska, że rozbiór rozgłośniejszych prac w ogóle, a w szczególności o jednej z najpodnioślejszych chwil naszego życia porozbiorowego jest obowiązkiem obywatelskim, postanowił Wydział Koła literacko-artystycznego we Lwowie przeprowadzić na swych literackich zebraniach rozbiór głośnej książki St. Koźmiana p. t. „Rzecz o roku 1863“ (Kraków 1895. 3 tomy), podobnie jak to uczyniło zeszłego roku z „Historią dwóch lat 1861—1862“ przez Z. L. S., nad którą toczyła się żywa rozprawa w Kole literacko-artystycznym, ogłoszona staraniem i nakładem Wydawnictwa Materyałów do historii powstania p. t. „Przed styczniowem powstaniem“ (Lwów 1895, str. 162).

Krytyce dzieła Koźmiana poświęcono w Kole trzy wieczory 1. i 14. grudnia 1894 i 17. maja 1895, omawiając gruntownie zasady i poglądy autora i jego stronnictwa, tudzież prostując podane przez niego fakta.

Dyskusyę rozpoczął T. Romanowicz obszernym rozbiorem książki, o której mowa. Rozbiór ten, znacznie przez autora rozszerzony i uzupełniony, zamieściła *Nowa Reforma* w szeregu feljetonów, które wychodziły z przerwami w grudniu r. 1894, tudzież styczniu i lutym 1895. Zdawało nam się, iż użyteczniej będzie dla sprawy, jeżeli pracę tę podamy w bardziej skończonej formie, t. j. tak, jak ją autor do druku w *Nowej Reformie* przeznaczył, — i w tej też formie tworzy ona pierwszą część niniejszej książki.

W drugiej części podajemy według stenograficznych zapisków dyskusję, która się odbyła na drugim zebraniu w Kole, — a mianowicie krytykę A. Skotnickiego, prostującą mylnie przez p. Koźmiana podane fakta i wykazującą sprzeczności w jego książce, — dalej przemówienia dra J. Stelli-Sawickiego (pułkownika Strusia), L. Syroczyńskiego, powtórne T. Romanowicza, wreszcie końcową mowę pośła Wojciecha hr. Dzieduszyckiego, który z krytyką książki Koźmiana połączył historyozoficzny pogląd na porozbiorowe dzieje Polski.

W trzeciej części podajemy ocenę III. części dzieła p. Koźmiana i przemówienia pp. Starkła i A. Skotnickiego.



SPIS RZECZY.

CZĘŚĆ I.

	Str.
Rozbiór pierwszych dwóch tomów książki p. St. Koźmiana przez T. Romanowicza	1

CZĘŚĆ II.

Dyskusya w Kole literackiem we Lwowie dnia 14. grudnia 1894.

Przemówienie A. Skotnickiego	103
„ Dra Stelli Sawickiego	131
„ Leona Syroczyńskiego	141
„ Tadeusza Romanowicza	147
„ Wojciecha Dzieduszyckiego	151

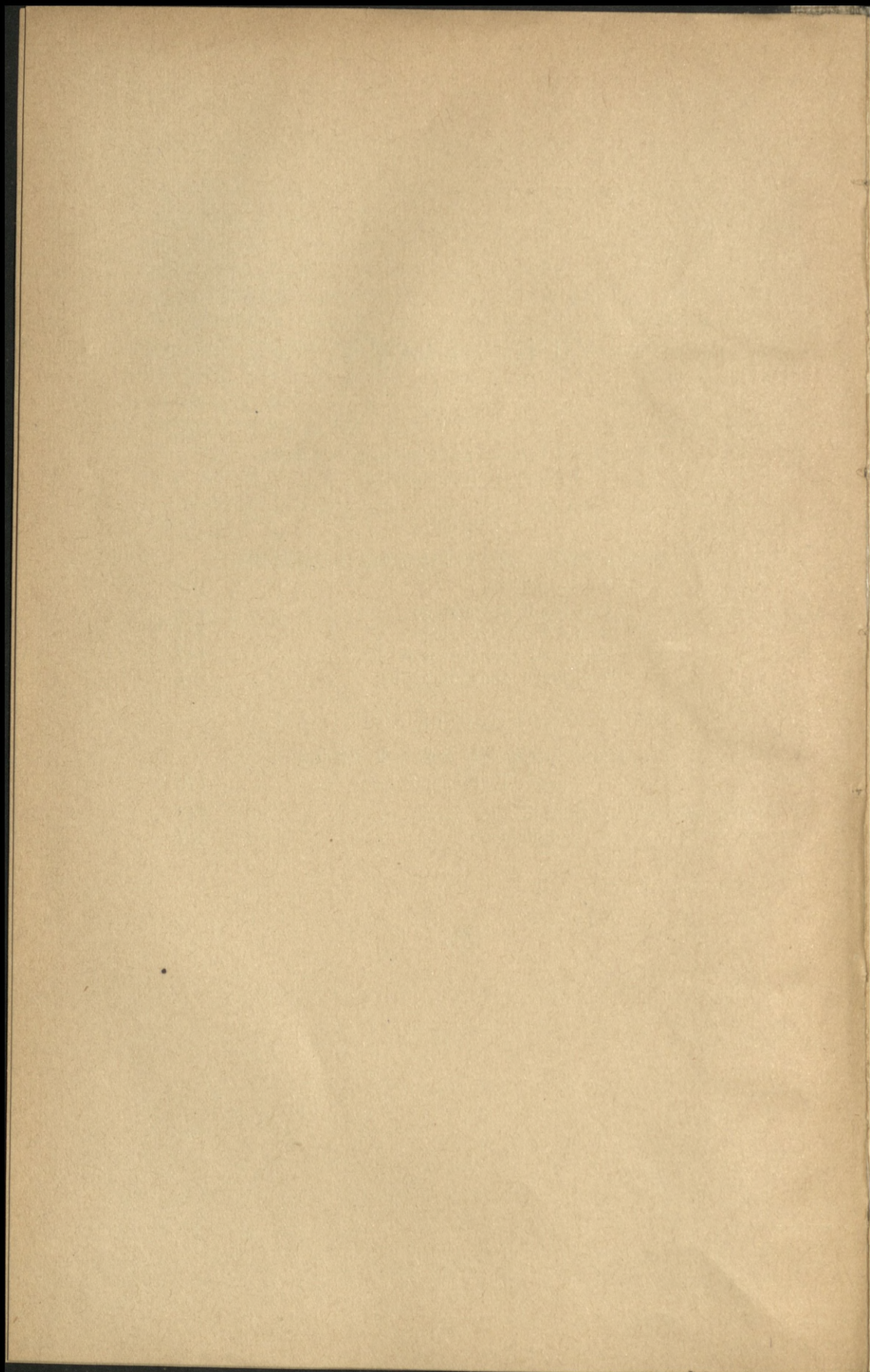
CZĘŚĆ III.

Krytyka trzeciego tomu dzieła p. St. Koźmiana

przez T. Romanowicza 173

Przemówienie J. Starkla	243
„ A. Skotnickiego	247





CZEŚĆ I.

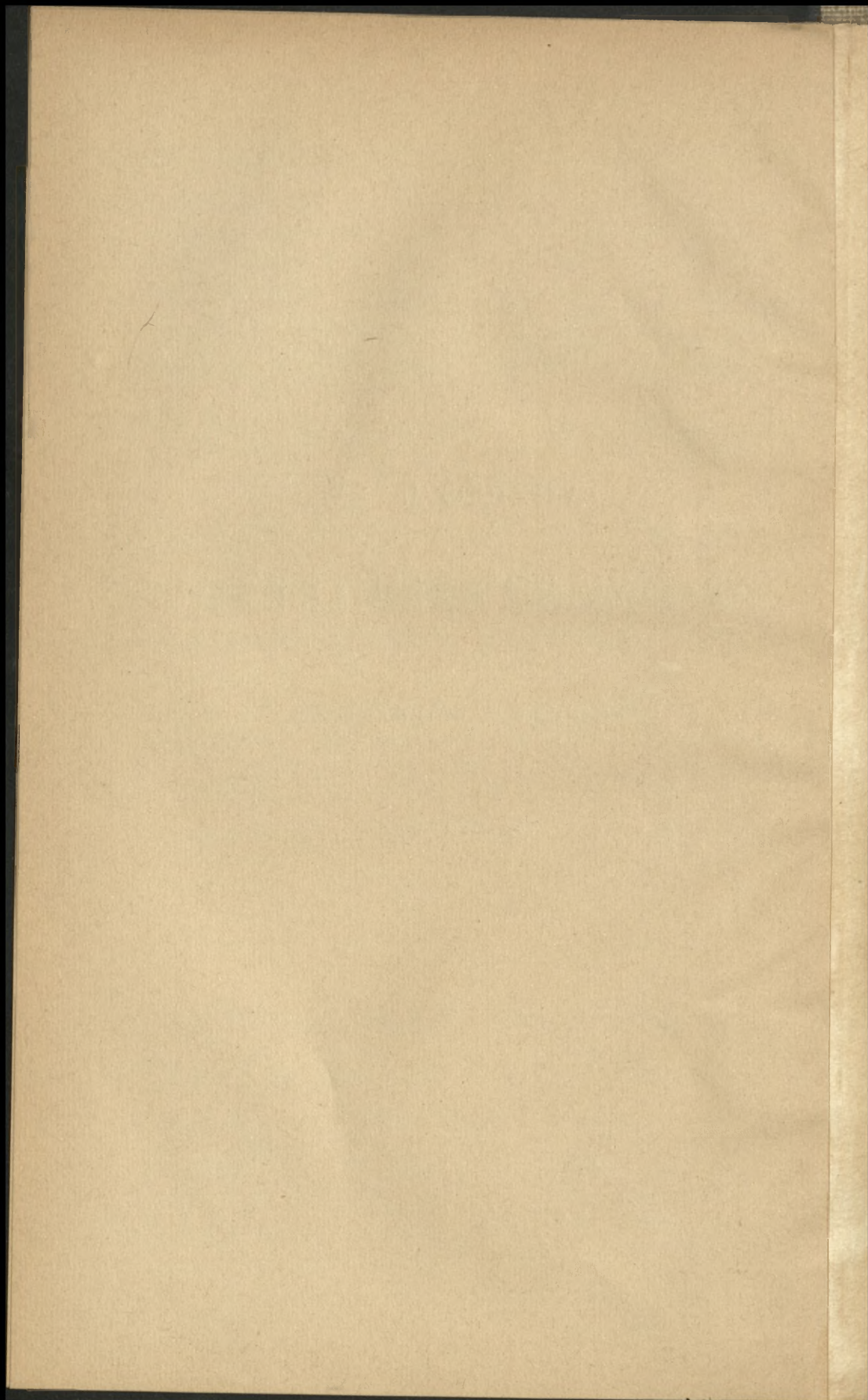


Rozbiór pierwszych dwóch tomów książki p. St. Koźmiana

przez

Tadeusza Romanowicza.

(Przedruk z „Nowej Reformy“).



Mnoży się literatura historyczna styczniowego powstania. Do niedawna mieliśmy tylko wiele pamiętników, w których z pośród osobistych wspomnień nie łatwo wyłuszczyć ziarno historycznej prawdy. Dla opracowań całości za mało było źródłowych materyałów. Do dyplomatycznej historii powstania — a raczej do do historii błędów i zdrad europejskiej dyplomacyi wobec walczącej Polski, klasycznym zawsze pozostanie wydane jeszcze w r. 1866 dzieło Klaczki *Etudes de diplomatie contemporaine*. Gillera cztery tomy „Historji powstania” — pisane zaraz po katastrofie, są tylko wstępem, zawierającym rozbiór różnych pism o powstaniu i historję ruchów od upadku listopadowego powstania aż do śmierci Mikołaja. Właściwa historia styczniowego ruchu miała się zacząć w piątym tomie. Limanowskiego dwutomowa książka i jej w małej książeczce streszczenie — pisane jeszcze były na podstawie zbyt małego zasobu źródłowych materyałów. Lisickiego panegiryk na Wielopolskiego, który nawet autorów „Teki Stańczyka” oburzył, podaje obfite dokumenta do historii tych wypadków, które poprzedziły i wywołały powstanie. Znane dzieło Berga zawiera obfity materyał, a jest pisane bez tej namiętnej nienawiści, jaka zazwyczaj cechuje publikacye rosyjskie o Polsce. Oparte ono jednak na źródłach tak jednostronnych, że tylko z największą ostrożnością używać ich można. Puzrowskiego książki nie mieliśmy jeszcze w ręku — ma ona być dla historii rosyjskich działań wojskowych

w r. 1863 i 64 bardzo poważnem źródłem, jako oparta na dokumentach urzędowych. Obfitemi, chociaż nieco jednostronnemi, źródłami rozporządzał autor, kryjący się pod literami *Z. L. S.*, który w szeregu monografij zamierza dać całkowitą a na szeroką skalę zakrojoną historię ruchu od r. 1861 do 1864. Zaczął od czterotomowej książki „Ostatnie chwile powstania“ — poczem pojawiły się pierwsze trzy tomy „Historii dwóch lat“, obejmujące rok 1861. Oczekiwać należy historii roku 1862 i właściwych dziejów samego powstania. Pomimo fałszywej tendencji — dzieło to z wielu względów zasługuje na uwagę. Wreszcie poważne, choć nie zawsze dość krytyczne „Wydawnictwo materyałów do historii powstania 1863 -- 1864“, liczy już 5 tomów. Przygotowują się dalsze.

Najnowszem zjawiskiem na tem polu jest książka p. Stanisława Koźmiana „Rzecz o roku 1863“. Jak u *Z. L. S.* powieściopisarz wziął górę nad historykiem, z czego wynikła i wada największa jego książki: brak historycznej przedmiotowości i jej największa zaleta: barwność, żywość i siła opowiadania — tak u p. Koźmiana nad historykiem wziął górę dziennikarz i feletonista ze szkoły Figara. To nie historia, to szereg feletonów. Talentu piętno wyciśnięte na pierwszym zwłaszcza tomie — połysków myśli, nieraz bardzo świetnych, nie mało — zręcznej a czasem dowcipnej gry słów aż nadto, bo ona nieraz myśl zastępuje — gruntowości bardzo mało — systemu i ładu w książce żadnego, tendencya zdążająca do apoteozowania tego, co „grupa krakowska“ po upadku powstania czyniła, na zbyt widocznie z całej książki przebijająca. Nowych faktów nie wiele — prawie wszystko podane w formie wspomnień osobistych, stąd pamiętnikowa więcej niż źródłowa wartość książki. Do zachowania się europejskiej dyplomacyi wobec powstania niema w książce p. Koźmiana nic takiego, czegoby nie było w przyto-

czonem już znakomitem dziele Klaczki. Prawdziwą natomiast wartość dla charakterystyki ludzi i działających na nich sprężyn mają te ustępy książki, w których autor kreśli drogi i sposoby oddziaływania dyplomacyi nie tyle na sam przebieg powstania, ile na „grupę krakowską“ zapomocą paryskiego „hotelu Lambert“. Nazwa „grupy krakowskiej“ obejmuje autor tych, którzy później skupili się około krakowskiego *Przeglądu Polskiego* — a która stosunkami swojemi mogła wywrzeć i rzeczywiście wywierała wpływ na zachowanie się konserwatystów polskich wobec powstania.

Piękność formy, lekkość stylu, czynią tę książkę poczytną; reklama, jakiej zaraz po wyjściu pierwszego tomu użyto, przyczynia się do jej rozpowszechnienia. Tem większy przeto obowiązek krytycznego rozbioru dzieła, które w pięknej formie najgubniejsze polityczne nauki podaje. A czyni to z tem większą nadzieją skutku, że autor pozyskuje sobie pierwszym tomem sympatye czytelnika, przez pełne skruchy przyznanie się do „omyłek“, do współwiny w klęskach roku 1863 i 64, że nie oszczędza siebie i swoich przyjaciół, robi zatem wrażenie wielkiej szczerości i ma pozory bezstronnego sądu. Wszak byli już tacy, którzy w konserwatywnych dziennikach o pierwszym tomie pisząc, owo przyznanie się do winy podnieśli do wysokości bohaterstwa.

W tym naszym krytycznym rozbiorze nie możemy trzymać się porządku a raczej nieporządku, w jakim dzieło wychodzi. Wydany przed kilku miesiącami tom pierwszy zawiera wspomnienia autora od chwili samego wybuchu powstania. Wspomnienia te odnoszą się głównie do zachowania się „grupy krakowskiej“ wobec powstania i do pobudek jej postanowień w różnych stadiach tego wielkiego dramatu, aż do jego tragicznego rozwiązania. Potem pojawił się tom drugi, w którym autor daje opowieść wypadków, które poprzedziły i wywołały powstanie — a więc: stan umysłów w Polsce w chwili śmierci cara Mikołaja, początki

4

rządów Aleksandra, nadzieje reform, manifestacje, rządy Wielopolskiego — branke. Dlaczego opowieść powodów jest przedmiotem drugiego tomu, a opowieść skutków przedmiotem pierwszego? dla czego naprzód idzie rok 1863, a potem lata 1861 i 1862? — dla czego więc tom drugi nie jest pierwszym, a pierwszy drugim? — to tajemnica autora. Może były jakieś nieznanne nam ku temu pobudki. Dla nas w każdym razie ta kolej, w jakiej autor rozpoczyna opowiadanie od końca, jest poparciem wypowiedzianego powyżej zdania o braku ładu i systemu w tem dziele. Dodajmyż jeszcze, że w tomie drugim też same wypadki opowiedziane są dwa razy, raz treściwie, drugi raz obszernie, że ten tom drugi właśnie rozpoczyna się od rozdziału,* zawierającego teoretyczny, zasadniczy rozbiór zagadnienia naszego porozbiorowego żywota, rodzaj politycznego wyznania wiary autora, co z natury rzeczy albo na czele dzieła, jako apriorycznie wypowiedziana przewodnia myśl książki, albo w końcu dzieła, jako wynik badań, miejsce znaleźć było powinno. Dla zrozumienia dzieła całego, jego dążności, jego myśli przewodniej, dla wprowadzenia do naszego krytycznego rozbioru tego ładu i systemu, którego daremnie szukalibyśmy w książce, zaczniemy nie od pierwszego ale od drugiego tomu i od jego zasadniczego wstępu.

I.

W pierwszym rozdziale drugiego tomu swego dzieła zastanawia się p. Koźmian teoretycznie nad powodami upadku i warunkami odrodzenia się państw w ogóle; rozwinięte tu pomysły i wysnute z nich wnioski stosuje do położenia porozbiorowej Polski.

Trzy są — powiada — powody i trzy stopnie upadku państwa: zewnętrzne, potężniejszy sąsiad, lub zmowa kilku sąsiadów, przegrana wojna i t. p.;

wewnętrzne, polityczne, społeczne, religijne, etyczne, ekonomiczne, wojskowe, które są zarazem objawem choroby, rozkładu, braku żywotności, wreszcie kombinacja i połączenie obu rodzajów przyczyn, zewnętrznych i wewnętrznych razem.

Drugi stopień upadku jest groźniejszy dla przyszłości, niż pierwszy, trzeci jest najcięższy, najwyższy.

„Od stopnia upadku zależną jest zdolność i możność podźwignięcia i podniesienia się“.

Państwo, które upadło skutkiem przyczyn zewnętrznych tylko, albo takie, którego upadek był spowodowany tylko wewnętrznymi powodami, łatwiej może odzyskać kształt państwowy niż to, którego upadek spowodowała kombinacja wewnętrznych i zewnętrznych przyczyn.

„Upadek państwa polskiego był stopnia trzeciego, najwyższym, bo spowodowany został zewnętrzną i wewnętrzną przyczyną; nastąpił wskutek osłabienia własnych sił, oraz wzmożenia się sił sąsiadów, wskutek niemocy własnej i przewagi obcych“.... „Był to zatem okaz wyjątkowy, w dziejach jedyny, trzeciego stopnia upadku państwa, stopnia najwyższego“.

A zatem...

Zanim do wniosku tego dojdziemy, zastanówmy się nad samą podstawą rozumowania p. Koźmiana.

Cała ta teoria o trzech powodach i trzech stopniach upadku państw stoi na bardzo kruchych nogach. Jest ona sztucznie *ad hoc* utworzona ku temu, aby posłużyła politycznemu celowi, jaki sobie autor wytknął w swej książce. Na poparcie swych twierdzeń nie przytoczył autor ani jednego przykładu z dziejów. Starannie unika on drogi indukcji, gdyby bowiem wszedł na nią, musiałby się przekonać, że cała jego teoria krytyki nie wytrzyma. Co on nazywa w Polsce wyjątkowym, jedynym w dziejach powodem i stopniem upadku

państwa, to jest, przeciwnie, z małemi bardzo wyjątkami regułą, iż upadek państw następuje wskutek jednoczesnego działania zarówno wewnętrznych jak i zewnętrznych powodów.

Czyż inaczej upadła Grecya? Nie były tam oczywiste objawy zupełnego upadku sił państwowych, społecznego rozstroju, demoralizacji ogólnej, które tak mądrze wyzyskał zaborca? Czyż Rzym, zanim padł pod ciosem napierającego z zewnątrz świata germańskiego, nie był w stanie zupełnego wewnętrznego rozkładu? Państwo węgierskie padło tak samo jak Polska skutkiem wewnętrznej przez oligarchię spowodowanej niemocy i skutkiem tureckiego z zewnątrz najazdu. Dziśniejszy, stopniowo dokonywający się, upadek państwa tureckiego w Europie jest znowu kombinacją wewnętrznych i zewnętrznych przyczyn. Wszak pomimo wielkiej niemocy wewnętrznej państwa tego, trzeba było bitwy pod Navarinem, aby utraciło Grecyę, trzeba było Plewny i Szipki, aby utraciło Bułgaryę.

Przykładów takich możnaby przytoczyć więcej — a wszystkie one dowodzą, że prawie zawsze na upadek państw składa się kombinacja obu przyczyn, że zatem prawie zawsze upadek jest „stopnia najwyższego“, w tem pojęciu, jakie p. Koźmian stopniowi upadku państwa nadaje.

Ale można przytoczyć jeszcze inne przykłady, dowodzące, jak bezpodstawną jest ta teorya, to jest przykłady państw, które były zupełnie do upadku dojrzałe, a uratowały się tylko tem, że nie było ciosu z zewnątrz: Niemcy w 30-letniej wojnie — Moskwa po Fiedorze Godunowie — Anglia po rewolucyi. W tych wszystkich przypadkach państwo zupełnie było do upadku dojrzałem, a nie upadło tylko dlatego, że nie znalazł się zdobywca, któryby był sięgnął po zdobycz.

Ale mamy jeszcze przykłady państw, które były już na samym brzegu przepaści i to zarówno z wewnętrznych jak zewnętrznych okoliczności, a jeżeli

się na jej dno nie stoczyły, nie zawdzięczają tego ani własnej sile wewnętrznej, która upadek powstrzymała, ani brakowi przemożnych sił u sąsiadów, ale zupełnie innym okolicznościom. Cóż w r. 1683 uratowało od upadku Austryę, szarpaną węgierskimi buntami, zagrożoną od potęgi tureckiej? Ani własna siła, ani słabość nieprzyjaciela, jedynie tylko okoliczność, że Jan III. odrzucił propozycje Ludwika XIV., który mu ofiarował przymierze francuskie i subsydia na odebranie Austrii Ślązka. Co byłoby się stało z Prusami po bitwie pod Jeną, gdyby Austrya była chciała, biorąc odwet za Śląsk, na spółkę z Napoleonem postąpić z Prusami tak, jak Fryderyk na spółkę z Katarzyną postąpił z Polską? i gdyby, oddając Galicyę za pruskie zdobycze, odbierając Prusom cały zabór Polski, była stworzyła silną chociaż nie całą jeszcze Polskę — zamiast słabego Księstwa Warszawskiego? A Francya po Sedanie! Przenieśmy ją w tym stanie, w jakim się wówczas znalazła, na miejsce Polski, przełożmy tylko jej geograficzne położenie i zapytajmy, co byłoby się z nią stało, gdyby była wtedy otoczona trzema państwami, któreby się na jej rozbiór zmówiły? Pozbawiona armii, która setkami tysięcy broń złożyła i w nieprzyjacielską poszła niewolę, pozbawiona rządu, który w chwili strasznej klęski wojennej przeobrażał się z monarchicznego w republikański, szarpana następnie domową wojną z komuną paryską, nie mogłaby była losu Polski uniknąć. Uratowało ją tylko jej geograficzne położenie, uratowało ją morze, Pireneje i Alpy, uratowała ją okoliczność, że Prusy nie znalazły spółników do rozbioru.

Więc nietylko wewnętrzna słabość, nietylko przymoc nieprzyjaciela, ani nawet sama obu tych powodów kombinacja bywa przyczyną upadku państw. Przyczyniają się do tego inne jeszcze okoliczności. Geograficzne położenie państwa, ogólna konstelacja międzynarodowej polityki w chwili, gdy na państwo cios jakiś zewnętrzny spada, są także bardzo silnym czynnikiem,

który albo chroni państwo od całkowitego upadku, albo ten upadek ułatwia i przyspiesza.

Tego wszystkiego p. Koźmian nie widzi, tego w swej teorii o upadku państw nie uwzględnia — dlaczego? Bo mu to wszystko przeszkadzało w dojściu do apriorycznie postawionego, a nie indukcyjnie z historycznych faktów wyprowadzonego wniosku, że upadek Polski „był stopnia najwyższego“, że był on „wyjątkowy, w dziejach jedyny“.

Wykazaliśmy, że nie jedyny, że były inne państwa, które upadły z tych samych powodów, t. j. z kombinacji wewnętrznych i zewnętrznych przyczyn, a nawet że ta kombinacja jest raczej regułą.

Upadek Polski był wszakże istotnie wyjątkowy, ale zupełnie z innego powodu i w innym niż u p. Koźmiana znaczeniu.

Wyjątkowym w upadku Polski nie był stopień tego upadku, nie jego głębia, nie jego powód, wyjątkową była okoliczność, iż upadek ten nastąpił w chwili wewnętrznego odradzania się narodu i państwa. Nastąpił wtedy, kiedy z organizacyi państwa usunięto jej kardynalne błędy, kiedy wprowadzać zaczęto niebywały dawniej ład w maszynę państwową, kiedy duch narodu nie „podniecenia“ tylko doznawać (o tem podnieceniu lubi p. Koźmian prawić), ale prawdziwie odradzać się począł, otrząsać się z wad, dobywać na jaw najpiękniejsze cnoty publicznej przykłady, kiedy rozumów politycznych Polsce przybywało, kiedy pojęcie „obywatelstwa“ dotąd tylko w klasie szlacheckiej zakłębione, poczęło szersze warstwy społeczne ogarniać, a Rzeczypospolitej, wchodzącej na drogę sprawiedliwości w ustawach i urzędzeniach, nowe siły przybywały. Upadek w chwili odradzania się — to było w naszym losie zupełnie wyjątkowe, w dziejach jedyne, a nie, jak p. Koźmian twierdzi, stopień tego upadku.

A jeszcze inna okoliczność nadaje temu upadkowi cechę, jeżeli nie jedyne w dziejach, to w każdym razie nie powszedniego, t. j. że był on nie tylko utratą politycznego bytu, ale zarazem rozdzieleniem organizmu narodowego na trzy, w trzy różne państwowe mechanizmy wcielone części. I to, a nie ów przez p. Koźmiana wyrozumowany „stopień“ upadku jest okolicznością, która odrodzenie dotychczas tak bardzo utrudniała.

Głębi upadku państwa nie można zresztą mierzyć samymi tylko upadku tego powodami, nie tylko tem, co się działo przed katastrofą i w czasie katastrofy, ale miarą jest tutaj, i to może najpewniejszą, to także, co się dzieje po katastrofie. A to tem bardziej, jeśli się ma do czynienia z państwem, które nie jest sztucznym tworem polityki, mechanicznym różnych składników zlepkiem, ale jest narodem, jest organizmem, jest owocem kulturalnej pracy licznych, narodową jednością złączonych pokoleń. Stopień objawionej po upadku siły żywotnej i mocy odradzania się, daje dopiero istotną miarę stopnia i głębi upadku, nie zaś okoliczność, czy upadek państwa spowodowany był zewnętrznymi czy wewnętrznymi powodami, czy też kombinacją obu. Gdyby upadek Polski był istotnie co do swego stopnia „najwyższym“ i „jedynym w dziejach“, to oczywiście nie byłby możliwym fakt, że już w 12 lat po rozbiórce nastąpiło częściowe odrodzenie w Księstwie Warszawskim, a następnie w pół-niepodległości Królestwa kongresowego. A niech nam nie zarzuca, że to nie było dziełem Polaków, ale dziełem Napoleona pierwszego, a Aleksandra i kongresu drugiego. To było przede wszystkim dziełem legionów, owocem objawionej czynnie żywotnej siły i świadomej celu polityki narodu.

Z błędnej teorii o powodach upadku państw, z równie błędnego, zupełnie mechanicznego odmierzania stopnia upadku państw tem, czy owe powody były zewnętrzne, czy wewnętrzne, czy jedne i drugie łącznie,

dochodzi autor do wniosku, że skutkiem „najwyższego stopnia upadku“ z wszystkich upadłych państw, było Polsce najtrudniej odrodzić się i powstać w kształcie państwowym.

„Zbadajmy teraz — pisze autor po postawieniu powyższej tezy (str. 5) — o ile w praktyce i w dziejach stwierdzają się powyższe prawdy, to jest, o ile okazało się, że dzieło odbudowania państwa Polskiego otoczone było trudnościami, którym sprostać może byłoby mogły tylko wielkie cnoty i zdolności polityczne.“

Nie chcemy zastanawiać się dłużej nad tem ostatniem zdaniem, wystarczy krótka wzmianka, że chyba nigdy jeszcze dzieło odbudowania upadłego państwa nie było łatwem, i że zawsze dziełu takiemu tylko wielkie cnoty i zdolności polityczne sprostać mogą. Ale po owej zapowiedzi „zbadania“, o ile „w praktyce i w dziejach“ mniemane prawdy p. Koźmiana się sprawdzają, mieliśmy prawo oczekiwać istotnego badania, t. j. dochodzenia faktów i wyprowadzenia z nich wniosków. Zamiast tego, mamy znowu zupełnie dowolnie skonstruowaną teorię i apriorycznie skonstruowane wnioski.

Posłuchajmy:

„Czem duch dla człowieka, tem dla społeczeństwa jest myśl wspólna. Duch odróżnia człowieka od zwierzęcia, myśl wspólna odróżnia społeczeństwo od gromady zwierząt; ona daje mu wyższy, wzniosły cel“.

„Dla społeczeństwa, które przestało istnieć w kształcie państwowym, najwznioślejszym, najszczytniejszym celem musi być odzyskanie tego kształtu, a siłą ożywczą myśli dążenie do niepodległości“.

Tu oczywiście najzupełniejsza z autorem zgoda. Ale myśl tę wypowiada autor tylko ku temu, aby ją zaraz sofistycznym rozumowaniem wywrócić na nice. Oto powiada:

„Nie już tylko najpotężniejszym środkiem, ale koniecznym warunkiem odzyskania kształtów państwowych, jest zachowanie bytu narodowego. Dla społeczeństwa zatem podbitego i państwowo upadłego, najwznioślejszym i najszczytniejszym celem jest odzyskanie niepodległości, ale najpierwszym obowiązkiem być musi zachowanie bytu narodowego. Środek tutaj, będący warunkiem niezbędnym, tak dalece zespolony jest z celem, tak dalece jest istotą celu, że ktoby chciał wyzuć się z pierwszego dla dopięcia drugiego, poświęciłby oba i działałby wbrew powołaniu społeczeństwa nie tylko zgubnie, ale niszcząco. Gdyby zatem siłą ożywczą stały się dla społeczeństwa, które przestało być państwem, myśl i dążenie do niepodległości, pochłaniające byt narodowy, siła ta zamiast twórcza, byłaby niweczającą cel ze środkiem, bo byt narodowy jest warunkiem koniecznym.

„Stąd utrzymanie bytu narodowego musi się stać celem dla siebie i stać się siłą ożywczą, musi zapanować i górować nad wzniosłością i szczytnością odzyskania niepodległości“.

Autor więc przyjmuje „jako pewnik“, że dążenie do najwznioślejszego i najszczytniejszego celu odzyskania niepodległości, musi być „podporządkowaniem zachowaniu warunku koniecznego, to jest bytu narodowego“.

I tutaj stawia autor dylemat prawdziwie rozpaczliwy: Upadek ducha publicznego w Polsce w XVIII. stuleciu był sromotny i doprowadził do upadku państwa polskiego. Odrodzenie tego ducha, objawiające się w usiłowaniach odzyskania niepodległości, wtrącało naród stopniowo w coraz gorsze położenie, bytowi narodowemu dotkliwie zadawało ciosy.

„Upadek ducha publicznego był haniebny, odrodzenie się takowego stawało się niebezpiecznym. Upa-

dek prowadził do zguby, odrodzenie niweczyło lub oddalało ratunek“.

Cóż więc robić? — pyta autor. — Czy bezpieczniej żyć w upadku ducha, czy korzystniej w odrodzeniu prowadzającym do katastrof? Naród ani „w jednym wypadku ani w drugim do celu dojść by nie mógł“. Jestże więc nierozwiązalna zagadka? Nie. „Widocznem jest wobec klęsk spowodowanych przez upadek ducha i przez jego odrodzenie, że wskazana była droga inna, pośrednia, którą w braku wykształconego zmysłu politycznego wynaleźć powinno doświadczenie“.

A tą drogą pośrednią jest owo podporządkowanie celu środkowi, jest postawienie środka jako cel. Nieodzyskanie niepodległości, ale zachowanie bytu narodowego ma być celem, ono jest tą prawdą, która stoi pośrodku dwóch fałszów, upadku ducha i wybujałości ducha, która chroni organizm od apaty i gorączki, która jest więc obowiązkiem i politycznym rozumem, a tem samem celem stać się musi“.

Oto jest wyznanie wiary p. Koźmiana i myśl przewodnia jego książki, oto droga, jaką polityce narodowej wytycza „grupa krakowska“.

Rozumowanie, za pomocą którego p. Koźmian do tego wyniku dochodzi, grzeszy brakiem historycznej ścisłości, sam wniosek ostateczny brakiem ścisłości politycznej.

Cel, do którego się ma dążyć, któremu się ma poświęcić wszystką pracę i ofiarność narodu, który ma być przewodnią myślą całej polityki narodowej, powinien być przedewszystkiem jasno określony, jeżeli nie mamy zejść na manowce. Zapytujemy tedy: co znaczą wyrazy „byt narodowy“, oderwane od pojęcia państwowego kształtu?

Do odpowiedzi na to pytanie jest obowiązany ten, kto jako cel narodowi stawia zachowanie bytu narodowego bez niepodległości. Odpowiedzi tej u p. Koźmiana nie znajdujemy nigdzie. A łatwo zro

zumieć, że w tych wyrazach mieścić się może cała ogromna skala pojęć od najszerszego samorządu, od półniepodległości Królestwa kongresowego przed listopadem, aż do najciaśniejszego określenia tego bytu jako egzystencji pewnej ilości jednostek, jeszcze po polsku mówiących.

Autor, jak powiedzieliśmy, nie wyjaśnia nigdzie, co rozumie przez ów „byt narodowy“, którego zachowanie ma się stać celem narodowej polityki w miejsce dążenia do niepodległości. A i jemu samemu rzecz jest niejasną. W rozdziale pierwszym mówi zawsze o „zachowaniu“ lub „utrzymaniu„ bytu narodowego, więc o czemś, co jest, co tylko konserwować należy. W drugim rozdziale mówi (str. 18), że „dążenie do niepodległości wykluczało kompromisy między społeczeństwem polskim a rządami rozbiorowemi, czyli skuteczniejsze i najrzeczywistsze środki wzmocnienia bytu narodowego“. Tu zatem byt narodowy jest znowu przez autora pojęty jako coś, co jest — ale co już wzmacniać, a nie jak poprzednio tylko zachowywać należy. Ale zaraz na następnej stronie, mówiąc o okresie od roku 1831 do 1856, powiada (str. 19): „Nikt nie chce próbować odzyskania bytu narodowego poświęceniem idei bytu państwowego“. Tutaj już ten byt narodowy ma być odzyskany — a wszak odzyskiwać można tylko to, co utraconem zostało!

U samego p. Koźmiana zatem ten „byt narodowy“ raz jest czemś, co mamy, co tylko zachowaniem albo wzmacnianiem być potrzebuje — a drugi raz czemś, cośmy już utracili. Cóż jest prawdą? czy mamy ów byt narodowy — czy go już nie mamy? czy go zachować trzeba, czy dopiero odzyskiwać? I co naprawdę według p. Koźmiana, ma być narodowej naszej polityki celem i myślą przewodnią? I jaka wartość programu, który na czele swem stawia pojęcie tak dalece nieokreślone, że sam autor w dwojaki sposób je pojmuje?

Powiedzieliśmy, że pojęcie to może obejmować całą, ogromną skalę różnych stopni bytu. Przypatrzmyż się teraz, jak ta skala przedstawia się w praktyce.

W Galicyi mamy dość szeroką skalę tego bytu. Mamy samorząd wprawdzie bardzo ograniczony, ale w każdym razie o pewnej ilości spraw krajowych i narodowych nie tylko radzić, ale i w sposób obowiązujący uchylać możemy, mamy język polski w życiu publicznym i w rządowych instytucjach z pewnymi ograniczeniami zabezpieczony, mamy rodaków na wszelkich urzędach, mamy poważną możliwość pracy nad wzmocnieniem sił społeczeństwa w ekonomicznym, zdrowotnym, intelektualnym, moralnym względzie. To jeszcze nie najwyższy stopień takiego bytu bez niepodległości, ale w każdym razie stopień dość wysoki.

W zaborze pruskim już się ta skala bardzo obniża. A przecież nie można powiedzieć, żeby i tam nie było bytu narodowego. Możemy w ciałach reprezentacyjnych prawa nasze stwierdzać — możemy w stowarzyszeniach pracować, mamy większą nawet niż w Galicyi swobodę prasy, a więc możliwość propagandy polskiej myśli, a w miarę naszej własnej zapobiegliwości, pracowitości i przezorności, możemy ekonomicznie się wzmacniać.

W Królestwie już o żadnych prawach narodowych i politycznych mowy nie ma. Ale jest 8-milionowa ludność jędrnie polska — polska nie tylko z mowy ale i z ducha, mająca w ręku swem bardzo poważne zasoby ekonomiczne, jest liczna inteligencja polska, która piśmiennictwo polskie wysoko podnosi — jednym słowem: jesteśmy, a zaprawdę nie jesteśmy jakimś drobnym żywiołkiem, ale rzeczywistą siłą.

Ale i w krajach zabranych, zwłaszcza na Litwie a także, chociaż w mniejszym stopniu, na Rusi — jesteśmy — i nikt, kraje te znający, nie powie, że tam niema poważnej liczby jednostek mówiących i myślących po polsku, a przedstawiających zawsze pewną eko-

nomiczną i społeczną siłę, pomimo srogich przeciw niej ukazów.

Byt narodowy, zawsze z zastrzeżeniem, że mówimy o nim po myśli p. Koźmiana, t. j. niezależnie od państwowych, politycznych kształtów, jest więc na całej przestrzeni dawnej Rzeczypospolitej, wszędzie bowiem jesteśmy, jako większa lub mniejsza społeczna i narodowa siła.

Zachowanie tego bytu ma być celem, którego narażać nie można. A z tego wniosek prosty: tak samo jak p. Koźmian odrzuca ideę niepodległości, bo ona naraża sam byt, tak samo musi się odrzucić i potępić to wszystko, co w jakikolwiek sposób czynniki bytu tego narazi, bo on jest celem sam dla siebie. Czynnikiem tego bytu jest każda polska jednostka, jest zaś zawartej w niej inteligencji, albo choćby tylko siły do zwykłej pracy, jest oczywiście zasób sił ekonomicznych, kapitałów, ziemi i t. p. w ręku tej jednostki. Wszystko zatem, co tę jednostkę i tę w niej i w jej mieniu tkwiącą siłę naraża, to wszystko jest odrzucenia i potępienia godnem tak samo, jak dla p. Koźmiana odrzucenia i potępienia godnem jest dążenie do niepodległości. Ty Polaku, żyjący w Królestwie, nie waż się chłopu polskiemu dać polską książkę do ręki, albo zgoła dziecko jego w swoim dworku wiejskim uczyć czytania po polsku, bo możesz za tę „propagandę nieprzyjazną rządowi“ w drodze administracyjnej być wydalony, a twój majątek obłożony karami i kontrybucjami, a to byłoby oczywiście osłabieniem bytu narodowego. Ty kapłanie polski nie waż się odmówić władzy, gdy żąda od ciebie, byś w polskim i katolickim kościele rotę przysięgi wierności odczytywał w rosyjskim języku, bo za ten opór władzy możesz się rychło znaleźć tam, gdzie ks. biskup Hryniewiecki za swe męstwo pokutował, a ubytek kapłana polskiego z pośród owieczek polskich, to także osłabienie czynników bytu narodowego. Ty właścicielu prywatnego pensjonatu w Warszawie, nie



waż się do dziecka, oddanego ci na naukę, przemawiać po polsku lub uczyć go w polskim języku, bo ci za to zamkną pensjonat, a jak wszystkim Polakom pozamykają pensjonaty, to się tem znowu osłabi czynniki narodowego bytu...

To są konsekwencye, do których z konieczności dojśćby musiało nasze społeczeństwo, gdyby się w niem przyjęła teoria p. Koźmiana. Pozbawione idei wyższej, celu wznioślejszego, pozbawione tej myśli, o której sam p. Koźmian powiada, iż ona musi być myślą wspólną narodu, który stracił byt państwowy, obniżone w swych aspiracyach do samego konserwowania tego, co jest, ażeby, broń Boże, przez dążenie do czegoś więcej nie osłabić owego bytu, który ma być celem, społeczeństwo musiałoby się najzupełniej zmateryalizować i zdemoralizować. A to zmateryalizowanie szukałoby usprawiedliwienia w teoryi o zachowaniu bytu, bo każda polska jednostka jest tego narodowego bytu czynnikiem i konserwując siebie przedewszystkiem, jeszczeby się chełpić mogła, że spełnia obywatelski, patriotyczny obowiązek.

Mówi p. Koźmian o „jedności narodowej bez jedności geograficznej“ i zdaje mu się, że gdybyśmy byli umieli pojąć pierwsze bez drugiego, nie bylibyśmy narodowego bytu narazili.

Jest w Polsce polityk, który od szeregu lat postępuje drogą, przez p. Koźmiana wskazaną. Pragnął on ratować i wzmocnić byt narodowy poza kwestyą geograficznej jedności. Tak dalece narodowość od państwowości oddzielał, że pragnąc przekonać rząd pruski i cesarza Wilhelma o swojej szczerości, mówił nawet publicznie o „Prusakach mówiących po polsku“, zamiast mówić o Polakach zmuszanych przez rząd do mówienia po niemiecku a myślenia po prusku. I zdawało się, że tą dyplomacją zdoła p. Kościelski istotnie jakieś znaczniejsze ustępstwa dla ciemnionej polskości uzyskać. Ale stało się, że Koźmianowską teoryę „jedności naro-

dowej bez jedności geograficznej“ p. Kościelski wziął zupełnie na seryo i na bankiecie lwowskim mówił głośno i pięknie o tej narodowej jedności. A skutek? Podobało się Prusakom, że p. Kościelskiemu nie potrzeba jedności geograficznej dla jego polityki, ale że poważzył się mówić o jedności narodowej, tego mu wybaczyć nie mogą. I oto cała niby ugodowa polityka jest już zachwiana. Z tego zaś może się p. Koźmian przekonać, że teoria jedności narodowej bez jedności geograficznej, gdyby nawet uchowaj Boże została przez Polaków przyjęta jako przewodnia myśl polskiej polityki, nie będzie miała tego skutku, żeby złagodziła tych, co nas ciemiężą i prześladują i stworzyła nam lepsze niż obecnie warunki bytu w zaborze pruskim, a cóż dopiero w rosyjskim! Tego skutku nie osiągnie, ale na pewno osiągnie inny: osłabi nas moralnie, złamie tę właśnie siłę, która nam dozwoliła w tamtych dwóch zaborach przetrwać ciemństwa i bezprzykładną przeciw nam zwróconą eksterminacyjną politykę rządów, bo nam odejmie tę myśl wspólną, o której sam p. Koźmian powiada, że ona odróżnia społeczeństwo od gromady zwierząt.

Ta polityka wyrzeczenia się idei niepodległości, ażeby ratować jakiś nieokreślony, od pojęcia praw narodowych oderwany byt narodowy, ma tyle słabych stron, że z którejkolwiek strony światło na nią rzucić, zawsze się okaże jej bezpodstawność. Kto ma się wyrzec imieniem narodu tego prawa do niepodległości i tej idei niepodległości? Czy jaka reprezentacya? Tej nie ma w trzech czwartych częściach naszej Ojczyzny, a te dzielnice, w których ona jest, czyż mają prawo w imieniu reszty Polski przez swoje reprezentacye to uczynić? Powie może p. Koźmian: cały naród swoim postępowaniem politycznym, swoim piśmiennictwem, zachowaniem się wszelkich do narodu tego należących jednostek, gdziekolwiek na nie zwrócone są oczy. A czy nam i wtedy uwierzą? Nie uwierzą nam tak samo, jak ks. Bismark nigdy nie uwierzył p. Kościelskiemu i ni-

gdy mu nie zaufał. Tu trzeba się liczyć z całym psychicznym nastrojem narodu, a nastroju tego sztucznie wywołać nie można. Naród zresztą, a zwłaszcza naród własnego rządu pozbawiony, to nie zbiór figurek szachowych, a polityka jego to nie partya szachów, w której figurami temi dowolnie poruszać można. Naród do pewnego stopnia tylko i tylko na jakiś czas ulegnie tym, co nim jak figurkami na szachownicy poruszaćby chcieli. Ale wymagać od niego, aby cały, bez wyjątku, uległ ich wpływowi w tedy, gdy mu każą wyprzeć się tego, co było dlań i jest świętością i artykułem wiary, co cały szereg pokoleń tego narodu ożywiało, co z historyczną koniecznością wynika z samego faktu istnienia tego narodu, bez czego on przestałby być narodem, to znaczy żądać od niego rzeczy niemożliwej. To też rządy rozumne, gdy szły do zgody i kompromisu z podlegającymi im obcymi narodami, nie wymagały od nich takiego wyrzeczenia się narodowo-państwowej idei, ale przyjęły z góry sprawiedliwość za zasadę swego z narodami temi postępowania i tej zasadzie sprawiedliwości czyniły zadość, nie żądając od narodu poniżającego zrzeczenia się praw. Przykładu takiego postępowania daleko szukać nie potrzebujemy. Wszelkie inne postępowanie uniemożliwia to, co p. Koźmian nazywa kompromisem między narodem a obcymi rządami, bo jeszcze nigdy obłuda podstawą trwałej zgody się nie stała.

Byt narodowy bez praw narodowych, może być nieraz i jest teraz właśnie w Polsce pod zaborem rosyjskim faktem, który nawet bardzo długo trwać może, faktem, który znosić się musi tak długo, dopóki go zmienić nie można. Ale celem on się nigdy stać nie może, ani treścią jedyną narodowego programu. Wtedy bowiem życie duchowe narodu byłoby pozbawione swej ożywczej myśli, swego wyższego namaszczenia. Odejmij polskiej poezyi, literaturze całej, sztuce, tę ideę, która była zawsze jej natchnieniem, a poziom

cały tego duchowego życia narodu obniży się i życie samo zmarnieje.

Na wewnątrz więc stracimy potężny czynnik życia samego, bytu, siły narodu, stracimy tę moc przetrwania i przewyciężenia ciemństw, którą nam tylko wyższa narodowa idea dać może. Na zewnątrz, od rządów wręcz narodowi nieprzyjaznych nie zyskamy nic, bo nam one wierzyć nie chcą, w szerokim zaś świecie politycznym zapomną o nas zupełnie i żadna konstelacja polityczna, która mogłaby dla nas w danym razie stać się korzystną, nie przyda nam się na nic, bo nikt już i nigdy w rachubę brać nie będzie narodu, który się swej narodowej myśli zaparł. Będziemy wtedy okazem etnograficznym, przestaniemy być politycznym narodem.

P. Koźmian nie rozumie naszych porozbiorowych dziejów, kiedy pokolenia porozbiorowe potępia za to, że nie chciały przyjąć tej polityki kompromisów z rządami, którą autor ze swojej bardzo sztucznej, apriorycznej argumentacji wywodzi. Były czasy, kiedy naród brał zupełnie na seryo wszelkie rosyjskie koncesyje. W królestwie kongresowem, w chwili zorganizowania go na podstawie oktrojowanej konstytucyi, wszystko bez wyjątku weszło zgodnie na drogę spokojnej pracy wewnętrznej. Zaszło tylko nieporozumienie: naród wziął na seryo tę konstytucyę, którą car nadał tylko na to, ażeby ją potem sam łamał i unicestwiał. Nie wytrzymała Rosya ani trzech lat całych na drodze szczerego tej konstytucyi dotrzymania. Jeszcze spisków żadnych w Polsce nie było, kiedy owo nieporozumienie wyszło na jaw i zaczęło się pogwałcanie nadanych przez cara praw. Są to sprawy aż nazbyt wiadome, by się nad nimi szerzej rozwodzić. Stwierdzić wystarczy fakt, że spiskowanie zaczęło się dopiero wtedy, kiedy na podstawie faktów stracili Polacy wiarę w szczerłość rządu i cara, i kiedy zaczęto faktycznie jedno prawo konstytucyjne po drugim ograniczać i znosić. Utworzyła się

9 opozycja sejmowa, która przecież w tych warunkach była nieuniknioną. Opozycja ta, zupełnie uprawniona, drażniła znowu rząd, ten coraz bardziej drażnił cały kraj, aż przyszło do związków, których odkrycie wywoływało ciężkie kary i prześladowania. Te znowu oddziaływać musiały na kraj drażniąco. I w ten sposób najzgodniejsze z początku usposobienie kraju zamieniło się w wręcz przeciwne, aż wyczerpana cierpliwość i zawiedzione nadzieje doprowadziły do listopadowego wybuchu. Naród więc był na drodze zgody i kompromisu, rząd zeszedł z tej drogi. A jak zobaczymy w dalszym toku, na tej samej drodze do kompromisów był kraj po raz drugi, od śmierci Mikołaja I-go aż do roku 1860, tylko rząd go odtrącił. Bo do kompromisu trzeba dwóch stron, i jeżeli rząd obcy kompromisu nie chce, albo zawarty już kompromis zrywa, wtedy recepta p. Koźmiana albo nie przyda się na nic, albo musiałyby być tak zrozumiana, że kompromis na tem polega, żeby naród bezwarunkowo wszystko uznał i w pokorze przyjął i nie upomniał się już nietylko o wyższy stopień praw, ale nawet o poszanowanie tych skromnych praw, które mu przez sam obcy rząd nadane zostały.

Zdaniem p. Koźmiana porozbiorowe pokolenia podkopywały byt narodowy przez dążenie do niepodległości. Tymczasem — rzecz dziwna — po każdym naszym ruchu, pomimo ciężkich i krwawych klęsk i długotrwałych prześladowań, coś wielkiego przybywa do narodowego dorobku. Po roku 1831 wspaniały rozkwit poezji i literatury i początek odradzania się dziejopisarstwa w Polsce, a zarazem rozbudzenie mieszczaństwa polskiego do nowego życia. Po roku 1863 powstanie sztuki polskiej, rozpoczęta i coraz świetniejsze owoce przynosząca praca nad oświatą ludu, zupełnie dokonane uświadomienie ludu w Wielkopolsce. Więc były wprawdzie w każdym nieudanym ruchu bardzo ciężkie straty, ale nie było „podkopania bytu narodowego“.

Kiedy p. Lisicki w swoim dziele o Wielopolskim potępił emigrację i literaturę emigracyjną, pisarz, do p. Koźmiana najbardziej politycznie zbliżony, w ten sposób wyraził się o potępionem przez Lisickiego pokoleniu:

„Prac ich sukcesem było przechowanie myśli polskiej i polskiego uczucia, które, dzięki tym ludziom, wszystko przetrwało i doszło aż do nas, przechowanie pamięci Polski nie w nas samych tylko, ale w świecie, który, choć nie mówi i nie dba, owszem, choć się wypiera i wyrzeka, sprawy za skończoną i zamkniętą przecie do dziś dnia nie uważa“. (*Przegląd Polski* z r. 1880).

Te piękne i trafne słowa Stanisława Tarnowskiego, najzupełniej i najściślej stosują się do całej naszej porozbiorowej polityki, ku odzyskaniu niepodległego bytu skierowanej.

Ale twierdzimy, że nietylko pod względem utrzymania samej „myśli polskiej i polskiego uczucia“ pokolenia porozbiorowe szczerzyć się mogą rzeczywistym prac swych i ofiar sukcesem.

Pisząc w sto lat po ostatnim rozbiore Rzeczypospolitej, miał p. Koźmian za sobą doświadczenie całego stulecia. Na doświadczeniu tem oparty, mógł być i powinien był sprawdzić ściśle wartość i trafność swojej ponurej teorii politycznej. Zanim z tą teorią wystąpił, powinien był zbadać ściśle, czy prawdą jest, że idea niepodległości i dążenie do jej urzeczywistnienia niszczy najkardynalniejszy jej warunek: „byt narodowy“. I gdyby był się zastanowił nad stanem narodu polskiego w chwili ostatniego rozbioru i porównał go z dzisiejszym, byłby musiał dojść do wyniku, że mimo całego już stulecia niewoli, mimo wszystkich klęsk, jakich doznaliśmy, podstawy narodowego bytu są dziś znacznie silniejsze, niż były wówczas. Mielśmy wtedy tylko szlachtę jako naród politycznie żyjący, a z tą szlachtą zdemoralizowana i demoralizująca ówczesna magnaterya czyniła co chciała. Mie-

szczaństwo dopiero budzić się poczynano. O wielkim zaś dniu Raclawic przecież nikt nie mógłby twierdzić, że on był dowodem, iż Rzeczpospolita rozporządza już całą siłą ludową. To był dopiero wspaniały początek i wskazówka świetna dla polskiej inteligencji, którądy droga.

Dzisiaj ta podstawa narodowego bytu znacznie rozszerzona. Dzisiaj poczucie obywatelstwa i narodowości i obowiązku patriotycznego sięga o wiele szerzej i głębiej. Lud polski w zaborze pruskim jest tak na wskrós patriotyczny, tak narodową ideą przejęty, że go nam już nikt nie odbierze i nic już nim nie zachwieje, nawet ciężka dla ludu konieczność okupywania tego patriotycznego poczucia wielkimi nieraz ofiarami. Oświata ludu w Galicyi czyni wielkie postępy, świadomość narodowa budzi się w ludzie. Mieszczactwo, w chwili konstytucyi 3-go maja rozbudzone, jest dziś szczerze polskiem i patriotycznym. Siły duchowe Polski, jej zasoby inteligencji, suma sił umysłowych i fachowych uzdolnień, któremi naród rozporządzać może, toż to wszystko dziś potężniejsze, niż w chwili rozbiorów. Przez ten wiek klęsk i ofiar piśmiennictwo nasze wzrosło olbrzymio, umiejętność polska na wszystkich bez wyjątku polach postępuje równym krokiem z współczesną nauką, sztuka polska w tym czasie zrodziła się i zdobyła sobie pierwszorzędne stanowisko. Za oceanem rośnie w amerykańskim wychodźstwie siła, która coraz lepiej się organizuje i przestaje być — jak do niedawna — czynnikiem bezwartościowym w naszym życiu. Sztuki rządzenia sobą uczymy się praktyką polityczną i autonomiczną w tej tu dzielnicy Polski, sztuki panowania nad sobą, aby niewcześnie nie porywać się do czynu, do którego nie ma środków dostatecznych, uczy nas doświadczenie. Słowem: liczebnie, społecznie, intelektualnie i ekonomicznie, my dziś silniejsi, niż byliśmy przed wiekiem. A silniejsi też i moralnie: kto zna stan moralny społeczeństwa polskiego z czasów rozbiorów, kto czytał współczesne pamiętniki, kto przeglądał spisy sprzedaw-

czyków, których legie całe stały na łożdzie ambasadorów państw zaborczych, a rekrutowały się na „szczytach” społeczeństwa, musi przyznać, że dziś coś podobnego byłoby wprost niemożliwym.

Więc nasza stuletnia polityka porozbiorowa, nasze bezskuteczne usiłowania odzyskania bytu niepodległego, nasza tym duchem natchniona literatura, to wszystko nie było bezowocnem. Spotkały nas wprawdzie na tej drodze ciosy bardzo dotkliwe, klęski ciężkie, rany krwawe i głębokie, zniszczenie tysięcy egzystencji, to wszystko prawda. Ale fałszem jest twierdzenie, że owe usiłowania zachwiały bytem narodowym, bo ten byt dziś silniejszy, niż był kiedykolwiek.

A przy stwierdzeniu tego faktu upada cała teoria p. Koźmiana o potrzebie wykreślenia niepodległości z naszego programu, z naszego katechizmu narodowego. Nie odzyskał nigdy bytu państwowego naród, który go odzyskać nie chciał, który ideę tę zatracił czy to przez próżniactwo ducha i upadek ducha, czy też, jak chce p. Koźmian, przez fałszywe rozumowanie na fałszywej oparte historii. Tą drogą też, którą p. Koźmian wskazuje, zatracimy sam byt, bo bez tego wyższego natchnienia, jakie daje idea niepodległości, ani w sobie dosyć siły i zapału do pracy, ani dosyć energii do obrony nie znajdziemy i zaskorupimy się z czasem w zupełnie egoistycznym życiu jednostek, ani też na zewnątrz nic znaczyć nie będziemy.

Nie wynika z tego, abyśmy mieli każdą chwilę naszego obecnego żywota politycznego za stosowną uważać do tego, aby podjąć czyn, bezpośrednio odzyskanie niepodległości na celu mający, albo jak chciał Mierosławski, abyśmy każdej chwili chcieli i mogli robić „ruchawkę w Polsce”. Ta teoria, zdaje się, że wraz ze swym twórcą bezpowrotnie już jest pogrzebaną. Nie wynika z tego, abyśmy nie mieli mądrze, roztropnie, cierpliwie, wyzyskiwać wszystkie okoliczności, pozwalające nam lepiej i skuteczniej pracować nad wzmocnie-

niem podstaw narodowego bytu i nad spotęgowaniem sił narodowych. Nie wynika z tego, abyśmy mieli z dumą i uporem odrzucać dawane nam lepsze warunki politycznej egzystencji w ramach tego, co stworzyły rozbiory, odrzucać niższe stopnie praw, niższe szczeble bytu politycznego dlatego, że nie możemy od razu osiągnąć najwyższego. To wszystko jest rzeczą polityki, która jest sztuką wyzyskiwania korzystnych okoliczności.

Ale wyrzeczenie się idei niepodległego bytu, to samobójstwo, którego naród sam na sobie nie dokona nigdy. Do książki p. Koźmiana, zwłaszcza zaś do jego krytyki dziejów porozbiorowych najzupełniej stosuje się co powiedziano o książce Lisickiego :

„Całość jest do czytania przykrą i niezupełnie zdrową, czytających bez krytyki a do zwątpienia skłonnych (zwątpienie czasem bywa rzeczą wygodną) naprowadziłyby mogła na myśl, że cały dotychczasowy patryotyzm polski był wielkiem, marnem głupstwem, a jedynem hasłem przyszłości jest: „*Point des réveries*“, hasła zaś tego odezw brzmiały: „*Boże caria chrani*“. (Stanisław Tarnowski w *Przeglądzie Polskim* z r. 1880).

Książka p. Koźmiana ściśle zawiera to, co hr. Tarnowski zarzuca p. Lisickiemu. Ona nietylko mogłaby naprowadzić na myśl, ale ona stara się udowodnić, że „cały dotychczasowy patryotyzm polski był wielkiem, marnem głupstwem“, skoro sili się na dowód, że kierunek, jaki ten patryotyzm wziął, t. j. dążenie do niepodległości, niweczy byt narodowy. Ona nietylko pośrednio może naprowadzić na myśl, że „jedynem hasłem przyszłości jest „*Point des réveries*“ — ona wprost stawia rozpaczliwie ponurą politykę zrzeczenia się niepodległości dla zachowania „bytu“ i stara się potrzebę tej polityki solistycznemi wywodami uzasadnić. Że zaś my tę politykę uznawaliśmy zawsze za zgubną i dla narodu zabójczą, a ani wypadki, ani postępy, jakie uczyniła nasza historyografia, ani liczne nowe źró-

dła do historii porozbiorowej nie dały podstawy do zmiany tego naszego, nie dla potrzeb chwilowej polityki wyrobionego, ale na studyach dziejów naszych i obecnego stanu narodu opartego przekonania: raz przeto jeszcze — a bogdajhy po raz ostatni — z tą, wcale nie nową teorią, musieliśmy stoczyć polemikę.

II.

Zatrzymaliśmy się dłużej nieco przy pierwszym rozdziale drugiego tomu pracy p. Koźmiana, jest on bowiem programowym, roztrząsa całe zagadnienie naszego porozbiorowego życia politycznego, zaznacza zarazem tendencję całego dzieła. I przekonamy się zaraz, że nie przedmiotowy, spokojny sąd historyka kieruje piórem p. Koźmiana w opisie wypadków dziejowych, którym swoją książkę poświęcił, ale owa tendencja polityczna, do której stara się te wypadki naciągnąć.

W drugim rozdziale drugiego tomu kreśli p. Koźmian „stan społeczeństwa polskiego“ (jak pisze w nagłówku) od roku 1831 do 1856. Nie „stan społeczeństwa“, bo na to składa się mnóstwo czynników, o których tam ani mowy, ale polityczne usposobienie polskiego społeczeństwa. Ale mniejsza o ściślejszą lub mniej ściłą nomenklaturę, gdy idzie o rzecz samą.

„Okres od r. 1831 do 1856 — pisze autor — wypełniony został dążeniem bezsilnem do niepodległości, jeszcze więcej marzeniem o niej, a zmarnowanym dla rozwoju i wzmocnienia bytu narodowego. Dążenie do niepodległości wykluczało kompromisy między społeczeństwem polskim a rządami rozbiorowemi, czyli najskuteczniejsze i najrzeczywistsze środki wzmocnienia bytu narodowego. W epoce tej spisek zajmuje też wybitniejsze miejsce w życiu narodu, niż praca“.

Dwadzieścia pięć lat — ćwierć wieku — zmarnowane dla rozwoju i wzmocnienia bytu narodowego! To byłoby istotnie coś strasznego! Surowszego wyroku na całą jedną generację wydać chyba nie można! Szczęście tylko, że opinia ta jest stanowczo błędna, wyrok zupełnie niesprawiedliwy. Przez te ćwierć wieku od upadku listopadowego powstania do bytności cara Aleksandra w Warszawie, rozwinęli się spotężnieli i pracy ducha swego dokonali Mickiewicz, Słowacki i Krasiński; w tym okresie Lelewel, Moraczewski, Szajnocha uczyli nas dziejów; Libelt, Cieszkowski i Trentowski siali ziarna prawd filozoficznych i politycznych; Korzeniowski i Kraszewski wprowadzili książkę polską, a z nią mowę polską i zamiłowanie rzeczy ojczystych tam, gdzie przed nimi wszechwładnie panowała francuszczyzna i niemczyzna; Korzeniowski i Fredro stworzyli polski dramat i komedię. Czyż literatura narodowa jest niczem dla bytu narodowego, skoro okres naszych dziejów, w którym literatura ta zatkwiała, jest według p. Koźmiana zmarnowany dla tego bytu? I znowu zapytujemy autora, co on przez „byt narodowy“ rozumie? Przez te ćwierć wieku zmienzone dawniej mieszczaństwo galicyjskie (wszak we Lwowie u mieszczan język niemiecki do roku 1846 i 1848 był językiem salonowym!) przejrzało i rzuciło z siebie niemczyznę. Przez te ćwierć wieku idea reformy społecznej przez usamowolnienie i uwłaszczenie włościan dojrzewała coraz silniej w umysłach społeczeństwa, nie wyjmując tych, którzy na tej reformie chwilowo ciężko ucierpieć musieli, szlachty. Przez te ćwierć wieku, gdy tylko najmniejsza dana była sposobność realnej pracy ekonomicznej, starano się z niej korzystać: gal. Towarzystwo kredytowe ziemskie, gal. Kasa oszczędności we Lwowie, Towarzystwo gospodarskie i t. p.

Nad tem wszystkim przechodzi p. Koźmian do porządku dziennego, tego wszystkiego uznać on nie chce, cały ten okres zmarnowanym uznaje, dlaczego?

Bo mu ten okres nie stosuje się do jego formułki politycznej „kompromisu z rządami“ jako „najskuteczniejszego środka wzmocnienia bytu narodowego“.

Fakt, że kompromis taki wówczas nie nastąpił, jest według p. Koźmiana skutkiem tej okoliczności, iż ówczesne pokolenie polskie dążyło do niepodległości i kompromisu nie szukało.

Jednostronność stanowiska autora nigdzie może tak silnie jak tutaj na jaw nie występuje. Powiedzieliśmy: do kompromisu potrzeba dwóch stron. Czyż druga strona była wtedy skłonna do kompromisu? Czy wśród reakcji, jaka wówczas powszechnie panowała, ta druga strona mogła być skłonna do kompromisu, dopóki wypadki jej nie zmusiły do zerwania z reakcją? Przeciwnie, z e strony rządów czyniono w tych czasach wszystko, co tylko było możebnem, a żeby w narodzie polskim nawet myśl kompromisów powstać nie mogła. Ciężstwo polityczne, dążność do wynarodowienia Polaków, absolutny brak wszelkiej swobody u narodu o tak silnem i głęboko zakorzenionem poczuciu i zamiłowaniu wolności, jak naród polski, ciężkie więzy cenzury nałożone na myśl polską w kraju, skutkiem czego schroniła się ona w znacznej części do emigracyi, ściganie polskiej mowy w szkołach (galicyjskie *Sprachzeichen*), prześladowanie już nie za spiski tylko, ale za wszelki objaw polskości, przeszkody, stawiane nawet ekonomicznemu rozwojowi polskich krajów, czyż to wszystko były czynniki i okoliczności, wśród których mogła w polskich umysłach powstać idea kompromisu?

Przeciwnie: według powszechnych doświadczeń dziejów, według zupełnie pozytywnej, bo doświadczeniem stwierdzonej psychologii narodów, takie postępowanie rządów wszędzie ten sam wywołuje skutek: niezadowolenie, opór, skrycie się ducha narodowego w spiskowe tajnie, rozpacz wreszcie i wybuchy jej gwałtowne. Tak było wszędzie, gdziekolwiek uciski takie

padły na naród żyjący i żywotny. Czy mogło być w Polsce inaczej?

Jacyż my, którym dziś tak wiele w tym kraju wolno, prawdziwie śmieszni, gdy z wysokości naszej wydajemy sąd o tem pokoleniu, które z taką straszną reakcją walkę staczać musiało, ażeby w tej walce ratować najistotniejsze bytu narodowego warunki, znajomość polskiej mowy, polskiego piśmiennictwa, polskich dziejów! Jacyż my wobec tego pokolenia niewdzięczni, skoro zamiast uznać olbrzymią jego zasługę w tem, iż takimi ciężkimi ofiarami uratowało myśl narodową i ducha polskiego i mowę polską i nam te skarby nietylko nieuszczerplone, ale przeciwnie pomnożone i spotężniałe przekazało, my na mogiły, pod któremi pokolenie to spoczęło, ciskamy straszny wyraz: *z m a r n o w a n e!*

Rządy wykluczały kompromisy, rządy swoją reakcyjną polityką stwarzały to błędne koło, z którego dla narodu w najistotniejszych znamionach swej narodowości zagrożonego, nie było legalnego wyjścia, rządy swem postępowaniem doprowadzały naród do czynów rozpacz, po których oczywiście zawsze coraz sroższa następowała represya. A potem przychodzi mędrzec, historyk i polityk, wytwarza sobie oderwaną od pozytywnych danych teorię „kompromisów“ i potępia — kogo? Nie ciemzców, lecz ciemionych; nie tych, którzy powód dali do rozpacz, ale tych, którym rozpacz odjąć mogła spokojny sąd o sile środków rozporządzalnych; nie tych, którzy żelazną stopę na żywej piersi narodu położyli, ale tę pierś nieszczęsną!

I oto w dalszym ciągu swej opowieści kreśli p. Koźmian wcale zręcznie i prawdziwie te wpływy, które w okresie od 1831 do 1856 działały na naród polski i stworzyły w nim taki nastrój psychiczny, jaki widzimy w przedstyczniowym ruchu, pomija tylko konsekwentnie jeden, a najsilniejszy z nich, wpływ rządów wynaradawiających i tyrańskich. Mówi o wychowaniu całych poko-

leń w idei niepodległości, o poezji polskiej, która zresztą — według naszego zdania — taką być musiała, jaką była, inaczej nie byłaby polską; o ówczesnem dziejopisarstwie polskiem; o legendzie napoleońskiej i jej ożywieniu się w Polsce z chwilą wstąpienia na tron Napoleona III., o „myślach napoleońskich,“ w których sprawa polska niepoślednie zajmowała miejsce. O tem wszystkim mówi, tylko nie o ówczesnym systemie rządów zaborczych w Polsce, bo gdyby był ten system skreślił szczegółowo a wiernie, inaczej byłaby musiała wypaść odpowiedź na pytanie, co wykluczało kompromisy między narodem polskim a rządami?

Takie, do programu niepodległości nastrojone, usposobienie umysłów w Polsce zastała zmiana tronu w Rosyi, śmierć Mikołaja I-go, objęcie rządów przez Aleksandra II-go (marzec 1855). Ta chwila jest dla autora punktem wyjścia do dalszej opowieści i dalszych błędnych rozumowań. Wtedy to, kiedy w Rosyi zaszła nie tylko zmiana tronu ale i systemu, nie tylko zmiana osoby na tronie, ale też zasad i kierunków, powinno było według p. Koźmiana, społeczeństwo polskie obrać ową, w pierwszym rozdziale wskazaną „pośrednią drogę“. Powinno było poświęcić ideę niepodległości dla ratowania „bytu narodowego“, wejść na drogę kompromisu i stale na niej wytrwać.

Autor czyni tu porównanie między Galicyą w roku 1860 a Królestwem w r. 1856 i twierdzi, że Królestwo powinno było wtedy przyjąć tę politykę, jaką przyjęła Galicya w znanym adresie do ministra stanu Schmerlinga z dnia 31. grudnia 1860 r.

Pomijamy już, że w adresie tym Galicya niczego się nie wyrzekła i nie wypierała ani własnem, ani całego narodu imieniem, bo do tego nie miała prawa Ale z innych też względów porównanie to jest błędne, a zastosowanie recepty galicyjskiej z r. 1860 do stosunków, w jakich się Królestwo znalazło w r. 1855 i 1856, zupełnie niemożliwe.

Po klęsce poniesionej we Włoszech w r. 1859, wchodzi Austria w swej wewnętrznej polityce na nową drogę. Uznaje, iż dalej nie można rządzić bez udziału ludów, w skład monarchii wchodzących, a tem mniej wbrew uprawnionym tych narodów dążeniom. Zaczyna więc — powoli jak zawsze — do swego systemu rządowego wprowadzać prawo w miejsce dowolności; swobody w miejsce politycznych powijaków, krepujących ludność; konstytucjonalizm w miejsce biurokratycznego absolutyzmu. Dyplom cesarski z 20. października 1860, którego twórcą był Goluchowski, stawia jako program przyszłego ustroju monarchii „takie instytucje i prawne stosunki, które odpowiadają zarówno historycznemu poczuciu prawnemu i istniejącym między naszemi królestwami i krajami różnicom, jak i wymaganiom ich niepodzielnego, ścisłego związku“. Była zatem w dyplomie październikowym zapowiedź nietylko konstytucyjnego ustroju monarchii, ale też i samorządu krajów.

Rychło jednak po wydaniu październikowego dyplomu Goluchowski upadł, a miejsce jego zajął Schmerling. Ta zmiana zapowiadała stanowczo: umiarkowanie liberalny konstytucjonalizm, ale zarazem cofnięcie się z autonomicznej polityki dyplomu październikowego na drogę centralizmu, który jest w Austrii równoznaczny z germanizacją. A że była to chwila silniej rozbudzającego się narodowego ducha w całej Polsce, że dla Galicyi niepodobieństwem było nie wstąpić na drogę polityczną, skoro stanęła otworem, przeto krokiem pierwszym na tej drodze stał się adres, na który się p. Koźmian powołuje. Powstał on jako akt opozycji przeciw schmerlingowskiemu centralizmowi, jako silny objaw narodowego poczucia praw, dążącego do uznania w nowym, już nie absolutystycznym, już nie ciemiącym systemie. Austria weszła na drogę umożliwiającą kompromis, Galicya skorzystała

z tego, w adresie stwierdziła swoje prawa narodowe i postawiła swoje żądania.

Całkowicie odmiennem, a nawet dyametralnie przeciwnem było położenie w Królestwie w chwili zmiany na tronie carskim po śmierci Mikołaja. Królestwo usiłowało wtedy pierwsze wejść na drogę kompromisu, rząd carski ten kompromis odrzucił.

Przypomnijmy znane fakty, na których twierdzenie to opieramy.

W marcu 1855 umiera car Mikołaj. Jaką zmorą ciężyły rządy jego na Polsce, poświadczają wszystkie z tych czasów źródła. Polakom zdało się, że sama śmierć tego żelaznego despoty, to możność swobodniejszego oddechu. A to tem bardziej, że następca jego używał opinii liberalnego i sprawiedliwego człowieka. Naród odetchnął i czeka.

Czeka do maja roku 1856, do przyjazdu cara do Warszawy. Przez ten czas nie padło ze strony cara ani słowo, ani lekka zapowiedź zmiany systemu, możności zatem kompromisu. Ale Polacy sami wchodzą na tę drogę, którą p. Koźmian dziś, po 38 latach za najlepszą na ową chwilę uznaje, na drogę kompromisu. Składają się na to wszystkie w Królestwie czynniki, które mogły być brane w rachubę. Przyjęcie, jakiego car w maju 1856 r. doznał w Warszawie, było takie, że trudno nam dziś wyobrazić sobie i zrozumieć, jak mogła sama tylko nadzieja, żadnym aktem urzędowym nowego cara nie zachęcona, wywołać takie zapomnienie tyloletnich krzywd, taki entuzjazm dla naczelnika państwa, które było krzywd tych sprawcą. Przyjęto cara z niekłamany, żadnymi nakazami lub zarządzeniami policji nie wywołany sztucznie zapałem.

Ludność cała, nietylko tak zwane „pospólstwo“ ale też i cała inteligencja, nieprzeliczonym tłumem zalegała ulice, któremi car przejeżdżał i wydawała entuzjastyczne okrzyki. Domy ozdobione świecąciami, bal-

kony zapełnione wystrojonemi damami. Słowem Warszawa, cała Warszawa przyjęła cara tak, że on sam z zadziwienia wyjść nie mógł i zadowoleniu swemu kilkakrotnie dał wyraz. Szlachta zjechała się z całego kraju i wydała bal, który świetnością swoją przewyższał wszystko, co Warszawa od dawna zapamiętała. Gdy car podczas balu zeszedł do sali, w której odbywała się wieczerza, wszyscy powstali, wzniesli Kielichy i okrzyk „niech żyje car“ zatrząsł ścianami sali balowej w pałacu namiestnikowskim. Car był oczarowany.

To były znamiona zewnętrzne, demonstracyjne. Pierwsza demonstracja w Warszawie po rządach Mikołaja, była demonstracją na rzecz cara. Próbowano jednak nadać temu wyraz ściśle polityczny. Jak gdyby przeczuwano receptę, jaką p. Koźmian po 38 latach Królestwu na owe czasy zapisał, ściśle się do niej zastosowano. Jak Galicya w roku 1860, tak Królestwo w roku 1856 wybrało drogę a dresu. Jezierski — ten sam Jezierski, który w roku 1830 jeździł do Petersburga dla próbowania kompromisu między carem a powstaniem, polecił publicyście, piszącemu pod pseudonimem Schedo-Ferroti, napisać memoriał o położeniu Królestwa, z żądaniami: 1) amnestyi i powrotu Sybiraków, 2) udziału obywateli w rządach przez wybieralność sędziów pokoju, 3) uniwersytetu polskiego w Warszawie. Chyba już niepodobna mniej żądać. Memoriału tego kancelarya carska nie doręczyła carowi, który jednak został o nim przez Gorczakowa zawiadomiony.

Wielopolski ułożył inny adres i chciał, na czele kilku reprezentantów szlachty, carowi go wręczyć. Adres ten miał się domagać przywrócenia stanu rzeczy z roku 1815. Ale margrabia nie chciał narażać się na publiczne głośne odrzucenie, nie mógł zresztą niespodziewanie cara adresem zaskoczyć. Zapytał więc drogą gabinetową i otrzymał odpowiedź, że car adresu nie przyjmie. Droga adresu zatem, ta sama, na którą po czterech

tach weszła Galicya, była niemożliwą z tej prostej przyczyny, że car adresu przyjąć nie chciał.

Ale nie koniec na tem. Przyjmując szlachtę, która mu dziękowała za przyjęcie balu, powiedział car ową po wieczne czasy pamiętną mowę, która była źródłem wszystkich dalszych wypadków. „Co mój ojciec zrobił, dobrem jest! Pragnę dobra Polaków, ale Polacy sami muszą mi to umożliwić. A więc żadnych marzeń panowie! — żadnych marzeń!“ A nazajutrz powtarzając to samo, dodał: „Wolę chwalić i wynagradzać, niż ganić i karać, ale kiedy będzie potrzeba, potrafię być srogim i będę srogim“ (*je sévirai*).

Było to straszliwie jasne! Nie może ulegać najmniejszej wątpliwości, jak w tej mowie cara rozumieć wyraz „marzenia“. On się odnosił nietylko do tej niepodległości, której p. Koźmian wyrzec się radzi, ażeby „być“ ratować, ale do wszelkiego samorządu. Tylko to zrozumienie jest możliwem wobec tego, że 1) słowa te były wypowiedziane po nieudanych próbach Jezierskiego i Wielopolskiego przedstawienia carowi najskromniejszych życzeń; 2) że były wypowiedziane w bezpośrednim związku, z uznaniem za dobre tego, co zrobił car Mikołaj, który zniósł samorząd Królestwa, a zostawiwszy cień tego samorządu w tak zwanym „statucie organicznym“, tego statutu nigdy w życie nie wprowadził, car Mikołaj, który oddał królestwo na łaskę czynownictwa. Marzeniem zatem uznał car zmianę i naprawę tego, co na Królestwie przez ćwierć wieku tak strasznie ciążyło — marzeniem życzenia Wielopolskiego — marzeniem sprowadzone do najskromniejszych rozmiarów prośby Jezierskiego. Poszło też za tem, że również marzeniem okazał się po kilku latach ten stosunek między carem a narodem, jaki mógł rozmarzać cara w chwili, gdy ludność Warszawy takim zapałem go przyjmowała i gdy szlachta Królestwa na sali balowej z pełnej piersi wzniosła okrzyk: niech żyje car!

Ale nie poprzestał car na samym tylko zakazie marzeń. Zapowiedział, że będzie karać, że potrafi być srogim. Co mu dało powód do tych słów? Co mu mogło podyktować wyrazy, które nawet ze względu na chwilę, kiedy je car wypowiedział, były nieprzyzwoite? Wszak zwrócone były do gospodarzy balu, na którym car był gościem, i były odpowiedzią na podziękowanie z ich strony, że car raczył przyjąć ich gościnę. Nie będziemy się spierali z p. Koźmianem, czy wyrazy *je sévirai* były „przestroga”, jak chce p. Koźmian, czy też groźbą. Zdaje nam się, że w tych zwłaszcza okolicznościach one tylko jako groźba zrozumiane być mogły. Ale mniejsza o to, te wyrazy bowiem miały tylko to znaczenie, że były niepotrzebnym drażnieniem spokojnej zupełnie ludności, wśród której wówczas ani śladu spisków lub jakiejś niepokojącej agitacji nie było. Ale wprost polityczną wagę miały wyrazy „*point des réveries*”, wypowiedziane po próbach Jezierskiego i Wielopolskiego i równocześnie z pochwaleniem antypolskiego działania cara Mikołaja. Były one bowiem stanowczem, zupełnie wyraźnem, żadnej wątpliwości nie pozostawiającem odrzuceniem kompromisu.

Porównywać zatem tę sytuację z tą, w jakiej była Galicya w chwili podania adresu z 31. grudnia 1860, to znaczy sądzić powierzchownie, tendencyjnie, wręcz przeciw oczywistemu świadectwu faktów. Mówić, że Królestwo powinno było wejść na drogę kompromisu, kiedy ono faktycznie na nią wchodziło, ale przez cara brutalnie odtraconem zostało, to znaczy jednostronnie składać zawsze całą winę na naród polski, kiedy ona spada w znakomicie wyższym stopniu na carską politykę.

Po pierwszym pobycie cara w Warszawie, Polacy pod zaborem rosyjskim przez całe trzy lata wytrwali w postawie zupełnie spokojnej, legalnej, uległej nawet. Nie zmienili jej po omówionych wyżej dwóch tak bar-

dzo drażniących i niepolitycznych przemowach cara, nie zmienili jej, gdy zaszły fakta tak bardzo oburzające, jak oknutowanie chłopów w Drenowiczach za to, że wysłali do cara prośbę o pozwolenie im, by „otwarciem“ wyznawać mogli wiarę unicką swych ojców, albo „bezlitosne oćwiczenie całej męskiej ludności“ wsi Pawłów, za zamiar powrócenia do unii, albo podobny fakt z kilku wsiami w powiecie wołkowyskim, gdzie między innymi we wsi Porowcewo trzech chłopów umarło pod różgami. (*Z. L. S. Historya dwóch lat — Tom I. str. 109 do 111*). Ci nieszczęśliwi chłopci, którzy ginęli pod knutem i różgą, także chcieli kompromisu z rządem carskim, ze swej strony jeden tylko stawiając warunek: by ich nie zmuszano do odstąpienia od wiary ojców! Ich widnokrąg nie sięgał ani do niepodległości, ani nawet do autonomii, ani do jakichkolwiek praw politycznych, im tylko szło o pozostawienie ich przy unii. Gdyby im to przyznano, byłiby z pewnością według recepty p. Koźmiana pogodzili się z rządem rozbiorowym. I za te skromne żądania spadły na nich knuty.

Naród — powiedzieliśmy — wytrwał na drodze spokojnej i legalnej. Cara przybywającego powtórnie do Warszawy przyjął znowu entuzyastycznie. Wilno w przyjęciu cara posunęło się tak daleko, że nawet *Z. L. S.* upadlającym nazywa to, co z tego powodu pisali Odyniec i towarzysze! Spisków, związków tajnych, agitacji nawet, po rok 1859 ani śladu.

A rząd? Rząd rosyjski nie uczynił ani kroku, aby z tego usposobienia Polaków skorzystać. Nie ma śladu, żeby w tym czasie próbowano jakiegokolwiek porozumienia, żeby n. p. tych, którzy chcieli polityki, dziś przez p. Koźmiana na owe czasy zalecanej, a więc Jęzierskiego lub Wielopolskiego, zapytano o potrzeby i życzenia kraju. Traktowano Królestwo zawsze jako kraj podbity, z którym rząd carski robić może co mu się podoba. Gdzież tu było pole do kompromisu?

Ustępstwa, uczynione w tej porze Polakom — były minimalne. Otwarcie akademii medyczno - chirurgicznej w Warszawie, miało zastąpić przywrócenie uniwersytetu, czego kraj cały tak gorąco pragnął. Pozwolenie na założenie Towarzystwa rolniczego! Rzecz smutna istotnie i charakteryzująca położenie kraju, że zezwolenie na taką instytucję już za koncesję uważać musiano. Amnestya wreszcie! W 35 lat po powstaniu amnestya miała już bardzo małe znaczenie, a co gorsza, wpływ uspokajający, jaki mogła wywrzeć na umysły, został sparaliżowany samą treścią aktu, nadającego amnestyę. Jest znamieniem rządu, stojącego na niskim poziomie moralnym, że nawet łaskę, którą świadczy, czyni niezdolną, że nawet, gdy chce zrobić coś dobrego, czyni to w formie oburzającej i drażniącej. W akcie amnestyi powiedziano kłamliwie, że emigracja polska podawała do rządu rosyjskiego „liczne prośby o dozwole nie powrotu do kraju z wynurzeniem żalu za chwilo we obłąkanie“, że proszący oświadcza li, iż „wielu z pomiędzy wychodźców, a szczególnie ci, którzy opuścili kraj po rokoszu 1831, wstrzymują się z podaniem podobnych prośb jedynie z niepewności o przyszły ich los w kraju“. Tej emigracji, która tak dumnie zawsze czoło nosiła, która się wyznawała wierną reprezentantką obrażonej godności i podeptanych praw narodu, podawać amnestyę w takiej formie, obrażającej jej zasady, jej uczucia, jej godność, do łaski dodawać kłamstwo, szyderstwo i zniewagę, było krokiem w najwyższym stopniu niepolitycznym. Tak podana amnestya, zamiast stać się aktem gojącym rany, łagodzącym umysły, rozjaśniającym sytuację, przeciwnie, wywołała głośne protesty, oburzyła, rozdrażniła. Kto chce kompromisu, inne zaprawdę znajdzie tony w swych publicznych aktach i oświadczeniach.

A jednak, naród trwał dalej w postawie spokojnej i legalnej, aż przyszły wielkie wypadki europejskie, które nie mogły pozostać bez wpływu na umysły w Pol-

sce. Wojna włoska była pierwszym zwycięskim krokiem Napoleona III. na drodze polityki narodowościowej, pierwszym aktem urzeczywistnienia „myśli napoleońskich“, w których obok włoskiej, wyraźnie stała kwestya polska. Wrażenie tych wypadków było elektryzujące. Ożyła znowu w Polsce potężnie legenda napoleońska. Idea swobód narodowych zdawała się rozporządzać siłą najpotężniejszego wówczas w Europie mocarstwa. Przypomniano sobie w Polsce, że w czasie kongresu paryskiego mówiono o Polsce, że cesarz Napoleon stawiał wobec zwyciężonej w Krymie Rosyi pewne żądania co do losu Polaków, że uzyskał pewne przyrzeczenia. Nie na samą zresztą Polskę wypadki włoskie podziały elektryzująco, toż samo widzimy wówczas wszędzie, gdziekolwiek narodowość przez obce rządy była uciśniona.

Mimo to jednak, w latach 1859 i 1860 jeszcze była możność skierowania ruchu polskiego na tory spokojne, nierewolucyjne. Związków, spisków, w całym znaczeniu tego wyrazu, jeszcze nie było. Były rozmaite kółka, przeważnie młodzieży akademickiej, ograniczające się jednak do spraw takich, które w każdym niepolitycznym i niedespotycznym państwie byłyby uznane za zupełnie legalne. Autor „Historji dwóch lat“, już te ówczesne kółka „rewolucyjnymi“ nazywa. A na poparcie tego nie może przytoczyć nic innego nad to, że we Lwowie i Krakowie młodzież podpisywała wówczas adres z prośbą o język polski na uniwersytetach, a w Warszawie „smarkacze“ zmuszali kupców i rzemieślników do umieszczania na swych sklepach szyldów tylko w polskim języku! Ci „rewolucyoniści“, którzy takie tylko mieli pragnienia, albo ci, którzy zostawali pod wpływem Narcyzy Żmichowskiej i wraz z nią uznawali, że nie pora w Polsce na spiski i powstanie, nie byli chyba niebezpiecznymi ani dla Rosyi, ani dla polskich polityków „kompromisowych“. Tymczasem Rosya ze zwykłą sobie dumą o kompromisie nie myślała, bo wy-

obrażała sobie, że z Polakami porozumiewać się nie potrzebuje, skoro ma władzę i siłę, a polscy politycy kompromisowi wówczas, gdy naród jeszcze wcale nie był zrewolucjonizowany, nie uczynili ani kroku na drodze uzyskania czegoś dla kraju. Margrabia Wielopolski zajęty był wtedy wyłącznie procesem o zapis Świdzińskich, kładąc przez to podwaliny do swojej kolosalnej niepopularności w kraju, zamiast w Warszawie i w Petersburgu torować drogę swojej polityce. Tę politykę kompromisu nieszczerze przyjął rząd rosyjski, a wykonania jej szczerze podjął się margrabia wtedy dopiero, kiedy, jeżeli może niezupełnie niemożliwą była, to przynajmniej olbrzymimi najeżoną trudnościami, bo już wtedy między rządem rosyjskim a narodem, o prawa swoje się upominającym, stanęła zaporą krew przelana na ulicach Warszawy, a wszelkie ze strony rządu poczynione ustępstwa były wymuszone przez ruch i demonstracye.

Reformy autonomiczne, gdyby były dane krajowi w czasie między 1856 a 1861, byłyby musiały podziałać uspakajająco, wywołać chęć wyzyskania ich dla wzmocnienia sił narodu i dla zagojenia ran, zadanych przez rządy mikołajowskie; dane zaś po krwawych wypadkach z lutego i kwietnia 1861 były tylko zachętą dla ruchu, który mógł o sobie powiedzieć, iż on te reformy zdobył i na rządzie wymusił.

Nie będziemy opisywali tych znanych, a tak wyjątkowych w dziejach wypadków, w których bezbronny tłum samem nastawieniem piersi na strzały obcych żołnierzy zdobywa dla kraju prawa polityczne, niedawno jeszcze przez cara „marzeniem“ nazwane. Ani nie będziemy iść śladem opowieści p. Koźmiana, która przez cały tom drugi wlecze się dość leniwo i nieporządnie wśród częstego powtarzania się i przeskakiwania z przedmiotu na przedmiot. Podniesiemy tylko te chwile najważniejsze, które ówczesnemu ruchowi narodowemu

z pewną fatalną koniecznością nadawały kierunek rewolucyjny.

Taką pierwszą chwilą były wypadki 25. i 27. lutego, demonstracya w rocznicę grochowskiej bitwy, strzały dane do ludu bez rozkazu z zamku, a tylko z animuszu generała Zabłockiego. Była to chwila, w której wszystko złożyło się na to, ażeby ci, którzy urządzili manifestacyę, uczuli się zwycięzcami. Przestрах Gorczakowa wobec krwi przelanej, zsolidaryzowanie się całego społeczeństwa w proteście przeciw aktowi gwałtu i w żałobie, wspomniały pogrzeb pięciu ofiar, ustąpienie policji z ulic i wzorowe utrzymanie porządku przez straż obywatelską, ulegalizowanie przez namiestnika owej „delegacyi“ w resursie wybranej, która stała się do pewnego stopnia rządem obok rządu, to wszystko zapowiadało, iż albo trzeba bezzwłocznie ruch uśmierzyć przez nadanie rzeczywistych reform, któreby mogły opinię uspokoić, albo ruch ten musi pójść na drogę rewolucyjną. Czuli więc wszyscy, iż trzeba się chwycić środka, który w roku 1856 został przez cara odrzucony, to jest adresu, przedstawiającego rządowi życzenia i potrzeby kraju. Spokojnie dziś sądząc, przyznać musimy, że w walce o treść adresu, słuszność była po stronie margr. Wielopolskiego, który chciał w adresie wyrazić życzenia jasno określone, a nie tych, którzy zwyciężyli ze swoim projektem adresu, obracającego się tylko w ogólnikach.

Namiestnik Gorczakow wysyła adres, a rychło potem wysyła do Petersburga radcę stanu Karnickiego z projektem reform, ułożonym przez Wielopolskiego. I staje się rzecz nieprzewidywana, niespodziewana, rząd zgadza się na reformy obejmujące: uniwersytet polski w Warszawie pod nazwą „Szkoły głównej“, Radę stanu, Rady gubernialne z wyboru pochodzące, Rady municypalne również z wyboru w Warszawie i innych znaczniejszych miastach i komisję wyznań

i oświecenia, której dyrektorem prezydującym mianowany Wielopolski.

Z tą chwilą rozpoczyna się prawdziwie tragiczna rola historyczna margrabi Wielopolskiego. Chciał służyć Rosyi i Polsce, Polska go odepchnęła, Rosya po dwóch latach odrzuciła, jak nieużyteczne narzędzie. Chciał pogodzić Rosyę z Polską, a tylko głębszą między nimi przepaść wykopał. Chciał być w swem postępowaniu zupełnie legalnym, skończył na najnielegalniejszym środku branki, którą sam nazwał proskrypcją. Przyszedł do władzy z programem samorządu kraju, a patrzeć musiał na to, jak nietylko ten przez niego wymarzony samorząd, ale nawet owe szczątki odrębności Królestwa, jakie przed nim istniały, zwycięski carat brutalną ręką niweczył. Rosya spodziewała się po nim — jak słusznie zauważył p. Koźmian — że uspokoi ruch, bo do złamania ruchu przemocą carat nie potrzebował Wielopolskiego, a on w rezultacie doprowadził do krwawej, półtora roku trwającej walki. Zawiódł więc nadzieje Rosyi, nie ziścił w Polsce nawet tych nadziei, jakie w nim mała garstka zwolenników jego pokładała.

Dla czego?

Przyczyny tej zarówno p. Koźmian, jak i panegirzysta Wielopolskiego p. Lisicki, jak i *Z. L. S.*, szukają zawsze poza margrabią, poza jego usposobieniem i postępowaniem i dochodzą ostatecznie do wniosku, że wszyscy byli winni prócz jednego Wielopolskiego. On jeden miał rozum za całą Polskę, on jeden miał sekret zbawienia, on jeden jasno widział, gdy wszyscy inni to albo „katy i mordercy własnej Ojczyzny“ (*Z. L. S.*) a „szaleńcy“ według p. Koźmiana, albo rozsądni i uczciwi, którzy w tym wypadku „pomylili się“.

P. Koźmian tak daleko posuwa się w tym kierunku, że na str. 168 (Tom II.) pisze o postępowaniu Wielopolskiego:

„O ile niezrównanie postępował w Petersburgu i szczęśliwie, o tyle w Warszawie niezręcznie i nie-

szczęśliwie, tak dalece, iż przychodzi się do wniosku, że różnica pochodziła nie odczłowieka, ale od politycznego wykształcenia dwóch społeczeństw“.

To już jest prawdziwie potworne! Więc ażeby powodzenie Wielopolskiego w Petersburgu a niepowodzenie w Warszawie, jego tam szczęśliwą, a tu nieszczęśliwą rękę wytłómaczyć bez uszczerbku dla jego wielkości, p. Koźmian wydaje sąd, iż społeczeństwo rosyjskie jest politycznie wyżej wykształcone od polskiego, iż Moskale są mądrzy, więc zrozumieli „wielkiego“ męża stanu, a Polacy głupi, pojąc go nie chcieli! Zapomina p. Koźmian, że margrabia w Petersburgu miał do czynienia nie ze społeczeństwem rosyjskiem, ale z carem i kilkoma ministrami, że zatem wyprowadzenie stąd wniosku o politycznym wykształceniu społeczeństwa rosyjskiego, jest jednym więcej przykładem płytkości rozumowań i lekkomyślności wydawanych orzeczeń, jakich w książce tej pełno. A rzecz dziwna, że wszystkie tak wydawane sądy p. Koźmiana, wychodzą — jak w tym także wypadku — na szkodę i krzywdę społeczeństwa polskiego. Nie społeczeństwo rosyjskie, ale car i rząd jego przyjął program Wielopolskiego — czy szczerze, to inne pytanie — a przyjął go nie z powodu jakiejś wyższości swego politycznego wykształcenia, ale pod naciskiem rad i próśb Napoleona III., który parł Rosyę do ustępstw dla Polski, a głównie pod naciskiem wypadków warszawskich, które w Petersburgu nie mniejsze jak w całym świecie wywarły wrażenie.

Owóż wbrew zdaniu pp. Koźmiana, Lisickiego i Z. L. S. twierdzimy, że między przyczynami niepowodzenia polityki Wielopolskiego w Polsce, między powodami, dla których wypadki rozwinęły się aż do krwawej katastrofy, osobistość margrabiego, jego osobiste wady, błędy przez niego popełnione, pierwszorzędną odgrywają rolę.

Niepopularność, którą Wielopolski wniósł ze sobą do rządu, on ją sam jak gdyby umyślnie wytworzył, sam był jej sprawcą, a co więcej, będąc u rządu, czynił wszystko, ażeby ją utrzymać a nawet zwiększyć, nie uczynił nic, żeby ją usunąć.

Sam był jej sprawcą, przedewszystkiem znanem swem pismem „List szlachcica polskiego do ks. Metternicha“, pismem, w którym bez żadnych nawet warunków i zastrzeżeń rzuca Polskę w objęcia Rosyi i oddaje ją na usługę panslawistycznej, zaborczej polityki caratu. Tego kierunku kraj przyjąć nie mógł, pomimo całego rozgoryczenia do Austrii za rok 1846. Drugim powodem tej wielkiej niepopularności Wielopolskiego była znana sprawa o bibliotekę Świdzińskich, w której, śmiało rzecz można, kraj cały bez różnicy opinii stanął przeciw margrabiemu, działającemu tutaj wbrew woli swego przyjaciela i spadkodawcy, wbrew interesowi kraju. Do tych dwóch faktów przyłączyła się jego nieskończona duma, jaskrawo występująca przy każdej sposobności. P. Koźmian tę dumę charakteryzuje jako „uprawnione, choć niebezpieczne przeświadczenie swej wyższości nad własnem społeczeństwem, niezręczność okazywania go umyślnie czy bezwiednie“. Naszem zdaniem takie przeświadczenie o swej wyższości nad całym własnem społeczeństwem nie jest nigdy uprawnionem, a zawsze szkodliwem. Kierować społeczeństwem a zwłaszcza polskiem, nie potrafi ten, komu pycha „serce z pod żeber wykradła“. Wielopolski miał powiedzieć — co i p. Koźmian przytacza — „że dla Polaków można czasem coś dobrego zrobić — z Polakami nigdy“. Kto taką wzgardę dla narodu objawia i kto tak tego narodu nie zna, że w sądzie o nim do takiej wzgardy posunąć się może, ten narodem tym rządzić nie potrafi.

A jednak, niepopularność nawet tak wielką, jaką się „szczyił“ (dosłownie: szczyił!) Wielopolski, można, dostawszy się do rządu, czynami usunąć. Bardzo

wielką niepopularność wniósł ze sobą Gołuchowski do lwowskiego pałacu namiestnikowskiego. I on był dumny i szorstki nieraz. Wszelkie początkowe na rzecz jego manifestacje były sztucznie wywoływane i raczej wyrozumowane, niż naprawdę przez społeczeństwo odczute. A jednak po pewnym czasie usposobienie to zmieniło się radykalnie, kiedy społeczeństwo ujrzało czyny i kiedy sam Gołuchowski, mimo całej swej dumy, nie kierował się ową teorią Wielopolskiego, że z Polakami nic dla nich dobrego zrobić nie można.

Margrabia Wielopolski przeciwnie. W pełnym py-szałkostwa przeświadczeniu o swojej nad całym społeczeństwem wyższości, wszystkich odtrącał, drażnił, wszystkimi pomiatał. Nie uczynił nic, ażeby przynajmniej złagodzić niechęć, jaką w całym kraju sprawą Świdzińskich przeciw sobie obudził, aby pozyskać zaufanie. Wskazaniem tu było przedewszystkiem porozumienie się z ludźmi kierunku konserwatywnego, ci zaś skupieni byli w Towarzystwie rolniczym pod przewodnictwem Andrzeja Zamoyskiego. Wobec wielkiej popularności „pana Andrzeja“ i znaczenia, jakie miało w kraju Towarzystwo rolnicze, jasną było rzeczą, że kto chce ruch uśmierzyć i na legalne tory wprowadzić, musi tę siłę konserwatywną mieć po swojej stronie. Margrabia przeciwnie, zaraz po wejściu do rządu popełnia czyn, który musiał całą tę siłę przeciw niemu szeregować.

Po zamianowaniu dyrektorem komisji oświecenia, przybył margrabia do Warszawy 24. marca 1861, w samą kwietnią niedzielę, objął urzędowanie 27. w wielką środę. W dzień Wielkiejnocy, 31. marca, czyni margrabia krok pierwszy do porozumienia i przybywa na święcone do Andrzeja Zamoyskiego, a w następną zaraz sobotę, więc s z ó s t e g o d n i a po zgodzie, ogłasza dekret, rozwiązujący Towarzystwo rolnicze.

Posłuchajmy, jak to opisuje p. Koźmian :

„Wielopolski przybył do Zamoyskiego na święcone. Po chwili Zamoyski, Wielopolski i kilku członków ko-

mitetu idą do osobnego pokoju. Następuje dłuższa narada, rozmowa o wspólnej pracy i działaniu. Wielopolski wzywa do niej, podaje do niej rękę. Zamoyski okazuje zadowolenie“.

„Nastąpiło rozwiązanie Towarzystwa rolniczego. Odtąd zapanował otwarty antagonizm; głuchy istniał od początku. Wielopolski ani słowem nie dał być do zrozumienia podczas święconego, że rozwiązanie jest postanowione. Zamoyski poczytało to za zdradę“.
(Tom II. str. 159).

A czemże to innem było, jeżeli nie zdrada, popełnioną przeciw osobom, z którymi margrabia porozumiewał się podczas owego święconego? Treści owej rozmowy i narady nie znamy. Ale p. Koźmian stwierdza, że Wielopolski podawał rękę do wspólnej pracy, a Zamoyski okazywał zadowolenie. Więc oczywiście jakieś, jeżeli nie porozumienie, to przynajmniej zbliżenie nastąpiło, a tymczasem w tej chwili, kiedy margrabia prezesowi Towarzystwa rolniczego i komitetowi rękę podaje do zgody, już jest u niego postanowione rozwiązanie tego Towarzystwa, które było ukochanem dzieckiem Zamoyskiego, w którym on widział tak dzielny środek podźwignięcia kraju i rzetelnej dla kraju pracy. I margrabia „ani słowem nie daje do zrozumienia“, że ten zamach na Towarzystwo ma nastąpić! Pytamy, czy można tak postępować z ludźmi, z którymi się chce porozumienia i zgody? Czy takie postępowanie może obudzić zaufanie? I czy nie miał Zamoyski racji, gdy to potem zdradą nazywał? A nie można twierdzić, że margrabia idąc na owe święcone, nie myślał jeszcze o bliskim rozwiązaniu. Wszystkie źródła stwierdzają, a p. Koźmian za nimi powtarza, że Wielopolski, podczas rokowań o wejście do rządu, rozwiązanie Towarzystwa postawił jako warunek. Gorczałow o warunku tym mówi: „nie mówmy o tem teraz“ — bo się obawiał następstw. Ale margra-

bia nalegał. Zaraz po święconem u Zamoyskiego przystąpił do wykonania swego zamiaru.

„Margrabia zredagował dekret, znoszący Towarzystwo rolnicze, nie na posiedzeniu całej rady administracyjnej, jak chciało prawo, ale sam, i gotowy już protokół, pojedynczo zwoływani do Zamku członkowie Rady, podpisywać musieli; przekonał się jednak zaraz, jak w samym rządzie niektóre osoby są temu przeciwnie. Gorczakow wahał się z położeniem swego podpisu na odnośnej uchwale Rady administracyjnej; jak gdyby w przeczuciu widział przed oczyma swej duszy nowe zaburzenia, może nową krew, która miała zatrucić mu ostatki jego życia. Drzewiecki, dyrektor komisji oświecenia, wprost i stanowczo odmówił swego podpisu, raz dlatego, że dekret nie był legalnie sporządzony, a potem, że nie chciał przyjmować solidarności z aktem, który uważał za zły i zgubny dla kraju“. (Historia dwóch lat, przez Z. L. S., tom II., str. 303 i 304). To też bezzwłocznie dostał dymisyę z urzędu dyrektora *).

Ale gdybyśmy nawet pominęli te okoliczności, które towarzyszyły rozwiązaniu, ową rozmowę na święconem, po której Zamoyski musiał rozwiązanie uznać za zdradę, owo nieprawidłowe postępowanie na Radzie administracyjnej i przełamywanie słusznego oporu członków Rady, sam fakt rozwiązania Towarzystwa był wielkim błędem politycznym. Przypominamy, że zezwolenie na zawiązanie Towarzystwa było jednym z pierwszych ustępstw rządu dla kraju za nowego panowania, a cofnięcie tego ustępstwa uczynił Wielopolski jednym

*) Zredagowanie dekretu musiało nastąpić zaraz po święconem u Zamoyskiego, a oddawanie go do podpisu członkom Rady administracyjnej najpóźniej 3. kwietnia, skoro, jak twierdzi Z. L. S. 4. kwietnia Gorczakow telegrafuje do cara z żądaniem dymisyi dla Drzewieckiego, 5. następuje dymisyja, a 6. ogłoszono rozwiązanie Towarzystwa rolniczego.

z pierwszych aktów swego rządu! Przypominamy, że Towarzystwo liczyło przeszło 2.000 członków, a śmiało rzec można cały kwiat inteligencji, że było bardzo popularnem w kraju, że prezesem miało Andrzeja Zamoyckiego i od wojny z tą siłą rozpoczyna margrabia swoją polityczną akcyę!

W ręce Towarzystwa rolniczego złożoną była sprawa włościańska, która wtedy w umysłach polskich pierwsze zajmowała miejsce, była przedmiotem troski całego społeczeństwa. Rozwiązując Towarzystwo, nie dając równocześnie krajowi żadnego reprezentacyjnego ciała (bo przecież Rady stanu takim ciałem uznać nie można), margrabia postąpił znowu według swojej maksymy, iż „z Polakami“ nic dla nich dobrego zrobić nie można. Skoro zaś rozwiązanie kwestyi włościańskiej było przez cały kraj odczuta i zrozumiana najistotniejszą potrzebą społeczną danej chwili, to odejmując krajowi możność zajmowania się tą sprawą za pomocą legalnego organu, margrabia dał tylko silniejszą podniebę tym, którzy tę kwestyę innemi drogami rozwiązana mieć chcieli.

Dla p. Koźmiana jednak rozwiązanie Towarzystwa było „czynem politycznego rozumu“, a to z powodu, że Towarzystwo „popęłniło błąd główny, odrzucając w komitecie adres Wielopolskiego, wniesiony przez Tomasza Potockiego, przyjmując redakcyę Stawiskiego. Tym sposobem bowiem gwoli ruchu i w duchu spisku, zamiast stanąć na gruncie określonego przez rząd kompromisu, przyjęło ogólnikowy program, w którym mieściło się to wszystko, co do zerwania z rządem doprowadzić musiało. Stąd przyczyna dalszych błędów *białych*; stąd konieczność dla *komitetu i Towarzystwa* pójścia z ruchem i na rzecz spisku. Przewstawało być władzą moralną kraju, bo w usługach rewolucyi moralnej pracowałyby odtąd dla celów spisku“.

Całe to rozumowanie jest bardzo naciągane. Że adres, określający jasno życzenia kraju, był lepszym od

mglistego i niejasnego, to niewątpliwe, ale z tego bynajmniej nie wynika, żeby adres Stawiskiego był zdolnym pewniej do zerwania z rządem doprowadzić, niż projekt Wielopolskiego. Wszak w projekcie tym powiedziano, „że jedyną spójnią między monarchą a narodem jest konstytucya z roku 1815“, a dalej następuje dowód, że ta konstytucya dotąd legalnie zniesioną nie jest. A wszakże, jeżeli co musiało być w Petersburgu w ogóle i przez cara samego źle przyjętem i wywołać jakąś odpowiedź, któraby była tylko sytuację bardziej zaostrzyła, to owo twierdzenie, iż konstytucya roku 1815 jest jedyną spójnią między carem a narodem, twierdzenie, z którego przecież z nieprzepartą logiką wypływa, że przez zerwanie tej spójni, przez faktyczne zniesienie konstytucyi, car i carat utracił prawo do Królestwa. Że adres Stawiskiego nie stał się przeszkodą do kompromisowej polityki Wielopolskiego, dowodzi fakt, iż pomimo adresu zdecydowano się w Petersburgu na ustępstwa. Czy adres Wielopolskiego nie byłby temu przeszkodził, tego nie wiemy, chociaż wątpliwość pod tym względem jest w myśl powyższej naszej uwagi dopuszczalna.

Nie można też zrozumieć, zapomocą jakiej logiki twierdzić może p. Koźmian, że Towarzystwo rolnicze, gdyby przyjęło projekt adresu Wielopolskiego, byłoby stanęło „na gruncie określonego przez rząd kompromisu?“ Wszak wtedy, gdy się traktowała sprawa adresu, Wielopolski nie był jeszcze w rządzie, nie mógł działać w imieniu rządu ani żadnej dawać rękojmi, że żądania, w jego adresie zawarte, będą przez rząd przyjęte.

Z różnicy tych dwóch adresów wyprowadza p. Koźmian wniosek, że Towarzystwo „pracowałoby od-tąd dla celów spisku“. A cóż się stało po rozwiązaniu i w skutek rozwiązania? Oto właśnie to, czego przez rozwiązanie miano uniknąć, to jest, że Towarzystwo pracowało faktycznie na rzecz spisku. Jedni

z Towarzystwa po rozwiązaniu przystąpili wprost do ruchu, większość utworzyła tak zwaną „organizację białych“, która była dla polityki margrabiego o wiele więcej szkodliwa, niż jawnie istniejące Towarzystwo.

Skutkiem zatem tego „czynu politycznego rozumu“ jakim według p. Koźmiana było rozwiązanie Towarzystwa rolniczego, było to, iż obok poczynającej się wówczas na większą skalę organizacji czerwonych, powstała druga tajna organizacja białych. W ten sposób konserwatywna część społeczeństwa, z którą przedewszystkiem szukać należało kompromisu, popchniętą została przez margrabiego na drogę tajnego działania, co stało się bardzo silną podniętą ruchu. Dalszym skutkiem rozwiązania było, iż dało ono powód do wielkiej manifestacji 8. kwietnia i do owej pamiętnej rzezi na ulicach Warszawy, wobec której błedną wypadki 27. lutego. Że margrabia nie przewidział, iż z powodu rozwiązania Towarzystwa krew popłynie, można zrozumieć. Ale jeżeli nie przewidział, że rozwiązaniem tem przyczyni się do zrewolucjonizowania kraju więcej, niż wszystkie dotychczasowe starania czerwonych uczynić to mogły; jeżeli nie wiedział, że dekret ten podpisując, kopie przepaść między sobą a partją „białych“, bez której już tylko bagnetem można było w kraju rządzić; jeżeli nie rozumiał, że od czasu lutowych wypadków najstaranniej unikać trzeba, wszystkiego, co rozdrażnienie spotęgować może, to zaprawdę nie świetnie to świadczy o jego politycznym rozumie. Wszak przewidywanie następstw jest pierwszą znamienną cechą prawdziwego męża stanu. Jeżeli wyobrażał sobie, że ludzie wogóle, a już szczególnie w Polsce, pozwolą z sobą tak postępować, jak on postąpił z Zamoyskim, gdy na owem święconem mówił o porozumieniu, a zaraz potem rozwiązał Towarzystwo; jeżeli sądził, że do wprowadzenia kraju i rządu na drogę kompromisu, wystarcza mu wątpliwe zresztą zaufanie rządu, a bez zaufania kraju obejść się może, to dowodzi, że rządzić nie umiał

i politykiem nie był. Bo nie rządzi się i nie prowadzi się polityki pisaniem dekretów, ale ludźmi i przez ludzi. A kto stoi zupełnie odosobniony, kto się w tem odosobnieniu lubuje, kto zaufania budzić nie umie i nie chce, ten tylko siłą rządzić potrafi, póki mu się ta siła w rękę nie skruszy.

Rozwiązanie Towarzystwa zostało potępione jednomyślnie przez całą opinię kraju. „Ludzie najspokojniejsi, najchłodniejsi, unosili się, nawet przyjaciele serdeczni i wielbiele margrabiego z pewnem oburzeniem wewnętrznem i bólem patrzyli na ten krok jego, którego pojąć ani wytłómaczyć sobie nie mogli, nie przypuszczali bowiem, by Wielopolski był zdolny swe urazy prywatne mścić publicznie i ze szkodą interesów najdroższych kraju“. (Hist. dw. I. T. II. str. 308). Jeżeli zaś kto całą opinię kraju uważa — jak p. Koźmian — za zbałamuconą, to już chyba zbałamuconym nie był najwierniejszy margrabiego przyjaciel i wielbiciel, który nim pozostał do końca, A. Z. Helzel, a który jednak pisał, że „polityki rozwiązania Towarzystwa rolniczego zrozumieć nie mogliśmy“, i który „stracił wiarę nie w dobre chęci Wielopolskiego, ale w zdolność praktycznego zastosowania głębokiej, teoretycznej znajomości sztuki rządzenia“.

Rozwiązaniem Towarzystwa rolniczego oburzył margrabia na siebie cały kraj a przede wszystkim szlachtę, przemową do duchowieństwa (2. kwietnia) oburzył całe duchowieństwo. „Jestem członkiem rządu najj. pana; nigdzie, o ile to we mnie będzie, a tem bardziej w moim zakresie, rządów żadnych w rządzenie nie uznaję. Z pod ustaw postanowionych nikomu samowolnie wyłamywać się nie dam“. Ta groźba zupełnie niepotrzebna, niczem nie prowokowana, ten ton wobec biskupa co najmniej bardzo niewłaściwy, tem bardziej oburzyły, że w dwa dni później, przyjmując żydowską zwierzchność wyznaniową, miał dla niej margrabia same tylko miodowe słowa.

Posypały się protesty ze strony duchownych, które oczywiście znowu oddziaływały na opinię kraju w sposób dla margrabiego najgorszy.

Nastąpiły wypadki 8. kwietnia. Krew zboczyła ulice Warszawy. Już nie 5 ofiar jak 27. lutego, ale według jednych 84 według innych 200 padło pod strzałami żołnierzy moskiewskich.

Od tej chwili wypadki zaczynają się stanowczo przechylać na stronę ruchu. Wielopolski został zupełnie odosobniony. Stronnictwo „białych“ przeprowadza formalną w kraju organizację, na której czele staje „dyrekcyja“. Stronnictwo ruchu dotąd w rozlicznych kółkach rozstrzelone, zaczyna się coraz bardziej skupiać w sobie, systematycznie organizować, dąży do wytworzenia tajnej władzy, która w końcu jako „komitet centralny“ a następnie jako „Rząd Narodowy“ obejmuje rzeczywiste rządy kraju obok władz obcych. Oba więc kierunki, umiarkowany i skrajny, stoją zorganizowane, margrabia tylko stoi sam, bez stronnictwa, oparty jedynie o władzę rządową, o siłę bagnietów, zboczonych świeżo krwią bezbronnych. Wszystko w kraju przeciw niemu się zwraca, tak, że właściwie stał z jednej strony odosobniony margrabia, z drugiej kraj cały. *Czas*, który wtedy w niezwykle wielkiej liczbie egzemplarzy do Królestwa się dostawał, najgorętszą przeciw margrabiemu prowadził opozycję, systematycznie stanowisko jego podkopując. Nic może tak jaskrawo nie charakteryzuje stopnia tej powszechnej przeciw margrabiemu niechęci, jak listy Andrzeja Koźmiana (ojca autora książki, o której mowa), który był jednym z filarów paryskiego hotelu Lambert, a więc tej emigracji, którą autor nazywa „rozsadną“, w przeciwstawieniu do „szalonej“. Oto kiedy w czerwcu 1861 umarł wielki włoski mąż stanu, Camillo Cavour, A. Koźmian ubolewa nad tem, że Włochy taką stratę ponieśli i że Polska ma jeszcze swego margrabiego Wielopolskiego! Jeżeli tak się zapatrywali

i wyrażali „rozsądni“, to skądże i za co takie zawsze gromy i potępienia na „szalonych?“.

To zachowanie się konserwatystów polskich wobec margrabiego i ta ich przeciw niemu systematyczna opozycja jest jednym z najciekawszych zjawisk tego okresu przedpowstańczego. Wszak ci konserwatyści, którzy w kraju chcieli „organicznej pracy“, musieli w konsekwencji chcieć dla kraju spokoju, nie mogli też nie rozumieć tego, że ta spokojna praca musi się oprzeć o przyznane przez rząd koncesyje, które szersze do niej otwierały pole. Z tego zaś konsekwentnie wpływała polityka korzystania z reform Wielopolskiego, wejścia w jego system, wspólnej z nim pracy. Również i ci, którzy z Paryża chcieli prowadzić politykę oparcia się o obcą pomoc, a wiedzieli wówczas bardzo dobrze, że chwila, w której Napoleon III. stara się o sojusz z Rosją, nie jest taka, w którejby się tej obcej pomocy spodziewać można, powinni byli na razie na tej samej znaleźć się drodze

Jeżeli tedy jedni i drudzy, którzy w gronie swem mieli ludzi bardzo światłych, rozumnych, wytrawnych, weszli na drogę, która stanowczo nie była zgodną z ich konserwatywnymi przekonaniem; jeżeli w wysokim stopniu przyczyniali się do podniecenia ruchu, którego ostatecznej konsekwencji tak bardzo się dla kraju obawiali; jeżeli tak stanowczo i z taką prawie namiętną niechęcią odtrącali człowieka, który przedstawiał punkt oparcia dla ich konserwatywnych przekonań, to czemuż to zjawisko przypisać? Byłóż w nich tak mało patriotyzmu, że świadomie przykładali rękę do tego, co zgubnem dla kraju uznawali? Tak mało rozumu politycznego, że nie przewidywali następstw swego postępowania? Tak mało charakteru politycznego, że dla popularności nie umieli stawić czoła ruchowi? Te smutne pytania same się nasuwają i nic łatwiejszego, jak dzisiaj, po faktach, wydać wyrok potępienia, który o wiele więcej byłby usprawiedliwionym wobec tych, którzy działali

niewątpliwie niekonsekwentnie, niż wobec stronnictwa ruchu, które działało według swoich przekonań.

A jednak wyroku takiego wydawać się nie powinno. Wyjątkowych chwil w dziejach i ludzi działających w takich chwilach, nie można mierzyć tą samą miarą, jaką się przykłada do ludzi i wydarzeń w czasach normalnego, spokojnego toku wypadków. Rewolucyi nie robi kilku ludzi, którzy się na to zmówili, rewolucye wywołuje psychiczny nastrój narodu. A od chwili wypadków włoskich ten psychiczny nastrój w narodzie polskim był tak wyjątkowy, a tak zrozumiały, że daremnyby dziś było poszukiwanie „winowajców“ i takie rozdzielanie „winy“, jakiego się p. Koźmian podejmuje. Naród pod wpływem tych okoliczności zewnętrznych, o których mówiliśmy poprzednio, domagać się począł swych praw. Widzi gdzieindziej świetne zwycięstwo idei narodowości, widzi w całej Europie, nawet w konserwatywnej Austrii, zwrot ku swobodom politycznym i uznaniu praw narodowych. Pierś jego rozpięta pragnieniem swobody. Warszawa, to serce kraju, objawia, manifestuje to pragnienie swobody. Lud bez broni występuje na ulice; pieśnią narodową i religijną woła o te prawa, które mu odjęto. Padają strzały, krew bezbronnych popłynęła. Duch stolicy, a za nim duch całego kraju podnosi się do pojęcia ofiary, którą zdobywa się prawa... I wypadki zdają się przyznawać mu słusność. Władza despotyczna, sile swej zawsze ufająca, cofa się, chwilowo ustępuje zupełnie z ulicy. Mija miesiąc za ledwie, a carat skłania się do ustępstw. Niestety, ustępstwa te, które przed paru laty jeszcze byłyby na razie wystarczły, teraz, dla podniesionego ducha w narodzie są za małe. Niestety, wykonanie ich złożono w ręce człowieka, który — słusznie czy niesłusznie — znienawidzony był w narodzie. Niestety, człowiek ten zamiast koić, drażni i jątrzy, niweczy stworzoną przed kilku laty prawdziwie narodową instytucję. I oto zaledwie dziesięć dni minęło od wejścia do rządu margra-

biego, lud podrażniony znowu z pieśnią na ustach wychodzi na ulice miasta i znowu krew się leje, ale już nie małą strugą. Jak przed dwoma miesiącami. „W krwawem starciu przywrócony porządek“ — powiada margrabia do przedstawiających mu się urzędników sądowych. Ale ta krew stanęła między narodem a rządem — a tego rządu reprezentantem był margrabia.

Te zaś fakta zestawwszy, można ubolewać, że po tem krwawem starciu nie nastąpiło uspokojenie, ale niје można nikogo w Polsce potępiać za to, że się nie zsolidaryzował z rządem i z systemem, który się zbroczył krwią bezbronnych. Bo stworzona została sytuacja, w której uczucie naturalnie bierze górę nad chłodną rozważą. I nie trzeba na to było specjalnych polskich „wad i grzechów“, tak samo byłoby się stało u każdego żywego narodu. Temu ulegli także i konserwatyści polscy. Stali się niekonsekwentnymi jako politycy, bo im uczucie polskie nie pozwalało przystąpić do rządu, który za całą sztukę rządzenia miał brutalną siłę i który z niej tak krwawy zrobił użytek.

Tem się też tłómaczą różne inne z owych czasów objawy, które dla p. Koźmiana (a niemniej i dla *Z. L. S.*) są niepojęte, dlatego właśnie, że nie biorą oni dostatecznie w rachubę czynników psychicznych. Dziwi się p. Koźmian w kilku miejscach swej książki, dziwią się pisarze, duchem mu pokrewni, czem się to stać mogło, że „spisek“ ogarnął tak szerokie warstwy społeczeństwa, że wszyscy byli mu posłuszni, że cała rządowa organizacja policyjna i żandarmaska okazała się bezsilną, bo „spisek“ o wszystkim, co ta rządowa organizacja przedsięwziąć chciała, był zawiadomiony przed wykonaniem, a przeciwnie władza nie wiedziała nigdy, co „spisek“ uczynić zamierza. A jednak, tak to łatwo to zrozumieć, gdy się wie, że od dni kwietniowych były w Warszawie właściwie tylko dwa obozy: polski i rosyjski, że całe społeczeństwo polskie stanęło so-

lidarnie przeciwko tej władzy, która na ulicach Warszawy krew bezbronnych przelała. Organizacja narodowa w tych czasach nie była jeszcze ujęta w formy tak ścisłe, jak później za komitetu centralnego i Rządu narodowego, ani też nie była tak liczna. A jednak służył jej każdy: urzędnik, woźny, stróż kamieniczny, sługa będący na służbie u Rosyanina, dziewczyna sklepowa, kelner, służył nawet bez wciągnięcia w organizację, bez zaprzysiężenia, służył, bo w tym rządzie, co rzeź kwietniową wyprawił, widział wroga, a w każdym, kto temu rządowi szkodzić chce, widział brata, któremu rękę podać trzeba. Ileż to razy od ludzi zupełnie nieznanymi otrzymywali członkowie organizacji ostrzeżenia, ileż razy zdarzało się, że ktoś ścigany przez policję, nieznanemu przechodniowi wsunął papiery w kieszeń, szepnął adres, pod którym papiery mają być oddane i nietylko nie było zdrady, ale polecenie zostało najściślej wykonane. Cała ludność zajęła stanowisko odporne i obronne, cała tworzyła solidarny obóz, z którym walka była zaiste trudną.

P. Koźmian jednak, któremu zawsze przyświeca ideał silnej władzy, chociażby to była władza obca i tyrańska, zarzuca władzy, że była słabą, zarzuca Wielopolskiemu, że nie umiał wyłowić naczelników „spisku“, ażeby łeb uciąć hydrze.

Przeciw temu „zarzutowi“ musimy margrabięgo wziąć w obronę wobec jego wielbiciela. Na dobrej chęci schwywania przywódców ruchu, ukarania ich i zrobienia nieszkodliwymi, z pewnością margrabięmu nie zbywało. A jeżeli mu się to nie powiodło, nie dowodzi to ani słabości, ani niezręczności jego i podwładnych organów rządowych, dowodzi tylko, że za tymi przywódcami ruchu i za tą organizacją narodową stała ludność cała i na każdym kroku przychodziła im w pomoc. W każdym razie jest bardzo charakterystycznym, że jedynym zarzutem, który p. Koźmian margrabięmu zupełnie poważnie czyni i od którego go nie zwalnia, jest, że nie

umiał być dość stanowczym i dość surowym przeciwko własnym rodakom.

To też w konsekwencji tego stanowiska p. Koźmian zupełnie usprawiedliwia i chwali pomysł branki, zarzuca tylko błędy w wykonaniu. „Pomysł acz spóźniony mógł być skuteczny, ale wykonanie chromało od początku do końca. I znowu myśl była rozumna, działanie nieodpowiednie“... „Trzeba było zaślepienia rozsądnych i zachowawczych żywiołów, albo zupełnego zniknięcia ich ze społeczeństwa, aby nie dojrzeć w ówczesnych okolicznościach, korzyści takiego poboru i zohydzić go“. (Tom II. str. 295).

Więc branka była według p. Koźmiana myślą rozumną, a korzyści tego poboru tylko zaślepieni mogą nie uznawać.

Trudno nam zaprawdę zapanować nad oburzeniem, gdy na te równie niedorzeczne, jak nieczne twierdzenia mamy odpowiadać. Dreszcz przechodzi na myśl, że znalazł się w Polsce pisarz, który z zimną krwią z tą proskrypcją się solidaryzuje. Pan Koźmian mówi na czele drugiego tomu o trzech stopniach upadku państw i twierdzi, że upadek Polski był upadkiem trzeciego, najwyższego stopnia. Gdyby jego sposób myślenia mógł się w umysłach polskich przyjąć, byłby to dla narodu upadek nie trzeciego, ale jakiegoś setnego stopnia, istotnie „wyjątkowy i w dziejach jedyny“.

Ale o tej stronie sprawy możemy więcej nie mówić. Ubliżylibyśmy czytelnikowi, gdybyśmy przypuszczali, iż pochwalanie owej branki nie obudzi w nim uczucia takiego oburzenia, któremu zaprawdę najwymowniejsze nawet usta dość silnego wyrazu dać nie zdołają. Mówmy więc o rzeczy z tego stanowiska, czy pomysł branki był istotnie „rozumny“ i czy był „korzystny“.

„Reskryptem z 26. października 1862 roku ogłosił rząd po raz pierwszy od wojny krymskiej konskrypcję,

ale na wyjątkowych zasadach' (Tom II. str. 115). Na czymże polega ta wyjątkowość? Rada administracyjna Królestwa w reskrypcie z 6. grudnia 1862 roku wyraźnie to wypowiada: „Ponieważ jednym z głównych celów tego poboru jest pozbycie się części ludności, która postępowaniem swoim przyczynia się do zamieszania porządku społecznego, przeto Rada każe brać osoby źle zanotowane w ostatnich wypadkach, bez względu na to, czy wypadnie wziąć z jednego miasta lub jednego wyznania więcej popisowych, aniżeli z drugiego“. (Tom II. str. 298). Uwolniono od poboru wojskowego „włościan czynszowych, czeladź dworską i właścicieli ziemskich; poleciono zaś brać osoby wykazane przez policję i to wbrew ukazowi z 15. marca 1859, zaprowadzającemu losowanie“. Nie był to zatem legalny pobór do wojska, w którym prawo orzeka, kto się ma stawić, a los wskazuje, kto z obowiązanych ma być wziętym, było porywanie do wojska tych, których policja wskaże, jako źle zanotowanych. Taki przez policję wskazany, może posiadać wszelkie prawne warunki uwolnienia od służby, musi być jednak wzięty, jeżeli się wydaje niebezpiecznym. A do tego dodajmy uwolnienia powyżej przytoczone, podyktowane oczywistym zamiarem kokietywania z włościanami i właścicielami ziemskimi. Była to więc proskrypcja w pełnym tego słowa znaczeniu, i jeżeli prawda, że Wielopolski sam ją tak nazwał wobec Wielkiego księcia Konstantego, to świadczyłoby tylko, iż margrabia zupełnie jasno zdawał sobie sprawę ze znaczenia tego środka, który na jego wniosek został przez rząd przyjęty i wykonany.

Czy — ze stanowiska Wielopolskiego rzecz sądząc — był to krok „rozumny“ i „korzystny“? Oczywiście celem branki miało być stłumienie całego ruchu. Ale czy można było przypuszczać, że nawet przy bardzo zręcznym, sprężystym wykonaniu ten cel zostanie osią-

gnięty? Ażebym stłumić ruch, który miał już wtedy swoją władzę w Komitecie Centralnym i swoją rozgałęzioną organizację, na to trzeba było przede wszystkim uchwycić tych, którzy stali na czele, a więc członków komitetu centralnego i jego główne organa wykonawcze. Skądże pewność, że przeprowadzając proskrypcję osób „źle notowanych“ i to tylko kategorię wieku popisowego, uchwyci się właśnie czoło organizacji? Rząd miał przez półtora roku dość czasu do przekonania się, iż w działaniu swym przeciw organizacji postępuje po omacku, że policja ma ponotowane osoby, które manifestacyjnie zachowały się na ulicach, ale o samej organizacji nie ma wyobrażenia. Mógł zatem margrabia przewidzieć, że na najszerszą nawet skalę przeprowadzona proskrypcja nie osiągnie zamierzonego celu. Jakoż istotnie, ocalał komitet centralny, ocalało czoło organizacji. Był jednak w ruchu czynnik jeszcze jeden, który się uchwycić nie dał, a tym była cała ludność stolicy, stojąca po stronie organizacji i dająca jej na każdym kroku czynne poparcie. Z tej ludności można było wyrwać kilka tysięcy młodzieży, a zostałyby zawsze zastępy, gotowe na wezwanie komitetu centralnego uzupełnić luki powstałe w organizacji. Proskrypcja zatem nie była krokiem rozumnym, bo nie prowadziła do celu. Nie była krokiem korzystnym, bo i to można było przewidzieć, że wywoła ona u zagrożonych proskrypcją rozpacz, która łatwo może doprowadzić do ostateczności, u pozostałych rodzin rozgoryczenie, oburzenie, rozdrażnienie, do najwyższego posunięte stopnia. Jeżeli zadaniem, które sobie postawił Wielopolski, miało być uspokojenie ludności, to naprawdę aktem gwałtu, jakim miała być proskrypcja, takiego celu się nie osiąga. To już — ze stanowiska p. Koźmiana — o wiele „rozumniejszymi“ były i większą „korzyść“ przedstawiały środki zarządzane przez Murawiewa na Litwie, te bowiem były zupełnie radykalne i cel swój osiągnęły...

Branka faktycznie wywołała powstanie. Rząd narodowy znał doskonale stan zupełnego braku przygotowań do tego, ażeby powstanie mogło jaką taką siłę w pierwszej zaraz chwili rozwinąć. Wszak broni nie było! Zakupioną już broń zabrała, a tych, co ją kupowali przyaresztowała Francya! Nie było oficerów rozlokowanych po kraju tak, ażeby mogli pierwszemi zaraz ruchami powstania pokierować i ująć je w jakie takie karby wojskowego ładu. Komitet centralny zatem powstania w styczniu nie chciał. Sprzeciwiał mu się nawet w chwili wykonywanej branki. Ale młodzież zagrożona proskrypcją schroniła się do lasów, organizacya wywarła na komitet presyę i to nietylko warszawska, ale organizacya całego kraju reprezentowana przez wojewódzkich komisarzy komitetu. Proskrypcya wykonana w Warszawie w nocy (!) z 14. na 15. stycznia, nakazaną była dla całego Królestwa na 27. stycznia. Hasłem się stało: lepiej zginąć, niż dać się porwać, i pod naciskiem całej krajowej organizacyi, komitet centralny ogłosił powstanie.

Branka była zatem ostatnim, największym błędem Wielopolskiego. Celu nie osiągnęła, bo go osiągnąć nie mogła, skutek jej był wręcz przeciwny zamierzonemu. „Wrzód pękł“ — według wyrażenia margrabiego. Powstanie bez przygotowanej broni, bez planu, bez dostatecznej liczby oficerów, z bajecznie małą liczbą walczących w pierwszych zwłaszcza chwilach, nie miało żadnej szansy zwycięstwa już nie tylko bez obcej pomocy, ale też i dłuższego trwania. Czem się stało, iż ten zbrojny ruch, ta walka bez nadziei, trwała przeszło rok, zobaczymy w następnym rozdziale.

III.

Przechodzimy obecnie do tomu pierwszego, który, jak powiedzieliśmy we wstępnych uwagach, właściwie drugim tomem być powinien.

W króciutkim wstępie (Rozdział I.) kreśli autor „cel i rozkład książki“, zadanie, jakie sobie wytknął:

„Zadaniem mojem będzie rozłożyć odpowiedzialności, rozróżnić winnych od współwini-nych, sprawców złego od tych, którzy mu przeszkodzić ani zaradzić nie potrafili; tych, którzy klęskę zgotowali, od tych, którzy chcąc ją zażegnać, rozszerzyli jej rozmiary; wykazać wreszcie przyczyny obłędu jednych, pomyłki drugich“.

Słowem: autor zasiada do sądu nad pokoleniem roku 1863, a orzekłszy z góry, że wszyscy zawinili, chce rozróżnić tych, którzy jako „sprawcy złego“ mają być potępieni, od tych, którzy byli tylko współwinnymi, więc na łaskę zasługują.

Mimo tak wytkniętego zadania oświadcza p. Koźmian, że „nie dzieje powstania 1863 r. zamierzam skreślić“, bo „znamieniem i karą tej epoki będzie, że znajdują się jej historycy lecz historii swej mieć nie będzie“. Co ten pusty frazes ma znaczyć? dlaczego epoka, która ma mieć swoich historyków, nie może mieć swojej historii? trudno zaprawdę zrozumieć. Ale pytamy, na jakiej podstawie można sąd wydawać o wypadkach dziejowych, na jakiej podstawie „rozdzielać odpowiedzialności“ jeżeli nie na podstawie historii? To też, skoro już mowa o „karze“ tej epoki, to chyba jedną z jej cięższych kar będzie, że do sądu nad nią zasiadł pisarz, który z góry tę epokę odsądza od tego, by mieć mogła swoją historię, który zatem sam się pozbawia jedynej podstawy do wydania przedmiotowego sądu.

To też cała ta robota p. Koźmiana jest po prostu zebraniem osobistych wspomnień, w których, po 30 przeszło latach, pamięć łatwo zawodzi, wspomnień przytoczonych tu i ówdzie cytatem z jakiegoś dziennika, przytoczeniem nawet kilku znanych już dokumentów, wszystko zaś podane z najzupełniejszym lekceważeniem

historycznych źródeł, które coraz obficiej przystępne są dla każdego, ktoby chciał poważnie zabrać się do pracy, mogącej go uprawnić do wydania sądu.

Dowiadujemy się więc naprzód, że wiadomość o wybuchu powstania styczniowego doszła autora na wsi w Dobrzechowie. A zaznajomiwszy nas z tym arcyważnym historycznym faktem, opowiada autor, że wówczas „wszystko kazało mi wnioskować, że powstanie stanie się nieszczęściem dla mojego narodu“, ale myśl p. Koźmiana zwróciła się zaraz „w stronę Francyi i jej władcy, cesarza Napoleona III.“, w którego tak silną miał wiarę i tak uzasadnione przekonanie o jego sprzyjaniu odrodzeniu Polski, że wraz z wielu innymi przypuszczał „że w krytycznej chwili nie opuści jej“. Rozumował przeto p. Koźmian: „Powstanie jest zgubnem, przeciw rozstrzygającym będzie zachowanie się wobec niego cesarza Napoleona“ (str. 4). Rozumowanie to stało się podczas powstania „nicją przewodnią dla owego szczupłego grona, które później założyło *Przegląd polski*, a które tu nazwę *gronem krakowskiem*, z oka wśród tego opowiadania spuszczać go nie należy, chcąc sobie zdać sprawę z wypadków i udziału w nich“.

To „grono krakowskie“, to sam autor, Stanisław Tarnowski i Ludwik Wodzicki. Drugi z wymienionych był wówczas we Włoszech i dopiero pod koniec lutego przybył do Krakowa (str. 36). Na razie więc „grono“ składało się z dwóch tylko, co nie przeszkadza p. Koźmianowi pisać o niem, jak gdyby o jakimś stronnictwie tak silnem, tak wpływowem, że nadawało ono kierunek biegowi wypadków. O tem przecenianiu swego stanowiska i wpływu, które zapewne autorowi jest potrzebnem do tego, co w części trzeciej ma pisać o wypadkach po powstaniu, jeszcze nieraz nam wspomnieć przyjdzie.

W myśl powyższego rozumowania autor, wiedząc o stosunkach hotelu Lambert z cesarzem Napoleonem,

przedewszystkiem oczekiwał wiadomości z Paryża od ojca i w ogóle od ludzi skupiających się około księcia Czartoryskiego.

„Pierwsze listy odebrane z Paryża od mojego ojca były wyrazem przerażenia i potępienia zaszłego, lekko-myślnego powstania. Tłómaczono je sobie jedynie rozpaczą, wywołaną wyjątkowym poborem, którego wyśrubowane i przesadnie przedstawione okrucieństwo nadało mu już było nazwę proskrypcyi“ (z drugiego tomu wiemy, że sam Wielopolski pobór ten, jeszcze przed jego wykonaniem nazwał proskrypcyą, więc chyba wyraz ten istotą rzeczy, a nie samym sposobem wykonania był usprawiedliwiony). Ani cesarz Napoleon, ani rząd cesarski, ani Walewski, a w skutek tego hotel Lambert, najnniejszej nie dodawali otuchy, najnniejszej nie robili nadziei wojny, lub jakiegokolwiek pomocy ze strony Francyi lub cesarza dla powstania“ (str. 6).

Pod wrażeniem tych wiadomości pospieszył p. Koźmian dnia 3. lutego do Krakowa, gdzie zastał już Ludwika Wodzickiego. W Krakowie istniała „odnoga spisku warszawskiego pod nazwą *Ławy*“ (nazwy tej używał krakowski komitet, który stał pod kierunkiem Rady naczelnej galicyjskiej, a tak samo też nazywała się lwowska władza tej organizacji). Obok tego „cały zastęp ludzi rozsądnych, statecznych, patriotów, słowem tak zwanych konserwatystów przerażony, bezradny, czujący całą grozę położenia, niebezpieczeństwo powstania, lecz jak zawsze w Polsce, obawiający się narazić śmielszemu od niego stronnictwu ruchu i nie chcący uchodzić za mniej od niego patryotyczny“.

A zatem: rozsądni, stateczni, patryotyczni są „słowem“ konserwatysty. Kto nie konserwatysta, ten już ani rozsądny, ani stateczny, ani patryotyczny. Jedną tylko mają wadę ci, co są takim zbiorem wszelkich cnót i zalet: są bezradni i nie wiedzą co robić, a co gorsza, są tchórzami wobec „śmielszego od

nich stronnictwa ruchu". Niechże oni p. Koźmianowi za ten sąd podziękują, ale niech nie zapomną ku swej obronie przytoczyć, co autor pisze o *Czasie*, w którym „szukała wskazówek część społeczeństwa rozsądniejsza i od innych wytrawniejsza“ (str. 8). Otóż *Czas* „systematycznie sprzyjał ówczesnemu w Warszawie spiskowi i ruchowi“, zwrócił się przeciw Wielopolskiemu, „przyniósł się do fatalnego rozwoju wypadków, których epilogiem stało się powstanie, idealizował w szczegółach i całości to powstanie, które nazywał oporem przeciw gwałtowi“ i „począł w barwach jaskrawych, z pewną siłą, talentem i metodą wysławiać powodzenia powstania, a każde działanie wojsk rosyjskich piętnować mianem okrucieństwa i barbarzyństwa“, a nawet członek Rządu Narodowego Agaton Giller był wówczas korespondentem *Czasu* (str. 9).

Nic bardziej charakterystycznego nad to! Wszak *Czas* był organem partii zachowawczej, on nie mówił za siebie ale za partję. I ten organ przez lata popiera i zachęca ruch. potępia Wielopolskiego, potępia branke, nazywając ją proskrypcją, idealizuje powstanie, korespondentem z Królestwa ma członka Rządu Narodowego, a potem, po upadku sprawy, z tego samego *Czasu* najsrozsze gromy i wyroki na „sprawców złego“.

W tej tedy chwili przybywa p. Koźmian do Krakowa, aby bezradnych pouczyć, co mają robić i w ten sposób uratować sytuację. Wiedząc z listów paryskich, że pomocy z zewnątrz spodziewać się nie można „byłem stanowczo przeciwny popieraniu powstania i łączeniu się z niem, nie ukrywałem mojego zdania, nie szczędziłem usiłowań, aby moich przyjaciół i rozsądnych ludzi utrzymać na stanowisku wobec niego odpornym, dopóki nie nadarzy się sposobność i możność potępienia go jawnie“.

Jakaż szkoda, że się to p. Koźmianowi nie powiodło! Potępienie ze strony jego i garstki „rozsądnych“ jego przyjaciół, byłoby daleko mniej sparaliżo-

wało energię powstańczą, aniżeli późniejszy jego udział w akcji „pomocniczej“. Takim wyparciem się i potępieniem byliby ci panowie stracili możliwość i prawo do takiej n. p. nieszczęśliwej akcji jaką była dyktatura, która w samych początkach zadała powstaniu ciężką klęskę, byliby stracili możliwość prowadzenia polityki „oszczędzania sił i przewlekania powstania“, która dla każdego ruchu powstańczego jest zgubną.

Daremne jednak były starania p. Koźmiana. Rozbiły się one o „czułośćkowość“ zachowawczego zastępu i jego „obawę pozostania poza ruchem narodowym“. A przyłączyło się do tego „mniemanie, które przez cały bieg wypadków było czynnikiem, iż współdziałanie zachowawczych żywiołów jest koniecznem, aby ubiedz tak zwanych czerwonych i ludzi bezwzględного ruchu“, co w innem miejscu autor tak określa, iż przystąpienie tych zachowawczych żywiołów do powstania miało nastąpić „nietylko w celu poparcia go, ale także dla odjęcia mu znamion rewolucyjnych, a nadania ogólnie - narodowych“.

Jest to ta sama polityka, której się trzymali nasi konserwatyści w r. 1830 i która listopadowemu powstaniu tak ciężkie zadała ciosy przez zupełne zmarnowanie pierwszych miesięcy czasu i przez późniejsze wojskowe kunktatorstwo! Ta sama polityka „ubiegania czerwonych“ i odejmowania powstaniu znamion rewolucyjnych, których żadne nasze powstanie nie miało, bo żadne nie było ruchem wewnętrznym, przeciw własnemu rządowi lub własnemu społecznemu porządkowi skierowanym, ale w anormalnych stosunkach podjętą wojną z zewnętrznym nieprzyjacielem, polityka, doprowadzająca zawsze do tego, że powstanie nie dochodzi do rozwinięcia całej energii, na jaką naród zdobyć się może i powinien i kończy na anemii. Nie twierdzimy przez to, że powstanie styczniowe miało szanse pokonania Rosyi, zwłaszcza bez obcej pomocy, sądzimy

jednak, że skoro już bieg wypadków i wywołana branka rozpacz pchnęły na drogę powstania, jedynie tylko rozwinięcie możliwe największych sił i największej energii odpowiadało sytuacji, wypadkami temi stworzonej. Temu zawsze i w każdym powstaniu przeszkodził „zastęp zachowawczy“, który zawsze tę samą przebywał kolej: nie przeszkadzał temu, co do powstania wiodło i wywołać je musiało, owszem podsycił ruch, po wybuchu w pierwszej chwili rozpaczliwie załamywał ręce, ażeby zaraz potem, gdy powstanie jakoś upaść nie chciało, przyłączyć się do niego, zająć kierownicze stanowiska, łamać jego energię, a po upadku... potępiać tych, co szli z przekonania i głowy dali pod topór...

Otóż już wtedy, w pierwszej połowie lutego, gotował się obóz zachowawczy do tej akcji i był nawet na drodze zbierania składek dla zakupywania broni i tworzenia oddziałów. Wtedy p. Koźmian łącznie z L. Wodzickim przeszkodzili temu i uzyskali tyle, że składki miały być jedynie dla rannych zbierane, a uzyskali to dowodząc, „że albo powstanie upadnie, a wtedy pieniądze obrócone będą na rannych, albo będzie miało powodzenie, wtedy użytemi być mogą na jego uzbrojenie i poparcie“. To poparcie powstania wtedy, gdy będzie miało powodzenie, ten z góry objawiony zamiar prowadzenia takiej polityki, iż w chwili najtrudniejszej staje się na uboczu, ale jeżeli ruch będzie miał powodzenie, wtedy oni, „rozsądni“ przystąpią do ruchu, to chyba najsmutniejsze świadectwo, jakie mógł p. Koźmian sobie i swoim przyjaciółom wystawić.

Utworzono zatem „komitet opieki nad rannymi, który, gdyby się tego okazała potrzeba, miał nieść pomoc powstaniu“ i czekano na wskazówki dalsze z Paryża i na to, czy powstanie mieć będzie powodzenie.

O „powodzeniu“ w tych warunkach, w jakich powstanie wybuchło, trudno było w pierwszych chwilach marzyć. Sam fakt, że już w pierwszych chwilach nie

rozbito w puch wszystkich oddziałów, że się do pewnego stopnia sprawdziły słowa Leona Frankowskiego: „z kijami pójdziemy na bagnety, z bagnetami na działa“, że z pewnym istotnym wojskowym zakrojem organizowały się większe oddziały Kurowskiego, Langiewicza i innych, już był poniekąd powodzeniem. Już 4. marca pisał pułkownik Stanton do lorda Russela: „Jest to nader ważny fakt, że armia, mająca co najmniej 80.000 ludzi, dobrze uzbrojona i zaopatrzona, składająca się z żołnierzy starych i dobrze wyćwiczonych, nie mogła zdławić ruchu, rozpoczętego z tak małymi środkami. Dowodzi to, że powstańcy, lubo pozbawieni zasobów i broni, są przejęci tak stanowczym duchem, że trzeba będzie wielkich wysiłków, potężnej i dobrze zorganizowanej armii, by można było odzyskać zupełne panowanie w kraju“.

W tych tedy początkach powstania w czasie pierwszej organizacji oddziałów, odbywającej się wśród nieustannych walk z przemagającymi siłami rosyjskimi, hotel Lambert wreszcie oficjalnie przemówił do swoich krakowskich przyjaciół. Przez kuryera, którego p. Koźmian naznacza literami G. F., przedstawił ks. Czartoryski w imieniu „biura“ powstanie „jako czyn bezrozumny, opłakany, który nietylko nie mógł liczyć na poparcie Napoleona III. ale który przeciwnie, krzyżował jego plany i politykę a niweczył na razie wszelkie w sprawie polskiej zamiary“. Pomocy żadnej ze strony Francji spodziewać się nie można. „Trwanie zatem powstania, przeistoczenie oporu przeciw brance w wojnę z Rosją mogło się stać tylko zgubnem dla Polski i polityki Napoleona III., Niweczyło wszelkie korzyści dotąd zdobyte za wpływem Francji i wprowadzało Polskę w stan opłakany tak na wewnątrz jak na zewnątrz. Nadziei żadnej w tym stanie rzeczy ani mieć, ani dawać nie podobna; ale jeżeli co jeszcze uratowaćby mogło sprawę polską i dla dzielnicy pod zaborem rosyjskim zapewnić pomyślne lub znośne warunki, to j e d y n i e

natychmiastowe, zupełne zaniechanie powstania". (str. 23).

Ta instrukcja przywieziona przez G. F. zdecydowała, że „w naszym gronie, postanowienie stanowcze niepopierania powstania, a następnie potępienia go i powstrzymania jego rozwoju oraz udziału w niem Galicyi, powziętem zostało jednomyślnie“.

„We wszystkich głowach rozjaśniło się“ — powiada p. Koźmian. Ta jasność jednak nie trwała długo. Kurjer G. F. miał jechać do Lwowa, aby tam takie samo zrobić rozjaśnienie. P. Koźmian, mieszkający w hotelu saskim, zajął się wyprawieniem go do Lwowa, sprowadził na dół, wsadził do dorożki, a sam wrócił do swego pokoju w hotelu. Ale „nie upłynęło parę minut“, kiedy p. Koźmianowi doręczono cyfrową depeszę z hotelu Lambert:

„Wszystko zmienione, instrukcye G. F. uważajcie za niebyłe. Trzeba jak najdłużej przetrzymać walkę. Dalsze polecenia listownie“ (str. 24).

I już po jasności w głowach! P. Koźmian pędzi na dworzec, chwyta p. G. F. na wsiadaniu do wagonu, zawiadamia go o zaszłej zmianie i wysyła do Lwowa, naturalnie już na podstawie nowej instrukcji. „Stało się to 16. lutego“.

Cóż było powodem tak nagłej zmiany frontu ze strony hotelu Lambert, t. j. ks. Władysława Czartoryskiego i jego biura? zmiany, która nastąpiła bardzo szybko, w przeciągu tygodnia, między dniem 6. lutego kiedy kurjer G. F. wyjechał z Paryża, a 16-go, kiedy nadeszła do Krakowa depesza, tak radykalnie zmieniająca instrukcye tego kuryera?

Powodem tym była zmiana stanowiska zajętego w sprawie polskiej przez cesarza Napoleona i rząd jego, wywołana znaną konwencją prusko-rosyjską z dnia 8. lutego. Konwencya ta dotyczyła współdziałania granicznych władz pruskich z Rosyą celem stłumienia po-

wstania w nadgranicznych okręgach. Z tą chwilą powstanie przestawało być wewnętrzną kwestyą, przybierało cechę sprawy, mającej już międzynarodowe znaczenie.

Niewiadoma nam data, kiedy wiadomość o konwencji nadeszła do Paryża. To pewna, że o rokowaniach w sprawie konwencji wiedziano przed jej zawarciem, a mianowicie o wysłaniu do Warszawy dwóch pruskich wojskowych dla bezpośredniego porozumienia się z władzami wojskowymi rosyjskimi. Dnia 17. lutego wysłał już francuski minister spraw zagranicznych Drouyn de Lhuys do ambasadora francuskiego w Berlinie Talleyranda depeszę z ubolewaniami, w tonie bardzo stanowczym wypowiedzianymi. O zamiarze wysłania tej noty musiał się dowiedzieć hotel Lambert, i stąd owa depesza do p. Koźmiana wysłana w przeddzień oficjalnej do Berlina depeszy rządu francuskiego.

A jednak z samego opowiadania p. Koźmiana wynika, że w chwili tak bardzo stanowczej, już po wysłaniu do Krakowa depeszy, zmieniającej pierwsze instrukcje kurjera G. F. w hotelu Lambert wahano się, co robić. St. Tarnowski przybył do Paryża — według p. Koźmiana — 20. lutego i przekonał się tam, że wypadki były ważniejsze niż przypuszczał. Wzruszenie członków biura było wielkie i niepewność co do przyszłości nie mniejsza. Ks. Władysław Czartoryski był właśnie po rozmowie z cesarzem Napoleonem; treść jej niepewna, nie stanowcza, ale zachęcająca, cesarz bowiem dał do zrozumienia, że jego działanie będzie zależnem od Anglii i Austrii, których zapytał, jak się myślą zachować. Stąd w biurze powstało pytanie, co wobec tego robić? Czy można i należy zachować dalej odporne wobec powstania stanowisko, zalecone w instrukcjach, przesłanych do Krakowa przez G. F.? Po zasięgnięciu zdania Walewskiego, ministra spraw zewnętrznych Drouyn de Lhuys, oraz sekretarza cesarza Mocquard, odpowiedź na powyższe

pytanie wypadła była w duchu cyfrowanego do mnie telegramu z 16. lutego“ (str. 36 i 37).

Opowiadanie to jest nieco bałamutne, a może tylko data przybycia St. Tarnowskiego do Paryża 20. lutego, pomyłona. Bo jeżeli ta data jest prawdziwa, to skądże po wysłaniu już depezy do Krakowa taka niepewność? Albo trzeba dojść do wniosku, że owa depeza wysłana była zbyt pospiesznie, to bowiem z powyższego przedstawienia rzeczy wydaje się zupełnie jasnym, że ci panowie, którzy wtedy mówili z cesarzem, z jego ministrami i sekretarzem, z rozmów tych nie wynieśli nic tak pozytywnego, ażeby można było na tej podstawie wydawać hasło przetrzymywania walki i przystąpienia politycznego do powstania, które ci panowie nazywali nieszczęściem i nierozumem! Zdaje nam się, że tym panom było już teraz spieszno z przystąpieniem do powstania głównie dla osiągnięcia celu, który p. Koźmian nazywa „odjęciem powstaniu znamion rewolucyjnych, a nadaniem ogólnie narodowych“ (str. 37). Co to znaczy, wyjaśniliśmy wyżej. Historia powstania listopadowego a w niemniejszym stopniu i styczniowego, na każdej karcie świadczy o istotnym znaczeniu tego frazesu.

Przystąpienie do powstania „rozsądnych“ — jak ich p. Koźmian nazywa — miało dla sprawy ze wszechmiar złowrogie następstwa. Nie pozwoliło powstaniu rozwinąć się co do jego siły i energii, natomiast z najgorszym dla sprawy skutkiem doprowadziło do jego ekstensywnego rozwinięcia tak pod względem terytorjalnym, jak i co do czasu trwania. Kierując się wyłącznie wskazówkami, jakie nadchodziły z Paryża, ci „rozsądni“ starali się nie angażować nigdy zbyt wielkich sił naraz, a tylko przewlekać krwawą walkę bez końca. Doszło już do tego, że w chwilach, kiedy już „szaleni“ byli gotowi rozlewowi krwi koniec położyć, „rozsądni“ powstrzymywali od tego, powołując się na wydane z Paryża hasło: wytrwajcie (*durez!*). I tem wytrwaniem

w walce, prowadzonej już dla samej tylko demonstracji, tem przeciąganiem zbrojnej akcji, której już całkowicie zabrakło pierwotnego zapалу i ognia, myśleli ci panowie wywołać czynną interwencję Europy, gdy przecież sam zdrowy rozsądek, doświadczeniem poparty, powinien ich być nauczyć, że na interwencję, na pomoc, na to, co w tym wypadku szczęściem można było nazwać, siłą tylko i czynami się zasługuje.

Ale nie uprzedzajmy rzeczy, same fakta nawet podane w tej ilustracji, jaką im daje p. Koźmian, najlepiej udowodnią prawdy naszego twierdzenia.

Pierwszym takim faktem była nieszczęsna dyktatura Langiewicza. Że ona była bezpośrednim następstwem przystąpieniem „rozsądnych“ do powstania, którzy zaczęli działać na własną rękę, bez poddania się Rządowi Narodowemu, a nawet bez porozumienia się z nim, stwierdza sam p. Koźmian, gdy pisze:

„Polecenia i instrukcyje przesłane nam z Paryża a oparte na zwrocie zaszłym w stosunkach europejskich, popierania powstania, odjęcia mu znamion rewolucyjnych a nadania wyłącznie narodowych, wplynęły na zamiar ujawnienia narodowej władzy powstańczej, która była dotąd tajną. Stąd powstała myśl dyktatury“. (str. 59).

Ta myśl zatem jest bezpośredniem następstwem poleceń i instrukcyj nadesłanych „nam“ z Paryża, a jeżeli kto mógł jeszcze wątpić o tem, że jej twórcami byli owi „rozsądni“, którzy według p. Koźmiana są „słowem“ konserwatyści, to książka, o której mowa, ostatnią w tym względzie usuwa wątpliwość.

Ten pierwszy krok „rozsądnych“ charakterystycznym jest co do sposobu, jak oni rozumieli swoje „przystąpienie“ do powstania. To nie była szczerą i wierną służbą sprawie, z poddaniem się tym, którzy tą sprawą od początku kierowali, to było narzucenie się sprawie na kierowników, chociaż im wszelkich do tego brakowało warunków. Jakież mieć mogli prawo do tego, ażeby

nową formę rządu narzucać powstaniu i to bezpośrednio po swoim „przystąpieniu“ do tego powstania? Czy myśleli, że godzi im się z Krakowa rządzić tem Królestwem, które sztandar powstania podniosło i w najtrudniejszych chwilach tak ciężkimi utrzymało ofiarami? Czy godziło się, żeby oni, którzy wczoraj jeszcze mieli powstanie potępić, oni, którym dopiero pod wpływem depeusz z Paryża „rozjaśniało się w głowach“, ale rozjaśniało dwukrotnie, a za każdym razem inaczej, żeby oni narzucali się powstaniu na kierowników, zamiast wprost zaciągnąć się w służbę tego Rządu, który umiał bez nich powstanie utrzymać, organizować, szerzyć, a sobie coraz większy zdobywać posłuch? Piorunowali i piorunują przeciw spiskom, a sami spiskowali przeciw Rządowi Narodowemu. Wszystko, co im się niepodoba, nazywają anarchią i jako taką wyklinają, a sami najgorszymi byli anarchistami, bo pierwszym ich krokiem po „politycznem przystąpieniu“ do powstania, było obalenie władzy, która w tem powstaniu istniała i była uznana. A jeżeli zaświtała wtedy nadzieja obcej pomocy i postawienia sprawy polskiej na porządku dziennym wielkiej europejskiej polityki, jeżeli — jak wówczas w Paryżu powiedziano — „sprawa polska nigdy na tak dobrej nie znajdowała się drodze“ to panowie ci powinni byli uznać, że bądź co bądź było to zasługą „szalonych“, zasługą komitetu centralnego, który się stał Rządem, zasługą tego powstania, które podniosło się nietylko poza nimi i bez nich, ale wbrew nim, a przeto nie konspirować im przeciw Rządowi wypadło, ale uznać go i pod jego komendą pracować.

Ale poza kwestyą uprawnienia tych panów do odgrywania od razu tak decydującej roli w tem powstaniu, które przed chwilą potępiali, stoi kwestya polityczna. Otóż twierdzimy, że dyktatura była pierwszym wielkim błędem politycznym, popełnionym przez tych „rozsądnych“ od chwili, gdy na rozkaz z Paryża przyłączyli się do powstania. Ogłaszać jakikolwiek

ja wny rząd, czy to w jednej osobie skupiony, czy kolegialny, w chwili, gdy nie było piędzi ziemi, na której ten rząd mógłby się czuć bezpiecznym, znaczyło, przywiązywać sprawę do osób, a jak w tym wypadku do jednej osoby i narażać powstanie na to, że jednym doraźnym zamachem może utracić swoje jednolite kierownictwo. Niebezpieczeństwo to było tem większem i tem łatwiej przewidzieć się dało, że przecież oczywiście siły nieprzyjacielskie musiały się skoncentrować i zwrócić na ten jeden oddział, którym dowodził dyktator, a który w tej chwili reprezentował najlepiej jeszcze wojskowo zorganizowaną siłę powstańczą, żeby razem z tym oddziałem zgnieść władzę kierującą powstaniem. Skutkiem tego też była dyktatura ciężkim błędem politycznym zwłaszcza ze strony tych, którzy tylko w nadziei interwencyi mocarstw do powstania przystąpili. Narażać powstanie na to, ażeby gdy jedna widoma i powszechnie znana głowa padnie, z nią razem upadł i rząd powstania, znaczyło wszelkie szanse obcej pomocy na tę jedną stawić kartę.

Dyktatura była zamachem na ten Rząd Narodowy, który samym faktem już sześć tygodniowego trwania powstania i wzrastania w tym czasie sił powstańczych i ulepszania się ich organizacyi, zyskiwał coraz więcej powagi i posłuchu i stawał się naprawdę Rządem. Prawdziwie cudowna władza tego tajnego „pieczętkowego“ Rządu rozciągała się faktycznie na całe Królestwo, sięgała już i poza jego granice. Przeciw temu, cóż postawili „rozsądni“? Władzę człowieka, który okazał wiele talentu wojskowego, ale niczem nie udowodnił, że rządzić potrafi; władzę, która rozciągała się tylko na bardzo szczupły okrąg, zakreślony linią forpoczt oddziału dyktatora. Rząd Narodowy miał w rękę tysiączne nici wielkiej organizacyi, spełniającej wszystkie te funkcyje rządowe, jakich służba powstańcza wymagała. Czy i jak twórcy dyktatury zapewnili się, że te wszystkie nici znajdują się w rękę dyktatora? na

to nie mamy żadnego śladu, jak również nie widać z dokumentów i pamiętników, aby zorganizowano przy dyktatorze jakieś podwładne mu władze, któreby spełniały konieczne funkcje rządowe. Słowem: rzecz cała zrobiona była dorywczo, bez obmyślenia szczegółów dalszego rządzenia, bez obliczenia następstw, wprost lekkomyślnie. Jeżeli skutki nie były takie, jakich można było się obawiać, jeżeli z usunięcia Rządu Narodowego przez dyktaturę a następnie z jej upadku nie wynikła w organizacyi cywilnej i wojskowej zupełna anarchia, zawdzięcza się to przedewszystkiem patryotyzmowi Rządu Narodowego, który na czas dyktatury usunął się a po jej upadku stanął znowu na posterunku, zawdzięcza się tej sile moralnej jaką w ludności wyrobiły wypadki ostatnich dwóch lat i tej karności, do jakiej w chwili podniesienia wielkiej sprawy narodowej i wytknięcia wielkich celów, poczuł się ten naród zawsze jako anarchistyczny okrzyczany. Błędy, popełnione przez „rozsądnych“, naprawili „szaleńcy“. To też gdy po rozbiciu Langiewicza cesarz Napoleon rzekł do księcia Czartoryskiego: „No, teraz już wszystko skończone, klęska zdaje się być stanowczą i trudno po niej cośkolwiek przedsięwziąć“, mógł książe temu zaprzeczyć i zapewnić cesarza, że „jeżeli to potrzebnem jest dla ułatwienia działania europejskiego za Polską, niezawodnie nowe oddziały staną do walki“. Na co odpowiedział Napoleon: „A jeżeli tak, to co innego, to zobaczymy, bo oczywiście gdyby nie było już powstania, znikłby powód wmięszania się mocarstw“ (str. 74).

Po upadku dyktatury, przystąpiono do porządniejszego zorganizowania pomocy, jaką Galicya miała dawać powstaniu. „Utworzyła się tu, pisze p. Koźmian, tak zwana organizacya narodowa, mająca nieść pomoc powstaniu w Królestwie, w skład której weszli członkowie grona krakowskiego i rozpoczęły się następnie jego stosunki z Rządem Narodowym“ (str. 73). Znowu „grono krakowskie“ wysunięte na pierwszy plan,

i zdawałoby się, że ono było komitetem, że ono a nie komitet utrzymał stosunki z Rządem Narodowym. Do „grona“ należeli według samego p. Koźmiana: L. Wodzicki, St. Tarnowski i St. Koźmian. Do komitetu zaś należeli z nich tylko dwaj pierwsi, a prócz nich Józef Baum, A. Benoe, C. Haller i K. Rogawski. W lipcu gdy komitet się przeistoczył, wystąpili z niego Rogawski i Wodzicki, wszedł natomiast Mikołaj Zyplikiewicz. (Wydawnictwo materyałów do historii powstania, Tom III. str. XVI.). Z „grona“ zatem należało w pierwszym składzie komitetu dwóch na sześciu, w drugim jeden na pięciu. I rzecz prosta, że nie „grono“ utrzymywało stosunki z Rządem Narodowym w Warszawie, ale komitet, jako taki. W całej książce p. Koźmiana znikają prawie zupełnie różne osobistości, a zawsze występuje tylko „grono“, zawsze „my“, jako ci, którzy wszystkim kierowali, na wszystko wpływ wywierali przeważny. A wystarczy przeczytać powyższy spis członków komitetu, wystarczy przypomnieć, że n. p. Szujski był wtedy redaktorem pismka „Naprzód“, które było zdeklarowanym organem Rządu Narodowego, ażeby w tym sposobie przedstawienia rzeczy przez p. Koźmiana uznać wielkie przecenienie stanowiska swego i swoich przyjaciół.

„Ta pomoc — pisze dalej — i ten współdział, przyczyniły się do zwiększenia klęski polskiej w zaborze rosyjskim“. Wielka prawda! Czytając tom pierwszy dzieła p. Koźmiana, zbierając wszelkie zawarte w niem szczegóły, nieraz anegdotyczne, ale charakterystyczne z rozmów z różnemi rządowemi osobistościami w Paryżu i Wiedniu, z pobytu w Paryżu pp. Koźmiana, L. Wodzickiego i Pawła Popiela, widzi się dopiero na jak kruchych podstawach opierały się ich nadzieje skutecznej interwencji Napoleona i mocarstw. Tym, którzy nie zaglądali za kulisy dyplomatyczne, a stan sprawy oceniali tylko z artykułów półurzędowych pism, i z oficjalnych dyplomatycznych dokumentów, mogło

się zdawać, że to wszystko jest zapowiedzią, czynnej akcji na rzecz Polski. Ale ci, którzy mieli sposobność mówienia z Napoleonem, z jego sekretarzem Moquard, z jego ulubionym ministrem Walewskim, z ministrem spraw zagranicznych Drouyn de Lhuys, którzy od nich wszystkich nie słyszeli żadnych pozytywnych przyrzeczeń, a tylko najbardziej ogólnikowe frazesy, powinni byli jaśniej widzieć, i oni właśnie mieli obowiązek pierwsze w rozmowach tych i konferencyach postawić kwestyę zupełnie jasno, zapytać, czego się spodziewać i na co liczyć można, a powtóre oczy narodowi otworzyć na to, że się niczego z tej strony nie ma spodziewać. Jeżeli kto się łudził, a łudząc siebie łudził i naród, to właśnie ci „rozsadni“, ci dyplomaci, którzy mieli sposobność poznania i zrozumienia istotnego stanu rzeczy.

Idąc ślepo za hasłami wydawanemi z Paryża i przyjmując je bez wszelkiej krytyki, panowie ci popełnili trzy wielkie błędy, z których jeden przyczynił się do osłabienia powstania, dwa do powiększenia rozmiarów klęski. Pierwszym, to owa zabójcza dla takiej walki teorya „oszczędzania sił“, drugim, terytoryalne rozciągnięcie powstania na Ruś i Litwę, trzecim przewlekanie go jeszcze wtedy, gdy ono już wszelkiej siły żywotnej było pozbawione, kiedy znikł wszelki zapał, kiedy nawet ludność sama zniechęconą była i od powstania odwracać się poczęła.

W protokole „Biura Hotelu Lambert“ z dnia 28. marca zapisano, że „Biuro poleca, aby na razie ograniczyć powstanie i oszczędzać siły aż do chwili, w której potrzebnem się okaże popolite ruszenie. Biuro jednak dodawało (z czem się p. Koźmian nie zgadzał), że zmniejszając intensywność powstania, rozszerzać je należy do dalszych ziem pod zaborem rosyjskim“. (Str. 106).

Otóż w tej uchwale „Biura“ tkwią zarodki wszystkich trzech, wyżej wytkniętych błędów. Oszczędzać

siły, zmniejszyć intensywność powstania, to znaczy z ruchu narodowego, który tylko wielkim zapałem i wielką energią mógł się utrzymać, zrobić jakąś chroniczną chorobę, która do przesilenia doprowadzić niemoże, a tylko chorego męczy, ubezwładnia, a co najgorsza demoralizuje. Oszczędzać siły, to znaczyło, z zasady, z polityki unikać walki, a skutkiem tego było, co setnemi wypadkami tej partyzanckiej wojny udowodnić można, że oddział powstańczy, który dziś miał przed sobą mały oddział nieprzyjacielski, a cofnął się przed nim, zamiast łatwym zwycięstwem podnieść ducha żołnierza, nazajutrz zmuszony został do przyjęcia walki z siłą czterykroć większą i oczywiście został rozbity. Oszczędzać siły, to znaczyło, wysłać z Galicyi dzisiaj jeden oddziałek, a za tydzień drugi, a potem znowu trzeci, z których każdy wkraczał już po rozbiciu poprzedniego, jak n. p. w maju w Lubelskiem, kiedy 1-go i 6-go maja walczy pod Kobylanką Jeziorański, kiedy bezpośrednio po jego powrocie i rozejściu się oddziału wkracza w Lubelskie Zapałowicz, a po rozbiciu Zapałowicza Lelewel! To też skutkiem tego tak mało było chwil w powstaniu, które mogły podnieść ducha żołnierza i mogły przynajmniej honor wojskowy wyżej postawić, niż się to stało. A właśnie dla nadziei uzyskania skutecznej interwencji, powstanie intensywne, t. j. mogące rozwinąć większe siły i osiągać niemi świetniejsze sukcesy wojskowe, było bardziej pożądanym, niż prowadzone w taki anemiczny sposób, jak się to działo głównie z winy tych, co pod wpływem inspiracji paryskich działali tu w Galicyi.

Drugim błędem i powodem najcięższych ciosów, jakich doznała polskość po powstaniu, było terytoryalne rozszerzenie powstania do takich granic, iż siły jego już bezwarunkowo zadaniu temu sprostać nie mogły. Oddziały kierowane z Galicyi na Ruś były z góry skazane na to, iż będą zupełnie bezużytecznie zmarnowane. Wyprawa radziwiłłowska, gdyby nawet była inaczej, lepiej

wykonana, gdyby nawet atak trzech oddziałów na Radziwiłłów był się odbył o jednej godzinie, jak było umówione, musiała się już nazajutrz znaleźć w Galicyi. A ileż ona krwi, ile zmarnowanej broni, ile grosza kosztowała! A owe demoralizujące młodzież „korpusy obserwacyjne“ na granicy Podola! Też same siły w ludziach, w broni i w pieniądzach, zwrócone w Lubelskie, użyte na to, ażeby właśnie intensywność powstania na skromnem terytoryum Królestwa podnieść, ażeby podać rękę oddziałom, które tam na miejscu powstały i walczyły, byłyby inaczej zaważyły na szali. I nie byłyby może na Ruś spadły tak straszne ciosy, jak się to stało skutkiem poddania się hasłu, rzuconemu przez „rozsądnych“, którzy poszli na lep próżnych frazesów francuskich ministrów, iż terytoryalna rozciągłość powstania zakresli granice sprawy polskiej.

Do trzeciego błędu, przeciągania powstania nawet wtedy, kiedy już straciło było wszelką siłę żywotną, przyznaje się p. Koźmian kilkakrotnie w toku swego opowiadania. Tutaj zaś warto przytoczyć fakt, który wydarzył się po upadku dyktatury, a który dotychczas stwierdzony był tylko przez jednego z uczestników.

W wydanej w roku 1880 broszurze „Po burzy“, pisze p. Alfred Szczepański:

„Kiedy po dyktaturze Langiewicza przybyli w marcu do Krakowa pełnomocnicy Rządu Narodowego, wówczas naczelnicy przedpowstańczej organizacyi w Galicyi żądali od nich, żeby wydać manifest, korzystając z tego, że upadek dyktatora pozwala powstanie od razu zakończyć, urwać zupełnie, gdyż nadziei już wtedy nikt nie miał. Nie zgodzili się, bo wtedy zaczęli mieć nadzieję ci, co dotąd stali poza ruchem, więc organizacya przedpowstańcza, nie chcąc brać odpowiedzialności, rozwiązała się, a stanęła nowa, białych, organizacya autonomiczna, równorzędna, sprzymierzona tylko z Rządem Narodowym, stanęła na to, aby przewlekać powstanie, ale

jako zbrojną demonstrację, w nadziei interwencji dyplomatycznej, uznania za stronę wojującą“. Autor dodaje uwagę: „Zdaje mi się, że podsycanie powstania przez dalsze kilkanaście miesięcy było większą klęską niż sam wybuch, gdyby był w marcu zakończony, tego przewlekania nie są winni twórcy ruchu, na których przecież potępienie wyłącznie rzucają“.

P. Koźmian potwierdza w zupełności a w sposób może jeszcze bardziej stanowczy, twierdzenie p. Szczepańskiego: Kiedy w Krakowie tworzył się komitet, o którym p. Koźmian mówi „my“, istniała jeszcze dawna przedpowstańcza organizacja Rady naczelnej i Ław we Lwowie i Krakowie. Komisarze tymczasowego Rządu Narodowego spostrzegłszy, że organizacja ta nie obejmuje szlachty, uznali konieczność poświęcenia tej organizacyi dla pozyskania szlachty. „To też — pisze p. Koźmian dalej — w porozumieniu z komisarzami, Rada naczelna Galicyjska stanęła na boku, oddając na usługi komisarzom swoją organizację. Wobec powstania komitetów narodowych i obywatelskiego działania, Rada rozwiązała się i złożyła swoją władzę w ręce komisarza Rządu Narodowego. Rzecz godna zapisania; po upadku Langiewicza ludzie z Rady naczelnej galicyjskiej oświadczyli się stanowczo za zakończeniem powstania. **A my to**, wobec widoków zewnętrznej pomocy, nie chcieliśmy już teraz tego zakończenia“ (str. 161, 162).

Komentarz byłby zbyteczny.

Dyktatura upadła dnia 19. marca, niespełna w miesiąc potem, dnia 12. kwietnia, nadeszła wiadomość o wydanym przez cara manifestie, zapowiadającym amnestyę pod warunkiem złożenia broni przed dniem 1. maja (starego stylu, więc naszego 13. maja) i obiecującym prowadzić dalej organizację Królestwa Polskiego, rozpoczętą przez Wielopolskiego.

P. Koźmian opowiada, że było to właśnie w niedzielę, że autor zeszedł się przed dwunastą godziną w redakcyi *Czasu* ze ś. p. A. Szukiewiczem, który go powitał depeszą o tym manifeście carskim.

„Spojrzeliliśmy na siebie, mierząc całą doniosłość tego faktu, od razu zrozumieliśmy, że znowu nadeszła jedna z tych chwil stanowczych, w których postanowienie rozstrzyga o przyszłości, lecz nie umieliśmy w pierwszej minucie ani nic powiedzieć, ani nic przedsięwziąć, coby nas samych zadowolniło i uspokoiło. Wtem drzwi się otwierają i wchodzi Adam Potocki i Henryk Wodzicki. Obaj ci znakomici ludzie wiedzieli już o amnestyi, obaj zapytali: co zamierzamy uczynić, i jakie *Czas* wobec amnestyi zajmie stanowisko?”

Przemawiali obaj za przyjęciem amnestyi i za oświadczeniem się *Czasu* w tym duchu i zachęcali p. Koźmiana — który wtedy był redaktorem — do napisania odpowiedniego artykułu. P. Koźmian odpowiadając, uznał ważność chwili, ale wyraził wątpliwość, czy *Czas* oświadczając się za amnestyą, a więc zaznaczając zupełną zmianę swego stanowiska, zostanie wysłuchanym, „czy nie narazi się tylko, występując bez poprzedniego porozumienia się z ludźmi i czynnikami, z którymi szedł dotąd zgodnie, na zupełne niepowodzenie, wyparcie się i odosobnienie, na zarzut samozwaństwa; w następstwie czego damy sobie wytrącić z rąk broń, jaką jest dziennik tego znaczenia, co *Czas*; konkludowałem, że przemówienie *Czasu* za amnestyą pozostanie najzupełniej bezskuteczne. Szukiewicz poparł mnie silnie. Wtedy Adam Potocki, w porywie tej pięknej wymowy, którą był obdarzony, zawołał: Na wasze głowy spadnie cała krew, która odtąd wylaną zostanie! — i wyszedł“.

Z Szukiewiczem nie doszedł p. redaktor do żadnego postanowienia. Szczęściem była to niedziela, numer nie wychodzi, następny wyjdzie dopiero w ponie-

działek wieczór, więc „w rannych godzinach poniedziałku można było jeszcze w jedną lub drugą stronę stanowczy napisać artykuł“. Wyszedł więc p. Koźmian na planty i ważył w duchu, co czynić, zwłaszcza, że z „grona krakowskiego“ tylko on jeden był wówczas w Krakowie, obaj przyjaciele jego wyjechali byli na wieś. Postanowił wreszcie zasięgnąć rady właściciela *Czasu*, Wincentego Kirchmajera, a postanowienie to tłumaczy p. Koźmian tak: „W zawodzie dziennikarskim potworną jest potrzebą, brać w rachubę, przy najważniejszej sprawie publicznej, wzgląd na dobro dziennika, nie zawsze na dobro materyalne, ale na jego wpływ i znaczenie. Stąd też w chwilach ważnych obowiązek poradzenia się właściciela, chociaż w tym wypadku liczyć mogłem także na wytrawny sąd polityczny, na rozum i rozsądek, które kazały na pierwszym miejscu stawiać dobro sprawy“.

Poszedł więc do Kirchmajera, i w rozmowie, która była „długą“ i „mozolną“, nie mogli dojść do konkluzji, gdy nagle pojawia się *deus ex machina*: depesza, która wybawia ich z kłopotu, zawiadamia bowiem o rozpoczętej akcji dyplomatycznej przez wysłanie do Petersburga not Francji, Anglii i Austrii. Postanowiono więc amnestyi nie przyjmować, nie doradzać zakończenia powstania, co też znalazło wyraz zaraz w nadzwyczajnym porannym dodatku *Czasu* z poniedziałku i w artykule wstępnym numeru wtorkowego.

Opowiadanie to (str. 111 do 116), które podaliśmy, posługując się przeważnie własnymi słowami autora, wołało było nie ujrzeć nigdy światła dziennego. To, o co się tu p. Koźmian oskarża, jest istotnie „potworne“.

Powiada autor, że w zawodzie dziennikarskim potrzeba w najważniejszej sprawie publicznej brać wzgląd na dobro dziennika, a dodaje, że to nie zawsze jest wzgląd na materyalne dobro, ale na

wpływ jego i znaczenie. Nie zawsze, a więc... A bo-
gdajby ta straszliwa nauka, jaką z tych słów starego dzien-
nikarza zaczerpnąć ma zastęp młodych pracowników, była
zamarła w piórze p. Koźmiana! Protestujemy z ca-
łej siły naszego, już przeszło 25 letniem do-
świadczeniem dziennikarskiem umocnio-
nego przekonania, protestujemy przeciwko
takiej moralności dziennikarskiej. Niech ją
sobie ma *Figaro* albo *N. Fr. Presse*, niech ją sobie mają
dzienniki wszystkich tych szczęśliwych narodów, które
mają państwowy byt i armie i skarby, nam, pozbawio-
nym bytu państwowego, nam, którym za całą moc pań-
stwową starczyć muszą charaktery, nam nie wolno
pozwalać sobie tego zbytku, aby mieć dziennikarstwo
niemoralne, bo „w najważniejszej sprawie publicz-
nej“ biorące wzgląd na dobro dziennika, czasem na
moralne, ale też czasem i na materyalne!

I to w jakiej sprawie? O drobną rzecz tu szło:
czy krew ma się lać dalej, czy nie...

Uznajemy talent i zręczność p. Koźmiana i bez
obłądy szczerze przyznajemy mu w tym względzie wyż-
szość nad nami tak, jak przyznajemy mu pierwszeństwo
przed nami w dłuższem doświadczeniu dziennikarskiem,
ale czujemy się obowiązany i uprawnionymi w inte-
resie sprawy odeprzeć z całym, na jakie nas stać obu-
rzeniem, ten fałsz, jakoby było potrzebą nawet w naj-
ważniejszej sprawie publicznej brać wzgląd na dobro
dziennika, nie zawsze materyalne! Dobrem dzien-
nika największem jest przeświadczenie, iż zawsze
i w każdej sprawie ma wzgląd tylko na dobro pu-
bliczne, narodowe, wzgląd kierowany własnem przekon-
aniem, bo dziennikarstwo u nas to służba pu-
bliczna, a gdyby chciało być czem innem, stanie się
trucizną...

Byli inni, którzy tak samo jak p. Koźmian i *Czas*
odrzucili amnestycę.

Uczynił to *Rząd Narodowy*. Ale członkowie jego żyli pod codzienną, nieustającą grozą cytadeli, Sybiru, szubienicy. Przyjmując amnestyę ratowaliby swoje osoby, odrzucając ją wiedzieli, iż głowy za to położyć mogą.

Odrzucili amnestyę powstańcy w oddziałach... Pamiętam — czytelnik wybaczy osobiste wspomnienie — jak w pięć dni po terminie korzystania z amnestyi i złożenia broni, w lesie pod Tuczapami, śląc kule w szeregi moskiewskie, z fantazyą, która nas nigdy nie opuszczała, wołaliśmy: macie amnestyę! Może to było studenckie, może lekkomyślne, ale tam była pierś na kule nastawiona i życie w grze tam było, więc może „wina“ zmazana.

Ale wy, którzyście w redakcyjnym gabinecie radzili nad tem, czy amnestya ma być przyjęta, czy odrzuconą, którzyście zdala od tej walki i od tej w Warszawie ciągłej grozy pochwylenia w tej „najważniejszej“ sprawie brali wzgląd na dobro dziennika, nie macie prawa potępiania dziś tego pokolenia, które na ofiarę było przeznaczonem i tę ofiarę spełniło.

Tak, jak nie mieliście prawa o owym pamiętnym dniu 12. kwietnia 1863 orzekać o przyjęciu lub odrzuceniu amnestyi. To prawo służyło wówczas jedynie *Rządowi Narodowemu*. Chcąc postępować lojalnie, należało nie uprzedzać jego postanowień. Wszak weszliście w stosunek z tym Rządem, wszak już wtedy, w kwietniu, ten stosunek był uporządkowany. Komitet Galicyi zachodniej miał wprawdzie „autonomię“, ale ta autonomia odnosiła się do przeprowadzenia organizacyi w Galicyi i do wysyłania oddziałów z Galicyi, a nie sięgała i sięgać nie mogła do sprawy, dla walczącego Królestwa tak doniosłej, jak odrzucenie amnestyi i dalsze prowadzenie walki albo przyjęcie jej i złożenie broni. Stosunki z Warszawą były wtedy codzienne, lojalność prosta nakazywała czekać, co powie Warszawa, co po-

wie Rząd Narodowy, który przecież uznaliście z chwilą, gdyście z nim weszli w stosunek.

Ale p. Koźmian nie poczuwał się do tej lojalności. Wszak powiada (str. 188), że „nasze“ przystąpienie do *Rządu Narodowego* było „osobistem upokorzeniem“. Jakże łatwo było, młodemu, stosunek swój do powstania tak ułożyć, aby w niem nie było osobistego upokorzenia: karabin do ręki i — marsz!

Przystąpiwszy do akcji powstańczej z uczuciem „osobistego upokorzenia“, p. Koźmian źle i nieszczerze służył temu Rządowi Narodowemu, który uznał, skoro wszedł z nim nie w jakieś luźne tylko stosunki, ale z rąk tego Rządu przyjął nominację. W trzecim tomie „Materiałów do Historji powstania“ na str. 37 pod liczbą dokumentu 30, znajdujemy dekret Rządu Narodowego (Wydziału prasy) do komisarza w Krakowie ustanawiający biuro korespondencyjne i telegraficzne. Z dekretu tego dowiadujemy się, że Rząd Narodowy „urządzenie pomienionego biura powierzył obyw. Brzeskiemu, który wspólnie z obyw. Koźmianem, pod zwierzchnim kierunkiem komisarza rządowego, zająć się ma bezzwłocznie doprowadzeniem do skutku danego mu polecenia“. Dekret ten nosi datę 1. lipca 1863 roku.

Sam p. Koźmian pisze o swej nominacji w sposób, który wskazuje, że nastąpiła ona wcześniej i opiewała inaczej, z czego wynikałoby, iż polecenie pomagania Brzeskiemu w organizacji biura korespondencyjnego i telegraficznego w Krakowie, wydanem było p. Koźmianowi jako już urzędnikowi Rządu Narodowego, i było tylko dodatkowem poleceniem do wydanej poprzednio nominacji. Na str. 185 pierwszego tomu dzieła p. Koźmiana czytamy: „Jednocześnie z mianowaniem ks. Czartoryskiego agentem na zagranicę, odebrałem nominację od Rządu Narodowego, którego składu nie znałem, na agenta dyplomatycznego z siedzibą w Krakowie z poleceniem podjęcia i nadal czynności, które od dawna zbyt

skwapliwie spełniałem“. Jeżeli ta nominacja nastąpiła równocześnie z ks. Czartoryskim, to stało się to najpóźniej 15. maja 1863 roku. Komitet centralny „jako Rząd Narodowy“, pod datą 28. kwietnia zawiadamia księcia, że „ma zamiar przesłać J. O. księciu nominację na pełnomocnika sprawy narodowej za granicami Polski“. (Materiały, Tom V. str. 178); zaś pod datą 15. maja „Rząd Narodowy — Wydział spraw zagranicznych — zawiadamia J. O. księcia Władysława Czartoryskiego, że w dniu dzisiejszym zamianował go głównym swym pełnomocnikiem dyplomatycznym przy rządach Francyi, Anglii, Szwecyi i Turcyi“. (Materiały tom V. str. 185). Czy ta pierwsza nominacja p. Koźmiana równoczesna z nominacją ks. Czartoryskiego, a więc wydana w maju, opiewała istotnie na „agenta dyplomatycznego z siedzibą w Krakowie“, czy pamięć nie zawodzi tu p. Koźmiana, trudno tu sprawdzić, a dziwnem się wydaje, co miał robić agent dyplomatyczny wśród swoich w Krakowie, a nie n. p. w Wiedniu. W każdym razie to niewątpliwe, że już wówczas w maju p. Koźmian był urzędnikiem Rządu Narodowego. „Nominacja — pisze na str. 186 — opatrzona była pamiętną, a nieuniknioną pieczęcią; w zamian za nią żadnego odemnie nie żądano zobowiązania ani przysięgi (szkoda!). Temi samemi względami powodowany, co moi przyjaciele i co ks. Czartoryski, włożyłem nominację do kieszeni i prowadziłem dalej rozpoczętą czynność, z tą różnicą. iż teraz znosić się musiałem z Rządem Narodowym warszawskim“.

Autor stawia się tu obok księcia Czartoryskiego, niesłusznie. Postępowanie księcia było wobec Rządu Narodowego nawskróś lojalne i prawidłowe. Czuł się i uznawał pełnomocnikiem i urzędnikiem tego Rządu, poddawał się jego poleceniom nawet wtedy, gdy one księciu mogły być przykre, jak n. p. kiedy mu Rząd polecił współdziałać z Ordega, należącym do politycznych przeciwników księcia, do wybitnie demokratycz-

nego obozu emigracyjnego. Jeżeli księciu jakie zarządzenia Rządu wydawały się niebezpiecznymi lub wręcz szkodliwymi dla tej akcji dyplomatycznej, którą książę prowadził i którą się łudził, to czynił przedstawienia, ale nie podnosił buntu, nie krzyżował działań. Słowem cała dyplomatyczna korespondencya księcia z Rządem Narodowym i jego Wydziałem spraw zagranicznych (Materiały tom V.) świadczy o prawdziwie obywatelskiem, zupełnie lojalnem pojmowaniu obowiązków pełnomocnika Rządu.

Ale p. Koźmian, skoro „włożył do kieszeni“ swoją nominację, uważał się jako potęga, działająca obok Rządu, a gdy mu się zdawało, także i przeciw Rządowi.

„Przypominam sobie — pisze na str. 394 — że, nie pamiętam już w którym czasie, uznając szkodliwość wielką przyjętego chwilowo kierunku, czy też samowolnego Rządu Narodowego, powstaliśmy przeciw niemu, a gdy nie mogliśmy uzyskać zadośćuczynienia, oświadczyliśmy, że usuwamy się i przestaliśmy przez dni kilka zasilać zagranicę wiadomościami o powstaniu. Nastąpiła w Europie zupełna o powstaniu w Polsce cisza; ustało powstanie dla Europy; zniewoliło to do ustępstw w rzeczy o którą szło“.

Oto mamy najlepszy dowód, jak ci panowie pojmowali swój stosunek do Rządu Narodowego i do powstania! Mówią tyle o anarchii, samo powstanie i jego Rząd zawsze tem mianem obrzucają, a sami podwójnie byli anarchistami, bo przystąpili do sprawy, którą w swoim przekonaniu za anarchię uznali, a powtóre stali się czynnikiem anarchicznym w samej powstańczej organizacyi.

Kilkakrotnie w toku swego opowiadania przyznaje się p. Koźmian do tego, że z biura krakowskiego wysyłał do europejskich pism kłamliwe wieści o powstaniu, przedstawiając w przesadnem świetle jego powodzenia. Na str. 76 pisze: „Przedstawiać powodzenia, najczę-

ściej urojone powstania, a oczyszczać wypadki i Rząd Narodowy z cech rewolucyjnych i demagogicznych, a zarazem wystawiać postępowanie rządu i władz rosyjskich w najgorszym świetle, stało się zadaniem tego biura; stąd powstały czasem bitwy i polityczki telegramowe i nie wolne od przesady obrazy". A na str. 87: „Pamiętam, że podczas gdy byłem w Hotelu Lambert, nadszedł z Krakowa telegram donoszący o znacznym zwycięstwie oddziału powstańczego nad wojskiem rosyjskiem; Klaczko, odczytawszy mi go, zapytał, czy to być może? O tak — odparłem — skoro nie ja wysłałem telegram“.

Po tem przyznaniu się p. Koźmiana, rozumiemy, na jakiej podstawie ludzie z jego szkoły politycznej, jego przyjaciele, zawsze o powstaniu, o Rządzie Narodowym, o organizacyi przez nich systematycznie spiskiem nazywanej, pisali i głosili, że się to wszystko na kłamstwach opierało! Pisali tak i mówili, bo pamiętali, że sami tych kłamstw byli autorami. Ale czego nie napisali nigdy, czego i p. Koźmian nie napisał teraz, kiedy z taką pozorną szczerością uderza się w piersi i do winy przyznaje, to, że szerząc kłamstwa o powstaniu działali wbrew intencyom, a nawet wbrew wyraźnym rozkazom i instrukcyom tego Rządu Narodowego, którego urzędnikiem był p. Koźmian.

Oto w trzecim tomie „Materyałów“ (str. 37 do 39, numer dokumentu 31) znajduje się instrukcyja dla biura prasowego wydana przez Wydział prasy Rządu Narodowego, a datowana 1. lipca 1863, a zatem tego samego dnia, kiedy wyszło polecenie do pp. Brzeskiego i Koźmiana, ażeby zorganizowali biuro telegraficzne i korespondencyjne. W instrukcyi tej czytamy w art. 11:

„W korespondencyjach należy przede wszystkim unikać podawania fałszywych wiadomości, niepewne zaś określać jako „*gerüchtweise*“, odwołanie bowiem późniejsze tychże lub fak-

tyczne zaprzeczenie ze strony Moskwy, osłabia wogóle powagę wiadomości podanych przez dziennik“.

Tak opiewa instrukcja prasowa, wydana przez Rząd Narodowy. Jeżeli więc p. Koźmian wysyłał w świat depesze z „potyczkami telegramowemi“, jeżeli kłamliwymi wiadomościami zasilał dzienniki, to działał wbrew instrukcyi Rządu Narodowego, działał jak urzędnik nie pomny swoich obowiązków, do których w pierwszym rzędzie należy stosować się do poleceń i instrukcyj, przez władzę wydanych. Albo się nie przyjmuje nominacyi z „nieuniknioną pieczęcią“, albo, przyjąwszy ją, należało potem obowiązki spełniać ściśle i sumiennie, jak to czynił ks. Czartoryski. A gdy się już nie umiało wznieść na ten prawdziwie wyższy poziom pojmowania obowiązków, to nie miało się najmniejszego prawa, później przez całe lata trzymać i głosić o powstaniu i jego Rządzie tego wszystkiego, co p. Koźmian i jego przyjaciele głosili. Nie miało się prawa mówić i pisać o „niemoralnych środkach“ o „fałszach i kłamstwie“, skoro ci wielcy sędziowie powstania sami używali tych środków wbrew zamiarom Rządu tego powstania, nie miało się prawa mówić o „anarchii“, skoro oni sami w powstaniu na każdym kroku jak anarchiści postępowali.

I może też lepiej było zaoszczędzić społeczeństwu polskiemu tej nauki, jaką mu daje p. Koźmian, kiedy na str. 76 pisze, że „złymi środkami dopomódz można rozumnym przedsięwzięciom, bezrozumnych zaś nie zbawia się nimi, a pozostaje tylko upokarzające wspomnienie ich użycia“, i może lepiej było zamiast tego potępić używanie złych środków w ogóle, bez względu, czy te złe środki mają służyć rozumnemu czy bezrozumnemu przedsięwzięciu. Wszak każdy swoje przedsięwzięcie uznaje rozumnem i w ten sposób każdy może w owem orzeczeniu p. Koźmiana znaleźć usprawiedliwienie użycia złych środków!

W uwagach wstępnych wspomnieliśmy już, jak małą jest wartość książki p. Koźmiana jako historycznego źródła. Odnosi się to zarówno do pierwszego jak i drugiego tomu. „Opowiem — powiada autor w pierwszym rozdziale, jak pamiętam i jak mi jest wiadomym przebieg wypadków“. To też na pamięć swoją przeważnie się spuszcza, a ta go nieraz zupełnie zawodzi. Oświadcza z góry, że nie pisze historii powstania roku 1863, bo „znamię tej epoki i jej karą będzie, że znajdą się jej historycy, lecz historii swej mieć nie będzie“. Po takim werdykcie czuł się już zwolnionym od wszelkich obowiązków ścisłości, jakie ciążyą na autorze, piszącym tak obszernie o ważnych historycznych wypadkach i wydającym o nich sądy pełne pretensyi do nieomyślności. A wszak głównym jego obowiązkiem było zapoznać się ze źródłami i opracowaniami i sprawdzić fakty, o których pisze. P. Koźmian trudu tego nie raczył się podjąć, a w książce jego liczne mamy dowody na to, że n. p. do pięciu tomów „Materyałów“ ani zajrzał.

Pisząc n. p. o zamordowaniu radcy Kuczyńskiego we Lwowie, powiada, że „*Czas* z 1. listopada 1863 roku zapewniał, nie pamiętam czy zgodnie z rzeczywistością, czy dla zasłonięcia Rządu Narodowego, iż otrzymał drukowaną odezwę od tegoż rządu, w której oświadczał, że morderstwo na Kuczyńskim popełniono bez jego wiadomości, że Kuczyński przez sąd narodowy ani sądzonym, ani skazanym nie był, że wreszcie w Galicyi nigdy nie było ani nie ma trybunału rewolucyjnego“ (str. 200). Nie pamięta więc p. Koźmian, czy doniesienie *Czasu* o tej odezwie jest „zgodne z rzeczywistością“. Gdyby sobie był zadał choć trochę trudu, żeby pamięci swej przyjść w pomoc, byłby w tomie II. „Materyałów“, wydanym jeszcze w roku 1890 na str. 184 i 185 znalazł odezwę komisarza pełnomocnego Rządu Narodowego, w której czytamy, że „zaden Trybunał rewolucyjny w Galicyi z ramienia Rządu

Narodowego nie istniał i nie istnieje, że radca Kuczyński przez Trybunał rewolucyjny w Warszawie ani sądzony ani skazany nie był, a zatem popełniono na jego osobie prywatne zabójstwo; stało się to bez wiedzy Rządu Narodowego i władz, przez Rząd ustanowionych". Odezwa zatem, której istnienie p. Koźmian podaje w wątpliwość, była rzeczywiście wydana i znana jest każdemu, kto sięga do źródeł. Gdyby p. Koźmian był sobie zadał jeszcze trochę więcej trudu i zasięgnął informacji od osób, które wtedy były czynne we Lwowie, byłby się dowiedział, że zamordowanie Kuczyńskiego było dla wszystkich ówczesnych organów Rządu Narodowego zupełną niespodzianką i że jednomyślnem wszystkich przekonaniem było i jest dotąd, iż zamach ten został przez niewiadomego dotychczas sprawcę zupełnie na własną rękę wykonany. Do tych wyników byłby musiał autor dojść, gdyby był sięgnął do źródeł. A byłby też uniknął takich mniejszych pomyłek, których w książce pełno, jak n. p. ta, że dwoma oddziałami, które łącznie z oddziałem Wysockiego i pod jego naczelnem dowództwem wkroczyły na Wołyn, dowodzili Horodyski i Gołuchowski, ten trzeci bowiem oddział, który nawet wcale nie był w boju, był pod dowództwem nie Gołuchowskiego, lecz Miniewskiego („Materyały“, Tom II. str. 8 i nast.). Gdyby był zajrzał do źródeł, byłby sobie może przypomniał, że myli go pamięć co do szczegółów rozmowy z Langiewiczem, co mu już w *Przeglądzie Poznańskim* wykazał p. Bartoszewicz. Twierdzi p. Koźmian (str. 63), że Langiewicz „oświadczył mi peremptorycznie, że za parę dni oczyści Krakowskie z Moskali, że nie potrzebuje się ich obawiać, że przeciwnie szukać będzie z nimi spotkania, i że jest pewnym zwycięstwa“. Tymczasem Langiewicz, w liście podanym w broszurze J. N. Janowskiego „Moja korespondencya z ks. Wład. Czartoryskim“ pisze:

„Czułem i wiedziałem, że jak cała moja służba krajowa, tak i przyjęcie dyktatury było z mej strony ofiarą.

Wiedziałem bowiem i publicznie to wypowiedziałem, że Moskwa takie siły zgromadzi, tak często obóz dyktatorialny będzie atakować, iż go musi zniszczyć. Wiedziałem, że mój tak zaprawiony w boju hufiec, tak mozolnie zebrany i utrzymany, tak zbratany ze mną biedą i bojami, prowadzę na niezawodną zagładę i że moją reputację wojskową skompromituję.

Jakże mógł dyktator, który takie zdanie publicznie wypowiedział, oświadczyć p. Koźmianowi, że szukać będzie spotkania z Moskalami i że jest pewnym zwycięstwa? To też i my zgodnie z p. Bartoszewiczem „więcej wierzymy Langiewiczowi“ niż p. Koźmianowi. I znowu twierdzimy, że gdyby autor nie był się opuszczał na swoją pamięć, ale zadanie swe nieco poważniej pojął i do źródeł zajrzał, i odczytał tak ważny dokument, jakim jest list dyktatora, byłby sprostował omyłkę swej pamięci i nie byłby Langiewicza przedstawił w zupełnie nieprawdziwym świetle.

Pamięć zawodzi p. Koźmiana do tego stopnia, że w ciągu pisania zapomina nieraz co napisał poprzednio, stąd też sprzeczności i niekonsekwencji w tej książce mnóstwo. O zachowaniu się grupy krakowskiej wobec powstania zdecydował ów szyfrowany telegram z Hotelu Lambert, odwołujący pierwotne instrukcje, dane kuryerowi G. F. Tak opowiada p. Koźmian na str. 24 i następnych tomu pierwszego. Jakoż zaraz potem konserwatyści krakowscy „przystępują“ do powstania a nawet starają się niem zawładnąć, skoro w dyktaturze nadają mu nową formę rządu. P. Koźmian nawet jedzie do dyktatora i udziela mu swych rad, między którymi istotnie humorystyczne wrażenie robi rada, aby dyktator „starał się trwać i unikał rozbicia“. To przystąpienie konserwatystów do powstania dzieje się zaraz po 16-tym lutego, po owej szyfrowanej depeszy. A na str. 69 pisze p. Koźmian: „Między doniesieniami o misji ks. Metternicha (do Wiednia), a dokładną wiadomością o jej skutku, upłynęło dość czasu, aby wtrącić grono

krakowskie w wir powstania i aby przyłożyło rękę do zgubnego działania, które wczoraj potępiało“. Cóż więc zdecydowało o zachowaniu się grona krakowskiego? Czy depesza z 16. lutego, wywołana konwencją prusko - rosyjską i zmianą, jaka zapowiadała się na dworze paryskim na korzyść powstania, czy też późniejsza misya ks. Metternicha? Zdawałoby się, że pierwsze, skoro, jak p. Koźmian na str. 49 stwierdza, dnia 9. marca cesarz Napoleon zavezwał ks. Metternicha do siebie i zażądał od niego, aby się udał do Wiednia, a dnia 9. marca krakowscy panowie tak już byli „w wir powstania“ wciągnięci, że już byli zdecydowali utworzenie dyktatury.

Na str. 83 czytamy, że ksiązę Czartoryski w rozmowie, jaką miał z cesarzem Napoleonem bezpośrednio przed przybyciem p. Koźmiana do Paryża, zapytał cesarza: „Czy najjaśniejszy Pan mniemasz, że trwanie powstania jest jeszcze potrzebnem? Tak jest, odparł cesarz, i nawet upoważniam do powiedzenia że tak“. Bardziej kategorycznej odpowiedzi chyba cesarz dać już nie mógł. P. Koźmian jednak zaraz na str. 91 pisze: „Co się tyczy *durez*, trwajcie, które przeważny wpływ wywarło na polskie wypadki i nasze zachowanie się, nie zostało ono przez cesarza wypowiedziane rozkazująco“.

Obok owego *durez!* w radach udzielanych z Paryża, bardzo ważną rolę odgrywało rozszerzenie *l'extension*, powstania. O tem pisze p. Koźmian na str. 90, że Ludwik Wodzicki „twierdzi, iż słyssał, tylko nie pamięta, czy z ust Walewskiego, czy Mocquarda, o potrzebie trwania i rozszerzenia powstania, *la durée et l'extension*“. Otóż jeżeli Wodzicki nie pamięta, z czyich ust to słyssał, Walewskiego czy Mocquarda pytamy, skąd p. Koźmian na str. 41 i 42 bierze dosłowną treść i to w oryginale francuskim, odnoszących się do tego słów obu tych mężów stanu? Czytamy tam, że minister stanu Walewski, powiedział Wodzickiemu „*faites*

durez et faites élargir les limites de l'insurrection“ starajcie się o trwanie powstania i o rozszerzenie jego granic, a zaraz potem sekretarz i najzaufańszy powiernik Napoleona III. Mocquard powiedział Wodzickiemu z większym jeszcze naciskiem: *étendez l'insurrection territoriale, car cela peut infleur sur les limites, dans lesquelles la reconnaissance des droits nationaux sera exigée et comprise*“ „rozszerzcie terytoryalnie powstanie, gdyż może to wpłynąć na rozmiary, w których żądaniem i objętem będzie uznanie praw narodowych“. Skądże w czytelniku ma się wziąć wiara w te dosłowne cytaty rozmów, skoro sam Wodzicki, który te rozmowy prowadził, nie „pamięta?“.

Opuszczając się na swoją pamięć, która — jak wykazaliśmy — tak łatwo autora zawodzi, puszcza się p. Koźmian czasem na tak ryzykowne twierdzenia jak to n. p., że wrześniowy Rząd Narodowy „przysłał wzór mundurów dla narodowej służby cywilnej w Galicyi“ (str. 225). Jest to po prostu wymysł, lichy koncept tendencyjny dla ośmieszenia Rządu Narodowego. Nie spotkaliśmy nikogo, kto by coś podobnego mógł sobie przypomnieć, a byłaby przecież ta jaskrawa niedorzeczność komukolwiek prócz p. Koźmiana utkwiała w pamięci. Ani w pamiętnikach, ani w dokumentach, ani w odpowiedziach licznych osób, które o to zapytywaliśmy, nie mogliśmy śladu tych „mundurów dla służby cywilnej“ odgrzebać. A po takich próbkach braku ścisłości w podawaniu faktów, musimy też z wielkiem niedowierzaniem przyjąć wiadomość o rzekomych wyrokach śmierci, wydanych przez Rząd Narodowy, czy przez jego Trybunał rewolucyjny na Ludwika Wodzickiego i na p. Stanisława Koźmiana i nie uwierzmy w nie, dopóki nie znajdziemy potwierdzenia w innych, poważniejszych źródłach.

Nie podaliśmy w naszym sprawozdaniu całego toku opowiadania p. Koźmiana, a to z dwóch powodów: na-przód dlatego, że ten tok opowiadania jest do najwyż-

szego stopnia nieporządny, bałamutny, nie pozwalający dobrze uchwycić wątku opowiadanych wypadków, a powtóre, że jak wykazaliśmy, źródłowa podstawa tego opowiadania jest bardzo słaba. Jedną wszakże wartość ma niewątpliwie książka p. Koźmiana, odsłania bowiem w sposób zupełnie jasny, jak łatwowiernie, bez krytyki, bez dokładnego rozpoznania sytuacji, nasi „rozsądni“ dali się wodzić na paryskim pasku. Ta dyplomacya nasza umiała tylko przyjmować hasła z Paryża i ślepo niemi się kierować, nie przewidziała niczego, nie wpłynęła na nic. Jedzie do Paryża Ludwik Wodzicki, wraca z samą tylko zachętą bez żadnych pozytywnych przyrzeczeń. Jedzie Popiel Paweł, który, jak pisze p. Koźmian, „raczej o zbytnią wstrzeźliwość niż o nierozwagę mógł być oskarżonym“ i wraca znowu z samą tylko zachętą bez stanowczych przyrzeczeń i zobowiązań ze strony tych, którzy zachętę dawali i na podstawie tej zachęty rozwija projekt pospolitego ruszenia szlachty. Jedzie p. Koźmian, rozmawia z francuskimi mężami stanu, odnosi „przykre, nawet przygnębiające wrażenie“ z rozmowy z Walewskim, w którym dostrzegł „niepewność, a nawet cień zakłopotania, jakby poczucie narażonej osobistej odpowiedzialności“ doznaje od cesarza Napoleona odmowy na prośbę o audyencyę, ponieważ „zanadto mi boleśnie widzieć się teraz z Polakami“, a mimo to trwa jeszcze dalej w nadziei obcej pomocy i pozostaje wierny hasłu danemu w Paryżu, przewlekania powstania! Odrzuca w *Czasie* amnestyę, propaguje w tem piśmie myśl podania się do dymisyi członków warszawskiej Rady stanu i członków Rad powiatowych i gubernialnych, trwa w tej polityce dalej, nawet wtedy, gdy mocarstwa schowały w kieszeń imperytencką odpowiedź ks. Gorczakowa na ich noty w sprawie polskiej i zakończyły dyplomatyczną interwencyę, nie otwierając żadnej nadziei na jedynie skuteczną interwencyę wojenną. Za wszelkie gwarancye, nawet za wszelkie rozumowanie własne, starczyły im

pólsłówka i różne niedopowiedzenia cesarza Napoleona, w którego ręce ze ślepej ufnością złożyli los całej sprawy. A przecież jasnym było, a przynajmniej dla „rosądnych“ i dla biura Hotelu Lambert, mającego swoją długą tradycję dyplomatyczną, p o w i n n o b y ł o być jasnym, że cesarz Napoleon sam, gdyby najlepsze miał chęci, nic zrobić nie może, że polityka obcej pomocy mogła być urzeczywistniona tylko przy czynnym udziale najbliższego i najbardziej bezpośrednio interesowanego sąsiada, Austrii. Wiedeń zaś, jak się dowiedzieć można z dzieła Klaczki, przez cały ciąg rokowań żądał gwarancji dla siebie, a jako najbardziej narażony żądać musiał. W tych przez Austrię żądanych rękojmiach, był węzeł całej kwestyi, a cesarz Napoleon, jeżeli naprawdę i szczerze chciał coś zrobić dla Polski, jeżeli owe od niego i od jego ministrów wydawane hasła trwania i terytoryalnego rozszerzenia powstania miały jakiegokolwiek pozytywne znaczenie, a nie proste tylko kokietowanie Polaków, powinien był w tym kierunku całą wyteńczyć usilność. Nasza zaś dyplomacya, która ze ślepa wiarą przyjmowała wszystko, co wychodziło z Paryża a prawie zupełnie zaniedbała Wiedeń i Londyn, złożyła tem dowód, iż w chwili potrzeby nie umie stanąć na wysokości swego zadania. Prawda, że w całej tej grze dyplomatycznej największym winowajcą dyplomatycznym była Anglia, która od początku postępowała zupełnie nieszczerze, przeszkadzała zgodnemu działaniu mocarstw, raz wrywała się na własną rękę, to znowu w chwili stanowczej odmawiała współudziału.

Całego tego, bardzo ciekawego przebiegu akcyi dyplomatycznej, czytelnik nie dowie się z książki p. Koźmiana, nie uchwyci jej wątku, a znajdzie tylko porozrzucone po całej książce luźne epizody tej akcyi, osobiste wspomnienia o różnych rozmowach, których treść nawet dosłownie przytoczona nie bardzo jednak wydaje się wiarygodną po tem, cośmy poprzednio po-

wiedzieli o rozmowach Wodzickiego z Walewskim i Mocquardem. To tylko jasne: ślepa, lekkomyślna wiara w Napoleona i stosowanie całej akcji „rozsądnych“ do tego, co im ta wiara dyktowała. A to tak dalece, że kiedy już znikła była wszelka możność prowadzenia poważnej akcji zbrojnej i zasilania jej z Galicji, pozostającej w stanie oblężenia, kiedy w Warszawie z uwięzieniem Traugutta padła ostatnia rzeczywista władza powstańcza, p. Koźmian wraz ze swoimi „rozsądnymi“ oczekiwał jeszcze rozkazów Napoleona. Dopiero dnia 18. kwietnia cesarz przyjął ks. Czartoryskiego, „aby mu oświadczyć, że wszystko w sprawie polskiej skończone i wyraźnie a stanowczo zalecił zaniechanie powstania“. I wtedy „grono krakowskie usunęło się od wszystkiego“ (str. 243). Usunęło się w chwili, gdy już wszystko było skończone, gdy w Warszawie po uwięzieniu Traugutta, nie było już żadnej władzy powstańczej, gdy organizacja rozpraszała się, a jeżeli jeszcze od czasu do czasu pojawiła się jakaś odezwa z podpisem „Rząd Narodowy“, to była ona tylko bezsilnem i zgoła niepotrzebnem ratowaniem pozorów, kiedy istota rzeczy dawno już była straconą, a na polu walki już tylko tu i owdzie jakiś spóźniony a rozpaczliwy strzał się odzywał. W tej chwili oświadczenie panów krakowskich, że się usuwają od wszystkiego, było bezprzedmiotowe, bo nie było już od czego się usuwać, było bez znaczenia, bo czy się usunęli, czy nie, wpływu to na dalszy tok wypadków mieć nie mogło. Naród już bezbronny, a przez tak zwaną Europę opuszczony, rzucony był na pastwę srogiej zemsty nieprzyjaciela, zemsty, trwającej po dzień dzisiejszy...

Wtedy też zadaniem wszystkich „szalonych“ czy „rozsądnych“ było: nie dać wziąć górę rozpacz, kość rany, a nie drażnić, skupiać wszystko do pracy, a nie dzielić, nie stwarzać w narodzie nieprzebytych przepaści, wskazywać drogi na przyszłość ale nie rzucać potępieniem, szyderstwem, potwarzą, na świeżo zakończoną

tragedyę i na jej krwawe ofiary. I tu się zaczyna szereg dalszych win i błędów „rozsądnych“... Ale nie uprzedzajmy tego, co nam p. Koźmian opowie w trzecim tomie swej pracy, który ma być poświęcony działaniu „rozsądnych“ po powstaniu, a kończąc rzecz naszą o pierwszych dwóch tomach, streszcmy pokrótce wynik naszego o nich sprawozdania.

* * *

Książka p. Koźmiana nie jest historią ruchu narodowego lat sześćdziesiątych. Nazwa „Rzecz o roku 1863“ jest większą niż treść książki, która raczej powinna była być zatytułowana: „Udział konserwatystów krakowskich a szczególnie p. Koźmiana i jego przyjaciół w powstaniu roku 1863“. Historyczna i źródłowa wartość książki prawie żadna, z dzieła Klaczki, z „Materyałów do historii powstania“, z kilku monografij zaczerpnie czytelnik o wiele więcej i bardziej wiarygodnych wiadomości. Dążność polityczna, przedstawiona i rozwinięta w pierwszym rozdziale drugiego tomu, wręcz zgubna, bo stawia jako program wyrzeczenie się idei państwowej, idei niepodległości dla ratowania „bytu narodowego“, którego istoty autor nie określa. Sąd zaś autora o wypadkach, a sąd ten, jak widzimy z pierwszego rozdziału pierwszego tomu, był głównym celem książki, do najwyższego stopnia stronniczy, niesprawiedliwy i płytki.

Nie było powstanie, jak chce przedstawić p. Koźmian, robotą „szalonych“ konspiratorów i agitatorów, było sumą i wynikiem całego szeregu faktów historycznych, które do niego doprowadzić musiały.

Ćwierćwiekowy ucisk mikołajowski doprowadził naród do prawdziwie rozpaczliwego przygnębienia.

Śmierć Mikołaja, objęcie rządów przez nowego cara, poprzedzonego opinią wolnomyślności, wiadomość iż podczas kongresu paryskiego wywarto na Rosyę nacisk w kierunku ulg narodowych dla Polaków i uzyskano pewne przyrzeczenia, rozbudza nadzieje Polaków.

Młody car doznaje entuzjastycznego przyjęcia ze strony całej bez wyjątku ludności Warszawy, szlachta polska garnie się do niego, konserwatyści próbują wnieść memoryały i adresy z przedstawieniem życzeń kraju, słowem: Królestwo samo wchodzi na zalecaną mu dziś przez p. Koźmiana drogę kompromisu z zaborczym rządem.

Car odrzuca kompromis, adresów nie przyjmuje, dążenie do narodowych praw nazywa marzeniem, które każe odrzucić, zapowiada „srogość“, chociaż jeszcze nikt winy żadnej nie poniósł, naród mimo to trwa na drodze legalnej, zachowuje się spokojnie, czeka trzy lata.

Wybuchła wojna włoska, pierwsze czynne a z zwycięskie podniesienie przez Napoleona idei narodowości, ruch narodowościowy podnosi się w całej Europie, Austria wchodzi na drogę konstytucjonalizmu i uznania praw narodowych, ruch z konieczności udziela się Polakom pod zaborem rosyjskim.

Rząd carski mimo to nie wchodzi na drogę ulg i kompromisu z narodem, który uważa jako podbite, niewolnicze plemię, skutkiem tego rozdrażnienie wzrasta, lud warszawski wychodzi na ulicę dla zmanifestowania poczucia praw narodowych, pierwsza krew bezbronnych zbracza ulice Warszawy.

Rząd przerażony tą krwią, cofa się, oddaje część swej władzy w ręce ciała na pół reprezentacyjnego, powstałego na skrwawionym bruku stolicy, uznaje przez to i siłę i prawo narodu, dotąd ciemzonego.

To zwycięstwo „ulicy“ staje się też pośrednio zwycięstwem głównego reprezentanta polityki kompromisowej, carat późno nieco przychodzi do przekonania, że

trzeba kraj uspokoić przez częściową przynajmniej reformę jego administracji.

Do rządu wchodzi Wielopolski i przynosi tam ze sobą niedostateczne, częściowe reformy, ale z nimi razem wnosi do rządu swoją olbrzymią niepopularność, swoją nieograniczoną pychę, swoją fatalną maksymę, iż „z Polakami nic dla Polaków dobrego zrobić nie można, tylko bez nich“.

Zaczyna też rządy swoje od aktu, który był pierwszym jego wielkim błędem, który wszystkich przeciw niemu oburzył i który sprawił, że od tej chwili stanął po jednej stronie Wielopolski sam, po drugiej kraj cały, od rozwiązania Towarzystwa rolniczego.

Następstwem tego błędu była manifestacja 8-go kwietnia, stłumiona w strumieniach krwi. Cała opinia w Polsce, nie wyjmując bliższych margrabiego przyjaciół, zwraca się przeciw niemu. Cały bez wyjątku konserwatyzm polski staje wraz z partją ruchu przeciw Wielopolskiemu. *Czas*, reprezentujący opinię tak zwanych „rozsądnych“, czyni wszystko, co tylko dziennik uczynić może, ażeby stanowisko margrabiego podkopać, trwa w tej polityce do samego wybuchu powstania, podsyca ruch.

Wreszcie margrabia ucieka się do nielegalnego środka wyjątkowego poboru wojskowego, doprowadza do rozpaczliwej zagrożonej tym poborem młodzieży i przyspiesza przez to wybuch powstania, bez należytych przygotowań.

Konserwatyści — „rozsądni“ — przerażeni wypadkiem, do którego sami swoim kilkoletnim postępowaniem w wysokim stopniu się przyczynili, nie wiedzą, co robić. Przez trzy tygodnie wahają się między potępieniem powstania a wzięciem w niem udziału, i czekają hasła z Paryża! Tymczasem krew płynie, a krew to dziwny sok! Wśród konserwatystów samych zaczynają niektórzy już mówić o „popieraniu“ powstania. Wreszcie konwencja prusko-moskiewska wypro-

wadza gabinet paryski z dotychczasowej obojętności wobec sprawy polskiej. Z Paryża wychodzi hasło: „wytrwajcie!“ Konserwatyści idą na to hasło, przystępują do powstania, i oni, którzy wczoraj jeszcze myśleli, jakby to powstanie potępić, teraz starają się niem o władnąć i z największą szkodą dla powstania samego i z najgubniejszymi skutkami dla dalszych losów narodu istotnie na przebieg sprawy wpływ wywierają. Stwarzają dyktaturę, której nieunikniony upadek był pierwszym wielkim ciosem, paraliżującym zapał walczącego narodu. Wydają hasło „przewlekania“, które przeszkadza rozwinięciu większych sił i większej energii, zamienia walkę w zbrojną demonstrację, wprowadza do niej czynnik demoralizacji żołnierzy i wodzów. Przyjmując dane z Paryża hasło „rozszerzenia granic powstania“, najniepotrzebniej przenoszą walkę na Ruś, rozpraszają siły zamiast je skupić wszystkie w Królestwie...

W ten sposób dla tego powstania, do którego swoim kilkoletniem postępowaniem w wysokim stopniu się przyczynili, ich przystąpienie stało się arcyszkodliwym, a co najważniejsza: rozszerzyli rozmiary klęski.

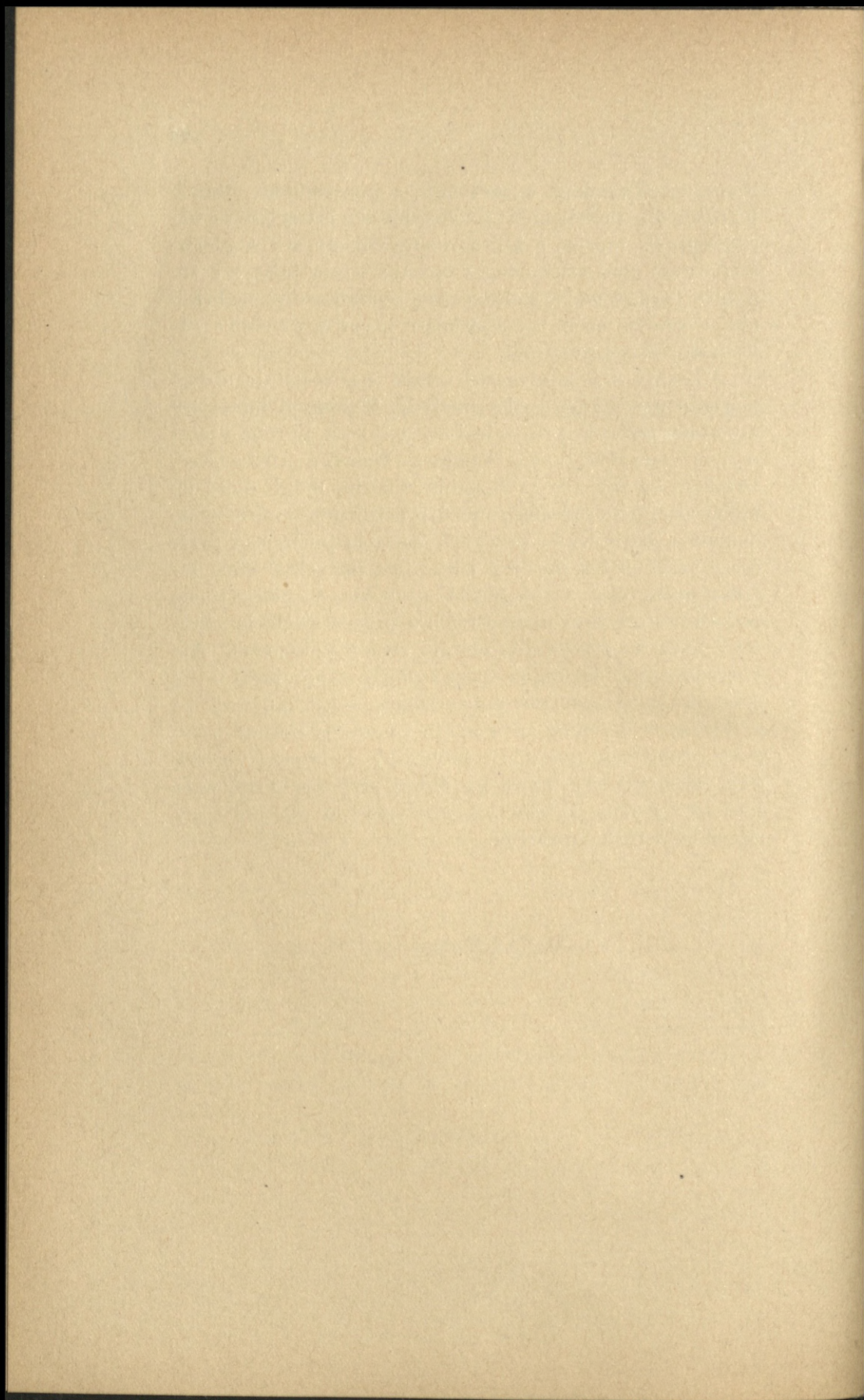
Tak się przedstawia rzecz choćby tylko na podstawie własnych zeznań p. Koźmiana. A wobec tego niesprawiedliwym, stronnicy a i śmiesznym zarazem staje się ten sędzia, który „rozdzielając odpowiedzialności“ mówi o „błędach szalonych“ i o „pomyłkach rozsądnych“, zamiast oceniać wypadki w dziejowym związku z tem, co je poprzedziło; który źródła powstania szuka w samym tylko „spisku“, zamiast uznać, iż tym „spiskiem“ był w tym wypadku cały naród, który wreszcie wszystko naokół usprawiedliwia i uniewinnia, tylko swego własnego narodu zrozumieć nie chce...

Poza tym nieusprawiedliwionym i stronnicy sądem o ludziach i wypadkach stoi ponura i rozpaczliwa

teorya p. Koźmiana o zerwaniu z programem niepodległości dla zachowania nieokreślonego bliżej „bytu narodowego“, teoria, z którą rozprawiliśmy się w pierwszej części naszych uwag i łącznie z nią fałszywy zupełnie pogląd na dotychczasowe porozbiorowe usiłowania i prace, które p. Koźmian „zmarowanemi“ dla bytu narodowego uznaje.

Teorii tej politycznej i tego na stuletnie dzieje poglądu naród nigdy nie przyjmie. Ciężkimi nauczone doświadczeniami, przygnieciony jak cała Europa ciężarem militarystyki, który wyklucza wszelką „ruchawkę“, świadom zresztą tego, iż zanim będzie mógł dojść do politycznego odrodzenia, musi przejść przez odrodzenie duchowe, musi wielu dawnych wad się pozbyć, a przede wszystkim dla sprawy narodowej pozyskać silną ludową podstawę, naród polski niezawodnie ustrzedz się potrafi wszelkiego nieopatrzego przedsięwzięcia, któreby naraziło owoce długoletniej pracy pokojowej. Ale nie wyrzeknie się nigdy swego politycznego ideału, nie zrzeknie się prawa do politycznego bytu, bo wie, że z chwila, w którejby to uczynił, popaśćby musiał w zupełne zmateryalizowanie, zatraciłby najlepszą część swej odpornej siły, która go dotąd przy życiu trzymała i że wtedy *finis Poloniae* stałoby się po raz pierwszy straszliwie realną prawdą.





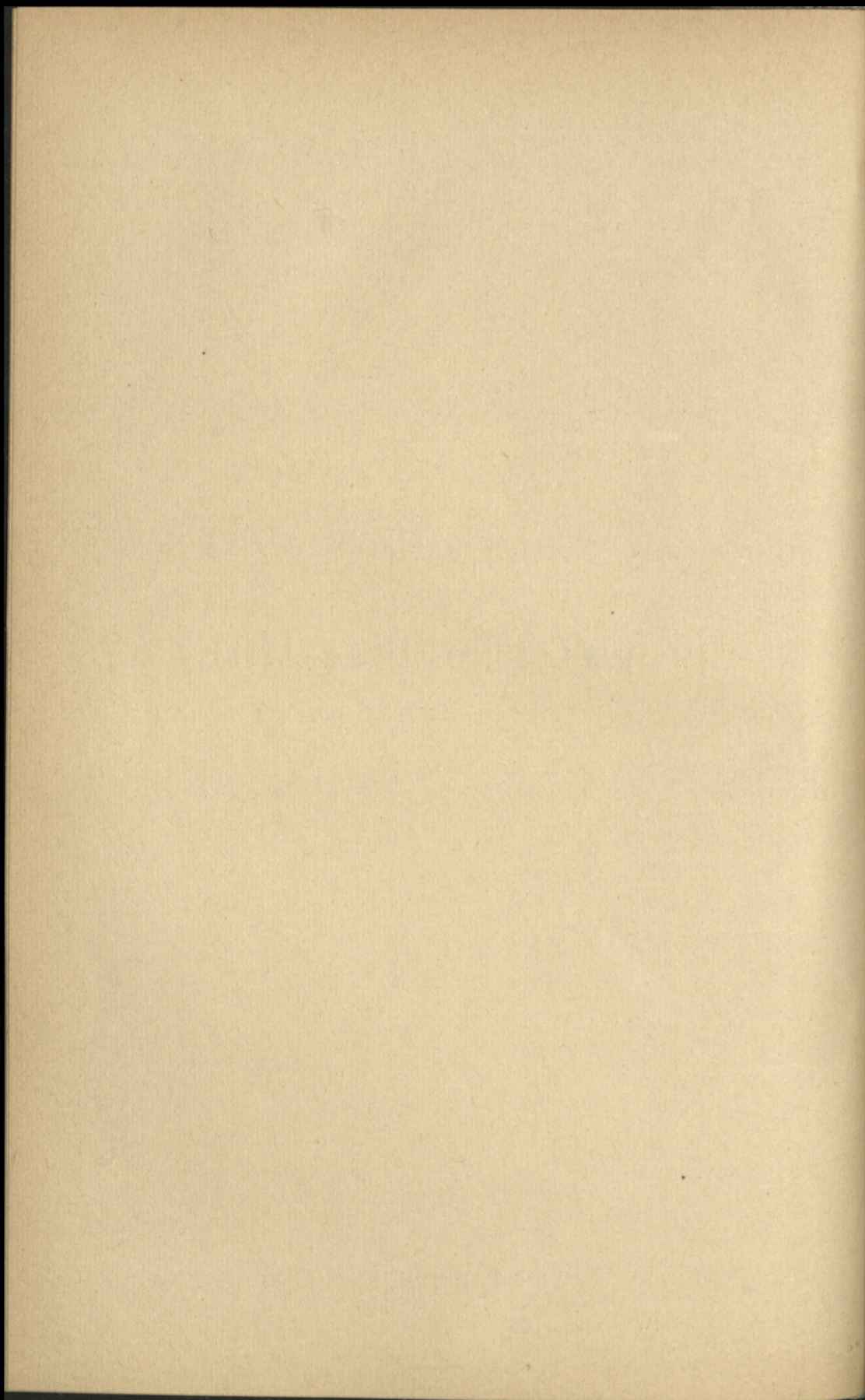
CZEŚĆ II.



Diskusya w Kole literackiem we Lwowie

dnia 14. grudnia 1895.





Przemówienie A. Skotnickiego.

Po zagajeniu Wojciecha hr. Dzieduszyckiego, pierwszy głos w pogawędce zabrał A. Skotnicki.

Przemówienie jego brzmiało jak następuje:

Po wielce dokładnej ocenie książki p. Koźmiana przez szanownego sprawozdawcę na przeszłym posiedzeniu i rozbiórce zasadowych poglądów autora, zabieram jedynie głos, aby sprostować niektóre fakty, mylnie w książce p. Koźmiana przedstawione i poczynić kilka uwag nad szczegółami, charakteryzującymi pracę p. Koźmiana.

Po upadku powstania, jak zwykle po każdej dotkliwej klęsce, powstają wzajemne oskarżenia, następuje w kraju rozgorzyczenie. W Galicyi było ono dosadniejszem niż w zaborze moskiewskim, bo swoboda słowa podnosiła namiętne wystąpienia. Nie mam tu na myśli w Krakowie wychodzącego *Ogniska* pod redakcją Wielogłowskiego, które wzorując się na *Warszawskim Dzienniku*, błotem rzucało w oczy uczestnikom powstania. Byli inni, poważniejsi, co w zamian wyrozumiałości mieli tylko na ustach szyderstwo dla upadłej sprawy.

W r. 1865 Paweł Popiel, skrajny konserwatysta, wierny Wielopolskiego przyjaciel, podniósł politykę kompromisów. Gdy ministerjum Belcrediego wydało manifest w duchu przyjaznym autonomii krajowej i rozpisało wybory do sejmu, a hr. Ludwik Wodzicki po raz pierwszy postawił swą kandydaturę, Popiel w liście do ks. Jerzego Lubomirskiego domagał się, aby dać rządowi dowód lojalności i potępić powstanie, nie wyjmując w potępieniu nikogo z tych, co brali udział w wy-

padkach 1863 roku. Popiel był człowiekiem temperamentu często w chwilach gorętszych dawał się porywać sercu, a przeciwnie w niepowodzeniu opanowywał go pesymizm. To też chociaż początkowo występował przeciwko powstaniu, dowiedziawszy się w Paryżu od sekretarza Napoleona p. Mocquard i Walewskiego, ministra stanu, że sprawa polska nigdy nie stała tak dobrze jak wówczas, wróciwszy do kraju, polecił synowi formować oddział. O tem jednak po upadku powstania zapomniał, a każdego co był czynnym w powstaniu odsadzał od używania praw obywatelskich. Podrażniony tem Szujski zabrał głos przeciw Popielowi. Koźmian, jakkolwiek przyznaje, że Szujski w czasie powstania nie należał ściśle do grona krakowskiego, bo był czerwonym, (jak wiadomo redagował pisma *Wolność* i *Naprzód*, inspirowane przez komisarza Rządu Narodowego) wlicza go jednak do grona swych przyjaciół politycznych, a to na tej podstawie, iż miał jakoby słyszeć później od Szujskiego, że on, nie ufając czerwonym w powstaniu, z którymi pracował, zawsze więcej sympatyzował z gronem krakowskiem. „Jesteśmy tak biedni, pisał Szujski w listopadzie 1865 r. do *Hasła*, tak znękani, i czujemy to tak silnie i powszechnie, że tylko biurokratyczna przewrotność lub zamknięte w 4 ścianach śledziennictwo może nas posadzić o chęć odnowienia anormalnego stanu, o knowania...”. „Mamyż sądzić (biorących udział w powstaniu) srożej od sądów wojennych, mamyż zwać na nich winę, która na wszystkich jednakowo ciąży, mamyż objawić im, że ich rany, ich włosy posiwiałe, ich cierpienia nie mają wartości, ale są grzechem, mamyż to uczynić, aby tym sposobem zyskać sobie zaufanie rządu?... Nie słuchajcie takich fałszywych proroków, jakim jest p. Paweł Popiel. Dzieje opisujące krwawe 1863 r. wypadki, będą podziwiać poświęcenie i obłądy małoletnich, ależ co o pełnoletnich powiedzą? Na nich spadnie cała odpowiedzialność, ich Bóg najsrożej osądzi! Osądzi jednych, że zwołniczemi

nadziejami podtrzymywali walkę i nie dali jej w jednym olbrzymim gladiatorskim upaść wysileniu, osądzi drugich, że nie byli panami społeczeństwa, do czego mieli prawo i środki. A łaskawym będzie ten Bóg dla tych, którzy w straszną sytuację dostali się za popędem szlachetnego serca, za wirem powszechnym, z ufnością w Boga, w cuda Jego, co poszli jak Judyta do namiotu Holofernesa, albo Dawid z procą na Goliata". (Dzieła Szujskiego ser. III. Tom I. str. 236 i 237).

A w innym artykule „Dumania samotną godziną“, pisał Szujski: „Przewinienia nasze są wielkie, rachunek z sumieniem ciężki, droga poprawy trudna i długa, ale rany nasze są uczciwe, przyczyna ostatnich ciosów wielka i szlachetna. . . Cóż więc powiedzieć o tych, co nie mieli nic pilniejszego, jak wobec widzów i poganiaczy cyrku, przyjąć na siebie rolę szyderców. poliszynełów lub niewczesnych kaznodziej stronnicych... Cóż powiedzieć o tych, którzy niewiadomo czy w nieszczęściu obecnem widzą nieszczęście narodu, czy tryumf swego przeczcucia i swoich przywidzeń...“ (Dzieła Szujskiego ser. III. Tom I. str. 212).

A jednak Popiel, propagujący politykę kompromisów, wówczas wskazaną, pisał w swym liście: „Muszę potępić głośno wszelkie usiłowania co do odzyskania bytu politycznego przed czasem, kiedy do tego są siły wewnętrzne, a sposoby i okoliczności na zewnątrz“. Był on więc, według programu p. Koźmiana, niepoprawnym marzycielem, bo myślał jednocześnie z prowadzeniem pracy organicznej o Polsce w pojęciu państwowem.

W lat kilkanaście, jeden z filarów grona krakowskiego, hr. Tarnowski, streścił program pracy narodowej w ten sposób: „Obowiązek wskazuje nam, że nie wyłamywać się z pod władzy rządów, którym ulegamy, nie podkopywać ich bytu, ale stać się im niezbędnymi należny“. Można słowom tym nadawać różne tłumaczenia, że jednak były wypowiedziane z myślą ugrun-

towania kompromisów, nie można widzieć w nich wyraźnego zrzeczenia się praw narodu. Przed kilku laty poszedł już dalej Sulima, propagator panslawistycznych teorii margrabi Wielopolskiego w Historii z lat, mówił o Polsce etnograficznej w połączeniu z Rosją i wyszydzał powołujących się na granice Polski przedrozbiorowej.

W ogóle, w miarę kształtowania się więcej dla nas nieprzyjaznego stosunków zewnętrznych, politycy nasi z obozu konserwatywnego, coraz większe robili ustępstwa z praw narodowych. Po Krzywickim, Lisickim, o których mówić nie warto, Koźmian jest może najśmielszym, abdykuje prawie z myśli o Polsce niezawisłej, a przynajmniej usuwa ją z porządku pracy narodowej na dzisiaj.

Przysłowie mówi, że gdzie konia kuja, tam żaba nogę nastawia. Znany krakowski demagog z czasów powstania Alf. Szczepański, przysłał za pośrednictwem *Czasu* imieniem dawnego stronnictwa ruchu p. Koźmianowi aprobatę. Książkę zaś jego nazwał „Księgą narodowej mądrości“.

Czem jest ta dla wszystkich „Księga mądrości“, mamy wyobrażenie z oceny jej przez p. Romanowicza. Mniejsza, że budowa książki pod względem architektonicznym wiele zostawia do życzenia, że układ jej błędny, a wielokrotne powtarzanie jednakowych poglądów i rozumowań, czyni czytanie nużącym ¹⁾, robi ona w ogóle przygnębiające wrażenie. Szarpać nerwy można, należy nawet, gdy mówi się prawdę dającą pożytek, ale autor prowadzi walkę z manią spiskowania, chce nas uleczyć

¹⁾ Odnacza się przytem niezwykłą pretensjonalnością i zawiera wiele bezmyślnych frazesów, jak n. p. „Znamieniem tej epoki (t. j. 1863 r.) i jej karą będzie, że znajdują się jej historycy, lecz historii swej mieć nie będzie“ (Tom I. str. 2) lub (Tom I. str. 72). „Silny w przekonaniach acz chwiejny w zdaniu, słusznie przecież Paweł Popiel był powagą...“

z „wszelkich szkodliwych ułud“, a przyczyny tej walki nie uwydatnia. Po 1831 r. emigracja istotnie spiskowała, ależ gdzie dowody, że tak było przed 1863 r. a zwłaszcza teraz. Obawa spisków urojona (mówię o spiskach na tle narodowym), jak w ogóle prowadzenie walki z wiatrakami może chyba tylko spiski popularyzować między gorętszą młodzieżą, dawać jej zachętę do bezcelowych agitacji.

Gorączkowa literatura emigracyjna po 1831 r. wychowała pokolenie o niepraktycznej ofiarności, wytworzyła fanatyzm męczeństwa, ale dziś obawa przesadnych ułud znikła, zmysł praktyczny usunął entuzjastyczne ułudy.

Jeden z młodszych publicystów, wielkich bez wątpienia zdolności, sławiąc wyznania p. Koźmiana, mówi, iż ideał polski, owa gwiazda polarna, może nam kiedyś przyświecać, ale przedewszystkiem musimy pamiętać, że trzeba nam pracy kilkunastu pokoleń, dla poprawienia błędów kilkunastu pokoleń przeszłych. Według tego więc byłby czas myśleć o bycie państwowym Polski za lat kilkaset. Koźmian kształcony na marzycielskiej poezji Słowackich, Krasieńskich, rwał się za młodu, jak o tem później będę mówił, z karabelą do przywrócenia krakowskiej Rzeczypospolitej. Wychowaniec jego szkoły stańczykowskiej, pod wpływem tej teorii zastrzega już setki lat przygotowań i namysłu*). Czy wobec takiego ochłodzenia temperamentów potrzebne są dalsze nawoływania do pozbycia się złudnych nadziei.

*) Pojętny pupil skrajnego konserwatyzmu jest jednocześnie uprawiaczem gruntu pod zasiew teorii anarchistycznych, apostołem społecznych waśni. Troskę społeczeństwa o oświatę ludu nazywa on w *Czasie* „obłudą chłopomanii“, mylną rachubą, bo chłop z natury konserwatysta, nie może być według niego czynnikiem dodatnim w pracy polityczno-patriotycznej. Twierdzenie to mylne, z prawdą niezgodne. Chłop jest istotnie konserwatystą, przywiązany do ziemi i dlatego właśnie jest dlań naturalny obowiązek jej obrony. Oddziały złożone przeważnie

Koźmian, przypominając słowa cara wypowiedziane w Warszawie „precz z marzeniami — potrafię karcieć i skarceć“, dodaje z swej strony iż „słowa te (tj. cara) w gruncie uczciwe, ale w formie nieszczęśliwe, wywołały w kraju rozgoryczenie szkodziwe, w zamian za użyteczną naukę“. Mnie się zdaje, że p. Koźmian, który innemi słowy, ale natarczywie, mówi społeczeństwu: precz z marzeniami — nie używa szczęśliwszej formy dla oddania swych myśli. W zamian pożytecznej nauki stwarza rozgoryczenie, a książka jego musi mieć tym sposobem wpływ ujemny. Autor mglisto określając ideały narodowe, sieje rozpacz, która dla natur słabych jest najpewniejszym środkiem do zaparcia się obowiązków narodowych.

Przechodzę do szczegółów.

Książka, nad którą obecnie się zastanawiamy, nie przynosi nowych faktów, są w niej przedstawione wiadomości, przeważnie w sposób anegdotyczny, już dawniej drukiem ogłoszone. Dla spraw dyplomatycznych jest źródłem dla autora praca Klaczki z 1866 roku, dla spraw wewnętrznych pamiętnik Berga, a pośrednio Historia dwóch lat Sulimy. *Czas* jednak stanowi materiały główne.

z chłopów, walczące w 1846 r. pod Mierosławskim w Poznańskim, a w 1863 r. na Podlasiu, w Płockiem, na Żmudzi i w innych miejscowościach kraju, świadczą o tem dowodnie.

Mam właśnie pod ręką odpis z raportu do cara, generał-policmajstra w Królestwie polskim. W wykazie, jaki znajduje się w tym raporcie, było osób skazanych w r. 1865 w Królestwie 3800, w tej liczbie włościan 1368, to jest więcej niż trzecia część.

W *Ruskiej Starini* (tom 25 str. 708) znajduje się wykaz audytoryatu wojennego za 1863 i 1864; zasądzonych w jednym tylko województwie Płockiem było 9746 osób, a w tej liczbie było zasądzonych 4012 włościan (10 powieszonych i rozstrzelanych), oprócz tego na podstawie amnestyi z 1. maja 1863 r. uwolniono (przeważnie włościan) 3000 jako powracających z powstania. Cyfry te świadczą, że lud nasz w powstaniu brał liczny udział.

Autor przytacza wiadomości bez cytowania źródeł i tylko takie, jakie mu są potrzebne dla uzasadnienia swych poglądów. Mówiąc n. p., że Rząd wrześnieowy nadesłał dla urzędników administracji cywilnej w Galicyi formę mundurów, sam chyba nie wierzy w jej prawdopodobieństwo a podaje tę wiadomość dla ośmieszenia Rządu, który jakkolwiek wówczas był utworzony przez Chmielińskiego, miał jednak w swem gronie znakomitego prawnika Kobylańskiego, referendarza Stanu, i Dobrowolskiego, sekretarza senatu, obecnie redaktora *Dz. Pozn.*, którzyby do uchwały podobnej nie dopuścili.

O udziale Galicyi w powstaniu z książki p. Koźmiana czytelnik nie wiele się dowie. Przyjaciele Wielopolskiego: Adam Potocki, Wodzicki Henryk, nawet Popiel, wreszcie zwolennicy hr. Zamoyskiego Andrzeja, związani ściśle z Dyрекcyą obywatelską: Baum, Zyblikiewicz, ks. Sapieha, Ziemiałkowski i inni pozostają w cieniu, a na pierwszy plan wychodzi grono krakowskie, złożone z pp. Koźmiana, Lud. Wodzickiego, St. Tarnowskiego, grono zupełnie nieznanne, o którem nikt w powstaniu nie słyszał, bo wcale wtedy nie istniało, a powstało dopiero w lat kilka dla założenia *Przeglądu polskiego*. Osoby należące do owego, później powstałego, grona krakowskiego, są to dawni od 1860 r. korespondenci biura paryskiego, upatrzeni w kraju dla zasilania prasy zagranicznej wiadomościami z Polski. Że rzutkość tego grona mogła mieć nawet wpływ na organizację galicyjską, to jest prawdopodobnem, właściwie jednak biuro krakowskie nie było agencją dyplomatyczną, lecz tylko biurem korespondencyjnym i telegraficznym (tak urzędownie się nazywało) utworzonym w Krakowie dla wysyłania korespondencji z kraju do pism i agencji zagranicznych, a to według wskazanych przez Rząd adresów. Instrukcyja dla tego biura znajduje się (na str. 39) w III. tomie wyd. *Materiałów*. Takie biura były we wszystkich większych

miastach. Do lwowskiego powołano Szajnochę i Henryka Schmitta.

Art. 11 instrukcyi tego biura mówi: „W korespondencyach należy przedewszystkiem unikać podawania wiadomości fałszywych, odwołanie bowiem późniejsze tychże, lub faktyczne zaprzeczenie ze strony Moskwy, osłabia w ogóle powagę wiadomości podanych przez dzienniki“. Jeżeli więc istotnie z Krakowa przesądne wychodziły do prasy zagranicznej informacye, to za to cięży odpowiedzialność na p. Koźmianie.

P. Koźmian zaznaczając słusznie, że całe społeczeństwo jest odpowiedzialne za klęski, jakie powstanie przyniosło, bo istotnie udział w ruchu narodowym był powszechny, wszyscy bez wyjątku byli jednakowo przejęci i jakby zahypnotyzowani dla myśli służenia krajowi, przy oznaczeniu jednak stopnia winy, dzieli społeczeństwo na rozważnych, którzy popełnili pomyłkę, i szalonych, którzy spowodowali powstanie, na których składa główną winę. W tym celu należałoby tylko rozpatrzyć się w rozwoju wypadków. W roku zeszłym prowadziliśmy w tym przedmiocie pogawędkę z powodu „Historyi dwóch lat“ p. Sulimy.

Uprzytomnię więc kilka momentów z tej dyskusyi*). Hr. Jezierski, stronnik rządu rosyjskiego i margr. Wielopolski, znany z swych panslawistycznych inspiracyi, pierwsi w poczuciu obowiązków obywatelskich zamierzeli przemówić, po przyjeździe cara Aleksandra do Warszawy, do sumienia młodego monarchy. Za ich przykładem poszli inni przedstawiciele szlachty na Litwie i Rusi. To wyrwało kraj z uspienia. Społeczeństwo oprzytomniało. W Warszawie znikła cyganerya literacka, w Kijowie resztki zwyrodniałego bałagulstwa, tak zwanych piżmaków. Młodzież na uniwersytetach

*) „Przed styczniowem powstaniem“. Rozprawa w Kole literacko artystycznem we Lwowie nad książką „Historya dwóch lat“ przez Z. L. S. Lwów, 1894.

tworzyła związki koleżeńskie dla wzajemnej pomocy i kształcenia się. Koźmian widzi w tem najniesłuszniej zaczątek spisków.

W kraju pozbawionym zupełnie życia politycznego powstawały koła i kółeczka, w których mówiono o przygotowującej się w Rosyi rewolucyi, o spiskach w wojsku, rozstroju społeczeństwa rosyjskiego, o wojnie włoskiej i różnych nadsyłanych z Zachodu wiadomościach. Hotel Lambert starał się o utrzymanie na porządku dziennym sprawy polskiej. Adam Czartoryski pełnił po obywatelsku służbę publiczną, korzystał z zażyłości, w jakiej pozostawał z Napoleonem, starał się utrzymywać stosunki przyjazne z prasą zagraniczną, miał we wszystkich ważniejszych punktach Europy swoich agentów. W biurze jego był między innymi wytworny dworak, ruchliwy i zręczny do dyplomacyi agent, który jeżeli nie codziennie to pewnie co tydzień umiał obejść wszystkich dyplomatów i osoby zajmujące w Paryżu najpoważniejsze stanowiska. Stamtąd to szły do Polski wiadomości o planach Napoleona, który wówczas podniósł wysoko sztandar narodowości. Kolonia polska była w tym czasie dobrze widzianą w Tuillerach i u ks. Napoleona. Cesarz flirtował z Polkami. W Tuillerach tańczono nawet mazura w kontuszach. Cesarz rozmawiał o sprawie polskiej z naszymi mężami stanu, a nawet z księżniczką Janiną Czetwertyńską, a o tem wszystkiem dowiadywał się kraj przez *Czas* krakowski i gruntował na tem swe nadzieje o lepszej przyszłości. Nadzieję tę podsycał ów wspomniany, wytworny dworak. Był nim Andrzej Koźmian, ojciec autora „Rzeczy o 1863 r.“

Pod wpływem tej atmosfery utworzono na emigracyi komitet, mający na celu, przez wysłanego w Poznańskie Elzanowskiego, nawiązać z krajem stosunki. Elzanowski udał się do Narcyzy Żmichowskiej, u której w Warszawie w salonach zbierało się liczne grono osób, aby o sprawach krajowych gawędzić. Po naradzie Żmichowska odpowiedziała, że nie nadszedł czas do two-

zenia w kraju organizacyi i że przedewszystkiem należy się zająć załatwieniem sprawy włościańskiej.

W 1860 r. Elzanowski ponowił swe usiłowania. W Poznaniu zjechali się przedstawiciele różnych części Polski i wtedy jednak uchwalono nie tworzyć w kraju organizacyi, utrzymać tylko stałe stosunki dla podawania sobie wiadomości o postępie sprawy włościańskiej i wydawać w Paryżu *Przegląd Rzeczy Polskich*. Jednocześnie prawie ks. Władysław Czartoryski przybył do Galicyi w celu nawiązania stosunków z krajem. Uproszczone osoby zobowiązały się nadsyłać do paryskiego biura korespondencyjnego stałe informacye z kraju, a kilka osób poważniejszych w zaborze moskiewskim i Galicyi przyrzekło zbierać fundusze na prasę zagraniczną.

Kraj był również nawiedzany przez agentów Mierosławskiego, ci jednak nie mieli tu powodzenia i działalność swoją ograniczyć musieli do zbierania drobnych funduszów na szkołę wojskową w Cuneo.

Około tego czasu, w Krakowie, zwykle dość chłodno usposobionym, miał zająć fakt godny zanotowania. Korzystając z tego, że Kraków był opróżniony z wojska z powodu wojny włoskiej, młodź szlachecka, po naradach w Tyczynie, postanowiła zebrać karabele, ręczną broń pamiątkową i zająć Kraków, a prezydentem Rzeczypospolitej krakowskiej ogłosić hr. Morsztyna. Wtajemniczony w to redaktor *Czasu Szukiewicz*, zdołał ten objaw patriotyzmu ochłodzić. Fakt ten podnoszę na dowód, że w owym czasie wszyscy konspirowali, każdy czuł się w obowiązku służyć krajowi i dlań się poświęcać. Przywódcami owej szlachty patriotycznej byli pp. Ludwik Wodzicki, późniejszy marszałek Galicyi i Stanisław Koźmian, autor „Rzeczy o 1863 r.“.

Nastąpiły manifestacye. Społeczeństwo popadło w mistycyzm, modlitwą i ofiarą życia, słowem, walką bezbronną marzyło przywrócić należne mu prawa. Europa temi manifestacyami zdumiona, nie szczędziła dla

nas objawów żywej sympatii. Andrzej Koźmian pisał pod wpływem teje z Paryża:

„To wszystko, co się stało, jest cudem, jest dziełem opatrności. Coraz żywsze obudza się tu wspomnienie i podziw, bo tego rodzaju ruchu dotąd nie znano, nie wyobrażano sobie. Jestto najwymowniejsza rewolucya moralna, najpotężniejsza duchem, przy zupełnej bezsile materyalnej. Jakkolwiek się ona obróci, ogromny tryumf odniesiemy .. Wszyscy zajęci jesteśmy dopomaganiem dążnościom, odwadze, poświęceniu, mądrości tych, którzy w Warszawie kierunek sprawy objęli“ (Listy And. Koźmiana do rodziny).

W owym czasie ster spraw krajowych powierzył car margrabi Wielopolskiemu, moralnym kierownikiem ruchu narodowego pozostał Andrzej Zamoyski. Do października 1862 r. t. j. do przystąpienia duchowieństwa do organizacyi komitetu centralnego*), młodsi, a jak zwykle nazywano, czerwoni nie mieli w kraju poważnego znaczenia, na nielicznych zaś zwolenników Mięrosławskiego, nie zwracano uwagi. Że z tego stanu rze-

*) Od pierwszej chwili powstałych organizacyi były prowadzone usiłowania, zwłaszcza przez osoby zamieszkałe na prowincyi, zbliżenia przywódców obu głównych stronnictw. Lecz biali grzeszyli lekceważeniem organizacyi ruchu, czerwoni wygórowaną pewnością siebie. Porozumienie stawało się coraz trudniejszym. Duchowieństwo, stojące po środku, oświadczyło się w jesieni 1862 r. za stronnictwem ruchu. Komitet centralny chętnie przyjął postawiony warunek powołania do swego składu ks. Mikoszewskiego (redaktora „Głosu kapłana“), wybór ten okazał się bardzo nieszczęśliwym. Zgodził się także komitet na uznanie samodzielnej, prawie niezawisłej organizacyi duchowieństwa (trwała do powstania), zato zyskał sobie dla prac swych poparcie. Na zgromadzeniach dyecezyalnych zostali wybrani mężami zaufania: a) w dyecezyi podlaskiej ks. Seweryn Paszkowski, proboszcz z Maciejowic, b) w lubelskiej ks. Sosnowski, po powstaniu administrator dyecezyi, c) w kieleckiej ks. Wnorowski późniejszy biskup lubelski, d) w sandomierskiej ks. kanonik Kotkowski, e) w kaliskiej ks. kanonik Cent. Inne dyecezye wyborów nie dokonały.

czy nie umiano korzystać, zawiniło stronnictwo „rozwężnych“, zwane powszechnie białymi, ono bowiem jedynie cieszyło się powszechnem uznaniem i miało wpływ doniosły. Wobec tego, tak zwani przez Koźmiana „szaleni“, w kwalifikowaniu ciężkich swych win, znaleźć muszą pobjaźnienie.

Według pracy p. Koźmiana, był jedynie program Wielopolskiego dla dobra kraju wskazany, dążył bowiem do wzmocnienia bytu narodowego. A jednak Andrzej Koźmian w prywatnych listach do rodziny, wypowiadając swe myśli i nie potrzebując się krępować, pisał: „Włochy miały Cavoura i umarł. My mamy margrabiego i żyje“, innym zaś razem pisał: „Znamy już owe sławne reformy. Co za bezczelne nowe kłamstwo moskiewskie. Ta Rada Stanu ma stanowić całą instytucję, konstytucję i solucję kwestyi polskiej. Nikt z narodowych ludzi nie powinien dać się pociągnąć do tej niezręcznej ułudy“.

Czas i całe stronnictwo krakowskie głosiło te same myśli. Wynikiem tego było podkopanie rozpoczętej pracy Wielopolskiego, a dodawanie otuchy i wzmacnianie stronnictwa ruchu.

Zbliża się wybuch powstania. „Rząd zaczyna — są słowa autora — zapóźno chcieć, działać stanowczo. Rada administracyjna reskryptem z dnia 6. grudnia wypowiada otwarcie zamiar i sposoby rekrutacyi. Reskrypt mówi: „ponieważ jednym z głównych celów tego poboru jest pozbycie się części ludności, która postępowaniem swoim przyczynia się do zamieszania porządku społecznego, przeto Rada każe brać osoby zanotowane w ostatnich wypadkach bez względu na to, czy wypadnie wziąć z jednego miasta lub z jednego wyznania więcej popisowych, aniżeli z drugiego“ (Koźmian, część II. str. 298).

Ten szatański pomysł branki, potępiony przez całą Europę, który stał się kością niezgody W. ks. Konstantego, przeciwnego konskrypcy, z Wielopolskim, Koź-

mian pochwała, rozmiłowany obecnie w wykazywaniu swej cywilnej odwagi. W brance widzi myśl rozumną — w polityce zalecanej przez p. Koźmiana w ogólnie poczucie sprawiedliwości, a wszelkie nadużycia i bezprawia są dopuszczalne*).

Proskrypcya owa wywołała protest zbrojny ze strony zagrożonych, którzy już 17. stycznia 1863 r. wyruszyli z Warszawy do puszczy Kampinoskiej. Komitet centralny uznawał, jak to stwierdzają pamiętniki wydziałowego miasta Warszawy, ogłoszone w 4-tym tomie *Wyda w n i c t w a m a t e r y a ł ó w*, porę tę jak najmniej dla powstania odpowiednią, a dla braku zupełnego przygotowań, delegatom Litwy, Rusi i Galicyi, przybyłym w końcu 1862 r. dał zapewnienie, iż powstanie przed wiosną nie nastąpi. Gdy jednak walka oporna przedwcześnie wybuchła, Komitet centralny dał swą firmę, aby gromadzące się oddziały zbiegłych rekrutów utrzymać w karności. Za zbyt jednak pospieszne a niewskazane wypadkami rozszerzenie organizacyi ruchu, jest on odpowiedzialnym.

Wiadomość o wybuchu powstania nie tylko dla p. Koźmiana była niemiłą niespodzianką. Dla Napoleona przedewszystkiem powstanie było niedogodnem, bo niszczyło klejące się przymierze Rosyi z Francją, dla wszystkich zaś stronnictw w kraju nie wróżyło powodzenia.

*) *Czas*, a za nim *Gazeta Lwowska* twierdzą, że Wielopolski nie był inicjatorem branki, powołując się na Sybla, który w archiwum berlińskiem odszukał dokument z 1862 r. dowodzący, jakoby minister wojny Milutyn domagał się poboru do wojska (rekrutacyi). Dokument ten dowodzi tylko, że margrabia z zamiaru władz wojskowych zarządzenia zwykłej rekrutacyi skorzystał i zamiast poboru osób losem wskazanych, zaproponował wylapanie i wysłanie w żołdacy tych, co mu byli niedogodni, on więc zamienił rekrutacyę na proskrypcyę. Zygmunt Wielopolski w liście otwartym do hr. Tarnowskiego przypisuje pomysł branki ojcu, a i Lisiecki temu nie przeczy.

Jeden z najbliższych przyjaciół autora, Szujski w kilka lat po powstaniu pisał do *Hasta*: „Gdyby nie proskrypcya, nie byłoby dziejów krwawych r. 1863. Przed słońcem rzeczywistości byłyby się rozwiały mrzonki ułudy konspiracyjnej, gdyby na piersiach stu tysięcy zagrożonych nie siadł przymus walczenia bodaj z kijami. Nie był to więc wybuch w imię konspiracyi. Gromadki na punktach zbornych byłyby się, nie znalazłszy obiecanej broni, rozlażyły spokojnie do domu, gdyby do domu powracać były mogły. Główna odpowiedzialność ciąży więc na tym, co wynalazł proskrypcyę.. On zdecydował się „przeciąć wrzód“, który byłby się sam zagoił na zdrowem ciele narodu Do zaślepień dumy, którym uległ, do tysiąca niezręczności politycznych, które popełnił, dodał czyn, jakiego dotąd w dziejach naszych nie było (Dzieła Szujskiego, część III. str. 217).

Dziś wielu krytyków, podnosząc cywilną odwagę autora, między innymi ks. Załęski w *Przeglądzie powszechnym*, wychwalają go, że poszedł za radą ojca i po wybuchu wystąpił przeciwko powstaniu. Dziwnem to wobec tego, co pisał Andrzej Koźmian, a co przed chwilą panom odczytałem. Lepiej chyba było nie rozdmuchiwac żarzewia niż później gasić pożar podsycany i winę zwałac na czerwonych.

Trzeba przyznać skutek tego postępowania. W ówczesnych stosunkach powstanie możnaby może było odwlec na czas pewien, ale stało się ono już nieuniknionem.

Twierdzi to Spasowicz i Sulima. Ostatni pisze: „Umysły bystrzejsze, dalej widzące, przenikliwsze i przeznorniejsze, już wtedy (podczas pobytu cara w Warszawie) spostrzegły, że nie może być kompromisu z Rosyą, że konflikt jest nieunikniony, starcie konieczne w niezbyt dalekiej przyszłości. Nic tej logiki zmienić nie mogło, ani ludzie, ani fakty. Katastrofa była tak fatalnie konieczną, tak naturalną wobec obustronnych aspiracyi i dążeń, jak to, że słońce wstaje co dzień rano a wieczór zachodzi“. Komitetowi centralnemu jednak, sądząc,

chodziło — może się łudził — aby wybuch powstania mógł nastąpić jednocześnie z rewolucją w Rosyi i w czasie przyjaźniejszych stosunków w Europie. Margrabia zaś, nie wierząc w pomyślny wynik powstania w ogóle, a może z zawiści do wszystkich przywódców kraju, chcąc dla siebie jedynie uzurpować miano zbawcy, sprowokował powstanie w chwili najnieodpowiedniejszej.

Po wybuchu powstania zdecydowali się „rozważni“ w Galicyi, nie widząc warunków powodzenia: czekać*). Z Paryża z hotelu Lambert przysły wskazówki, aby powstanie, jako nie mające widoków poparcia przez Francję, marzącą o zawarciu przymierza z Rosyą, nie podtrzymywać. Wysłany wreszcie do Warszawy po rozkazy do dyrekcyi białych, Włodzimierz Cielecki miał przywieźć, według opowieści autora „Rzeczy o 1863 r.“, instrukcyę „nie łączyć się z powstaniem, ale uznać je za narodowe“. Ta instrukcyja wywołała w Galicyi, jak mówi Koźmian, oburzenie, postanowiono mianowicie w gronie krakowskiem, nie stosować się do niej i powstanie potępić. To wszystko ograniczyło się do pogawędek, a nie zaznaczyło się żadnym aktem publicznym, przeciwnie *Czas*, będący podówczas pod redakcyą Leona Chrzanowskiego i zostający w stosunkach z Koźmianem, ogłosił już 13. lutego powstanie, jako objaw dążeń narodowych. Zdaje mi się jednak, że i przywieziona instrukcyja Dyrekcyi obywatelskiej jest niedokładnie przez p. Koźmiana streszczoną. Mam właśnie przed sobą odpis tej odezwy komitetu białych. Pozwolę sobie odczytać najważniejsze z niej ustępy.

„Jesteśmy przekonania, pisała pod datą 10. lutego Dyrekcyja obywatelska, że prawdziwa i dobrze pojęta

*) Nawet Ława miasta Krakowa, należąca do stronnictwa ruchu, postanowiła zająć wyczekujące stanowisko i została, w skutek tego, rozwiązana przez naczelną Radę galicyjską.

miłość ojczyzny, wkłada na każdego obywatela obowiązek nie powiększania szeregów powstania i dokładania starania środkami, jakie honor Polaka i cześć zasłużona dla walczących w sprawie ojczystej Rodaków podać może, aby ruch powstańczy, gdy już się stał i uważany być musi za wielką i krwawą manifestację uczuć i praw narodu, przez przedłużenie swoje i rozszerzenie nie pomnażał z kwiatu młodzieży naszej bezowocnych ofiar... potrzeba zatem, aby wśród towarzyszącego boju, zwiększał się tem silniej zastęp ludzi rozumnie ojczyznę miłujących, stojących wytrwale przy zasadach organicznego rozwoju i społecznego porządku w kraju, najpewniej do wyzwolenia politycznego narodowości polskiej doprowadzić mogących, aby ten zastęp po smutnem, ale niestety koniecznem następstwie walki, na krwawych ofiarach współbraci, na zgliszczach spalonych wsi i miast, mógł podnieść głos z prawem, jakie mu nadaje jego w narodzie stanowisko, że tak dalej krajem rządzić nie można, że są prawa i potrzeby, które zaspokoić jest każdego rządu najpierwszym obowiązkiem, jeżeli nie chce rządzić krwią i pożogami". (Arch. wyd. Materiałów).

Po pierwszych niepowodzeniach zastanawiano się także i wśród przywódców stronnictwa ruchu, czy nie należy ogłosić powstania za upadłe, wydać do narodu manifest odpowiedni z podpisami i oddać się w ręce rosyjskiego rządu. W tym jednak już czasie na podstawie nadesłanych z Paryża wiadomości o rozpoczętej akcji dyplomatycznej, grono krakowskie oświadczyło się, niewątpliwie w najlepszej wierze, za dalszą walką. I na tem stanowisku, zdaniem Koźmiana, dotrwało grono krakowskie do 18. kwietnia 1864 r. *), to jest do

*) W tomie III. Materiałów do historii styczniowego powstania są liczne dowody, że miejscowi mieszkańcy, zostający zapewne pod wpływem p. Koźmiana w początkach 1864 r., usuwali się od obowiązków obywatelskich, a or-

chwili, gdy Napoleon oświadczył ks. Czartoryskiemu, iż nic dla sprawy naszej zrobić nie może, że wszelkie jego usiłowania spełzły na niczem.

Przebieg porozumiewania się przedstawicieli różnych odcieni stronnictwa umiarkowanego wykazuje przeto, że wahanie się co do stanowiska, jakie należało zająć względem walki rozpoczętej, trwało zaledwie kilka tygodni. *Czas* w połowie lutego (13-go) został organem wybuchłego powstania, a Koźmian z swymi przyjaciółmi już 16. lutego, jakby można sądzić z jego książki, usiłował pochwytać w swe ręce kierunek dyplomatyczny, mówię usiłował, bo właściwie jakkolwiek chciał się uważać za przedstawiciela jakiegoś stronnictwa w kraju, nie miał żadnej styczności z przywódcami ruchu, nie był im znany, a więc i nie mógł mieć najmniejszego wpływu na bieg wypadków.

W przeddzień wybuchu, członkowie Komitetu centralnego wyjechali z Warszawy do oddziałów. Bezimienność Rządu uznawali oni za niewłaściwą, udali się więc pośród walczących, aby dokładnie zbadać rozwój walki rozpoczętej, poznać warunki potrzebne do zorganizowania władzy. W Warszawie utworzoną została komisya wykonawcza, w której przewodniczył naczelnik miasta, Stefan Bobrowski. A był on w pierwszej chwili powsta-

ganizacyą oddziałów zajmowali się przeważnie przybyli z zaboru moskiewskiego. Po zaprowadzeniu stanu oblężenia wyjechał komisarz Majewski Władysław, jego chwilowy zastępca zaraz został aresztowany. Organizacya cywilna prawie rozpadła się, pieczęć i papiery komisarza pozostały u p. Piekosińskiego, urzędnika sekretaryatu komisarza, obecnie profesora Uniwersytetu krakowskiego. Myli się więc p. Koźmian, choćby siebie (Tarnowski był w więzieniu, a Wodzicki na emigracji) uważał za szefa organizacyi galicyjskiej, że ona wytrzymała do 18. kwietnia, bo ta znacznie wcześniej, z małym wyjątkiem, zawiesiła swe czynności. Trangut był już aresztowanym a więc i w Warszawie Rządu Narodowego nie było 18. kwietnia. Pieczęć znajdowała się w rękach Brzezińskiego, urzędnika Narodowej organizacyi.

nia, przeto w najtrudniejszych warunkach, głównym jego kierownikiem. Niezwykłą energią, śmiałością i odwagą, jaką tylko młodość dostarczyć może zwalczał przeszkody, przez co zyskiwał coraz większe uznanie i posłuch.

W Kongresówce mimo niezadowolniającego wyniku wypadków zaszłych 22. stycznia, tworzyły się coraz nowe oddziały, Moskwa cofała się do miast większych, szukając tam bezpieczniejszego schronienia. Ludność kraju objęła opiekę nad walczącymi. Protestujących nawet na palcach doliczyć się nie było można. Litwa spობiła się do podjęcia ruchu, a i Ruś organizowała się w tym celu. Galicyjska Rada naczelna w Krakowie i Towarzystwo bratniej pomocy we Lwowie, wysyłały na plac boju nowe lub zwiększały istniejące oddziały. Z pruskiego zaboru powstanie zyskało silne poparcie. Działyński Jan i Gutry stanęli na czele ruchu. Wkroczenie 17. lutego generała Mierosławskiego z oddziałem i rozgłoszona wieść, iż przekroczył granicę jako powołany przez Komitet centralny dla objęcia naczelnego dowództwa, przejęła wielu z umiarkowanej szlachty trwogą. To też po rozbiciu i cofnięciu Mierosławskiego do zaboru pruskiego, Adam Grabowski, sfalszowawszy pełnomocnictwo tymczasowego Rządu, w porozumieniu z Władysławem Siemińskim i Kołaczkowskim, rozpoczęli agitację za ogłoszeniem Langiewicza dyktatorem, widząc w nim podatne dla siebie narzędzie. Dla projektu swego umieli oni zyskać dość znaczne grono wpływowych osób — z Galicyi generałów Wysockiego i Kruszewskiego, ks. Sapiełę, Golejowskiego, Chrzanowskiego. Z poznańskiego postów: Łubińskiego i Bentkowskiego *). Upowszechniła się także pogłoska, że tym robotom nie był także obcy Agaton Giller, członek komisji wykonawczej a następnie Rządu Na-

*) Zobacz II. tom Materiałów: Moje notatki przez Władysława Bentkowskiego.

rodowego, powołany przez Langiewicza wraz z posłem Kantakiem na sekretarza. W sprawie tej intrygi niewątpliwie działał z swoimi przyjaciółmi Koźmian, jakkolwiek przemilcza to w swej książce. Czy w knowaniach Grabowskiego nie był ktoś wtajemniczony z warszawskiej Dyrekcyi białych, nie ma dowodów. Zebrana jednak Dyrekcyja 9. marca po dwudniowych naradach uchwaliła, w zwiększonym komplecie, to jest w gronie 16 mężów zaufania, stanowiących razem tak zwane koło krajowe, rozwiązać się i uznała Komitet centralny, z warunkiem, że w skład tegoż wejdzie członek Dyrekcyi Karol Ruprecht, a względnie uznała dyktaturę Langiewicza. Po upadku dyktatury, Centralny komitet objął ponownie ster powstania, a wtedy organizacyja biała już i w Galicyi poddała się kierownictwu komitetu centralnego. Układ został podpisany 31. marca, utworzone Wydziały wykonawcze w Krakowie i Lwowie rozpoczęły swą działalność pod przewodnictwem komisarzy Rządu: Seweryna Elzanowskiego i Jacka Siemińskiego. Z grona krakowskiego, o którym pisze autor „Rzeczy o 1863 r.“, nikt początkowo nie został powołany do wydziałów, później dopiero wszedł Ludwik Wodzicki i Tarnowski. Na przedstawienie tylko Elzanowskiego, powierzono Koźmianowi pisanie korespondencji do prasy zagranicznej pod nazwą Majera. Nowa organizacyja Galicyi została dopiero przeprowadzoną z końcem maja *).

*) Rozwiązanie organizacyi białej a uznanie Rządu Narodowego między szlachtą województwa krakowskiego wywołało niezadowolenie. W Krakowie 7. kwietnia zebrało się około 30 obywateli z Królestwa. Na zebraniu tem trzech wystąpiło z głośną opozycyą. Paweł Popiel, szef opozycyi oświadczył między innemi, że „wielka własność z powstaniem nie złączy się bez gwarancyjnego udziału swego w rządzie, który udział, największe ofiary ponoszącym, najsłuszniej się należy i projektował nowo kreowanemu rządowi nie poddawać się, projektując odbudowanie odrębnej, czysto obywatelskiej, pierwotnej dyrekcyi“. Masłowicz, znany

Jakże z przyjętych faktem tym zobowiązań, dalszego prowadzenia walki, wywiązała się dyplomacya galicyjska?

stronnik Wielopolskiego, żądał, aby kierunek powstania pozostawić w rękach go piastujących, rekwizycjami powstanie wspierać, dyrekcję obywatelską, odrębną, obserwującą, na stronie pozostawić, która by z całą zasobną siłą organizacji własnej nad obrotem, kierunkiem czuwać obowiązana była". Józef Bzowski wreszcie powstawał na nadużycie Koła krajowego, które „masę obywateli na pastwę organizacji obcej, nieznannej, niepraktycznej i zgubnej podporządkować się ważyło“. (Archiwum wydawnictwa Materyałów). Większość nie uwzględniła wywodów opozycji. Narady te nie miały żadnych następstw, wkrótce Popiel nawet głosił: „jasnem jest, że trzeba na konia siadać i dać walce poparcie“. Komisarz pełnomocny Rządu w województwie krakowskim, Golemberski pisał: „Żywiłom tak zwanym „reakcyjnym“ czyli osobistościom głośno potępiającym powstanie, jako niewczesne muszę tu oddać tę sprawiedliwość a cześć osobistą, że nigdy się od osobistej posługi w imię solidarności obywatelskiej nie wymawiali, ani też przeciw Rządowi Narodowemu, jako takiemu, nie występowali. Owszem przeciwnie, gdy były najtrudniejsze zadania do spełnienia, wymagające taktu, roztropności, charakteru i odwagi, udawałem się nawet do podobnych osób o pomoc do wyjścia z trudności, aby uniknąć zgorzienia narodowego, a ład i solidarność narodową utrzymać. Zdarzało się to zwłaszcza w wypadkach, gdzie trzeba było występować karcąco, lub podtrzymywać powagę władzy narodowej, pozbawioną stałej egzekutywy materialnej. Rozumie się, że nie mówię tu o tych osobach, które w czasach powstania i mnie osobiście ze swemi służbami narzucali się, a natychmiast po powstaniu wystąpili ze swemi reakcyjnymi potępieniami, ci byli stale podejrzanemi, cokolwiek bądź mówili. Mówię tu o tych osobistościach, które po męsku a patryotycznie opinie swe wypowiedali, poddając się we wszystkich pojedynczych wypadkach nieprzeparłej konieczności narodowej. Muszę tu wspomnieć z głębokim szacunkiem o zmarłym Masłowiczu z Kamionki, okrzyczanym za króla „raków“ naszych a który podejmował się funkcji komisarza do składania sądów doraźnych i wymierzał, jako taki, w myśl kodeksu powstańczo-narodowego kary za nieposłuszeństwo organom Rządu Narodowego, lub za jawne stawianie po stronie rządu rosyjskiego“. (Archiwum wydawnictwa Materyałów).

Napoleon zalecał rozszerzenie powstania nawet na kresach dawnej Polski. Starano się więc o to, aby dawnym demonstracyom charakteru fanatyczno-religijnego, ideałom męczeństwa, nadać charakter demonstracyi zbrojnej. Z Galicyi organizujące się oddziały wyprawiano na terytoryum zaboru moskiewskiego, aby pozostawwszy tu ofiary, powracały tam, skąd przyszły. Nie pojmowano, że pomocy mogą się spodziewać tylko silni, a nadzieja jej słabła od chwili, gdy wysłani na teatr walki ajenci rządów: francuskiego, angielskiego i austriackiego o sile powstania złożyli swym rządóm raporty dla nas nieprzychylne. Może demonstracye zbrojne, jako prowadzące do umniejszenia rozlewu krwi, dałyby się uzasadnić ze stanowiska ludzkości, ale nie odpowiadały one wymogom polityki. Jeden z najzaciętszych pracowników powstania, po powrocie z Paryża, zasłyszawszy od otoczenia Napoleona wiele obietnic, pojmował potrzebę spotęgowania walki. „Był jeden sposób, mówił, aby, ratując honor narodowy, cała szlachta, ryzykując życie i majątki, ruszyła solidarnie do powstania, może pociągnęłaby część ludu, a w każdym razie takie heroiczne, jawne wystąpienie, byłoby zmusiło nie tylko do uszanowania, ale może do pomocy“. Tak doradzał Paweł Popiel.

Niewątpliwie zdecydowawszy się na walkę, nie należało jej przewlekać na lata, ale starać się o jej spotęgowanie i gdyby zawiodła, powstanie skończyć prędkiej, a więc z mniejszemi ofiarami.

Zamiast tego, galicyjscy dyplomaci prowadzili spory z Rządem Narodowym o zagwarantowanie niezawisłości organizacyi, z czego czyni sobie sławę Koźmian. Doszło do tego, że chcieli autonomię dla siebie kupić, wiedząc że Rząd Narodowy jest w kłopotach finansowych. Józef Grabowski podpisał też układ, mocą którego, Galicya dostała samorząd, a nawzajem, jej reprezentanci zobowiązali się sfinansować pożyczkę narodową. Umowa ta była dotrzymana, ale tylko z jednej

strony. Rada prowincjonalna otrzymała prawo nominowania urzędników z wyjątkiem komisarza. Pożyczka jednak, zdaje się, nigdy nie przysłała do skutku.

Spory te ówczesne z Rządem Narodowym, silnie odbijają się i w książce Koźmiana. Mówi on zawsze o nim niechętnie, z przekąsem „uznaliśmy Rząd Narodowy tymczasowo...” „przystępując do Rządu Narodowego dawaliśmy zagranicy żądane rękojmię, że wewnątrz przez nasz współdział, ten rząd nabierze warunków umiarkowania i roztropności“ (T. I. str. 187). Teraz dopiero z książki Koźmiana dowiadujemy się więc, że grono krakowskie, złożone z kilku ludzi, z których najstarszy nie miał lat 30, już było tak w Europie znane, że mogło jej dawać gwarancję za kraj cały *). Ustęp ten świadczy, jak autor przeceniał powagę swą i swoich przyjaciół. Mimo tego wszystkiego p. Koźmian, przyznać należy, czasem umie także być bezstronnym, panuje nad namiętnościami i ocenia działalność Rządu Narodowego dość przychylnie.

Czytamy obok wielu innych ten oto charakteryzujący organizację narodową ustęp: „...Rzecz niepojęta... tajny Rząd Narodowy istniał w Warszawie obok władz rosyjskich, zarządzał wojną, która była tylko demonstracją zbrojną, a po części i krajem, miał skarb i pobierał podatki, zawiązywał i utrzymywał stosunki z zagranicą, miał swoją policję i swoją żandarmeryę, swoją pocztę, organa i dzienniki urzędowe i półurzędowe, wychodzące z tajnych drukarni i dostające ostrzeżenia, a nigdy i przed nikim nie był odpowiedzialnym, przez

*) Innego zdaje się, zdania, był ks. Czartoryski, jak wskazuje fakt następujący: Starano się w imieniu Ludwika Wodzickiego o nominację na sekretarza agencji londyńskiej. Rząd Narodowy odniósł się w tym względzie do ks. Władysława, a ten oddając cześć należną charakterowi Ludwika Wodzickiego, odpowiedział, iż nie jest kandydat dość obznajomiony z stosunkami zagranicznymi, a więc nie kwalifikuje się na tę posadę. (Wydawnictwo Materiałów tom V. str. 302).

nikogo znanym, był sam w sobie zmiennym i podległym przewrotom wewnętrznym. A przecież mało kto nie uległ jego władzy lub jego teroryzmowi; odkryć go i zniweczyć, przez dwa do trzech lat rząd rosyjski nie zdołał i w końcu wszyscy się z nim liczyli, i ci, co mu służyli i weń wierzyli i ci, co go potępiali, nawet zagranica i rządy regularne, i to tak dalece, że przez wzgląd na te rządy ludzie, o których tu wciąż mówię w przekonaniu, że wymaga tego dobro sprawy i że zwiększy to warunki jej powodzenia i obcej pomocy, weszli z nim w stosunki i jeżeli nie całkiem poddali mu się i uznali jego prawowitość, to uznali przecież jego chwilową konieczność (str. 189). . Przyznać także należy, iż znalazł się cały zastęp i cały szereg ludzi, którzy plan przeprowadzali, obdarzonych niezwykłą energią, odwagą, poświęceniem wyjątkowym i niepospolitą zrzecznością, wytrwałością zarówno jak bezwzględnością, niezbędnymi w podobnych przedsięwzięciach... Odnosnie do stosunków zagranicznych, Rząd narodowy, przez czas mojej z nim styczności, okazywał zrozumienie położenia, umiarkowanie w sądach i poglądach... A nawet memoriał tego rządu do ks. Czartoryskiego, dla zagranicy przeznaczony... był znakomicie napisany, w formie dyplomatycznej, nacechowany znajomością stosunków, mówił to, co na razie istotnie mogło dobre wywołać wrażenie i być sprawie pomocnym..." (str. 202). Tem dziwniejszem wydaje się owa naiwna wstydlivość p. Koźmiana w przyznawaniu się, iż był urzędnikiem Rządu Narodowego. „Nasze przystąpienie do Rządu Narodowego nie pogorszyło w niczem, są słowa jego, położenie stało się tylko osobistem upokorzeniem“. Co ma znaczyć ów frazes dziwnie nieogłędny i niejasny? Trudno sobie wytłómaczyć tem więcej, że Koźmian znał jednego tylko, jak mówi, członka Rządu, to jest jenerała Trauguta, a o tem wyraża się z wielkiem uznaniem.

Porównanie pojmowania obowiązków obywatelskich przez grono krakowskie z naszą dyplomacją parryską obudzić musi w każdym szacunek dla obywatelskich zalet ks. Czartoryskiego, który wraz z swem otoczeniem nie miał żadnych względów osobistych, tylko wyłącznie dobro publiczne na oku. Ks. Czartoryski nie czuł się upokorzony tem, że odbierał polecenia od Rządu, i ściśle je wypełniał, choć mogły być nieraz i nieprzyjemne. Gdy Rząd zażądał, aby przez ustępstwo dla żywiołów radykalnych nieufających Czartoryskiemu, w sprawach ważniejszych porozumiewał się z Ordeą, przedstawicielem stronnictwa demokratycznego, ściśle się do tego zastosował i zyskał nawzajem ze strony Ordegi pomoc i poparcie. Przeciwnie Koźmian z przyjaciółmi, naganiającymi zwykle społeczeństwo nasze za niesforność, chełpi się z tego, że nawet wobec nieprzyjaciół jako urzędnicy narodowi umieli być niekarnymi, że wprowadzali bezład i rozprzężenie, a demoralizację wśród żołnierzy i dążących do walki.

Między *Historią z lat a Rzeczą o 1863 r.*, jest pewna łączność, jakby pokrewieństwo myśli. Sulima zalecał politykę kompromisów z Rosją, a raczej jej poddanie się i dlatego został odosobniony. Zamiar jego przechodził zakres możliwości, warunki nie sprzyjały. Pozbawiony wpływów nic nie mógł zrobić. Zręczniejszy i pełen stosunków autor *Rzeczy o 1863 r.* potrafi może wyzyskać nabyte doświadczenie. Społeczeństwo nasze ma zawsze skłonność do kompromisów, ale zwykle spotyka się z brakiem odpowiednich, a od nas niezależnych warunków. O tem jednak mówić będzie czas gdy ukaże się część trzecia dzieła, a w niej program przyszłej pracy narodowej i prawdopodobnie zachęta do kompromisów.

Aby nie męczyć szan. Zgromadzenie, zakończę to przedstawienie jedną jeszcze uwagą. Chcę wykazać, jak obaj wspomniani pisarze, mając na celu rehabilitację margrabiego, są z sobą w wielu względach pokrewni.

W zaborze moskiewskim, sprawy polityczne, nawet opór przeciw policji, należały i należą do sądów wojennych. Wielopolski, człowiek przekonanych niezawisłych, w porozumieniu z Wołowskim, dyrektorem komisji sprawiedliwości, przeprowadził w Radzie stanu ustawę, że podobne sprawy mają podlegać sądom zwykłym. Kilkaset osób aresztowanych w czasie rzezi 8. kwietnia, odstawiono do Modlina. Wielopolski oddał sprawę ich pod rozpatrzenie sądu karnego. Wieczorkowski, prezes sądu kryminalnego, po przeprowadzeniu śledztwa nie znalazł istoty czynu karygodnego, aresztowanych uwolniono. Autor Historji 2 lat pisze z tego powodu w II. tomie: „Sędzia rozumny, odczuwający doniosłość sytuacji i wagę obowiązków na niego włożonych, obdarzony dobrą wolą i szczerą miłością ojczyzny, byłby z wadliwego prawa wyciągnął to, co się wyciągnąć dało i winnych ukarał“ (str. 394).

Takie szerzy pojęcia o obowiązkach niezawisłych sędziów, człowiek, co porwał się do sądzenia dziejów narodu i historii wypadków styczniowych. Nic więc dziwnego, że on to, chociaż z zawodu dziennikarz, oskarżał także cenzurę (rozumie się z przed 30 laty) że była za łagodną. (Hist. 2 lat tom II. str. 144).

Sulima gani dalej Wielopolskiego, że w przepisach dla karania tłumów, biorących udział w demonstracjach, stawiał kary za łagodne (od 3 do 5 lat więzienia w fortecy, a nawet przy obciążających okolicznościach do 10 lat). „Dla motłochu, są słowa jego, dla mnóstwa próżniaków włączających się po bruku wielkiego miasta, nie wiedzących co jutro będą jedli i gdzie głowę złożą, groźba zamknięcia w fortecy na czas dłuższy lub krótszy była niczem, była owszem zapewnieniem im egzystencji spokojnej i pewnej (tom II. str. 339).

Koźmian w zręczniejszej formie, innych wyrazach, nie daleko odchodzi od Sulimy.

„Policja, mówi Koźmian, daremnie uganiała za agitatorami i miała przeciwko sobie ludność, przywódcy

umieli się ukryć... Rząd jakby raz dotknięty jakąś chorobą, chciał postępować łagodnie, niby legalnie, tam gdzie stanowczość byłaby zbawczą, a że szło o przewrót dziwny, wyjątkowy, niebywały, o których żaden kodeks nie wspominał, nie wiedzano co począć, ani co poradzić...

Dziwi się dalej autor, że Wielopolski nie chciał zasiadać w Radzie administracyjnej, dopóki nie ustąpi z niej znany z srogich nadużyć generał Rudanowski i nie zostaną powrócone osoby wysłane przez niego w głąb Rosji. Ma mu za złe, że nie chciał dopuścić do Rady administracyjnej szefa żandarmów, rosyjanina, a to w tym celu, aby nie poniosła szwanku autonomia.

Stawia zarzut, że spisek się rozwielił w całym kraju, tymczasem poza rogatkami miasta, mówi Koźmian, żadnej nie było policji. W miastach prowincjonalnych, kilku starych dziadów w podartych mundurach i z kijem w rękę, przedstawiało policję wykonawczą. Na wsi wójtem gminy był szlachcic, dawał każdemu emissaryuszowi paszport. Zżyma się wreszcie niedoszły zwycięzca krakowskiej załogi na Wielopolskiego, że tenże otrzymywane od wojskowych komendantów skargi odsyłał gubernatorom do sprawdzenia. „I tu znów, mówi Koźmian, legalista, prawnik, reformator, górował nad administratorem, człowiek czynu, człowiekiem politycznym, kiedy ten ostatni (t. j. polityk) musiał mieć pierwsze słowo *).

*) Naganiana przez Sulimę i Koźmiana łagodność Wielopolskiego i namiestników warszawskich inaczej wyglądała według pamiętnika Berga (*Ruskaja Starina* str. 261 tom 84). Piśze on, że namiestnik Berg w wrześniu 1863 r. powiększył policję warszawską o 3000 żołnierzy i 60 oficerów, amatorów powołanych z szeregów do zarządu policji. „Oficer miał wiedzieć co się działo w każdym domu, znajdującym się w jego okręgu, kto zachodzi i wychodzi z niego. Mógł, kiedy tylko zechciał, dniem i nocą odbywać rewizję u mieszkańców. Wielu gorliwość swą doprowadziło do ostateczności, nie sypiali w nocy, śledząc

Wobec zaleconego pogwałcenia praw i poczucia sprawiedliwości, nasuwa się myśl, czy Murawiew za swe okrucieństwa z powstańcami, nie zyska u autora jeśli nie usprawiedliwienie, to sąd pobłażliwy.

W położeniu naszym da się wytłumaczyć pewna zgryźliwość, chęć nieprzeparta do obwiniania innych, wzajemne szukanie stron ujemnych, a jednak wiek niewoli podniósł naszą wartość moralną, temu zaprzeczyć niepodobna. Na szczęście, że o moralnej wartości i sile narodu mają obcy sąd sprawiedliwszy.

Po lutowych manifestacjach, powagą naszą i poświęceniem, Moskale przestraszeni byli do najwyższego stopnia. Czar polecił ks. Górczakowowi miasto bombardować przed ucieczką. Namiestnik dokumenty urzędowe i kasę przeniósł do cytadeli, a rodzinę wysłał do Dreżna. Carowa, gdy wyjeżdżał Murawiew, żegnała go prośbą, aby starał się przynajmniej Litwę ocalić, bo Królestwo uważała już za przepadłe. Po zarządzanej brance, jakkolwiek Moskwa była przygotowaną na opór, Ramzaj, szef sztabu armii rosyjskiej był przestraszony i polecił skupiać się w wielkie oddziały po miastach.

Według Pawliszerewa było w czasie wybuchu powstania w Królestwie 111.000 żołnierzy, według Puzyrewskiego, który jest obecnie głównym szefem armii rosyjskiej w Warszawie, wynosiła 102.040 przed wybu-

podejrzane, według swego przywidzenia osoby, wpadali niespodzianie na rewizję do mieszkań, gdzie wszystko przewracali do góry nogami, urzynali nogi u stołów, krzesel, łóżek, rozcinali na drobne kawałki niedopałki cygar, jeżeli się gdzie znajdowały, tak, że po takiej rewizji zdawało się, że w domu przeszedł jak gdyby wszystko niszczący uragan. Znajdowali się między tymi gorliwcami oficerowie, co przebierali się za posługaczy, stali na warcie w różnych punktach miasta dla śledzenia tego rodzaju rzeczy, do jakich zwykli policyjanci nie byli odpowiedni⁴. A mimo to namiestnik, według Berga, wysyłał od 6 godziny wieczór do 6 rano, około 30.000 żołnierzy z ostro nabitemi karabinami na patrole.

chem *), a w ciągu powstania tak była zwiększoną, że doszła w ziemiach polskich do 250.000. Puzerewskij jednak w dziele, które obecnie wydaje pod tyt. *Wojennyja diejstwa w carstwi Polskom*, przyznaje, że chociaż oddziały nasze nie miały broni ani dobrych dowódców i instruktorów, wiele razy jednak wytwarzały bardzo groźne dla wojska moskiewskiego położenie i twierdzi, że siły rosyjskie nie były dostateczne do stłumienia powstania, gdyby nie pomoc warunków klimatycznych.

To pewna, że przy dzisiejszym systemie wojny, żadne powstanie samodzielne nie rokuje powodzenia, ale w razie wojny prowadzonej w ziemiach polskich, ta strona, która mieć będzie za sobą sprzymierzeńca w Polakach, zajmie decydujące stanowisko.

*) Tom I. str. 377.



Przemówienie Dr. Stella-Sawickiego.

Książka p. Koźmiana „Rzecz o r. 1863“, dziwnie przykre robi wrażenie na czytającym, niekonsekwencyą swoją, zaczyna się bowiem słowami: „mam opowiedzieć i zastanowić się nad klęską wszystkich, błędami wszystkich spowodowaną“, a cały drugi tom jest niustannym ciągiem sławienia rozumu stanu margr. Wielopolskiego i narzekania na czerwonych, a przedewszystkiem na tych, którzy, według zdania autora, wywołali styczniowe powstanie, to jest na Zygm. Podlewskiego i Zygm. Sierakowskiego. Jakkolwiek autor książki, o której mowa, stara się przekonać, że mu dokładnie była znana sytuacja wewnętrzna kraju i stan kwestyi polskiej za granicą, muszą jednak być niewiernym Tomaszem, bo przedstawienie całej sprawy w wielu miejscach jest zupełnie mylne i bałamutne.

O powstaniu zbrojnym do stycznia 1863 nikt na seryo nie myślał, bo kraj do tego zupełnie nie był przygotowany, a jeżeli mówiono o tem czasami, to jako o możliwej ewentualności w wypadku europejskiej wojny. Gdyby Wielopolski, przy niezaprzeczonych zdolnościach swoich, znał charakter polskiego narodu, to z wezwaną do wspólnej pracy szlachtą do rozwiązania tak ważnej sprawy uwłaszczenia włościan i urządzenia autonomii Królestwa kongresowego, mógł powoli uspokoić umysły i skierować je do poparcia swej polityki, były to bowiem sprawy, które wszystkich, od góry do dołu, interesowały. Tymczasem, wzięwszy za dewizę niesmaczny

w ustach Polaka frazes, że „dla Polski można coś zrobić, ale nie z Polakami“, Wielopolski, popróbowałszy zbliżenia z Zamojskim i oparzywszy się na tem z własnej winy (zniesienie Tow. rolniczego), już nie szukał dalej sposobu porozumienia się i odnalezienia wspólnej drogi, a postanowił iść według planu swego i usposobienia, i zaczął giąć i łamać wszystko, co się nie skłaniało według woli jego.

Gdy do Warszawy przybył Lambert i Gerstenzweig, Wielopolski wspólnie z tym ostatnim nalegał na Lamberta, aby ogłoszeniem rozporządzenia o zbiegowiskach i ostrem karaniem biorących w nich udział, położyć koniec manifestacyom ulicznym i śpiewom kościelnym. Lambert, żarliwy katolik, nie zgadzał się długo na rozpędzanie ludzi z kościołów i na aresztowania w świątyniach, ale jako człowiek słabego charakteru, ustąpił nareszcie, nie przewidując, że to doprowadzi do profanacyi świątyń i do ich zamknięcia.

Lambert miał adjutanta, Polaka, Alfa Wrześniowskiego, którego znałem dobrze i z którym Namiestnik żył tak serdecznie, że będąc już za granicą, po pojedynku amerykańskim z Gerstenzweigiem, pisywał doń listy prawie co tydzień. Listy te były w rękach ludzi stojących na czele ruchu. W wielu z nich Lambert z najwyższym żalem i oburzeniem wspominał o tych krokach, które zrobił wskutek nalegań Wielopolskiego, o tem nieustannem drażnieniu ludności, które wywołały rozporządzenia margrabiego, o jego pyszałkostwie, gburowatości i umiejętności zrażania sobie ludzi lekceważeniem i pychą niezmierną. Jak Krasiński wyraził się o nim: „był to Nabuchodonozor na trzy dni przedtem, nim poszedł na paszę“. Wszystkie wypadki ówczesne, tak irytujące rząd moskiewski, Lambert przypisywał postępowaniu Wielopolskiego, który nieustannie mówił i nalegał na energiczne tłumienie wszelkiego objawu niezadowolenia, wszelkiej manifestacyi. Te skargi poufne przed przyjacielem na Wielopolskiego, są bardzo wa-

żnemi, bo hr. Lambert najlepiej mógł sądzić o margrabim, przypatrując się czynom jego.

W owym czasie jeden tylko człowiek właściwie marzył o zbrojnym powstaniu, a tym był Jarosław Dąbrowski, marzył zaś na podstawie spisku, który był związany w samym wojsku moskiewskim, mnóstwo bowiem ludzi było już tam zaprzysiężonych, a zwłaszcza oficerów, lecz i oni nie myśleli o powstaniu w Królestwie; owszem miało ono wybuchnąć na Rusi nad Dnieprem. Dąbrowski, wszedłszy w porozumienie z oficerami smoleńskiego pułku, chciał w Polsce przygotować powstanie dla poparcia rewolucyjnego ruchu moskiewskiego, gdy się ten zacznie, ale dla swoich zamiarów wśród przewodców ruchu współników nie znalazł.

Ów Alf Wrześniowski należał do Wielopolczyków i bywał bardzo często w domu Józefa Wielopolskiego. Jako wojskowy i kolega wiedział on dobrze, co się działo w Warszawie, a widząc zakłopotanie margrabiego w sprawie zduszenia fermentu, szepnął raz, że potrzebaby aresztować Jarosława Dąbrowskiego i Władysława Jeskiego. Wielopolski natychmiast posłuchał tej rady. O udziale Wrześniowskiego w aresztowaniu tych dwóch bardzo gorących ludzi, dowiedziała się Warszawa. Ojciec Wrześniowskiego, człowiek bardzo zacny i poważny, przybył do stolicy. Gdy syn chciał się rzucić w objęcia rodzica, ten zatrzymał go ręką i rzekł: „nie prędzej ci podam rękę, aż postarasz się o uwolnienie obu, których uwięzienie tobie przypisują“. — Na prośbę Wrześniowskiego Wł. Jeskiego uwolniono, ale Dąbrowskiego uwolnić już się nie udało.

Kiedy wiadomość o zamierzonej brance wstrząsnęła umysłami zagrożonych w stolicy, a ztamtąd dostała się na prowincję, młodzież zawrzała z oburzenia i niepokoju, bo w chwili obudzenia się całej Europy, nikomu nie chciało się iść gdzieś w głąb Rosyi, dźwigając tornister żołnierski. Młodzież rzemieślnicza wołała, iż

woli umrzeć z bronią w ręku na ziemi rodzinnej. Komitet centralny wstrzymywał oburzonych i zrozpaczonych obietnicą, że zapobieży brance. W owym czasie w komitecie najenergiczniejszym i najruchliwszym był Zygm. Podlewski. W połowie stycznia przybyli do Warszawy naczelnicy województw, grożąc, że jeżeli komitet nie ogłosi powstania, to oni sami powstaną na prowincyi, bo młodzież nie chce iść do służby moskiewskiej. Wobec bardzo trudnego i groźnego położenia, Podlewski wysłał do Krakowa Hipolita Gaszyńskiego z poleceniem, aby koniecznie przywiózł ztamtąd chorego Stefana Bobrowskiego. Po przyjeździe jego do stolicy na zebraniu komitetu d. 15. stycznia zrana, zdecydowane było w żadnym razie nie dopuszczać do powstania, chociażby się branka odbyła, choćby potrzeba było dać na ofiarę molo-chowi wojskowemu kilka lub kilkanaście tysięcy ludzi.

Gdy po czterogodzinnem posiedzeniu zdecydowano było nie dopuścić do wybuchu, podniósł się Podlewski i rzekł: „ja pójdę do nich i ja im po wojskowemu powiem, a muszą usłuchać“. Gdy wszedł na zebranie wojewódzkich, rzucono się do niego z wymówkami i z największem oburzeniem, wołając iż są zdradzeni, bo pomimo obietnic powstrzymania poboru, pobór tej nocy już się odbył, o czem komitet jeszcze nie wiedział. „Tyś najwięcej obiecywał i ty za to odpowiesz! Jesteś zdrajcą, wołali na Podlewskiego, a jeżeli komitet nie ogłosi natychmiast powstania, ty pierwszy zginiesz z rąk naszych!“ Podlewski wrócił do zebrania blady jak trup i opowiedział co go spotkało. Pomimo to komitet robił możliwe wysiłki dla zażegnania burzy, do której kraj nie był przygotowany, ale napróżno, bo ruch zbrojny już się rozpoczął na prowincyi. Musiał więc ogłosić powstanie 22. stycznia. Podlewski, aby cześć swoją uratować, pierwszy udał się do lasów Kampinoskich, chociaż komitet centralny chciał go koniecznie zatrzymać w Warszawie. Co do Sierakowskiego, ten raz tylko

przejazdem z zagranicy będąc w Warszawie, widział się z członkami komitetu, naglony przez Dąbrowskiego, aby się oświadczył za zbrojnym powstaniem, stanowczo oparł się temu.

Wysłaniec krakowski, który przybył z Warszawy do Krakowa w pierwszej połowie stycznia, przywiózł wiadomość, że o powstaniu zbrojnym nikt w Warszawie nie myśli. Dla tego też, gdy w kilka dni przyszła do Krakowa wieść o powstaniu, zdumienie i przerażenie było tak wielkie, że Ława krakowska, zupełnie nieprzygotowana do tego, rozwiązała się natychmiast, nie chcąc do tego ręki przykładąć.

Powstanie więc zostało wywołane konskrypcją, którą sam Wielopolski nazwał proskrypcją. Uchwalono ją wbrew radom i zakłębom ks. Orłowa, który, aby jej niedopuszczyć, przybył z Belgii do przyjaciela swego W. Ks. Konstantego.

Przypuśćmy jednak na chwilę, że z punktu widzenia polityki, nieludzki pomysł konskrypcji, poczęty w głowie Zygmunta Wielopolskiego, a przyjęty przez ojca jego za własny, był rozumnym i koniecznym, aby od razu pozbyć się całego fermentu w kraju, zabierając jednych w rekruty, a drugich dusząc wojskiem, gdyby pomyśleli o oporze. Czy było zrobiono choć cokolwiek, aby wojsko przygotować do szybkiego stłumienia wybuchu powstań miejscowych? Wszakże wybuch znalazł rząd zupełnie do tego nieprzygotowany. Gdzież tu rozum stanu, nad którym tak się unoszą wielbienie margrabiego? Gdzie rozum administracyjny?

Chwalczy Wielopolskiego jemu przypisują te ustępstwa, które W. Ks. Konstanty przywiózł z Petersburga do Warszawy, ale to nie jest słusznem, bo ustępstw tych już żądał Gorczakow, posyłając Karnickiego do Petersburga, a zatem wtedy, gdy o Wielopolskim jeszcze i mowy nie było.

Wywołanie powstania konskrypcją nie znamionuje ani rozumu, ani taktu, ani miłości kraju, ani nawet zna-

jomości charakteru narodowego i czarną plamą legnie na imieniu Wielopolskich.

Stało się wielkie nieszczęście: — powstanie wybuchło. Cóż w owym czasie robiło stronnictwo zachowawcze w Galicyi? Na to odpowiada p. Koźmian tak (str. 59 T. I.): „Polecenia i instrukcje, przesłane nam z Paryża, a oparte na zwrocie zaszłym w stosunkach europejskich, żądały popierania powstania, odjęcia mu znamion rewolucyjnych, a nadania wyłącznie narodowych. To wpłynęło na zamiar ujawnienia narodowej władzy powstańczej, która była dotąd tajną. Stąd powstała myśl dyktatury, którą utworzono w Krakowie i którą poparł przeważnie „Czas“.

Myśl ta była tak samo nieszczęśliwą i tak samo mylną, jak myśl konskrypcyi Wielopolskiego, bo któż na chwilę mógł przypuścić, że Moskale mając takie przeważne siły w kraju, a przed sobą słabą, ujawnioną władzę narodową, nie rzucają się na nią natychmiast i nie zgniotą. Dla zrozumienia tego nie potrzeba było ani rozumu stanu, ani wytrawności sądu, i dla tego to wówczas powstało potworne obwinienie twórców dyktatury, że ją na to stworzyli, aby dać możność wrogom od razu zniszczyć główne siły powstania, zgromadzone w rękę Dyktatora.

P. Koźmian wprawdzie wspomina na str. 62 T. I., że „Hotel Lambert dawał radę, iż nie potrzeba na razie zwycięstw Dyktatora, a tylko unikania tego, coby siły jego rozproszyło“. Rada ta była bardzo naiwną, bo na wojnie zawsze są dwie strony, a każda stara się zrobić to, czego przeciwnik unika.

Ma się rozumieć nastąpiło to, co nastąpić musiało, a mianowicie katastrofa wojenna w osiem dni po ogłoszeniu dyktatury.

„Rzecz godna zapisania, powiada dalej p. Koźmian (str. 162), że po upadku Langiewicza, ludzie z Rady naczelnej galicyjskiej oświadczyli się stanowczo za zakoń-

zeniem powstania. A my to wobec widoków zewnętrznej pomocy, nie chcieliśmy już tego zakończenia“.

Oparli się więc temu ci, co potem takie pioruny rzucali na powstanie, podnosząc pod niebiosa Wielopolskiego i jego niezwykły rozum polityczny. P. Koźmian pisze o tem w następujący sposób (str. 57 T. I.): „Paweł Popiel przybył do Krakowa ze swej podróży do Paryża i rzekł, iż jasnym jest położenie, że trzeba na konia siadać i dać walce poparcie. Przemawiał z zapalem i gorąco, a nawet radził, aby cała szlachta polska podpisała manifest przystępujący do walki z Rosyją, chciał jawnego akcesu szlachty i kazał synowi swemu wziąć udział w powstaniu. Nasze grono sprzeciwiło się jednak co do akcesu jawnego całej szlachty, myśli rycerskiej, ale niepraktycznej, lecz wciągnięte widokami skutecznego działania mocarstw, następnie nadzieją, że się ono wywiąże z interwencji dyplomatycznej, i przystąpiło do powstania i popierania go z Galicyi. Utworzyła się tak zwana organizacya narodowa, mająca nieść pomoc powstaniu w Królestwie, w skład której weszli członkowie grona krakowskiego i rozpoczęły się stosunki z rządem narodowym warszawskim. Ta pomoc i ten współudział, dodaje autor, przyczyniły się do zwiększenia klęski polskiej w zaborze rosyjskim. Przyjawszy redakcyę „Czasu“, popierałem w nim kierunek przyjęty przez hotel Lambert i grono krakowskie“.

Od tego czasu rzeczywiście kierunek powstania grono krakowskie wzięło w ręce swoje i prowadziło go według wskazówek hotelu Lambert. Zaczęły się targi o władzę, jak to widać najdobitniej z protokołu zjazdu członków koła krakowskiego z wysłannikami rządu warszawskiego, zjazdu, w którym przyjął udział p. Paweł Popiel, który wymagał, aby Rząd narodowy był obsadzony członkami z grona szlachty. Protokół ten znajduje się w zbiorach biblioteki hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego.

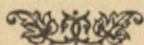
„12. kwietnia, pisze dalej p. Koźmian, (str. III. T. I.) przyszła wiadomość o amnestyi, pod warunkiem złożenia broni. Oświadczyliśmy się przeciw amnestyi. Był to drugi błąd nasz i postępek, który się stał zgubnym dla kraju“.

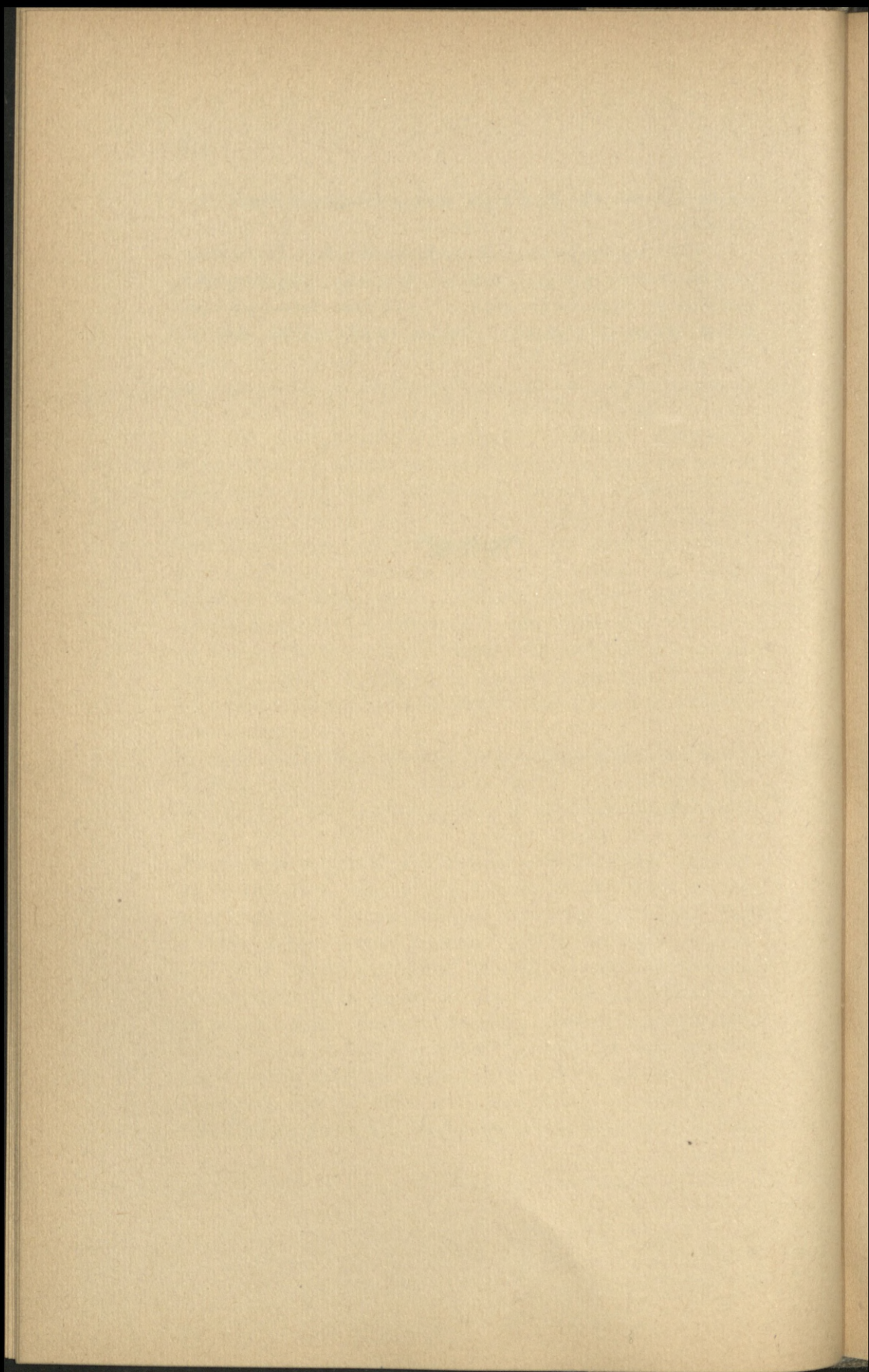
„17. kwietnia z hotelu Lambert otrzymano polecenie, aby nalegać na dymisyę rad powiatowych i gubernialnych w Królestwie Polskiem, a „Czas“ napisał: „W chwili, w której kraj cały chwycił za oręż i wypowiedział posłuszeństwo dawnemu rządowi, odsyłanie dymisyi ze stanowisk zajmowanych pod jego panowaniem, jest dowodem uczciwości, taktu i roztropności“. (Str. 136). Tak to więc rwie się w rękach margrabiego Wielopolskiego ostatnia nitka, którą myślał przywiązać kraj do swego urojonego systemu, i niknie dla niego ostatnia nadzieja owej fantasmagorycznej autonomii, której chciał być i mistrzem i apostołem, a to dla tego, że margrabia zamiast brać ludzi i wypadki jak się przedstawiają, chciał i jednych i drugie przykrajać do doktryn wyrozumowanych w długiej samotności i zgubnem odosobnieniu“.

Ze wszystkich błędów, popełnionych przez partję kierującą polityką wewnętrzną kraju w powstaniu będącym, ten był największy, bo głos „Czasu“ został usłuchany. Cała organizacya w kraju wskutek tego wezwania zaczęła rozpadać się, uważając wskazówkę „Czasu“ za wskazówkę rządów interweniujących. Cała praca, cała budowa Wielopolskiego, przez tych co dziś tak wielbią cienie jego, została zniszczona, zgruchotana, a bezrząd zastąpił miejsce dawnej rutyny administracyjnej, dając pole do popisu osobom zupełnie nieobznajomionym albo wrogim krajowi. Takie postępowanie kierowników polityki krajowej wytrąciło z rąk narodowych nawet możność wszelką wcześniejszego ukończenia nierównej walki, albo energiczniejszego pokierowania nią. Dla tego też tak długo krwawiła się Polska i tylko

ostateczna anemia wytrąciła oręż z osłabłych dłoni walczących.

Taką byćby powinna konkluzja dzieła p. Koźmiana, po jego rewelacyach, i zamiast frazesu: „wszyscyśmy zawinili w wypadkach 1863 r.“, należało chyba uderzyć się w piersi i wyrzec: „*Nostra culpa, nostra maxima culpa!*“.





P przemówienie Leona Syroczyńskiego:

Po tak gruntownych i wyczerpujących rzecz sprawozdaniach, nie mam istotnie odwagi przedstawiać Panom moich drobnych uwag w sprawie, która nas zajmuje.

Przed kilku tygodniami miałem zamiar zestawić to wszystko, co nasze i obce gazety pisały o książce Koźmiana, w przekonaniu, że jest zawsze interesującym, jaka opinia o książce p. Koźmiana była w naszym społeczeństwie najwięcej rozpowszechniana i rozpowszechniona.

I zamiar mój nie był zły, skoro w VI. artykule, poświęconym tej książce przez gazetę „Czas“, autor tych artykułów podjął tę samą tezę i po swojemu, ale oceniał charakter artykułów pisanych o i przeciw dziełu p. K. Byłbym go też wykonał, gdybym tak jak przed 10-ciu dniami miał tylko do czynienia z dosyć licznymi artykułami pism lwowskich; ale w ostatnich czasach „Reforma“, „Czas“ i „Przegląd poznański“ tak wyczerpujące artykuły książki i kwestyom w niej podjętym poświęciły, tak weszły w jej rdzeń, a oceniały sprzeczenie ze względu na polityczny charakter tych pism, — że musiałbym powtarzać wszystko niemal, co w dyskusji było powiedziane. Wspomnę tylko o tych niemieckich i rosyjskich pismach, które krytkowały książkę p. K.

Z gazet niemieckich dwie „Neue Freie Presse“ i „Wiener Tagblatt“ zajęły się tą książką, a z rosyjskich miałem w ręku tylko „Nowoje Wremia“. Dziwna zgo-

дноść ich zapatrywań w zaznaczaniu, że dobrze się stało, że naród polski po r. 1863 przestał liczyć na pomoc zagranicy, że przestał się łączyć pomocą Francji i Napoleonów, choć na zdobycie tej wiadomości nie potrzeba było r. 1863, a wystarczała klęska pod Sedanem. Charakterystycznym jest także, że „N. F. Presse“ dała tytuł swemu artykułowi: Die Wahrheit über das Jahr 1863; dla recenzenta tej gazety jest prawdą wszystko to, co Koźmian w swej książce umieścił, a co zdaniem naszym, jak to wielu już z Panów podniosło, niekoniecznie z prawdą się godzi; nie sędzę, bym się mylił, mniemając, że wszystkie te sprawozdania przetłumaczyły polskie artykuły, może polski artykuł, — ale i bez względu na źródło ich krytyk niema tam dla nas nic nowego ani pouczającego. Skoro zaś nie chcę wszczynać dyskusji z organami prasy naszej, które więcej lub mniej gruntowne literacko-historyczne, czy polityczne artykuły pracy p. K. poświęciły, korzystam ze sposobności, aby zaznaczyć moją opinię o dwóch tezach p. Koźmiana, które pod wielu względami dominują w jego dziele i nadają mu charakter.

Pierwszą tezę jest ta, że nie powinniśmy ani my, ani szereg następnych pokoleń dążyć do zdobycia niepodległości, do ukształtowania się jako niezależne państwo, że powinniśmy cel ten usunąć na ostatni plan przyszłości, a obecnie myśleć jedynie o zachowaniu narodowego bytu. Jest w tem coś prawdziwego, jak prawdziwym jest to, że, aby dojść do celu, potrzeba mieć środki odpowiednie, jak prawdą jest to, że kto chce żyć, ten nie powinien chcieć, aby go zabito. Teorya to zresztą wcale nie nowa, bo zawsze byli ludzie na świecie, którzy mówili, że należy dbać przedewszystkiem o byt i o życie; wystarczy tu przypomnieć z czasów rewolucji francuskiej ks. Siéyès'a, który zapytany, co robił podczas rewolucji, odpowiedział: j'ai vécu — żyłem, a i z czasów ostatniego naszego powstania pozostała w pamięci wielu odpowiedź kolegi, że dla tego nie poszedł do

powstania, iż „miał inne pojęcie o życiu“. Wątpię jednak, czy kierując się zasadami życia prywatnego, które p. Koźmian radzi słusznie, — ale już wielu przed nim radziło — brać za wskazówkę w życiu politycznym, spełnimy nasz obowiązek i damy dowód obywatelskiego poczucia, jeśli będziemy wyłącznie o zachowanie bytu dbali. Lekarz, który w obawie swego życia nie pojedzie do chorego, żołnierz, który konserwując swój byt, nie zechce pójść na wojnę, nie spełnią swego obowiązku. Jest to kwestya raczej filozoficzna niż polityczna, ale zdaje mi się faktem, iż owa dbałość o byt wyruguje u człowieka ideę poświęcenia, a odsunięcie na ostatni plan starań o niepodległość kraju, wyruguje uczucie miłości ojczyzny. Dlatego też co do mnie, uważam ją za równie błędną jak szkodliwą.

Drugą tezę p. Koźmiana jest potrzeba, nawet obowiązek dążenia do kompromisu z rządami rozbiorowymi, a zatem i z Rosyą. Naprzód trzeba zaznaczyć, że w terminologii prawniczej kompromis bywa tylko między dwiema stronami — a nie znamy wypadku, żeby Rosya chciała z którąkolwiek częścią swego polskiego państwa kompromis zawierać; od samego początku rozbioru kraju naszego była zaś zawsze wielka część ludzi politycznych, którzy starali się pod każdym z zaborów uzyskać możliwe warunki bytu, i szli tą drogą godzenia się z losem i zużytkowywania praw nam narzuconych dla rozwoju narodowego, którą p. K. kompromisem nazywa. Tak ks. Adam Czartoryski aż po dwudziesty któryś rok XIX. wieku niezawodnie był kierownikiem i twórcą polityki, ażeby pod rządem rosyjskim uzyskać najdogodniejsze warunki do rozwoju polskiego społeczeństwa, nie wywołując rewolucyi; wiadomo też, że podczas roku 1812 Litwa i Ruś były sforsowane przez Napoleona, ażeby się przeciw Rosyi oświadczyły. Ale obok takiego ks. Czartoryskiego, był zawsze jakiś Nowosilcow, którego postępowanie wcale kompromisowe nie było i który u rosyjskiego rządu ostatnie miał słowo.

Tak jak Czartoryski, postępował na Wołyniu Tadeusz Czacki; takim było dążenie X. Metropolity Hołwińskiego i wielu innych na małych stanowiskach osób, a mimo to Rosya nie szanowała nigdy praw Polaków tak, że los ich był zawsze losem poddanych, a nie tych, którzyby mogli zawierać kompromis. Jeżliśmy zawiązywali w prowincjach podległych Rosyi szereg tajnych stowarzyszeń, które chciały w tej lub owej formie dojść do odzyskania dawnej niepodległości, i te spotykały u rządu bardzo surowe kary, to mieliśmy także i szereg towarzysztw i szereg czynności, które drogą ekonomicznego i społecznego podniesienia, drogą postępu i przyswajania sobie owoców kultury europejskiej, dążyły do utrwalenia bytu narodowego, a te również spotykały się z karą, choć mniej surową, były jak tamte zabraniane i prześladowane. Dlatego też zdaje mi się, że w dyskusyi nad tem, jakie prawa możemy uzyskać od Rosyi, strony rozprawiające koniecznie będą sobie musiały zarzucać niejasność i nieokreślność, bo przedewszystkiem samo pojęcie przedmiotu — praw narodowych — jest nietylko nieokreślone, ale i zmienne — a istotnie wobec Cara Wszechrossyi i króla polskiego, my żadnych praw nie mamy. Nazywając rzecz po imieniu, należy powiedzieć, że ugoda nastąpi, jeśli my tylko tego będziemy chcieli, na co rząd rosyjski będzie pozwalał; wszelkie zaś czynności, których rząd rosyjski nie będzie chciał, które prześladowe lub będzie prześladował, narażają nasz byt i jako takie, w myśl idei p. K., powinny być zaniechane.

Jako przykład mego twierdzenia, weźmy Ruś naddnieprzańską. Tam towarzystwa ruskie od czasu Szewczenki były ustawicznie przez rząd prześladowane i Rusini nie uzyskali żadnych praw; wzbroniono im przeciw drukowania ksiąg ruskich i używania języka, mimo, że nigdy tym towarzystwom nie zarzucano wyraźnych dążności secessyi politycznej, a osobiście kierownicy tego ruchu ruskiego byli najlojalniejszymi urzędnikami rządu rosyjskiego, i na nas samych dawali

dowody tej wobec rządu lojalności. A wśród nas, czy Polacy, którzy byli najwierniejszymi poddanymi rosyjskiego rządu, uzyskali przez to uznanie lub prawa, których rząd rosyjski nie chciał im dać, jako Polakom? Klasycznym przykładem jest postępowanie rządu z Rzewuskim, któremu mimo to, że za czasów Mikołaja I. był pełnym generałem, po r. 1863 odebrano tak samo prawo nabywania dóbr na Rusi, jak wszystkim innym Polakom; na tej samej Rusi wystarczało niemieckiej rodzinie T., której reprezentanci w r. 1831 służyli w wojsku rosyjskim, i przyczynili się do rozbitcia oddziałów powstańczych, aby drugie ich pokolenie, zrodzone z Polek, spoiło się, by rząd rosyjski tak samo jak Polakom, odmawiał im prawa nabywania majątku. — Słowem twierdzenie, że polityka nazwana kompromisowa, prowadzi wobec Rosyi do utrzymania bytu narodowego, jest rzeczą nieprawdziwą dla każdego, kto zna historię stu lat ostatnich rosyjskiego państwa, i dla tego i tę tezę Koźmiana uważam również za błędną z gruntu.

Co się tyczy samej książki, chciałbym dodać uwagę, że jest pisana z tak wielką namiętnością, że niejednokrotnie autor przekracza granice obiektywnej prawdy; a przekroczył już wszelkie jej granice tam, gdzie dotyka stosunków Rusi. Wszystkie niemal daty i fakta, które p. K. wziął z powstania na Rusi, dla poparcia swych historyczno-politycznych konkluzyj, są nieprawdziwe. Pisze na przykład, że rząd narodowy, wywołując powstanie na Rusi i chcąc między polskiem a rosyjskim społeczeństwem stworzyć nieprzebytą przepaść, nie wahał się nakazać wszystkim Polakom, służącym rządowi rosyjskiemu, aby się podali do dymisji; w ten sposób — mówi — torowano drogę Murawiewom i Bergom. A przecież faktem jest, że mamy między sobą tych mirowych pośredników, którzy nigdy takich rozkazów nie odbierali, ale przeciwnie, jako mirowi pośrednicy (sędziowie pokoju), i w tym oficjalnym charakterze sprawie powstania służyli i emigrowali. A jeśli

przypomnimy sobie, że całe grono krakowskie przystąpiło do powstania w połowie lutego, Litwa ruszyła się 31. marca, Ruś zaś dopiero 8. maja, to kto się ruszył pierwszej, kto, uwierzywszy w skuteczność dyplomacji zagranicznej, pchnął cały naród do walki, przedłużył okres a rozszerzył terytoryalne granice powstania, i zwiększył klęskę? Motywem do powstania na Rusi było uczucie solidarności narodowej, ale jak może p. K. dla siebie i grona krakowskiego windykować okoliczności łagodzące winę, skoro oni właśnie zrobili to pierwszej i rozpowszechnili mniemanie o potrzebie rozszerzenia powstania na cały obszar ziem dawniej polskich?

Każdemu uczestnikowi powstania, a więc i mnie osobiście przykrą rzeczą było dowiedzieć się z tej książki, że p. Koźmian z całego ruchu r. 1863 nie wyniósł żadnego dodatniego wspomnienia, bo ja z dumą słuchałem o tem, jak w Sejmie galicyjskim jeden z posłów zeszłego roku powiedział, że oddałby połowę tego, co umie, i tego, co ma, za wspomnienie, które ma inny kolega, że stracił rękę w walce za ojczyznę. Gdy jednak na innem miejscu mówi p. Koźmian, że cała historia Polski dla niego jest opisem czynności, z których się potrzeba uczyć, czego robić nie należy, chcąc istnieć jako państwo, to przestaje być dotkliwym pierwszy zarzut.

Natomiast trudno rozumieć i podzielać zapatrywanie jednego z korespondentów „Czasu“, który doradzał, ażeby z zawierającego te zdania drugiego tomu dzieła Koźmiana zrobić popularne wydanie, i my, cośmy odczuli znaczenie Polski w bitwie pod Grunwaldem, przy zawieraniu Unii lubelskiej, w walce z Tatarami, w odsieczy Wiednia i w tylu bohaterskich czynach naszych przodków, zgoła inne, niż p. Koźmian, o historii polskiej musimy mieć wyobrażenie, i inne z powstania zachować wspomnienie.

Przemówienie Tadeusza Romanowicza:

Czuję się w obowiązku dorzucić kilka słów, a to z powodu, że spotykał mnie wprawdzie nie publicznie, ale w każdym razie z poważnej strony zarzut, że ja za daleko poszedłem w konsekwencyach, jakie wyprowadziłem z tego, co p. Koźmian pisze, — i że p. Koźmian nie mógł swej teorii odrzucenia programu niepodległości pojmować tak absolutnie i tak konsekwentnie, jak ja to przedstawiam. Ukrytych myśli p. Koźmiana ja znać nie mogę. Skoro zaś — jak wykazałem na poprzednim zebraniu — cały jego wywód programowy jest oparty tylko na logicznej konstrukcyi, t. j. że on z apryorycznie postawionych zdań wyprowadza logiczne konsekwencye, toż jest rzeczą naturalną, iż przeciw niemu zwraca się taką samą logiczną konstrukcyę, t. j. wyprowadzenie wszelkich dalszych konsekwencyj, wszelkich logicznych wniosków z jego twierdzeń. Wykazałem, że do uzasadnienia swego programu zrzeczenia się idei niepodległości, aby ratować nieokreślony bliżej byt narodowy, — p. Koźmian dochodzi bez historycznych podstaw, a nawet wbrew tym podstawom — a to wykazawszy, starałem się z programu tego wyprowadzić te konsekwencye, które logicznie z niego wypływają — t. j. dojście do zupełnego zmateryalizowania i zdemoralizowania społeczeństwa, całkowitą zaturę myśli narodowej, a więc w końcu i zaturę „bytu“.

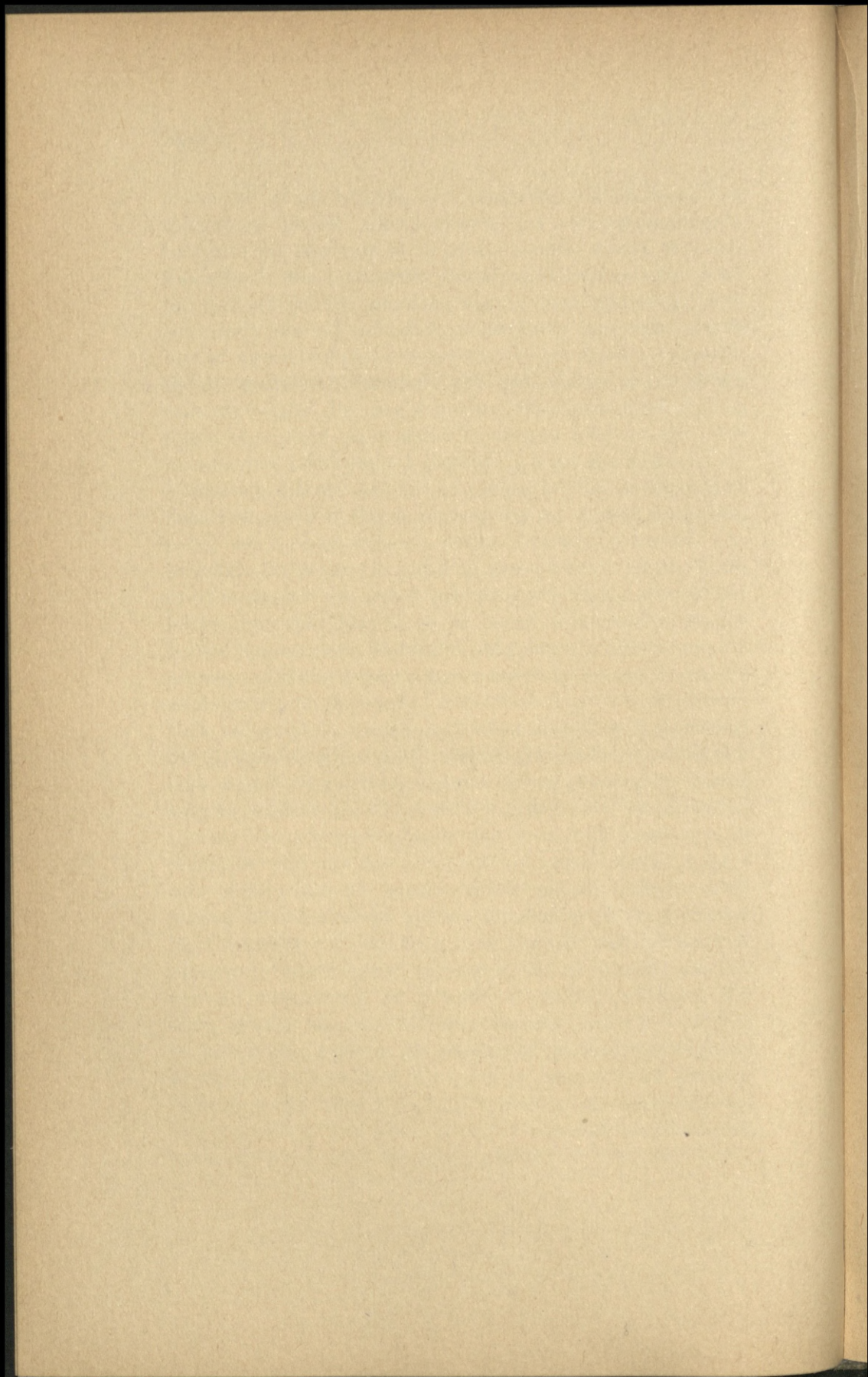
Że ten program mieści w sobie istotnie zupełne zrzeczenie się przyszłości — udowodnił najlepiej autor

*

artykułu, zamieszczonego w „Czasie“, o którym tu już dziś wspomniano. Powiada on, że u Koźmiana może zdaleka przebłyskiwać myśl, iż to zrzeczenie się niepodległości ma być tylko na dziś, na jutro, ażeby przez ten czas pozwolić narodowi żyć i wzmacniać się, i że naród kiedyś do tej idei niepodległości powróci, że myśl ta, jak gwiazda polarna, kiedyś mu znowu zaświeci, lecz potrzeba kilkunastu pokoleń na to, żeby się to stać mogło! Już p. Skotnicki wspomniał słusznie, że jeżeli będziemy ten czas obliczać na „kilkanaście pokoleń“ — to według najskromniejszego rachunku na to ponowne zabłyśnięcie owej gwiazdy wypadnie czekać najmniej 400 lub 500 lat. Mnie się też zdaje, że gdyby na kilka wieków odjąć narodowi tę myśl przewodnią, iż może odzyskać byt polityczny, gdyby przez kilka wieków kazać mu prowadzić politykę, która ratuje dobrocki i korzyści chwili, a nie myśli o jutrze, to polityka taka z konieczności nazwaną być musi polityką samobójstwa. Twierdzą zawsze, a jeżeli wogóle do kogokolwiek, to szczególnie do Polaków to się stosuje, że gdyby nam odjąć myśl wyższą, spadniemy bardzo nisko w poziomie moralnym. Zdaje mi się, że nasza natura jest taka, iż stajemy się lepszymi, dzielniejszymi, wręcz moralniejszymi, gdy nas przenika jakaś myśl wyższa, co ma nas dalej i wyżej prowadzić, a gdy stracimy tę myśl, stać się możemy tem, czem byli owi sprzedawcy-kowie za czasów Stanisława Augusta. Można więc bardzo ubolewać nad takimi strasznymi klęskami, jaką była niewątpliwie klęska r. 1863, w jej ciężkich a dotąd jeszcze trwających następstwach, można nawet po doświadczeniu, dzisiaj po latach 30 powiedzieć: lepiejby było, gdyby się to nie było stało, tak — ale i tu jest jeszcze jedno wielkie pytanie: gdyby to wszystko, co się po r. 1863 stało w Europie, a co tak raz po raz było zwycięstwem absolutyzmu nad wolnością, brutalnej siły nad prawem i idea, gdyby Sadowa i Sedan, gdyby spotężnienie Prus i Niemiec, gdyby to wszystko było

nas spotkało bez powstania r. 1863, i było na nasze umysły padło bez tej moralnej siły, której zaczerpnęliśmy w latach 1860 do 1864 — to pytanie, czy ten prąd światowy ku uwielbieniu siły brutalnej nie byłby tak obniżył naszego moralnego poziomu, że bylibyśmy po czasie zmuszeni powiedzieć: szkoda, że nie było powstania! I zdaje mi się, że jeżeli kiedyś historia będzie obiektywnie sądziła rok 1863, to powie: wzięło na siebie to pokolenie okropne brzemie klęsk, ale uratowało moralne stanowisko narodu. Wobec tego nigdy nie mogę się zgodzić ani na owe klątwy i potępienia rzucone na ruch ostatni, ani na myśl, że można naród prowadzić pod sztandarem zrzeczenia się myśli o niepodległości.

Powtórnie zwrócić muszę uwagę jeszcze na jedną okoliczność. Podniesiono tu kilka szczegółów, z których się okazało, że to stronnictwo, które po powstaniu stało się tak strasznie mądrzem, że to stronnictwo najbardziej się przyczyniło do powiększenia klęsk powstania. Zwrócił już na to uwagę p. Syroczyński, przypominając genezę powstania na Rusi. Otóż dodać tu muszę, co u Koźmiana czytamy, iż wówczas nasi dyplomaci, ci sami, co dziś tak ruch ówczesny potępiają, przyznają wyraźnie, że cesarz Napoleon przez swoich zaufanych mówił im: przetrwajcie jak najdłużej i starajcie się rozszerzyć granice powstania, bo w ten sposób rozszerzycie terytoryalny zakres tego, co możecie ewentualnie uzyskać. Jeśli zatem Koźmian dzisiaj uważa za tak wielkie nieszczęście to, że powstanie się nie ograniczyło do granic Królestwa, lecz sięgało granic r. 1772, t. j. Litwy i Rusi, i skoro istotnie to terytoryalne rozszerzenie powstania tak znacznie zwiększyło klęski, po powstaniu na nas spadłe — to owi, zawsze przez Koźmiana nazwą „rozsądnych“ obdarzani, najwięcej się do tego przyczynili — prawda, że w dobrej wierze, bo byli oszukiwani przez oszukiwanego Napoleona. To są fakta, które jeszcze stwierdzić chciałem.



Przemówienie Wojciecha Dzierżyskiego:

Choć nas pan Romanowicz zrazu przepraszał mówiąc, że może nas tylko uraczyć gawędą, słyszeliśmy znakomicie wypracowany wykład, — a po tym wykładzie nastąpiła wyczerpująca dyskusya o książce pana Stanisława Koźmiana. Trzecia, najważniejsza zapewne część tej książki nie ujrzała dotąd światła dziennego, i należało się może poczekać na chwilę, w której się zjawi. Ale nie tyle może treść książki, ile osoba autora, cieszącego się wielkiem uznaniem w pewnych, bardzo poważnych kołach — ale w nierównie szerszych kołach stanowczo niepopularnego, uczyniła tę książkę nieobojętną dla najszerszych kół publiczności polskiej, i sprawiła, że zajęto się nią także — już tak wcześnie, w naszym kole. Mniemam tedy być mojem obowiązkiem przemówić także, nietyle może o książce, ile o wielu a najdonioślejszych sprawach, o które książka potrąciła, i wypowiedzieć myśli, które mi się w tej chwili, jako Polakowi nasuwają.

O książce nie wiele mówić mogę. Byłem jeszcze dzieckiem, kiedy się krwawe wypadki roku 1863 rozgrywały, i choć lata ruchu narodowego pozostawiły w mojej pamięci ślad niczem nie zatarty, nie mogę o szczegółach tych dziejów mówić na podstawie własnych, osobistych wspomnień. Historykiem nie jestem, aktów i dokumentów nie badałem, niczego zatem nie mogę dopowiedzieć w dyskusyi, o ile się tyczy szczegółowego toku pamiętnych zdarzeń, w których obronie

stają ci, którzy wtedy życie narażali i rany ponieśli dla świętej sprawy.

Nie wiem, o ile jest politycznym wznawianie sporów o to, co się stało przed laty trzydziestoma. Wszyscy wiemy, że gdyby się stało to, co się żadną miarą stać nie mogło, że gdyby wróciły okoliczności z lat sześćdziesiątych, postępowałibyśmy wszyscy całkiem inaczej jak wówczas, i nie tylko dzieje Polski, ale dzieje Europy potoczyłyby się całkiem innemi tory. Powstanie nasze bowiem było wypadkiem dziejowym pierwszorzędnej wagi, i chwila, po której wszystko zmieniło się w Europie — na gorsze. Andrzej Zamoyski i Margrabia Wielopolski poczuliby się dziś przede wszystkim do obowiązku wzajemnego porozumienia i usiłowałiby naród prowadzić w sposób liczący się z tego narodu uczuciami i z jego usposobieniem; naród sam nie lubowałby się w mistycznych demonstracyach, znosiłby cierpliwie niejedną rządową prowokację, pracując nad rozwiązaniem kwestyi włościańskiej. Staraliby się zdobyć dla siebie jak najwięcej praw obywatelskich, a dla polskiej myśli jak najwięcej mocy, wybierając inne środki w Kongresówce, inne w innych dzielnicach Ojczyzny. Demokraci nie liczyliby naiwnie na jakiś ruch rewolucyjny w Rosyi i nie wyprzedzaliby tego ruchu, konserwatyści nie ufaliby niejasnym słowom Napoleona III. i nie przecenialiby dyplomatycznej interwencji trzech mocarstw, Margrabia Wielopolski nie rozpisałby branki, którą naród nazwał proskrypcją, nie prowadziłibyśmy powstania bez wiary w orężne zwycięstwo, a tylko dla demonstracyi. A potem nie byłoby zniesienia wszystkich prawie instytucyi polskich, ukazów zabraniających kupowania dóbr na Litwie i Rusi, bezwzględnej rusyfikacyi, prześladowania Kościoła, reakcyi w Rosyi i zбочenia Aleksandra II. z drogi liberalnej, na którą był zestąpił, spisków nihilistycznych i zamordowania cara; nie byłoby prusko-rosyjskiego przymierza, klęski Austrii i Francyi, panowania Bismarkowskiego, hasła obwołu-

jącego w Europie pierwszeństwa siły nad prawem, a spaczenia i sponiewierania wszystkich ideałów młodości tego stulecia. Nie byłoby przedewszystkiem u nas zwątpienia, nie byłoby młodzieży uwiedzionej przez hasła kosmopolityczne, w braku innych ideałów.

Przeszłość się nie wróci; musimy żyć wśród teraźniejszości, a przeszłość sądzić jako przeszłość dziejową — spokojnie — choć nie bez głębokiego wzruszenia. Nie należy się teraz spierać o to, kto był winien strasznym klęskom, jakie na naród spadły, bo wiemy, że usposobienie całego narodu przed laty trzydziestoma musiało wywołać beznadziejne powstanie. Samego powstania nie należy się ani potępiać ani wynosić, ono było tylko symptomatem ówczesnego narodowego nastroju. Wszyscy, we wszystkich stronnictwach zawiniłi podówczas zarówno, a raczej nikt nie był winien, bo wszyscy działali ofiarnie, działali z poświęceniem, w przekonaniu, że spełniają święty obowiązek. Winnym byłby tylko ten, ktoby dziś nie umiał dobyć nauki z ówczesnych strasznych doświadczeń.

Historykowi nie wolno sądzić powstania osobno; winien zasiąść do sądu nad całą trzydziestu dwuletnią epoką, która powstanie poprzedziła, jeśli chce być sędzią sprawiedliwym, bo powstanie było dojrzałym tej epoki owocem. Mamy zasiąść do sądu nad epoką Mickiewicza, Słowackiego i Krasieńskiego. Czy kto potrafi ją potępić? Nie — nikt z Polaków.

Dzieje Polski, począwszy od pierwszego rozbioru, są dziejami strasznych klęsk politycznych, spowodowanych po części przez zewnętrzne okoliczności i konieczność dziejową, a po części przez ułomność lub niedostateczną dojrzałość ducha narodowego; są jednak zarazem dziejami moralnego odrodzenia, i należy się te dzieje dzielić na epoki, podług zwrotów dojrzewającego narodowego sumienia. A dzieje ostatniego stulecia zrozumie tylko ten, kto rozumie dawniejsze dzieje Polski.

Polska wyrosła w wielką na Północy potęgę nie tylko dla tego, że jako naród katolicki o zachodnim duchu, była basztą wysuniętą cywilizacji, wśród barbarzyńskiej jeszcze Słowiańszczyzny, ale także dla tego, że stanowiła zaszczytny wyjątek wśród ludzkości feudalnej, opierającej byt państwa jedynie na wierności i posłuszeństwie dla człowieka, dla króla lub cesarza feudalnego. Idea społeczeństwa opartego na cnocie obywatelskiej, obywatelskiem sumieniu i prawie, znalazła wprawdzie niezmiernie świetny wyraz w małych rzeczachpospolitych miejskich Włoch i Niderlandów, ale jedna Polska zastosowała już u schyłku Średnich Wieków tę ideę do życia mnogiego narodu, a Polska wyprzedziła te rzeczypospolite miejskie tem, że za panowania Jagiellonów rosła, przypuszczając coraz to insze żywoły społeczne i coraz to nowe ludy do wspólności praw i od praw nieodłącznych obowiązków, będących praw usprawiedliwieniem i podstawą ich istnienia. Niestety! Po wygaśnięciu Jagiellonów, znalazła się rzesza mnoga obywateli Rzeczypospolitej, ówczesna szlachta, bez przewodnika tradycyjnego, i okazało się, że nie umiała swojemu powołaniu podołać. Byli wśród Rzeczypospolitej ludzie tak możni, że mogli nieraz przekładać interes rodzinny nad sprawę publiczną; były tłumy ubogie, a przeto ciemne, niezdolne do powzięcia politycznej myśli. Szlachta polska, będąca podówczas całym politycznym narodem, zasklepiła się tedy w wyłączości i w samolubstwie, nie chciała już nikogo więcej dopuścić do praw obywatelstwa, a sama obowiązków politycznych nie pełniła; nagromadziły się najcięższe narodowe winy, nastął największy moralny upadek, po którym musiał nastąpić upadek polityczny.

Pierwszy rozbiór obudził sumienie części rozumniejszej narodu; nastąpiła doba reformatorskich usiłowań, zakończona sejmem czteroletnim. Niejedna mrzonka nieprzetrawiona a naniesiona z Zachodu, zaciemniała najświatlejsze nawet podówczas umysły, ale jednak zrozu-

miano, że trzeba stworzyć przybytek praw obywatelskich dla zasługi, postanowiono się wyprzeć wyłączności i samolubstwa, i chociaż nie zdobyto się naprawdę ani na aukcję wojska, ani na stworzenie skarbu narodowego, i chociaż sprowadzono tą nieudolnością dalsze rozbiory, przekazano narodowi szlachetniejszą tradycję, umożliwiającą zachowanie ciągłości dziejowej i dalszą narodu poprawę.

Nastąpiła druga epoka, wojskowa, rozpoczęta przez powstanie Kościuszkowskie. Naród otrząsł się wreszcie z całowiecznej gnuśności i z całowiecznego domatorstwa i bił się bez pamięci, często bez politycznej myśli, w San Domingo i w Hiszpanii. Ale samo istnienie karnego i bitnego wojska polskiego umożliwiło autonomię Królestwa Polskiego, a stworzenie instytucji narodowych na Litwie i Rusi. Ludzie poważni mogli myśleć o odbudowaniu Polski pod dynastją rosyjską.

Katastrofa roku 1831 była jednak nieuniknioną. Świat cały europejski dzielił się na dwa obozy: ludy żądały instytucji wolnych i demokratycznych; rządy, a na ich czele rządy rozbiorowe, stały przy absolutyzmie i przy utrzymaniu kastowych przywilejów. Tradycje narodu ciągnęły go na stronę ludów, możniejsza szlachta nie chciała okupić łaski u rządów rozbratem z narodem i epoka walk rewolucyjnych musiała się rozpocząć.

Była to epoka emigracyjna, mistyczna, poetyczna, romantyczna, która się skończyła powstaniem roku 1863. Naród zaprawiał się do ciągłych ofiar, do milczenia, do zachowania tajemnicy, Polacy byli gotowi ponieść śmierć bez chwały, utracić majątek, ponosić przez całe życie najcięższe ofiary, służąc ukochanej idei. Równocześnie dojrzywało u nas przekonanie, że Polska chcąc żyć, winna wyobrażać poczucie prawa i sprawiedliwości, i szlachta polska narażała się na srogie prześladowania, upominając się o zniesienie pańszczyzny — na własną materialną szkodę. Stworzono przytem wielką poetyczną

literaturę, postawiono podwaliny pod przyszłą, poważną, naukową pracę. Był zaiste dalszy postęp moralny narodu, był dziejowy dorobek.

Ale naród nie był jeszcze dojrzałym; najszlachetniejsze uczucia radziły polityczne fantasmagorye; niecierpliwość opanowała społeczeństwo wtedy właśnie, kiedy można było zbawczą pracę na polskiej rozpocząć ziemi; zawiści i niechęci jednostek, a namiętne i najczęściej bezcelowe spory arystokracji i demokracji odwracały uwagę od najważniejszych zagadnień, a uniemożliwiały nieraz męską rozwagę, ustępując pola młodzieńczej jedynie egzaltacyi. Te niedostatki i grzechy sprowadziły klęski 1863 roku, i cięższe stokrotnie tych klęsk skutki.

A jakżeż mamy dać słuszość tym, którzy twierdzą, że bohaterskie i męczeńskie ofiary nie były daremnymi, choć tyle nieszczęść i zawodów przyniosły? Otóż łącząc ducha ofiary i niezłomną wiare w zwycięstwo prawdy z rozwagą i spokojem męskim. Rok 1863 nie przeminął marnie, jeśli potrafimy skorzystać z doświadczenia. W Galicyi otrzymaliśmy swobody, jakich żadna dzielnica Polski od rozbiorów nie miała; nie jednośmy zapewne w ciągu trzydziestu lat swobody zaniedbali, ale możemy się pochwalić i tem, żeśmy zrobili wiele, żeśmy się nie przeceniali, żeśmy pracowali rozumnie. Daj Boże, aby praca podobna mogła się rozpocząć także poza Galicyą, a na każdy sposób, winno odtąd każde polskie pokolenie pamiętać o tem, że nikt wielkich celów dziejowych jednym zamachem nie dopiął, ani wielkich win dziejowych w krótkim czasie nie odkupił, i że to się tylko pokolenie około Ojczyzny zasłuży, które zostawi naród zamożniejszy i światlejszy, a przeto potężniejszy i szczęśliwszy. Żaden Polak dojrzały a prawdziwie miłujący Ojczyznę, bez względu na to, do jakiego obozu się zalicza, nie szuka zbawienia dla narodu w spiskach i powstaniach, i owszem, wie, że żadne orężne a przez nikogo nie poparte powstanie, nie może przynieść nic

innego, prócz nowego pogromu. Wiemy także wszyscy, że mocarstwa Europy wcale nie myślą o jakiejś restauracji w Polsce, że usiłują tylko nasz zapał wyzyskać dla celów swojej polityki, i nie uwierzmy już obietnicom niejasnym i ułudnym uśmiechom, nie damy się uwieść przez podstępne prowokacye zkadkolwiekby pochodziły. Nie wierzymy także w to, aby Opatrzność chciała porządek spraw dziejowych cudownie dla nas zmienić, nie pochwalamy chęci bezcelowego męczeństwa; wiemy, że trzeba przyjąć każdą sposobność, jaka nam zostanie daną do pracy organicznej i sposobność tę wyzyskać w sposób pożyteczny i dla nas i dla drugich, przez służbę Bogu, sprawiedliwości, prawu, nauce, sztuce, wszystkim, co jest prawdziwą cywilizacją. Wiemy, że trzeba dbać o moralny, materyalny i obywatelski rozwój mas ludowych, usiłując lud podźwignąć, usiłując jemu dobrze robić, nie przez polityczną rachubę, ale zupełnie bezinteresownie — dlatego, że tak nam każe sumienie; wiemy, że leży się w naszym narodzie nowy wewnętrzny wróg, w postaci kosmopolitycznych i socjalistycznych haseł, uroczych dla wielu, choćby dla tego, że istotne błędy dzisiejszych społeczeństw usprawiedliwiają ich krytyki, ale zgubnych dla tego, że nie są zdolne nic u nas stworzyć, dla tego, że niosą w sobie zarzewie okropnej walki domowej, któraby nasze społeczeństwo pozbawiła wszelkiej siły i wszelkiej samodzielności, dla tego, że prowadzi do niewidzianej dotąd omnipotencji państwa i niewoli człowieka, dlatego wreszcie, że wypierają się idei narodowej dla jakiegoś olbrzymiego a niewyraźnego kosmopolityzmu. Wiemy, że możemy tego wroga zwalczyć wtedy tylko, kiedy staniemy gorąco przy dawnych ideałach, przy naszej jedności narodowej, przy pracy dodatniej, rozumnej a skutecznej około wzmoczenia wszystkich szlachetnych sił w naszym społeczeństwie. Ale wiemy równocześnie, że w każdej dzielnicy winni Polacy inaczej pracować, innych dobrać środków, odmiennych domagać się rzeczy, w miarę

położenia swojego i sił swoich, i tego, czego się dziś rozumnie spodziewać i domagać mogą. Wiemy, że są miejsca, gdzie trzeba tylko bronić narodowego bytu, a inne miejsca, gdzie się należy dążyć do narodowego i społecznego postępu, do dodatniej twórczości, stwierdzającej życie narodu, i to, że potrafi być cennym czynnikiem w rozwoju ludzkości.

Na to wszystko godzimy się wszyscy, którzy chcemy i umiemy być Polakami. A czy to dość, czy to nam zapewni już nastanie doby nieustannych dorobków, czy to ochroni nas już od nowych a okropnych klęsk? — Nie. — Nie zgadzam się ze stanowiska filozofii historii na teorię upadku państwa, jaką p. Stanisław Koźmian w swojej książce wygłosił, ale nie myślę się o nią sprzeczać, — bo o to wreszcie mniejsza — ale prawda, że nasze położenie jest niezmiernie trudne, że trzeba nam niezmiernych a cierpliwych wysiłków, aby naprawić błędy przeszłości. Jeśli chcemy sprostać w zupełności naszemu zadaniu, jeśli chcemy uczynić zadość naszym najświętszym, naszym nieodzownym obowiązkom, trzeba nam uzupełnić moralną i obywatelską poprawę nabyciem najtrudniejszej cnoty, wyparciem się uporczywego a najniebezpieczniejszego błędu. Łatwiej człowiekowi poświęcić mienie, wolność, zdrowie i życie, jak wyprzeć się osobistej, kastowej albo partyjnej miłości własnej — a my musimy się jej wyprzeć. Nie ma dla człowieka trudniejszej ofiary, nad milczenie w chwili, w której możemy zawołać dawnemu przeciwnikowi, „ty błądziłeś, a ja miałem słuszność“, albo przynajmniej „ty błądziłeś więcej odemnie“, i najtrudniej oprzeć się pokusie obrócenia słów dawnego przeciwnika na jego własne potępienie, i nie masz większego bohaterstwa nad to, kiedy kto dawnemu, i to domowemu przeciwnikowi, człowiekowi innego temperamentu i innych towarzyskich przyzwyczajzeń, poda rękę do wspólnej pracy na teraz i jutro, wypominając poswarki dnia wczorajszego. Do tej jednak cnoty dojść musimy koniecznie, jeśli mamy się oprzeć

zewnątrznym nieprzyjaciołom i wewnętrznemu wrogowi wszelkiej idei narodowej, jeżeli nie mamy przed potomością dźwigać odpowiedzialności za błędy i grzechy, których żadne niedoświadczenie już nie wytłumaczy.

Jeśli nam potrzeba już koniecznie walczyć z wewnętrznym przeciwnikiem, mamy przed sobą przeciwników, których zwalczać jest obowiązkiem: mamy próżniaków, którzy pozbywszy się wiary w jakikolwiek ideał narodowy, a nie zmuszeni do pracy przez zawienny nieraz niedostatek, wraz z poczuciem polskiem tracą powoli poczucie godności ludzkiej, i popadając sami w przepaść, bezczeszczą całe społeczeństwo. Z tymi walczyć trzeba — ci zasługują na potępienie. Mamy szaleńców, którzy się świadomie wyparli patriotyzmu jako rzeczy uiby przestarzałej i potępionej, a dążąc do fantastycznych społecznych przewrotów, mających objąć całą ludzkość, udają nieraz głośny patriotyzm, aby ogół narodu pociągnąć za sobą, i jego uwiedziony zapal dla swoich wyzyskać celów; tych także zwalczać trzeba, trzeba ich zamiary przejść i udaremnić, trzeba tych, którzy idą za nimi przez niedoświadczenie i w dobrej wierze, oświecać i przestrzegać. Wreszcie będziemy się nieraz różnić pomiędzy sobą i różnimy się już dziś co do niejednej kwestyi politycznej lub teoretycznej, co do ustawy, która ma być uchwaloną, co do politycznego kroku, który ma być zrobiony, co do sposobu zaradzenia tej lub owej społecznej potrzebie. A wtedy będzie naszym obowiązkiem szeregować się w przeciwne obozy i przeprowadzić pomiędzy sobą stanowczą rozprawę. Ale spierając się, nie potrzebujemy się kłócić, nie potrzebujemy się nienawidzić, ani podejrzawać wzajemnie o brak patriotyzmu, i nie powinniśmy sobie nieustannie wypominać przeszłości, bo takie wypomnienia drażnią najbardziej, one najłatwiej zamienią dyskusję w spór, a spór w kłótnię, one mogą sprawić, że w chwilach, w których każdy musi się z każdym słowem i z każdą myślą liczyć, jeśli ma dobrze zasłużyć się wspólnej

sprawie, że w chwilach, w których wszyscy powinni w zwartym szeregu postępować, waśń domowa odda zwycięstwo w ręce obcym prowokatorom i domowym nieprzyjaciołom.

Więc trzeba panować nad sobą. Największe zabierze zasługi, największe da dowody patriotyizmu i rozumu politycznego, kto będzie unikał dania jakiegokolwiek powodu do wzajemnych rekryminacji, kto nie dostrzeże nawet wezwania wysłanego z przeciwnej strony, nie wznagając jego znaczenia przez danie niecierplivej odpowiedzi. Usiłujmy mówić o sprawach przeszłości spokojnie i nie namiętnie, jako o kartce oprawionej już w księgę historii. Niechaj ci, którzy na wspólnym gruncie narodowym stoją, unikają przyczyn dalszych wewnętrznych rozdziałów na niechętne partye. Zapomniawszy o dawnych sprawach, nie czyńmy sobie łatwo wzajemnych zarzutów; nie mówmy, że ktoś jest szaleńcem, spiskowcem i prowokatorem, dlatego, że wyznaje bardziej demokratyczne zasady, choć zwalcza nieroztropne porywy, a przedewszystkiem matactwa kosmopolitów domowych albo ościennych prowokatorów; nie mówmy że ktoś, który wyznaje bardziej konserwatywne zasady, jest odstępca od idei narodowej, choć życiem poważnej i nieustannej pracy dowiódł, że dla niej żyje i że o niej nieustannie myśli. Wykreślmy z naszego słownika narodowego słowo „pctępienie“, zastosowane do tych, którzy stoją na wspólnym patriotycznym gruncie. Czuje, że się domagam trudnych rzeczy, nie jeden czytając, uśmiechnie się nad moją kaznodziejską naiwnością. Ale jeśli jest rozumnym człowiekiem i dobrym Polakiem, niech ten uśmiech szyderczy na chwilę stłumi, niech się obejrzy po dzisiejszem nadzwyczaj trudnem położeniu, niech pomyśli o bliskiem może jutrze, — a wierzę, że przyzna mi słuszność — i że niejeden osobisty a głęboki żal stłumi, aby tylko dziś nie dopuścić do niszczącej niezgody! W narodach niepodległych bywa nagannym, zresztą politycznym obyczajem, że konser-

watyści przedstawiają umiarkowanych demokratów, jako rewolucjonistów, na to tylko, aby pozyskać wyłączne dla siebie zaufanie korony, a postępowcy przedstawiają postępowych konserwatystów, jako zwolenników zastoju i nieprzyjaciół wszelkiej wolności, na to tylko, aby dla siebie jedynie zaskarbić miłość narodu. Podobna gra jest u nas zabroniona i najświętszy obowiązek patryotyczny, najprostsza przezorność względem jutra każe jej zaniechać.

A przedewszystkiem nie wznawiajmy kwestyi o to, czy kto stoi przy ostatecznych narodowych celach, czy kto ich się wypiera? Gdyby się ich kto z Polaków wyparł, niktby jemu nie uwierzył, a choćby wreszcie kto przypuścił, że mówi szczerze, nie przywiązywałby do tego żadnej wagi, nie wierząc bynajmniej, aby mówić w imię narodu. Nie znajdzie wiary człowiek twierdzący, że nie pragnie szczęścia — bo to jest niepodobieństwem; podobnież nie znajdzie wiary ktoś głoszący, że jego naród nie chce własny los mieć w rękę, i że nie chce zająć pośród narodów przynależnego stanowiska, że nie pragnie wielkości i chwały; bo to u żywego narodu także niepodobieństwem. Otóż wszyscy wiedzą, żeśmy naród żywy, który się nie zrzekł i rzec nie może ani swoich nadziei, ani swojej narodowej dumy; i dla tego liczą się z nami politycy, i dla tego uważają, żeśmy figurą, którą można zagrać na dziejowej szachownicy; dla tego uciskają albo prowokują nas jedni, a drudzy myślą o tem, czyby nie było warto z nami się porozumieć i pozyskać naszą pomoc, choćby tylko do rozwiązania zadań wewnętrznej polityki. Gdybyśmy się wyparli nadziei normalnego życia narodów, przestalibyśmy być żywym narodem i czynnikiem historycznym, i niktby się z nami nie liczył, niktby z nami nie gadał i niktby; na nas nie budował, wiedząc na pewno, że rozkład ostateczny musi rychło nastać w martwym ciele. Ale tak samo nie zbliżyłby się do nas nikt, gdyby nie wiedziiano o tem powszechnie, że nie żądamy niepodo-

bieństw, żeśmy gotowi na polityczne kompromisa, że nie myślimy nikogo zdradzać, że umiemy być wdzięczni i dla przyjaciół pożyteczni, że dotrzymujemy danego słowa a służymy dobroczyńcy wiernie i radą i czynem. Trzydzieści lat autonomii galicyjskiej ugruntowało to o nas przekonanie u potężnych tego świata, a chcąc mieć jak najszerszą możność do dodatniej dziejowej pracy, musimy dbać o to, aby się to przekonanie nie zachwiało.

I niechaj nikt nie zarzuca ani nieszczerości ani dwulicowości temu programowi, który wygłosiłem i którego się wszyscy trzymamy. Między postępowaniem rozumnego człowieka a postępowaniem rozumnego narodu, nie masz różnicy. Jeden i drugi winni się przede wszystkim wystrzegać rozpacz i pesymizmu, które upadlają, ubezwładniają i wreszcie zabijają; jeden i drugi powinien strzedz swojej dumy i swojej godności, a stawiać sobie jak najwyższe moralne zadania; jeden i drugi winien wierzyć silnie, że dojdzie do swego celu, jeżeli tylko nie zwątpi o sobie, i powinien pragnąć, aby tego celu dopiął jak najzupełniej i jak najprędzej. Ale znowu ani człowiek, ani naród rozumny, nie dają się porwać ułudnej a dziecinnej nadziei i niecierpliwości niemieckiej, tak jak się nie dają złamać i zniechęcić, choćby najcięższym niepowodzeniem; nie wierzą we własną nieomyślność, ale spuszcza ją na własny rozum, czerpiący coraz nowej nauki z coraz to nowych doświadczeń; nie wyzywają silniejszego, nie usiłują głową muru rozbić, nie odrzucają warunków możliwego szczęścia, dlatego, że nie są zgodnemi z ideałem; nie dają uczuciu zagłuszyć mowy, rozumu, chociaż rozumowi każą szukać dróg mogących zadowolnić uczucie; nie wyzywają przemożnych i nierozważnych, nie rozpoczynają przedsięwzięć, aby dogodzić uczuciu, nie słuchając przestrogi rozumu. Człowiek i naród rozumny szukają przyjaciół, a skoro przyjaciela znajdą, trzymają się przyjaciela wiernie, rachując się z położeniem i potrzebą przyjaciela, i wie-

dząc, że przyjaźń potrwa tylko, jeśli się na wzajemnych oprze przysługach; dążą do pomnożenia swojego mienia, swojego znaczenia i swojego wpływu, ale wiedzą, że mienia, owej najrealniejszej podstawy ziemskiego bytu nie otrzyma nikt, jak tylko przez mozolną pracę, przez zawieranie rozważne układów i przez sumienne dotrzymywanie raz zawartych; że wpływ i znaczenie wzrastają tylko przez rozum, naukę, słowność i dobrą radę; szanują pamięć przodków i rozpamiętując własną przeszłość, nie wypierają się jej nigdy i nie tracą nigdy swojej indywidualności i swojej osobistej jedności, ale mają wzrok przede wszystkim zwrócony ku przyszłości i w niej szukają i środków i celów. Zresztą z wiedzą człowiek i naród wie o tem, że przyszłość nie zwykła chodzić po ścieżkach przeszłości, że szczęście i potęga jutrzejsza nie będą podobne do wczorajszych, choć mogą być większe i promienniejsze; nie usiłują przedrzeć proczym wzrokiem zasłony, zakrywającej przyszłość przed śmiertelnymi oczyma, a wiedzą tylko, że są środki i drogi, których się muszą trzymać, aby swoich nadziei nie udaremnić. Nikt nie może oznaczyć dnia i godziny, w którą dotrzemy do celu, nikt nie może przewidzieć, na czyją korzyść, na czyją szkodę nasze wyjdzie szczęście. Warunki żywota dziejowego narodów, formy społeczne i formy państwowego bytu, zmieniają się nieustannie, pośród wielkiego potoku dziejów; niezawisłość narodów jest dziś opartą na innych podstawach, jak u schyłku ośmnastego wieku, a podstawy te zmieniają się znowu w wieku dwudziestym; ludzkość cywilizowana poczuwa się do coraz większej jedności, myśl rozjemczych sądów międzynarodowych i europejskiej federacji zdobywa coraz liczniejszych zwolenników, wciela się powoli w życie polityczne jest myślą przyszłości, jest środkiem, zapomocą którego zbytnia omnipotencya i sztuczna centralizacya dzisiejszych państw ustąpią wobec wyższej jedności, szanującej wszelką indywidualność i wszelką tradycyę, ale gotującej dalsze drogi

postępu, wiodące ku zwycięstwu prawa i sprawiedliwości. Darmoby się kto silił przewidzieć jakim sposobem spełnią się wielkie zadania przyszłego stulecia i kto będzie stanowczym i zwycięskim czynnikiem sprawozdającym najbliższą przemianę, ale to pewna, że każdy naród zajmie w przyszłości to stanowisko, na które zasłuży mocą moralnej i intelektualnej wartości a rozumnych dziejowych zasług. Nam trzeba o tem pamiętać, aby wartość i zasługi nasze uprawniały nasz naród wtedy do odegrania znakomitej dziejowej roli; i oto zadanie o którym powinien każdy Polak pamiętać, oto wielkie zadanie które nie powinno dopuścić, aby jakkolwiek Polak znikczemiał, oto zadanie nad którym możemy i musimy pracować, w okolicznościach w których się znajdujemy, nie zdradzając nikogo, nie szkodzić nikomu i owszem, pomagając każdemu, który zechce być naszym przyjacielem.

Trzeba jednak o jednym pamiętać. Naród podobnie jak człowiek nie tylko wobec siebie samego ma obowiązki i w tem znowu jest podobny do człowieka, że ma także obowiązki wyższe, obowiązki wobec Boga, których przestrzeganie jest zresztą nierozłącznie i nierozdzielnie połączone z obowiązkami wobec samego siebie. Pierwszym bowiem i najprostszym obowiązkiem narodu wobec Boga, jest zachowanie własnego życia, własnego narodowego bytu, które skoro zostało narodowi dane, nie zostało jemu danem nadaremno i jest snąc potrzebne w życiu zbiorowym rodzaju ludzkiego, objawiającem się biegiem dziejów. I dla tego unikanie wszelkiej formy narodowego samobójstwa jest obowiązkiem narodu tak wobec Boga, jak wobec samego siebie; a formy narodowego samobójstwa są przeróżne. Najniebezpieczniejszą jest marnowanie sił żywotnych przez próżniactwo i bezmyślną lekkomyślność, ale samobójstwem jest także szukanie bezcelowego męczeństwa, poryw niby bohaterski, podyktowany przez rozpacz, albo kuszący Boga do cudów, a byłoby nim najwyraźniej wy-

rzeczenie się wiary, języka, obyczajów, tradycji, przeszłości i wiary w przyszłość własną dla okupienia znośnego życia jednostek z których się naród składa.

Ale tak jak samozachowawczy zmysł jednostki ludzkiej i dozwolone zresztą a nawet poniekąd nakazane osobiste jednostki, samolubstwo, zamieniają się w zgubny a obrzydliwy występki, skoro człowieka doprowadzą do czynów nikczemnych, do odstępstwa narodowego, albo do szkodzenia innym ludziom i całemu społeczeństwu, tak samo nie wolno narodowi zaprzeć się przekonań najświętszych, i dopomagać do zwycięstwa złego, nato aby swój byt zachować. Taka polityka nie tylko jest polityką godną potępienia, ale jest ostatecznie polityką głupią, bo naród traci w skutek niejracyę narodowego bytu, staje się w dziejach nikczemną nularą o którą nikt nie dba i zostaje wreszcie wymazanym z ksiąg dziejowego żywota, w których jest jedynie miejsce na cyfry a nie masz miejsca na nule cyframi nie poprzedzone. Aby wyrwać jeden tylko przykład z pośrodku mnogich przykładów, w które obfituje historia, spytam się, coby się było stało ze średniowieczną historią, gdyby była przyszła na roztropny niby polityczny pomysł i gdyby, chcąc ratować narodowy byt, była się wyparła chrześcijaństwa i była przyjęła islamizm? Albo byłaby znikła bez śladu, albo byłaby dziś barbarzyńskim muzułmańskim narodem, niezdolnym do cywilizacji i nie mogącym zachować swojej niepodległości w obliczu cywilizowanej, chrześcijańskiej Europy.

A zresztą małe narodziki bez wielkiej przyszłości i bez usprawiedliwionej dumy narodowej, taka Serbia albo Norwegia, mogłaby wreszcie stawiać sobie jako jedyny i ostateczny cel, to aby namalowano na mapie plamę ich mianem przezwaną i aby tylko Serbowie albo Norwegczycy piastowali urzęda w granicach tą plamą zakreślonych. Polska jest i musi być dumniejszą, jeżeli chce żyć, jeżeli chce naprawdę pozostać Polską. Już w jej przeszłości odzywają się wielkie hasła, które

łączyły z sobą narody i rozszerzały granice ludzkiego na prawdę świata; tym hasłom zawdzięczała swoją wielkość i swoje dziejowe znaczenie. Nic to nie znaczy, że historyk przypatrujący się zbliska dziejom najświetniejszych naszych czasów odkrywa w nich drobne skazy i większe brzydkie plamy i rozpoznaje mizerne ludzkie namiętności i zimne polityczne rachuby, które o każdym pojedynczym wypadku dziejowym stanowiły. Prawdziwym kształtem drzewa jest ten, który oko ludzkie z daleka dostrzega, a nie powie nam o nim nic mikroskop rozbiegający liść każdy na włókna i komórki; o prawdziwej istocie naszych dziejów stanowi ich całość, a szczegóły mogą bardzo wiele rzeczy ciekawych opowiedzieć, mogą nas pouczyć o tem jak wszędzie i zawsze rozumne ludzkie środki wiodą do celu; o tym celu nie powiedzą nam nic. Przyszłości Polski nie może sobie żaden Polak wyobrażać inaczej, jak tylko wierząc w to, że Polska będzie czynnikiem moralnym i cywilizacyjnym, oddziałującym na tok nie wewnętrznych tylko wypadków, a dzisiejsze położenie nasze zmusza nas do tego, abyśmy się zajmowali nie tylko swojemi sprawami, nakłada na nas obowiązek wyrobienia w sobie sądu o wszelkich prądach chwili bieżącej i podawania dobrej rady, każdemu który się o naszą radę spyta; czy jest od nas słabszym czy możniejszym. Przez rozum, przez dobrą radę, mamy zdobyć dla siebie przyszłe dziejowe stanowisko, a jako materialnie słabsi i nieszczęśliwi, zapatrujemy się koniecznie na sprawy ludzkości naszej od tych, którzy moc mają w ręku, od tych którym się szczęście dzisiejsze uśmiecha; sofizmata przezywające bezprawie prawem i wynoszące przemoc nad sprawiedliwość, albo tłómaczące, że nie potrzeba narodowi obywatelskiej cnoty, że wystarcza dla niego mechaniczny nacisk dobrego rządu, nie mają i nie mogą mieć przystępu do nas; z konieczności we własnej obronie musimy być wędrownikami prawa i sprawiedliwości, zdrowej wolności i tej karnej cnoty, która wolność je-

dynie umożliwia. Stany oświecone i zamożniejsze narodu polskiego są pozbawione mechanicznych środków, zapomocą których utrzymuje się gdzieindziej masy ludowe w karności, łudząc je przytem rozmaitemi hasłami kastowej albo międzynarodowej nienawiści; muszą przeto szukać poparcia dla siebie u ludu dbając o istotne dobro, a prawdziwe podniesienie i uobywatelnienie tego ludu i przeto Polacy muszą się zajmować z miłością istotną zagadnieniami społecznymi i muszą się na nie znowu inaczej zapatrywać jak ogół cudzoziemców zastanawiających się nad tak zwanymi socyalnymi zadaniami; niepodobna, aby niepragnęli wzbogacenia się i oświecenia mas, tudzież ich politycznej dojrzałości, ale również niepodobna, aby się dali uwieść hasłom chcącym niszczyć swobodę jednostki i rodziny dla utudnych społecznych nadziei, albo chcącym zburzyć podstawę cywilizacyi i moralnego porządku; niepodobna aby nie usiłowali lepszej przyszłości oprzeć na tych fundamentach, które przeszłość już położyła i w narodzie naszym i w owem cywilizowanym chrześcijaństwie, którego częścią żywotną jest naród nasz.

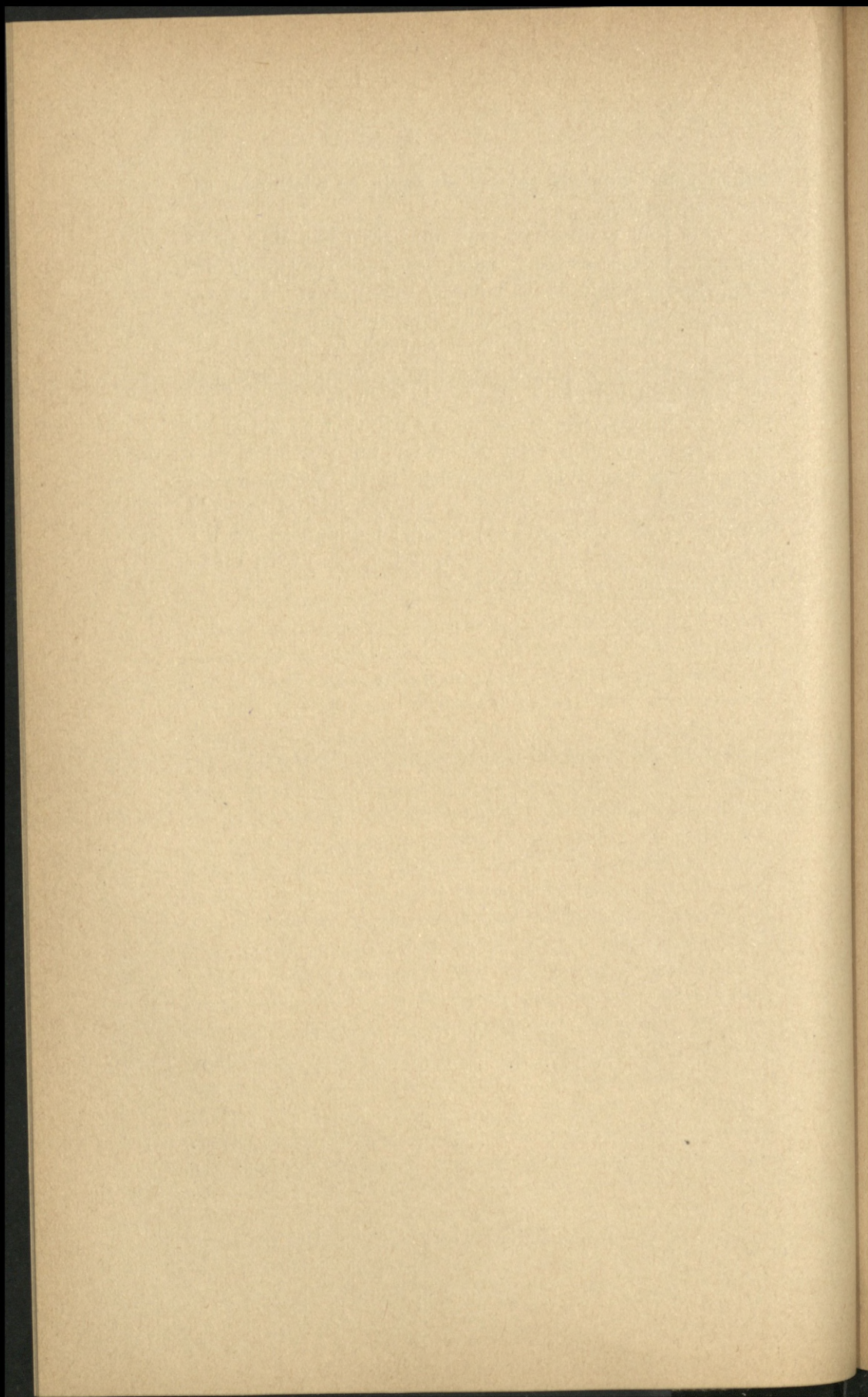
Te wszystkie okoliczności sprawiają że posiadamy niewzruszone przekonanie o tem, co jest niezbędnem nietylko dla dobra naszego narodu, ale także dla dobra ludzkości i że pozostając Polakami możemy się tylko różnić co do szczegółów, ale musimy się koniecznie zgodzić co do ogólnych zarysów budowy dziejowej. A te nasze narodowe przekonania są naszą siłą, stanowią o naszym powołaniu, są rękojmnią naszej, nietylko dla nas zbawiennej przyszłości. Zawinilibyśmy tedy wobec Boga i wobec rodzaju ludzkiego, a pozbawilibyśmy się zarazem nikczemnie warunków narodowego życia, gdybyśmy się dla jakiejś przemijającej korzyści albo z powodu jakiegoś chwilowego niebezpieczeństwa, naszych najświętszych przekonań zaparli, gdybyśmy się dali skuścić do tego, abyśmy byli podporami czy to absolutystycznego czy to rewolucyjnego bezprawia, gdybyśmy

się zaparli sprawy cywilizacji Zachodniej, czy to dla starodawnego azyatyckiego, czy to dla nowożytnego materialistycznego barbarzyństwa.

Ale na to abyśmy mogli nasze obowiązki pełnić z korzyścią dla siebie i dla świata potrzeba dwóch rzeczy: większej u nas, intenzywniejszej i samodzielniejszej pracy i swobodnego pola, na którymby się ta praca mogła rozwinąć. Błędem radykalnym ostatnich dziesiątków lat naszego życia umysłowego, jest pewien lękliwy brak zaufania do własnej myśli, jest nieustanne oglądanie się na obce formy narodowe i na mody ościennej nauki, jest skłonność do wychwalania tej tylko polskiej rzeczy, która jest kopią rzeczy obcej i pogardliwe pomijanie milczeniem każdego oryginalnego pomysłu, jeśli to pomysł polski. Błąd to, którego się pozbyć musimy koniecznie, bo niewola umysłowa, w którą się podajemy naumyślnie, jest gorszą i zgubniejszą od każdej niewoli politycznej, bo pozbawia nas racji narodowego bytu. Błąd ten wytknąłem tedy, przerażony łatwością, z którą zagraniczny poradoks bywa przyjętym przez mnogie rzesze naszego społeczeństwa. Nie chciałem jednak bynajmniej zapoznać wielkiej a dodatkowo, oryginalnej, naukowej, literackiej i artystycznej pracy dokonanej przez naród nasz w ostatnich dziesiątkach lat, mimo tak dziwnie niesprzyjających okoliczności, nie myślę zaprzeczyć nietylko teoretycznemu, ale i praktycznemu postępowi politycznemu i czynom dokonany tam, gdzie nam działać wolno, zaprawdę nie bez pożytku dla państwa, które nam swobodę działania dało i dla przeróżnych ludów tego państwa. Nie myślę także wzywać do spuszczenia się na genialność pozbawioną gruntownej znajomości tego, co inne narody już zdziałały, bo taka genialność doprowadziłaby nas w najlepszym razie do bezużytecznego dytelantyzmu. I owszem, domagam się pracy skrzętnej, nauki pilnej, a dyskusji wyczerpującej i chcę tylko abyśmy się przytem czuli zawsze narodem samoistnym, mającym do spełnienia własne zadanie cy-

wilizacyjne i abyśmy zawsze wierzyli, że wielkiemu zadaniu sprostamy.

Ale jeśli mamy być tem, do czego nas Bóg przeznaczył, trzeba abyśmy mieli możliwość rozwijania naszego narodowego życia i naszej cywilizacji. I na razie programem naszej polityki — że tak rzekę zewnętrznej — jest domaganie się tych warunków, któreby nasze działanie wewnętrzne umożliwiły, któreby nam rąk nie wiazały i polskiego ducha nie dławily. A gdy się tego domagamy, wiemy że mamy najświętszą słusność po sobie, a kto nam tego odmawia, ten powinien wiedzieć, że nie nas tylko krzywdzi, że nie dopuszcza do naturalnego rozwoju jednej z sił żywych w rozwoju dziejów, że nie pozbawia cywilizacji jednego ze swoich ogniw. A przeto krzywdzi wszystkich, krzywdzi także własny naród i własne państwo.

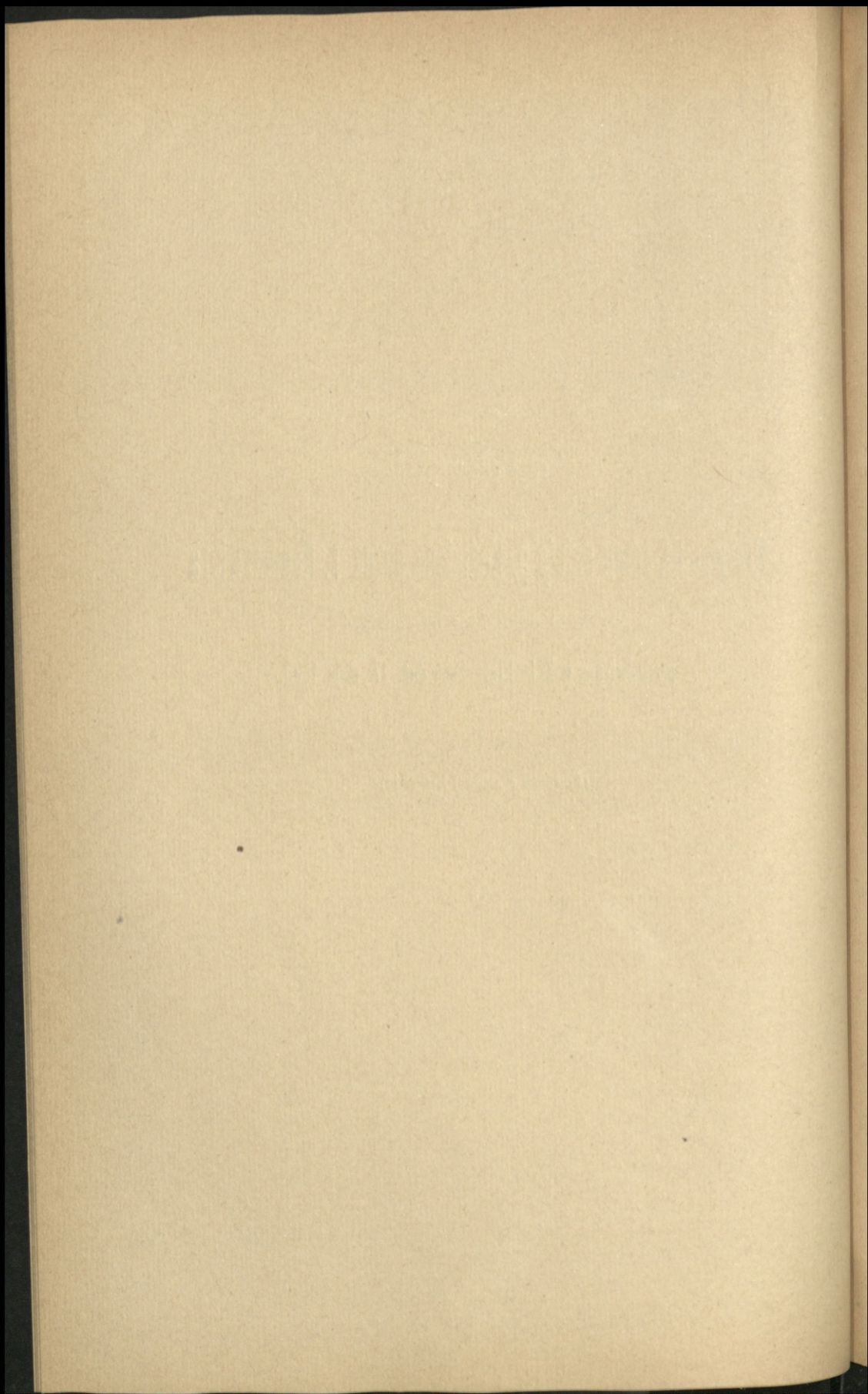


CZEŚĆ III.

Krytyka III. tomu dzieła p. Koźmiana przez T. Romanowicza

do druku rozszerzona na podstawie
przemówienia w Kole literackim dnia 17. maja 1895.

(Przedruk z „Nowej Reformy“).



Rozbiór trzeciego tomu książki p. St. Koźmiana

przez

JADEUSZA ROMANÓWICZA.

Krytyczne nasze sprawozdanie o książce p. Stanisława Koźmiana uzupełnić musimy uwagami o tomie trzecim, który dzieło całe zamyka. W uwagach tych krócej streścić się możemy, tom trzeci bowiem nie wiele zawieranych rzeczy, a w znacznej części jest tylko powtórzeniem, rozważkowaniem, a poniekąd obroną myśli i poglądów, wypowiedzianych w pierwszych dwóch tomach. Układ tomu trzeciego stwierdza w zupełności, co pisaliśmy o braku ładu i systemu w pierwszych dwóch tomach. Tom pierwszy, który ma być pierwszą częścią dzieła, zawierał jakoby historję powstania od jego wybuchu do upadku, historję udziału w niem Galicyi, stronnictwa zachowawczego i tak zwanej „grupy krakowskiej“. Tomy drugi i trzeci są drugą częścią dzieła. W pierwszym rozdziale drugiego tomu autor rozwija swoje poglądy na przyczyny upadku państw, na trudność odbudowania państwa polskiego, na kwestyę „niepodległości i bytu narodowego“ — przechodzi potem w drugim rozdziale do przedstawienia stanu wyobrażeń i dążeń politycznych w Polsce od 1831 do 1856 — w trzecim kreśli przyczyny ruchu lat sześćdziesiątych, w czwartym daje krótki rys wypadków od 1859 do wybuchu powstania 1863 r., poczem w piątym i szóstym rozdziale tę samą rzecz rozwija obszernie. Przez cały zaś ciąg zarówno pierwszego jak i drugiego tomu, snuje się ciągle „rozdział odpowiedzialności“, rozważanie stopnia winy wszystkich czynników tego ruchu.

W trzecim tomie wraca autor znowu do przedmiotów już omawianych, poświęcając siódmy i ósmy rozdział znowu samej historii, zwłaszcza dyplomatycznej, powstania stycziowego: rozdział dziewiąty skutkom powstania; dziesiąty znowu rozdzieleniu odpowiedzialności i stopnia winy na wszystkie czynniki; ażeby następnie w rozdziale jedenastym rozwinąć znowu obszernie teorię o bycie narodowym bez bytu państwowego i zakończyć całe dzieło szumnym panegirykim na „szkołę stańczykowską“ i jej tak kolosalne w narodzie zasługi, że wprawić muszą w zdumienie samych twórców i głównych działaczy „szkoły“.

O pierwszych dwóch rozdziałach 3-go tomu nie wiele mamy do powiedzenia. Są one trochę lepiej i porządniej napisane od tego, co o tym samym przedmiocie czytaliśmy w tomie pierwszym. Dlaczego autor się tak powtarza, tłumaczy nam *Czas* w sposób bardzo ciekawy. Oto w pierwszym tomie autor zamierzał skreślić wrażenia wypadków, opisać, jak się te wypadki przedstawiały wówczas autorowi i jego przyjaciółom, w trzecim zaś tomie opisać je tak, jak się miały w rzeczywistości. Być może. Nam się jednak zdaje, że zamiar ten jest poprostu autorowi podsunęty dla obronienia go od zarzutu nieporządnego pisania i nużącego czytelników powtarzania się, zwłaszcza, że z pierwszego rozdziału pierwszego tomu, w którym autor kreślił plan całego dzieła, bynajmniej nie można wyprowadzić tego przez *Czas* podsunętego mu zamiaru dwojakiego przedstawienia wypadków r. 1863, raz w świetle złudzenia a drugi raz w świetle prawdy. A gdy zważymy ów brak ścisłości w przedstawieniu wypadków historycznych, który udowodniliśmy p. Koźmianowi w naszej poprzedniej pracy, a który jeszcze dokładniej, dosadniej i bardziej szczegółowo p. Bartoszewicz*) mu udo-

*) K. Bartoszewicz. Rok 1863. Historia na usługach ludzi i stronnictw. (O książce i z powodu książki p. Koźmiana o r. 1863). Kraków, 1895.

wodnił, gdy zważymy, że autor pisze przeważnie z pamięci a nie na podstawie przestudyowanych źródeł, i że go ta pamięć bardzo często zawodzi, to okaże się, iż p. Koźmian w pierwszym tomie opisał, jak sobie dziś przypomina, wrażenia, w toku wypadków odnoszone, a w trzecim, jak sobie dziś wyobraża rzeczywisty tych wypadków przebieg. Jedno i drugie czysto subiektywne, pozbawione tej przedmiotowości, jakiej tylko zapomocą poważnych studyów nabyć można, której zresztą autor sam z góry się wyrzekł, gdy napisał, że epoka roku 1863 swej historyi mieć nie może!

Po tem więc, cośmy poprzednio pisali o pierwszych dwóch tomach książki p. Koźmiana, możemy obecnie, pisząc o trzecim tomie, pominąć zupełnie jego pierwsze dwa rozdziały (VII. i VIII.) poświęcone pragmatycznej opowieści wypadków politycznych 1863 i rozdział X., w którym autor obszerniej nieco, niż w pierwszych dwóch tomach, traktuje kwestyę rozdzielenia odpowiedzialności i stopniowania winy różnych czynników, a zajmujemy się tylko rozdziałem IX. o skutkach powstania, XI. o dwóch kierunkach i dwóch systemach w polityce porozbiorowej i o bycie narodowym bez bytu państwowego, wreszcie XII. o szkole stańczykowskiej. Wprzód jednak musimy podnieść i sprostować niektóre twierdzenia autora, których omówić nie będziemy mieli sposobności przy omawianiu powyższych trzech najważniejszych przedmiotów.

I.

Zastanawiając się w rozdziale X. nad różnemi stopniami winy i odpowiedzialności, autor przecież do pewnego stopnia zaznacza i uznaje błędy Wielopolskiego, naturalnie redukując je do zupełnie podrzędnego znaczenia, tak, żeby one w niczem nie zachwiały opinii, jakoby Wielopolski był prawdziwie wielkim, genialnym mężem stanu, jedynie znakomitym w ówczesnej Polsce politykiem. Trwając w błędnem według nas mniemaniu, że rozwiązanie Towarzystwa rolniczego było rozumnem

i potrzebnem, przyznaje jednak p. Koźmian w trzecim tomie, że margrabia źle się wziął do rzeczy, iż sam sposób wykonania tego rozwiązania był błędny, i powiada: „Wielopolski tem zniesieniem nie tylko obraził uczucia narodowe, ale także przeważną w kraju kastę szlachecką, co zawsze jest niebezpiecznem. Znosząc Towarzystwo rolnicze, stłukł tylko naczynie, pozostało zaś w całej pełni to, co obejmowało — szlachta. Tej wbrew odwiecznej zasadzie rządzenia ani się pozbył, ani się z nią przejednał. Zwiększał tylko stąd pochodzące trudności. Niebezpieczeństwo wzmogło się i niebawem przybrało nowy kształt Dyrekcyi białej“ (str. 199). A dalej: „Wielopolski był politykiem głębokim, prawodawcą znakomitym; rządzić społeczeństwem i krajem nie zdołał, administrować nim skutecznie i dzielnie nie potrafił“ (str. 200), ale nie dlatego, że, jak twierdzi p. Koźmian, „do tego brakło mu czasu“ — lecz dlatego, że rządzić nie umiał narodem, którym gardził, z czem się bynajmniej nie tał, przeciwnie nieraz to bardzo szorstko objawiał — dlatego, że porę najlepszą do działania w myśl swego programu zaniedbał, a dostał się potem do władzy za późno. Jeżeli margrabia był tak gienialnym mężem stanu i jeżeli miał w Petersburgu tak bardzo „szczęśliwą rękę“, jak to p. Koźmian chce przedstawić, to dlaczegoż nie rozpoczął on swej politycznej działalności i nie spróbował swej szczęśliwej ręki wtedy, gdy naród nie był jeszcze na drodze spiskowej i rewolucyjnej, gdy namiętności nie wrzały jeszcze, i gdy wszyscy z upragnieniem wprawdzie, ale spokojnie wyczekiwali reform, tj. od 1856 do 1860? On ten najwłaściwszy do działania kompromisowego czas zmarnował na procesach, które podkopały jego stanowisko w narodzie — a sięgnął po władzę dopiero wtedy, kiedy „ulica“ swojemi demonstracyami i krwią przelaną przeraziła rząd i zmusiła do ustępstw i margrabiemu utorowała drogę.

Inny jeszcze powód, dla którego margrabia nie mógł dzieła swego przeprowadzić, i nie znalazł oparcia w samym społeczeństwie, podaje p. Koźmian, który jest prawdziwie genialny w wyszukiwaniu coraz to nowych wad usposobienia Polaków. Oto twierdzi, że „wielki pan bez zdolności i chwiejny, będzie miał zawsze w Polsce więcej wzięcia, niż wielki pan obdarzony rozumem i silną wolą“ (str. 115). Szkoda, że p. Koźmian nie przytoczył dowodu na to swoje twierdzenie. Możemy go wyręczyć i przytoczyć z ostatnich czasów dowód, że — wprawdzie nie całe społeczeństwo polskie — ale w każdym razie pewne w niem stronnictwo, pewna „szkoła“ nie znosi „wielkiego pana, obdarzonego rozumem i silną wolą“, nb. jeżeli ten wielki pan ma swój własny rozum, a nie pożyczany u „szkoły“. Ataki *Czasu i lwowskiego Przeglądu* na ks. Adama Sapiechę są bardzo jaskrawym tego dowodem.

P. Koźmian ma zamiłowanie do pewnych formułek, które skoro mu raz z pióra spłyną, chętnie po kilkakroć powtarza, nie zastanawiając się ani nad ich uzasadnieniem, ani nad ich doniosłością. Taką formułkę wynalazł sobie, gdy pisząc po kilkakroć o stopniu winy i odpowiedzialności, przypisując jednym same tylko omyłki, innym znowu błędy ale bez winy, innym i błędy i winy i szaleństwo i bezsumiennosc, jednym rozum bez stałości, innym stałość bez rozumu, kwalifikując jednych na szaleńców, innych na niedołęgów, wprowadza w trzecim tomie nową formułkę i nowy podział: celniejsza część narodu i część poślednia. Celniejszą są oczywiście ci wszyscy, o których w tomie pierwszym napisał, że są „słowem“ konserwatyści — tych zaś wszystkich, którzy ruch ówczesny organizowali, kierowali nimi stali na jego czele, nazywa kilkakrotnie „poślednią częścią społeczeństwa“ (str. 237, 310, 325 i in.).

Są rzeczy, na które już doprawdy i oburzać się nie warto. Kto ludzi, którzy moralnie wznieśli się do wyżyn najwyższej ofiary i poświęcenia, a z których ta część, co przetrwała katastrofę, w bardzo licznych jednostkach zajaśniała potem wysoką inteligencją na różnych polach narodowej pracy — kto, powiadamy, tych ludzi nazywa „poślednią częścią“ społeczeństwa — ten widocznie zatracił, jeżeli je kiedy miał, poczucie i zrozumienie tego, co rozróżnia „celniejszych“ od „poślednich“. Dla nas poślednią i najpośledniejszą częścią społeczeństwa są przede wszystkim ci, którzy moralną atmosferę społeczeństwa zatrują; którzy szerzą naokoło siebie wpływ demoralizujący, deprawacyjny i korupcyjny; których życie jest w sprzeczności z faryzejsko wyznawaną i głoszoną religijnością. To jest „pośledni“ w społeczeństwie żywość, ale nie ludzie, którzy życie kładli za swoją wiarę i za swoją miłość.

Kilkakrotnie powtarza się także formułka o „wojskowym powołaniu“ narodu polskiego. „Utworzenie Polski przeważnie wojskowej i wojskowo urządzonej, zapomocą geniuszu Napoleona, to jest zwrócenie Polaków do ich pierwotnego przeznaczenia i do zawodu, w którym celowali“ (str. 301). Piękne czyny wojenne w czasie listopadowego powstania dowodzą według p. Koźmiana, „iż narodu polskiego zawodem była wojskowość a nie polityka“ (str. 312). Jakaż szkoda, że autor poznał tę prawdę dopiero po roku 1863 i nie mógł jej wtedy zastosować do siebie! „Narodu polskiego powołaniem było, być społeczeństwem wojskowym“ (str. 377). Ładnie wyglądałaby nasza cywilizacja, gdybyśmy naprawdę byli wojskowym społeczeństwem! Że położenie geograficzne zmuszało nas przez całe wieki do tego, by żyć w ciągłym pogotowiu, żeśmy też w zawodzie wojskowym celowali, to prawda. Ale z tego bynajmniej nie wynika, żeby tak zawsze być miało, żeby wojskowość miała być przeznaczeniem narodu polskiego, bo

w takim razie musielibyśmy chyba zwątpić o cywilizacyjnej naszej racyi bytu.

Do mnóstwa wad, jakie p. Koźmian zarzuca narodowi polskiemu, przybywa w tomie trzecim jeszcze jedna: skłonność do obłudy (str. 353). Zdawałoby się jednak, że społeczeństwo, mające charakter wojskowy, a nie uzdolnione do polityki, chyba innemi wadami grzeszyć będzie, ale nie obłudą.

Politykę powstańczą, a nawet i politykę Hotelu Lambert, opartą na idei niepodległości i obcej pomocy, nazywa p. Koźmian kilkakrotnie zemstą, odwetem za klęskę roku 1831. (str. 288, 313, 314, 333 i in.) Jestto obniżenie poziomu całej polityki polskiej od r. 1831. Nie zemsta była jej celem, nie marny odwet, ale ta idea niepodległości, której autor pozbyć się każe, a dowodu na to dostarcza cała ówczesna literatura polityczna, w której idea zemsty i odwetu zaledwie tu i owdzie się pojawia, a zawsze na pierwszym planie stoi idea niepodległego, państwowego bytu.

Tego bytu niepodległego odzyskanie było według p. Koźmiana utrudnione także i tem, że odbudowane państwo polskie nie miało by wewnętrznych warunków trwałości. Te warunki „w społeczeństwie, które wskutek wad i błędów przestało istnieć jako państwo, które pozbawione od przeszło pół wieku niepodległości, a od przeszło ćwierć wieku istotnego bytu narodowego, nie mogło być w sztuce rządzenia samem sobą wykształcić się, stępiony miało zmysł polityczny i niedokonaną reformę społeczną, trudnemi były do odnalezienia; takie społeczeństwo dostatecznych rękojmi silnego bytu samoistnego dać nie mogło“ (str. 254). A na poparcie tego zdania, które autorowi służy do usprawiedliwienia, dlaczego Francya nie wzięła się szczerze do odbudowania Polski, przytacza jeszcze całą osnowę listu Talleyranda do ks. Castlereagh z roku 1815, w którym francuski dyplomata powiada między innemi, że „przy-

wrócenie niepodległości Polski nieodzwonnie wskrzesiłoby jej anarchię“ i pociesza, że „Polacy pod obcemi rządami dojdą do dojrzałości, której osiągnąć nie zdołali przez dziesięć wieków niepodległości i jest to jedyny sposób uczynienia ich europejskim narodem“. I z tak haniebnym sądem o Polakach p. Koźmian solidaryzuje się, gdy list ten bez zastrzeżeń przytacza na poparcie swoich własnych, takich samych, tylko mniej jaskrawo wypowiedzianych poglądów! A toż to przecie jest mowa wszelkich nieprzyjaciół Polski, którzy od rozbiorów począwszy aż do dni dzisiejszych głoszą nieustannie, że rozbiór anarchicznej Polski był dobrodziejstwem dla cywilizacji, dla Polaków samych, którzy w niewoli dopiero szczęśliwym będą narodem i przez knut tylko mogą być ucywilizowani.

Widząc w narodzie polskim tak rozliczne i tak wielkie błędy i wady, taką niepoprawność i taki nierozum, że nawet przymioty dobre przez brak miary zamieniają się w wady, przyjmując teorię wrogów naszych, iż społeczeństwo polskie nie daje „dostatecznych rękojmi silnego bytu samoistnego“, dochodzi naturalnie p. Koźmian do takich także wniosków:

„Że konieczność odbudowania Polski nie istniała, dowodzą dzieje porozbiorowe. Świat szedł i idzie dalej swoim trybem, ani szczęśliwszy, ani nieszczęśliwszy, niż kiedy państwo polskie istniało“ (str. 302). Naturalnie! Świat szedł i idzie dalej swoim trybem! Ale jakim? Czy upadek Polski nie wywarł żadnego wpływu na ten tryb i na stosunki europejskie? To jest przecież wprost niemożliwe, wprost ze zdrowym rozsądkiem sprzeczne, ażeby zniknięcie z karty Europy państwa o takim obszarze i takiej ludności, położonego między Zachodem a Wschodem, państwa, które wzięło w siebie wszystkie pierwiastki cywilizacji europejskiej i reprezentowało je i broniło ich wobec wręcz przeciwnego pierwiastku cywilizacyjnego, mogło pozostać bez wpływu na losy świata europej-

skiego. Dotychczas wszyscy historycy i publicyści bez wyjątku wpływ ten uznawali. Jedni widzieli w tym dziejowym fakcie wielkie dla cywilizacyi, dla wolności, dla spokoju europejskiego nieszczęście — inni, a naturalnie w pierwszym rządzie rosyjscy, i biorący od nich i od caratu natchnienie pansławiści innych narodów słowiańskich, widzą w nim wielką dla świata europejskiego korzyść. P. Koźmian jest niezawodnie pierwszym w świecie publicystą, dla którego upadek Polski jest faktem najzupełniej obojętnym. Ani to świata grzeje, ani ziębi! On swoim trybem idzie dalej, ani szczęśliwszy, ani nieszczęśliwszy! Byliśmy więc niczem dla świata przed naszym upadkiem — no! i według p. Koźmiana jesteśmy niczem po upadku! Dziwna rzecz jednak, jak nielogicznem jest autor. Kiedy mu w rozdziale IX. trzeba skutki powstania r. 1863 przedstawić w możliwie najjaskrawszem świetle — to powiada, że po powstaniu dopiero można było powiedzieć: „nie ma już Europy!“ — że to powstanie przedstawia się: „jako dzieło zniszczenia, nie tylko dla narodu polskiego ale w szerszych światowych rozmiarach“ i że „ta klęska narodu polskiego była światową porażką“ (str. 170). A kiedy mu potrzeba w rozdziale XI. dowodzić, że odbudowanie Polski nie jest bynajmniej interesem Europy, ani cywilizacyi, wtedy upadek Polski jest faktem dziejowo obojętnym. A przecież jeżeli to ma być prawda, to chyba już absolutnie nie może być prawdą, iż jeden nieudany ruch polski jest światową porażką.

I czem autor dowodzi tego, że światu nic się złego nie stało, gdy Polska upadła? Oto dowodem tego mają być „dzieje porozbiorowe“, zapewne dlatego, że żadne dotychczas państwo europejskie, żaden monarcha i żaden naród nie podniósł skutecznie tej sprawy. Ale czy dzieje porozbiorowe już zamknięte? Czy świat europejski ma już na zawsze pozostać w tym kształcie, jaki mu nadały wypadki ostatnich trzydziestu lat? Czy wolno

bawiac się w opatrzność, powiedzieć, że co się w ciągu stu lat nie stało, to już się nigdy stać nie może, i czy nie znają dzieje zmartwychwstań po okresach nawet kilkuwiekowych?

P. Koźmian z takimi możliwemi zarzutami i zapytaniami łatwo sobie daje radę: nazywa powstanie styczniowe „ostatnią sceną ostatniego aktu historycznego dramatu Polski, usiłującej odzyskać straconą niepodległość“ (str. 291) i to mu już wystarcza. On wydał wyrok — usłużne pióra rozgłoszą ten wyrok po europejskich organach, ku czemu też i koalicyjna *N. Fr. Presse* swemi feletonami posłuży, i *res judicata*. Rok 1863 zakończył dramat, teraz pozostaje tylko do odegrania komedya z zadowoleniem się bytem narodowym bez bytu państwowego, z polityką „trzech lojalności“.

II.

Vae victis! Biada zwyciężonym! Taki napis powinien być mieć rozdział IX. drugiej części książki p. Koźmiana, zatytułowany przez autora: „Skutki powstania 1863 r.“.

Biada zwyciężonym! Nietylko wróg mścić się na nich będzie i przesładować ich w dalsze nawet pokolenia, nietylko opuści ich wczorajszy sprzymierzeniec, nietylko obcy chwalcą zamieni się w potwarcę, który opacznie i w sposób krzywdzący wykładać będzie dzieje ich walk i klęski — ale brat własny przyłączy się do przesładowców, do krwawych cierpień uragowisko dorzuci i głosem swym wzmocni chór piekielny, wznoszący straszliwą pieśń: biada zwyciężonym!

Takie ponure, przygnębiające wrażenie odnosi się z przeczytania rozdziału, o którym mowa. Pod względem utraconych korzyści, zarówno, jak spowodowanych bezpośrednich szkód, powstanie 1863 roku przedstawia autor jako najstraszliwszą, najgłębszą klęskę, jaka kiedykolwiek na naród spaść mogła. Nie masz prawdziwego czy urojonego zła, któreby według p. Koźmiana nie

było skutkiem powstania. Mało brakuje, a już i powódz roku 1884 i posucha roku 1889 byłaby skutkiem powstania! A nie ograniczają się te skutki na samą Polskę: spadły one ciężkim brzemieniem na Napoleona III-go, na Austryę, na Europę, stały się klęską światową, a tę klęskę spowodowała owa „poślednia część“ społeczeństwa polskiego, o której poprzednio była mowa, a złagodzenie tych klęsk i ich skutków, może kiedyś ich zupełne usunięcie, więc słowem wybawienie z toni niesie: szkoła stańczykowska, jak się dowiadujemy z XII. rozdziału książki p. Koźmiana. To jest cel, do którego wszystko w książce zmierza i który sprawia, że całe trzynomowe dzieło staje się w rezultacie tylko wielką broszurą, na użytek partyi napisaną.

Ale wróćmy do skutków powstania. Jako skutki, nad którymi „najmniej przyjdzie ubolewać“, uznaje autor te, które na polu międzynarodowym powstanie dla sprawy polskiej sprowadziło. Że autor nad temi skutkami najmniej ubolewa — wynika to z całego jego systemu. Skoro bowiem, według niego, należy nam wyrzec się ideału bytu niepodległego dla ratowania bytu narodowego bez względu na państwowe kształty, i skoro ten byt narodowy mamy ratować za pomocą polityki trzech lojalności (formułka wynaleziona przez p. Szczepańskiego, który w niej streścił program Koźmianowski, zupełnie go akceptując) — to oczywiście międzynarodowe sprawy polskiej stanowisko staje się w tym systemie rzeczą drugorzędną. Mimo to zaznacza autor jako szkodę, którą powstanie sprawie polskiej wyrządziło — „iż położyło jej koniec jako europejskiej“. „Rozbiory wymazały Polskę z karty geograficznej, dopiero powstanie 1863 roku wykreśliło ją z rzędu spraw międzynarodowych“. Byłoby to prawdą, gdyby autor dodał: „na jakiś czas“. Sprawa wolności lub niewoli narodu, co najmniej 20-milionowego, o tak wybitnej narodowej indywidualności, sprawa całości lub rozbitcia narodu, którego części są poddane trzem sąsie-

dnim państwom, bynajmniej nie mającym identycznych interesów, a który w dodatku reprezentuje kierunek cywilizacyjny zachodni, gdy największe z tych trzech państw jest reprezentantem wręcz przeciwnego kierunku, sprawa taka nie może nigdy, aż do swego ostatecznego rozwiązania, stracić nieodwołalnie swego międzynarodowego charakteru i znaczenia. Może ona chwilowo, na czas jakiś, zejść z porządku dziennego zajęcia dyplomacji i polityki, może nie zaprzatać rządów i parlamentów, ale dopóki ten naród żyje i ma świadomość swego politycznego życia, dopóty w sprawie jego tkwi kwestya międzynarodowa. I jeżeli ona dzisiaj jest niejako w uśpieniu, to pierwsze wielkie zawikłanie w środkowej i wschodniej Europie może ją wydobyć na jaw. Ta świadomość międzynarodowego znaczenia naszej sprawy, nie potrzebuje nam na chwilę przerywać codziennej pracy nad gromadzeniem coraz większych zasobów wewnętrznych sił narodu, ale ona nie powinna nas opuszczać nigdy, jeżeli nie chcemy sami skazać się na to, co p. Koźmian nazywa: „utrata życia wielkoświatowego, zamienieniem go na prowincjonalne“. I jeżeli autor powiada na innym miejscu (str. 156), że w sprawach ludzkich, a w tym wypadku politycznych nie ma w przyszłości niepodobieństw — to jest nielogicznym, gdy twierdzi, że powstanie położyło koniec sprawie polskiej, jako europejskiej, że ją wykreśliło z rzędu spraw międzynarodowych.

Ażeby zaś pozostać przy tych zewnętrznych, międzynarodowych skutkach powstania, przejdźmy do tego, co autor pisze o następstwach jego dla Francji, dla Austrii, dla Europy. Otóż, według p. Koźmiana, „jeżeli zabrakło Francji w stosunkach europejskich, pierwszą tego przyczynę szukać należy w powstaniu polskiem 1863 r.“ (str. 167). Ono zadało dotliwy cios polityce Napoleona III., ono spowodowało „obniżenie uroku Napoleona III. wewnątrz i zewnątrz, osłabienie wpływu Francji, ośmielenie jej wrogów“ ono „skosiło świeżo roz-

kwitający w stosunkach międzynarodowych kwiat narodowości, zasadzony przez Napoleona III., przemieniło go w pasożytną roślinę, równie zawodną dla Francji, jak dla narodu polskiego“ — bo „przeobrażona w skutku wypadków 1863 r. napoleońska zasada narodowości wydała jedność niemiecką i pozwoliła wysunąć przednią straż panslawizmu, wykluczając byt Polski“... „Powstanie polskie 1863 r. spowodowało Austrię do popełnienia błędów i pomyłek, których następstwa odczuła i dotąd odczuwa“ (str. 171), ponieważ swem postępowaniem w r. 1863 Austria „zspoliła Prusy z Rosyą i zapewniła pierwszym życzliwość drugiej, w dzień własnej z niemi stanowczej rozprawy, pozbawiwszy się na ten dzień pomocy Francji, skazawszy się na odosobnienie“. „Wprawdzie zapobiegła ona na razie przymierzowi Francji z Rosyą, z czego głównie Anglia i Prusy, jej kosztem, skorzystały; pozbyła się więcej urojonego niż istotnego niebezpieczeństwa, użycia sprawy polskiej przez Rosyę na jej stratę; w zamian jednak wywołała stokroć groźniejsze na swoich granicach panslawistyczno-prawosławne dążności, sięgające w głąb monarchii, a nie uratowała nawet owej spójni, wynikającej z podziału Polski... Miejsce tej spójni zajął dotąd przygłuszony, choć nie zawsze cichy, antagonizm i przeciwieństwo między Austrią i Rosyą w sprawach polskich i ruskich“ (str. 169). „...„Kto wierzy w Nemezis historyczną, może dopatrzeć się jej działania w wypadkach, które odegrały się w Europie po 1863 roku. Nie sama Francja, nie sama Austria, ani też społeczeństwo polskie, uczuły tę nemezis; jeżeli przypuścimy zbiorową Europę, niezawodnie i ją dotknęły następstwa polskich wypadków 1863 r. Po nich można było powiedzieć: nie ma już Europy“.. „Polskie powstanie 1863 r. zmuszając wbrew położeniu, w sprzeczności z rozumem i rozsądkiem do podniesienia sprawy polskiej bez warunków i możliwości rozwiązania

jej, będąc powodem bezskutecznego postawienia jej na porządku dziennym, zadało gwałt naturze rzeczy i stosunkom europejskim. Przedstawia się zatem jako dzieło zniszczenia nie tylko dla narodu polskiego, ale w szerszych światowych rozmiarach" (str. 170).

Przytoczyliśmy umyślnie dłuższe ustępy, one bowiem charakteryzują sposób rozumowania i logikę p. Koźmiana. Jest to rozumowanie na zasadzie *post hoc — ergo propter hoc*, jest to wygodne bardzo, bo mało trudu umysłowego wymagające odniesienie licznych i różnorodnych wypadków do jednej przyczyny, podczas gdy zawsze w politycznych wypadkach wiele przyczyn składa się na pewne wyniki.

Powstanie polskie wybuchło wbrew radom i wbrew woli Napoleona. To prawda. Jakaż wobec tego była rola potężnego wówczas władcy Francji, o którym sam p. Koźmian powiada, że jego „dwuznaczność i słabość wobec ruchu i demonstracyj polskich przyczyniły się do przygotowania i wybuchu powstania?” Oto jedno z dwojga: albo zostawić powstanie i sprawę polską własnemu losowi, albo obrać jedynie skuteczną drogę do jej rozwiązania, przez danie Austrii tych gwarancyj, których ona jako najbardziej bezpośrednio interesowana domagała się i domagać się musiała. Jedynie tylko przymierze austriacko-francuskie mogło wtedy i sprawę polską i stanowisko Napoleona III. uratować, a tego przymierza niezbędnym warunkiem były owe gwarancje — polegające na zabezpieczeniu Austrii od strony Prus i Włoch i poręczeniu jej kompensaty w Polsce za straty, we Włoszech poniesione. Że Napoleona w tej sprawie zawiodła jego dawna bystrość i zręczność, że puścił się na drogę interwencji dyplomatycznej, nie mając jasno wytkniętego planu działania na ten na pewno przewidzieć się dający wypadek, iż ta interwencja będzie bezskuteczną, za to chyba winić nie można powstania, które na owej interwencji tylko szkodę po-

niosło, bo zatraciło swoją pierwotną energię powstańczą i zamieniło się na zbrojną demonstrację.

I czy powstanie winno temu, że Austria również w tej sprawie błędziła? Czy ono winno, że Schmerling fantazował o odzyskaniu wielkiego dla Austrii stanowiska w Niemczech i przez sławny zjazd frankfurcki poruszył całą sprawę niemiecką w chwili, kiedy na północno-wschodniej granicy Austrii rozgrywał się wielki dramat polsko-rosyjski, który najżywotniejszych austriackich interesów dotyczył? Czy powstanie winno, że ta błędna polityka austriacka przygotowała Sadowę? Czy powstanie winno, że dyplomacja austriacka i francuska była o całą głowę niższą od Bismarka, że ministerstwa wojny i sztaby generalne austriackie i francuskie tak samo o całą głowę były niższe od Roona i Moltkego, że technika broni palnej austriackiej i francuskiej nie dotrzymała kroku tejże technice w Prusiech, i że skutkiem złej polityki i złego kierownictwa wojennego możliwym było pokonanie Austrii z osobna, a w cztery lata później również odosobnionej Francji? To są wszystko fakta, od powstania polskiego zupełnie niezależne — a skutkiem tych faktów, nie skutkiem powstania, nastąpiła złowroga „przewaga Prus w Niemczech, Niemiec w Europie“.

P. Koźmian dziś jeszcze tak jest zaślepiony w Napoleonie III., że upadek jego polityki przypisuje nie jego własnym błędom, ale polskiemu powstaniu. A ponieważ Napoleon marzył o przymierzu francusko-rosyjskim, przeto i p. Koźmian między zgubnymi skutkami powstania wylicza i to, że powstanie „przeszkodziło przymierzu Francji z Rosją, które byłoby przekształciło kartę europejską i nie dopuściło do przewagi Prus w Niemczech, Niemiec w Europie. Zespoliło Rosję z Prusami na czas wojen tych ostatnich z Austrią i Francją“ (str. 167). Na to odpowiemy po pierwsze, że nie dopiero powstanie 1863 r. zespoliło Rosję z Prusami, bo to zespolenie z wyjątkiem

krótkiego epizodu w okresie napoleońskim trwało blisko wiek cały, a wyrażało się takimi faktami, jak np. powstrzymanie Austrii przez Prusy w czasie wojny krymskiej w roku 1854 — powtóre, że naszym zdaniem napoleoński plan przymierza francusko-rosyjskiego był mrzonką, która urzeczywistnić się nie mogła, tak samo, jak i dzisiaj jeszcze pomimo wszelkich pozorów jest ona bardzo daleką do przybrania realnych, politycznych kształtów — a nakoniec, że nie możemy sobie wyobrazić tych korzyści dla sprawy polskiej, dla sprawy europejskiej wolności i cywilizacji, jakieby stąd wynikły, gdyby Rosya, chociażby w przymierzu z imperyalistycznie-demokratyczną Francją, była przekształcała kartę europejską!

I rzecz charakterystyczna, a zapisania warta: polskiemu powstaniu i klęskom zeń spadłym na naród, winien zawsze u p. Koźmiana sam naród polski, winna w pierwszym rzędzie ta tak zwana „poślednia część“ narodu bezpośrednio, a część „celniejsza“ pośrednio, ale w każdym razie sam tylko naród polski. Ale klęskom Sadowy i Sedanu i powstałej z nich przewadze Prus i Niemiec w Europie winno: polskie powstanie. Błędem polskim winni tylko Polacy sami — błędem Austrii i Francji nie winna Austria i Francya, winna im znowu Polska — bo „powstanie polskie 1863 r. spowodowało Austryę do popełnienia błędów i pomyłek, których następstwa odczuła i dotąd odczuwa“ (str. 170), a „dla Napoleona III. od powstania rozpoczęła się epoka błędów i stopniowego obniżenia się, które do Sedanu doprowadziły (str. 167).

Te są — według p. Koźmiana — skutki powstania na polu międzynarodowym, te skutki, nad którymi autor z podanej już przez nas przyczyny „najmniej ubolewa“.

„Najdotkliwszemi — pisze autor, najdalej sięgającymi stały się następstwa powstania roku 1863 dla bytu narodowego, dla życia codziennego, dla stosunków spo-

łecznych i religijnych polskiej powszechności. Zadało ono cios srogie głowie i żołądkowi polskiego organizmu, oszczędzając jedynie jego kończyny. Pozbawiło bowiem nietylko wszelkiego odrębnego kształtu politycznego, także wszelkiego życia narodowego, kraje polskie pod panowaniem rosyjskiem; co więcej, wywołało tępienie i niszczenie tego życia, to jest dotknęło paraliżem żołądek i głowę narodu, pozostawiając jedynie wolnemi od niego ręce, czyli kraje pod panowaniem austriackiem, oraz względnie nogi, to jest prowincye pozostające pod panowaniem pruskim" (str. 161).

Czytelnik zapewne nie będzie wymagał od nas, byśmy się na seryo rozprawiali z tem niezgrabnem a niedorzecznem porównaniem, w którym Polska jest organizmem złożonym tylko z głowy, żołądka i kończyn (gdzież się serce podziało? prawdopodobnie przechowało się w „szkole“) — a ręce i nogi są swobodne, pomimo paraliżu żołądka i głowy! To się kwalifikuje wyłącznie do humorystyki.

Że powstanie roku 1863-go w swych bezpośrednich następstwach zadało czasowo srogie klęski sile polskiej w zaborze rosyjskim — temu nikt przeczyć nie może. Po powstaniu zniszczyła Rosya stopniowo wszystkie ślady politycznej odrębności Królestwa — wyparła język polski z wszelkich dziedzin życia publicznego — zadała ciężkie ciosy polskiej posiadłości ziemskiej na Litwie i Rusi — usunęła polską inteligencyę z wszelkich publicznych stanowisk — rozszerzyła bardzo znacznie terytorjum prawosławia, przez gwałtowne, choć w znacznej części bezskuteczne, bo tylko pozorne nawrócenie unitów. To wszystko prawda, którą bardzo boleśnie czuje całe społeczeństwo polskie, nietylko te części jego, które są tem prześladowaniem bezpośrednio dotknięte. Bezstronny historyk musi to wszystko zapisać jako bardzo ujemne następstwa powstania — ale, jeżeli sąd jego

ma być bezstronny, musi unikać dwóch błędów, w jakie popadł p. Koźmian: po pierwsze, skrajnej przesady w kreśleniu tych następstw i w przypisywaniu powstaniu skutków wcale nieistniejących, a powtórę tendencyjnego dopatrywania samych tylko skutków ujemnych, z zupełnym pominięciem dodatnich.

Zarzuca my więc p. Koźmianowi przedewszystkiem przesadę. A to naprzód w tem, że nie liczy się zupełnie z doniosłością wyrażen, których używa. Powstanie według niego „zniweczyło w zarodzie żywioły rozwoju narodowego bytu polskiego“. Jeżeli żywioły te są w zarodzie zniweczone — toż oczywiście nie ma ich wcale, nie mogą już powstać! Skutki powstania nazywa autor kilkakrotnie „zniszczeniem bytu narodowego“ — gdy tu może być mowa o osłabieniu, o utrudnionym rozwoju; ależ przecie nie o zniszczeniu!

Mniejsza jednak o przesadę w wyrażeniach — gorszą jest przesada a raczej nieprawda we faktach.

„Upadku zamożności polskiej dokonało powstanie 1863 roku“ — powiada p. Koźmian na str. 160 — co jest nieprawdą. Ono chwilowo zadało tej zamożności ciężkie rany, to prawda. Ale i to jest prawdą, że rychło po powstaniu przemysł Królestwa podniósł się do niebywalej przedtem świetności, że zamożność Królestwa wzrosła, bo społeczeństwo polskie wzięło się tam bardzo energicznie do pracy ekonomicznej.

A dalej na str. 164 czytamy: „W Polsce długimi robotami spiskowemi wyjałowiona niwa narodowa, wyniszczona wreszcie powstaniem 1863 r. zdawała się naraz odmawiać wszelkiego pokarmu społeczeństwu. Ujrzało się ono wobec pustki materyalnej i moralnej. Przerwana praca naukowa, zatrzymana w rozkwicie literatura, spłoszona sztuka“ etc.

Czy p. Koźmian żartuje sobie z czytelnika? czy wyobraża sobie, że czytelnik nie wie nic o historii

polskiej literatury i sztuki w ostatnich trzydziestu kilku latach? A wszak Grottger głównie w ruchu 1861 do 1864 czerpał natchnienie i stworzył cały szereg arcydzieł, które powstały przed powstaniem i po powstaniu. A wszak Matejko w tym właśnie czasie stanął na wyżynie sztuki (Skarga, Stańczyk, zaraz potem Rejtan!) i twórczość jego nietylko nie zmalała, ale potęgowała się i doszła do takiej mocy, że za Matejką powstał cały legion artystów-malarzy pierwszorzędного znaczenia, tak samo, jak niegdyś geniusz Mickiewicza zapłodnił legion prawdziwych w poezyi talentów. I w obec tego p. Koźmian pisze, że przez powstanie sztuka polska „spłoszoną“ została!

„Przerwana praca naukowa — zatrzymana w rozkwicie literatura“. Znowu nieprawda. W czasie powstania i bezpośrednio po niem opracowuje Bielowski swoje pomnikowe „*Monumenta*“ — wykończy Szujski i ogłasza 3-ci tom *Dziejów Polski* (1864) i przygotowuje 4-ty- (1866) — pisze i drukuje Szajnocha swoje „*Dwa lata z dziejów Polski*“ pisze i ogłasza Małeckie swoje znakomite dwutomowe studyum o Słowackim i opracowuje wydanie „*Pism pośmiertnych*“ tego poety. W czasie powstania i bezpośrednio po niem nie ustaje bujna literacka działalność Kraszewskiego i now dla siebie znajduje tematy, zużytkowane w dziełach wydanych pod pseudonimem Bolesławity. Bezpośrednio po powstaniu dojrzewa poetycki talent Asnyka, powieściarski i dramatyczny Bałuckiego. W Warszawie samej powstaje „młoda szkoła“, której z czasów „zabkowania“ można bardzo wiele zarzucić, ale która ma znakomite zasługi w rozbudzeniu życia naukowego i literackiego. Tysiącne fakta z ówczesnego życia umysłowego Polski przytoczyć można na dowód, jak błędem jest owo twierdzenie p. Koźmiana, iż powstanie spłoszyło sztukę, przerwało pracę naukową, zatrzymało w rozkwicie literaturę.

„Wmieszanie żywiołu religijnego w ruch ówczesny — pisze p. Koźmian — uwydatniło i wypukliło uczyniło różnice i przeciwieństwa między dwoma społeczeństwami, polskim i rosyjskim, między odmiennymi pochodzeniami dwóch cywilizacji, między religią katolicką i prawosławną, różnice i przeciwieństwa, które rozumna polityka powinna była łagodzić“ (str. 162). Zdawałoby się z tego, że prześladowanie katolicyzmu w zaborze rosyjskim zaczęło się dopiero po powstaniu, skoro ono jest zapisane także do skutków powstania. A przecież cała historia krajów polskich pod panowaniem rosyjskim, od samych rozbiorów, jest przepełniona gwałtami religijnymi, pochodzącymi od tego rządu i tego kościoła, w których car jest papieżem i samowładcą w jednej osobie. Ukraina i Litwa, a nawet i Królestwo bywały przed powstaniem widownią takich gwałtów i stały się nią także i po powstaniu. Te różnice i przeciwieństwa, które według p. Koźmiana rozumna polityka powinna była łagodzić, złagodziłyby się dały wtedy dopiero, gdyby się zmieniła sama istota caratu, jako despotycznie rządzonego państwa i sama istota rosyjskiego prawosławia, jako religii państwowej — gdyby w caracie nastąpiło rozdzielenie pojęć religii i państwowej narodowości, których zupełne zidentyfikowanie doprowadza zawsze do gwałtownej propagandy, bez względu na to, czy Polacy zachowują się spokojnie, czy się „buntują“. Ta rozumna polityka, mająca te „przeciwieństwa łagodzić“, możliwa jest tylko ze strony rządu rosyjskiego i nie zależy od Polaków. Bo skoro, jak p. Koźmian w jednym z następnych rozdziałów stwierdza, „katolicyzm musi pozostać główną podstawą bytu narodowego polskiego“... a „tej podstawy pod grozą zaprzepaszczenia bytu narodowego, opuszczać nie można, tym żywiołem frymarzyć nie wolno“ (str. 347) — toż oczywiście na tym punkcie wykluczone są z polskiej strony jakieś ustę-

stwa, możliwem jest tylko silne trwanie przy tej wierze i bierny opór przeciw wszelkim zamachom.

Powstanie 1863 r. — pisze p. Koźmian — obniżyło poziom patryotyzmu ogółu.

Jeżeli patryotyzm ten mierzyć będziemy tą bardzo wysoką, prawie niedoścignioną skalą, do jakiej on się wznosił w epoce 1861 do 1864 — to zaprawdę patryotyzm okresu po powstaniu, ówczesnemu nie dorównał. I nic dziwnego. Jest rzeczą niemożliwą, żeby duch narodu przez całe dziesiątki lat mógł się utrzymać w tym wysokim nastroju, jaki wypadki wyjątkowe wytwarzają i jakiego one wymagają; aby się utrzymał nieustannie na wysokości ofiary i poświęcenia życia, wolności osobistej, mienia, szczęścia rodzinnego, spokoju każdej chwili, samej nawet godności ludzkiej. Normalny stan patryotyzmu mierzy się umiłowaniem sprawy ojczystej i narodowej idei, stawianiem interesu tej sprawy ponad możliwe osobiste materyalne czy moralne korzyści, gotowością do pracy, trudów i ofiarności. Mierzy on się tem, czy skala jego jest dość wysoka, ażeby na wypadek ponowienia się wyjątkowej potrzeby, znalazł się też i ów wyjątkowy nastrój. Po czasach wielkiego napięcia patryotyzmu, wielkich ofiar i poświęceń, a zwłaszcza po wysiłkach bezskutecznych, naturalną kolejną rzeczą następuje zawsze obniżenie skali patryotyzmu. Czasem to obniżenie jest tylko powrotem do owej skali normalnej, a wtedy nie wyrządza szkody społeczeństwu — czasem zaś skala ta spada jeszcze znacznie niżej, a wtedy objawia się to szkodliwą reakcją, w czasie której patryotyzm nie wystarcza nawet na normalne potrzeby społeczeństwa. I wówczas też pewna suma sił i trudów i energii, zamiast żeby była zużyta na działanie pozytywne, musi się zużywać na walkę z ową reakcją, z prawdziwym uszczerbkiem dla wielu ważnych potrzeb społeczeństwa.

Jeżeli tedy dziś p. Koźmian pomiędzy szkodliwe skutki powstania zalicza obniżenie patryotyzmu ogółu,

to gdyby chciał i umiał być bezstronnym, musiałby przyznać, że ten ogół polski po powstaniu podzielił się na dwie części: U jednej z nich nastąpiło tylko takie względne, a zawsze po wypadkach tego rodzaju konieczne obniżenie patryotyzmu, które jest tylko powrotem do stanu normalnego — u drugiej części zaś obniżenie znacznie poniżej tej skali, bo jawne, różną sofisteryą popierane dążenie do tego, żeby się naród pozbył najsilniejszego bodźca patryotyzmu: swej narodowej idei. Musiałby przyznać, że ta pierwsza część zmuszoną była do zużywania znacznych zasobów swej siły, energii, swej pracy na to, ażeby zwalczać zgubne dążenia części drugiej i nie dopuścić do tego, by patryotyzm polski stał się zeszedł poniżej skali normalnej. Musiałby przyznać, że tą drugą częścią jest właśnie owa „szkoła“, której p. Koźmian w tomie trzecim takie wypisuje panegiryki, szkoła, do której on należy i w której on działa, i której podniesienie w opinii ogółu polskiego jest głównym celem jego trzynomowej książki. Więc nie ma autor prawa do zarzucania powstaniu, iż ono obniżyło poziom polskiego patryotyzmu, bo na podstawie faktów powiedzieć mu możemy i musimy, że cokolwiek w tym kierunku się stało, wyszcie to zrobili. *Ipse fecisti!* Póty stać Polaków na patryotyzm, zarówno ten, jakiego wymaga praca w czasach spokojnych, jak i ten o najwyższem napięciu, jakiego wyjątkowe czasy i wielkie wymagają wypadki, póki w polskich umysłach i sercach tkwi potężnie ta narodowa idea, której zachwianie i zniweczenie jest głównym, świadomym celem działania „szkoły“ i głównem zadaniem, jakie sobie wytknął p. Koźmian, pisząc swoją książkę.

A musimy też stwierdzić inny jeszcze fakt, pominięty zupełnie przez p. Koźmiana, który oczywiście zamierzył pisać wyłącznie o ujemnych skutkach powstania, ażeby mu żadnego dodatniego nie przyznać. Jeżeli nastrój patryotyzmu polskiego nie jest dziś, bo

nie może być tak wysoki, jakim był w czasie powstania i bezpośrednio przed nim — to natomiast zaprzeczyć się nie da, że patriotyzm polski ogarnia dzisiaj znacznie szersze kręgi, że bez porównania liczniejsze są dzisiaj zastępy jego wyznawców. I rósć będą te zastępy coraz bardziej, w miarę podnoszenia poziomu oświaty w narodzie, w miarę zwiększania się szeregów jego inteligencji, w miarę jak skarby piśmiennictwa naszego docierają do coraz szerszych kół społeczeństwa polskiego. Nie Bismarck ale Goethe est twórcą jedności niemieckiej — a cały trytomowy rozum p. Koźmiana i wszystkie razem wzięte praktyczne rozumy i rozsądki polityczne jego „szkoły“ nie zdołają potępianej przez nich idei bytu politycznego wykorzystać w narodzie, który ma Mickiewicza i który potęgą tej idei prędzej czy później zwycięży.

Między ujemne skutki powstania — a wiemy już, że p. Koźmian zna tylko ujemne — zalicza on także sprawę włościańską, o której pisze:

„Powstanie roku 1863 nie pozwoliło dokonać spóźnionej naprawy społecznej, oddało dzieło na łaskę i niełaskę Rosyi, raczej jej urzędniczej kasty. Jak wobec najazdu Nabukodonozora żydzi pospieszyli ogłosić wolność niewolników, tak Rząd Narodowy orzekł usamowolnienie włościan z wybuchem powstania; jak tu tak i tam ani praktycznego ani moralnego nie osiągnięto skutku. Zapóźno i zawcześnie! Usamowolnienie włościan z polskiej strony pozostało martwą literą i wskazało, pozostawiło Rosyi wolne pole do załatwienia sprawy w wrogich celach z ujmą społeczeństwa i majątku polskiego“ (str. 162).

Wiele prawdy w tem i wiele też nieprawdy, i wielka jak zawsze u autora jednostronność w ocenianiu przyczyn pewnych wydarzeń i w przewidywaniu ich możliwych na przyszłość następstw.

Przypominamy: Na lat kilka przed powstaniem szlachta polska rozpoczęła robotę około usamowolnienia włościan. Od niej poszła ta rzecz na Rosyę — wszak sam car ją za to pochwalił i za wzór szlachcie rosyjskiej podał. Kwestya włościańska stała się jednym z głównych fermentów ruchu ówczesnego w Polsce i w Rosyi. Towarzystwo rolnicze nabywa prawo omawiania tej sprawy, staje się przez to jedyną wówczas możliwą reprezentacją legalną, która mogła imieniem społeczeństwa polskiego włościanstwu polskiemu dać wolność i własność. Tę jedyną ku temu sposobną reprezentację margrabia Wielopolski pozbawia życia. Odtąd już tylko dwie były drogi do rozwiązania sprawy włościańskiej: albo rozwiązana będzie na drodze tak zwanej legalnej, a wtedy przeprowadza to wyłącznie sam rząd rosyjski, i włościanin otrzymuje wolność i własność zawsze tylko z rąk cara, bez względu, czy wykonawca nazywa się Wielopolski, czy Milutyn — albo sprawa idzie na drogę rewolucyjną i bierze ją w ręce rewolucyjny rząd polski. Nastąpił faktycznie ten drugi wypadek — wszakże tylko teoretycznie, tylko w manifeście, bez możności praktycznego urzęczywistnienia. Upadek powstania sprawia, iż rzecz wraca do tego samego punktu, na którym ją postawił Wielopolski przez rozwiązanie Towarzystwa rolniczego, t. j. sprawa powraca znowu do rąk samego tylko rządu rosyjskiego. Temu więc faktowi, że sprawę włościańską załatwiła Rosya bez jawnego udziału polskiego społeczeństwa, nie powstanie winno, ale margrabia. Skutkiem zaś słabości i upadku powstania, skutkiem rzeczywiście bardzo ujemnym, było, że faktycznie i niby legalnie sprawa została załatwiona w taki sposób, jak się to stało — że carat mszcząc się za powstanie, załatwiał ją w celach wrogich i w sposób wrogi dla polskości, i że przez to chwilowo utrudnił ekonomiczne od-

rodzenie znękanego Królestwa. Skutkiem tego też, stan przejściowy, stan pewnego przesilenia, nieodłączny od tego rodzaju przemian, trwa dłużej i jest przykrzejszy, aniżeli był w razie, gdyby sprawa była przeprowadzona bez wrogich dla społeczeństwa polskiego zamiarów. Ale jest to tylko stan przejściowy. Im bardziej włościanin wzrasta w zamożność i oświatę, a mimo wszelkich przeszkód oświata niewątpliwie wzmaga się — tembardziej uzasadniona jest nadzieja, że milionowa ludność włościańska zasili zastępy wyznawców polskiego patriotyzmu nawet tam, gdzie ona wolność i własność wzięła z rąk cara rosyjskiego. Rosya tylko siłą i przemocą panować umie — umysłami i sercami władać nie potrafi. Chłop polski im jaśniej widzi, tem bardziej od niej odwracać się będzie. To też pomimo, iż sposób rozwiązania sprawy włościańskiej przez rząd rosyjski chwilowo wiele krzywdy społeczeństwu polskiemu wyrządził — musimy ruchowi polskiemu, którego ostatnim wyrazem było powstanie, poczytać to za wielką dziejową zasługę, iż przyspieszył usamowolnienie i uwłaszczenie włościan. Jeżeli zatem autor dzieła, o którym mowa, sprawę włościańską zalicza do szkodliwych następstw powstania — to może on mieć pozorną słuszość w oczach tych, którzy w sprawach narodowych i społecznych mierzą wszystko na krótkie okresy, oceniają według bezpośrednich, chwilowych następstw. Przyszłość zadać musi kłam tym puszczykom, którzy w czasowych kłeskach widzą już zniszczenie.

III.

Zaznaczając u wstępu rozdziału XI, że powstanie 1863 roku było ostatnią sceną ostatniego aktu dramatu Polski, usiłującej odzyskać niepodległość — autor powraca do tematu omówionego już w pierwszych dwóch tomach, to jest do błędów i win i „szaleństw“ całej epoki porozbiorowej. Twierdzi więc, że główna wina

było dążenie do niepodległości, natomiast zaś należało szukać owej drogi pośredniej, o której była mowa w tomie drugim, to jest ażeby przez „rzetelne kompromisy“ — przez „zbliżenie się szczerze i uznanie istniejącego w ziemiach polskich porządku rzeczy“ znaleźć rękojmię dla bytu narodowego. Ten według autora błąd, trwania wiernego przy idei niepodległości, popełniały oba kierunki, oba systemy polityczne, jakie się w porozbiorowych dziejach objawiły. Te dwa systemy, to z jednej strony „usiłowania odzyskania niepodległości bez zapewnienia sobie obcej pomocy“ — i „usiłowania, które jedynie na obcą pomoc i z tą pomocą liczyły się“ (str. 304). Gdy jednak według autora i ci, którzy chcieli o własnej sile wywalczyć niepodległość, także opierali się o nadzieję jakiejś źle określonej obcej pomocy, czy to obcego mocarstwa, czy rewolucyi powszechnej, czy przewrotów w Rosyi, przeto ostatecznie formuluje autor te dwa systemy tak, że „jedni pragnęli za pewnić sobie obcą pomoc, drudzy chcieli ją dorywczem działaniem i powstaniem zbrojnymi wywołać. Te dwa dopiero systemy odróżniają wyraźnie w dziejach porozbiorowych obóz zachowawczy od demagogicznego“ (str. 304). Autor zapomina o drugiej jeszcze, a nie mniej ważnej różnicy kierunków, a mianowicie, że gdy jedni chcieli stosunki wewnętrzne, społeczne, zatrzymać na tym punkcie, na którym je zostawiła upadająca Rzeczpospolita, gdy zamierzonych reform przeprowadzić już nie mogła — drudzy chcieli w ustroju demokratycznym narodu polskiego znaleźć nowe siły do państwowego odrodzenia. Ta różnica snuje się przez całe dzieje porozbiorowe bardzo stanowczo i bardzo wyraźnie.

Wydawszy raz na zawsze nieodwołalny wyrok potępienia na stronnictwo, które demagogicznym nazywa, p. Koźmian obszernie się zastanawia nad zaletami i wadami drugiego, zachowawczego kierunku. Chwali go za to, że chciał robić zawsze, co w danych warunkach

było możliwem, że społeczeństwo chciał wprawiać do pracy, że zdobyczami, które na polu ekonomicznem, naukowem, cywilizacyjnem i etycznym zapewniał społeczeństwu, mógł rozszerzyć jego znaczenie i wpływ i sięgnąć po nowe dobra (str. 323). System ten „wytrwale przeprowadzony, wykluczał spiski i zbrojne powstania, wykluczał je, pomimo że nie wyzuwał się z nadziei odzyskania państwowego bytu“ (str. 326). On powinien był ubezwładnić system drugi, „oprzec się zgubnym praktykom, nieszczęsnym zapędom, próbom zabójczym“ był bowiem „wyborową mniejszością, której to było obowiązkiem dlatego, że gatunkowo była najcelniejsza, Lecz obowiązku tego nigdy nie spełniła“ (str. 327) — „ani mądrości, ani roztropności, ani sumienności, ani jedynie zbawczemu, bo rozumnemu patriotyzmowi nie zdołało pozostać wiernem“ to stronnictwo — „bo wychodziło z mylnego założenia możliwości odbudowania upadłego państwa polskiego i błędnego przekonania, że obca pomoc przyłoży do tego odbudowania skuteczną rękę“... bo i ono także „więcej ceniło niepewne widoki bytu państwowego, niż istotne warunki bytu narodowego“ (str. 329).

Mamy więc kwestyę postawioną zupełnie jasno: oba kierunki były błędne, ponieważ oba wychodziły z założenia, że odbudowanie państwa polskiego jest możliwem, a to założenie jest według p. Koźmiana mylnem. Zachowawca czy „demagog“ — zwolennik czekania na obcą pomoc, czy liczenia na własną tylko siłę — każdy błędzić musi, jeżeli wierzy w możliwość odzyskania niepodległego bytu Polski, bo ta możliwość nie istnieje. Cokolwiekby przedsięwzięli ludzie jednego czy drugiego kierunku, będą „jak wody dwóch rzek, płynących do jednego mora“ — do „morza nieszczęść i klęsk“. Z tego już żadna sztuka czy sztuczka nie wyinterpretuje tego, iż p. Koźmian jednak „tak źle nie myśli“, iż on nie chce zrzeczenia się idei niepodle-

głości tylko jej odłożenia na daleką przyszłość — nie: on bez osłony, najkategoryczniej dowodzi swemu narodowi, iż odzyskanie niepodległego bytu jest niemożliwym. Zrozumiał to zupełnie dobrze feletonista „*Neue Fr. Presse*“, gdy jeden ze swoich feletonów o książce p. Koźmiana zaczął od słów, iż margrabia Wielopolski był pierwszym w Polsce człowiekiem, który miał odwagę wypowiedzieć, że odbudowanie państwa polskiego jest niepodobieństwem — i kiedy książkę p. Koźmiana za tę samą odwagę chwali.

Tej zaś niemożności odzyskania bytu niepodległego dowodzi autor tem, że 1) własne siły ku temu starczyć nie mogą — 2) że według doświadczenia porobiorowego na obcą pomoc liczyć nie można, bo odbudowanie Polski nie jest interesem ani Europy zbiorowej, gdyby taka istniała, ani żadnego państwa z osobna. Jedno i drugie zaś opiera autor na wykretnej solisteryi i na zbyt pochopnem uwierzeniu w niemożliwość jakiegoś faktu dlatego, że on w obrębie stuletniego doświadczenia w Polsce się nie wydarzył.

Oto powiada, że „narod, który nie miał dość sił, aby zachować niepodległość, nie może ich mieć tyle, aby ją odzyskać, gdyż musiałyby ich mieć więcej, niż mu ich potrzeba było do pierwszego zadania, którego nie był w stanie spełnić. Aby zatem drugie rozwiązać, musi zastąpić te, na których mu zbywało, obcemi“ (str. 293). To rozumowanie byłoby w takim razie słusznem, gdyby siły narodowe były czynnikiem stałym, niezmiennym, niezdolnym do rozwoju i wzrostu; i gdyby ta niezmienna, stała suma sił składała się tylko z czynników materialnych, a nie wchodziły w nią elementy moralne bardzo wysokiego znaczenia, jak patryotyczna cnota i rozum, które mogą albo większą albo mniejszą sumę sił materialnych rzucić na szalę, mogą jej użyć lepiej lub gorzej. Jeżeli przypuścimy nawet niezmienną sumę sił narodu, to chcąc rzecz według formułki p. Koźmiana rozstrzygnąć, musielibyśmy przede-

wszystkiem orzec, czy wówczas, gdy naród nie spełnił swego zadania zachowania niepodległości, była rzuconą na szalę cała ta suma siły, jaką naród mógł rozporządzać, i czy ta suma sił była użyta rozumnie. A jeżeli odpowiedź na to pytanie wypadnie przecząco, w takim razie upada już owa formułka, bo już nie będzie szło o większą sumę sił, tylko o to, żeby ich użyć w większym stopniu i w rozumniejszy sposób.

Ale siła narodu, to nie jest czynnik niezmienny, niezdolny do wzrostu i rozwoju, przeciwnie ona nawet w warunkach tak trudnych, jakie stwarza czy to lżejsza czy cięższa niewola, rozwijać się i wzrastać może. Takie zatem mechaniczne rozwiązanie problemu, że ponieważ suma sił narodowych w roku 1794, którą nazwijmy n. p. A — nie wystarczyła na to, aby zachować niepodległość, to dla odzyskania tej niepodległości w roku powiedzmy 1904 potrzeba będzie siły $A+x$, a tem x jest obca pomoc — takie rozwiązanie jest fałszywe, bo siła narodu w roku 1904 może i powinna być już nie A — ale choćby $10 A$, a wtedy x może być zbyteczne. A jeżeli weźmiemy na uwagę, że owo A w roku 1794 było tylko częścią ówczesnej siły narodowej, tą jej częścią, którą ówczesny rozum i patriotyzm polski zużytkował, resztę pozostawiając bezczynną, i że w pewnym danym okresie ten rozum i ten patriotyzm może być znacznie większy, niż był wówczas, a zatem znacznie większą część danej siły może zużytkować i lepiej jej użyć — to już zupełnie formułka p. Koźmiana okazuje się błędną. A wreszcie idzie tu o siłę w głąb — t. j. w stosunku do sił przeciwników, czy przeciwnika. Jeżeli owo A nie wystarczyło na zachowanie bytu, to dlatego, że ono było mniejsze, niż n. p. B , t. j. mniejsze od siły przeciwnej. A nigdy nie jest wykluczonym wypadek, iż stosunek może w jakiejś danej chwili się odwrócić, i że B będzie ilością mniejszą, niż A . Wypadki takie widziano już w dziejach niejednokrotnie. Poteżne państwa, o organizacji

znakomitej, o sile wojskowej, której żadna inna sprostać nie mogła, rozpadały się w gruzy, a ich upadek stawał się oswobodzeniem i odrodzeniem dla tych, których potęga ta przygniatała. Miałażby tylko potęga Rosyi albo Prus być wieczną, niewzruszoną, taką, iż wyklucza możliwość zmiany stosunku sił na korzyść gnębionych?

Ale nie poprzestaje p. Koźmian na tem, że dla odzyskania niepodległości trzeba koniecznie własną siłę zastąpić, a raczej pomnożyć obcemi. On dowodzi, że w problemacie polskim ta obca pomoc jest wykluczona. A dowodzi tego okolicznością, o której mówiliśmy już w pierwszym rozdziale, — że według niego upadek Polski i brak Polski w systemie politycznym europejskim nikomu nie zrobił szkody, że świat idzie sobie „swoim trybem, ani szczęśliwszy ani nieszczęśliwszy, niż kiedy państwo polskie istniało“. Odpowiedzieliśmy już na to — zarówno jak i na drugie, wprost od wrogów Polski zapożyczone twierdzenie p. Koźmiana, że odbudowana Polska nie miałaby wewnętrznych warunków bytu. A jeżeli autor twierdzi, iż pokolenia porozbiorowe wierząc w europejską, światową potrzebę odbudowania Polski błędziły tem, że „prawdę historyozoficzną brały za polityczną“ (str. 297) — to odpowiemy mu, że prawda historyozoficzna, jeżeli nią jest istotnie, stać się musi prędzej czy później prawdą polityczną. Inaczej ona wcale prawdą nie była. Prawdą historyozoficzną jest idea narodowości — i stała się ona prawdą polityczną w Grecyi, we Włoszech, Węgrzech, w Czarnogórze, Rumunii, Serbii, Bułgaryi, w Niemczech — i tylko u wrót Polski zatrzymaćby się miała? A co do owego rzekomego braku warunków bytu dla niepodległej Polski — to czyż przykład takiej małej Bułgaryi, narodu do niedawna tak bardzo pod względem rozwoju sił i cywilizacyjnych warunków zacofanego, nie przekonał p. Koźmiana, jak wielkie moce budzą się nawet

w tak małym i słabym narodzie, gdy mu zdejmiesz okowy?

W całym tem rozumowaniu, iż siły narodowe nie mogą wystarczyć ani do odzyskania państwowego bytu, ani też do utrzymania go, gdyby był odzyskany, popępnia p. Koźmian zgodnie ze „szkołą“ ten błąd kardynalny, iż nie bierze w rachubę tego przyrostu sił narodowych, jaki wynika z wciągnięcia w narodowe i obywatelskie życie coraz szerszych warstw społecznych. Powiada autor o „szkole stańczykowskiej“, że mylnie poczytano ją za wsteczną w zasadach, upatrując „w niej plagię wszelkich reakcyj i konserwatywnych kierunków. Ani taki nie był jej cel, ani takim jej duch. Nie była ona ani arystokratyczną, ani demokratyczną, lecz narodową“ (str. 345). Ale to tylko ogólnikowe hasło, tylko frazes — bo zaraz o kilka kartek dalej czytamy, że „szkoła przedstawiając interesa nie kastowe, lecz narodowe, uznawała jedynie potrzebę utrzymania i wzmocnienia szlachty, nie widząc jeszcze w innych warstwach ani dość licznych żywiołów, ani dostatecznych rękojmi dla bytu narodowego. Utrzymania zaś jej i wzmocnienia nie przypuszczała, bez ujęcia przez nią i trzymania silną dłońią losów narodu“ (str. 354). A dalej: ponieważ szlachta od ostateczności strzedz się nie umiała, przeto „szkoła widziała konieczność przede wszystkim dla szlachty politycznego patriotyzmu, potrzebę, aby ona, przed innemi, w nim się kształciła i takowy w sobie wyrobiła. Do tego wychowania szlachty przyłożyły dzielnie rękę jednostki nieszlacheckie, które stały się dźwigniemi bytu narodowego; szkoła powitała je z zadowoleniem równem upragnieniu, z jakim ich oczekiwała“ (str. 355). Jest to nadzwyczaj charakterystyczne. Naprzód rzuca się ogółowi frazes, że „szkoła“, której dążenia wyjawia i tłumaczy p. Koźmian, nie jest arystokratyczną —

potem jednak powiada się, iż ta szkoła nie widzi w innych warstwach społecznych dość licznych żywiołów ani dość rękoi dla utrzymania bytu narodowego. A przecież w tych innych, to jest nieszlacheckich warstwach, już konstytucya trzeciego maja widziała i dość liczne żywioły i dostateczne rękoi do utrzymania bytu narodowego, inaczej bowiem nie byłaby sama sobie stwarzała tych wielkich trudności, z jakimi w narodzie szlacheckim połączonem być musiało dopuszczenie mieszczaństwa od razu, a włościaństwa stopniowo do życia i praw obywatelskich.

Jeżeli to uczyniła, to tylko dlatego, że w tych warstwach upatrywała siłę odrodzenia, żywioł ku wzmocnieniu bytu narodowego przydatny i dostateczny. A od tego czasu — czyż się nie postąpiło? Czyż mieszczaństwo nie wydało z siebie bardzo licznych i coraz liczniejszych zastępów, które sprawie narodowej wiernie a skutecznie służą? Czyż w naszym włościaństwie nie widzicie coraz silniej budzącego się ducha obywatelskiego? I czy niewątpliwy postęp oświaty nie jest wam rękoią, że ten proces uobywatelenia szeroki warstw ludności coraz większe czynić musi postępy?

Z tego błędu zasadniczego, z tego arystokratycznego (choć się tego miana wypieracie) i szlacheckiego uprzedzenia przeciwko innym warstwom — płyną w logicznem następstwie dwa dalsze wielkie błędy wasze: niewiara w siły narodowe i w możność odrodzenia państwowego — i stateczne dążenie do tego, aby szlachta ujęła i trzymała „silną dłoń” losy narodu. Te dwa błędy wykopały przepaść między wami a patryotycznie i postępowo myślącą społecznością polską, która nie może się zgodzić ani na zrzeczenie się wyższych aspiracyj narodowych, ani na ekskluzywność szlachecką, z jaką od udziału w życiu narodowem i w kierowaniu losami narodu odtrącaacie inne warstwy społeczne. A nie ratuje was bynajmniej od tego za-

rzutu dalszy ustęp przytoczonej wyżej argumentacji p. Koźmiana, w którym autor imieniem „szkoły“ wita z zadowoleniem te „nieszlacheckie jednostki“ które przyłożyły rękę do „wychowania szlachty“ w politycznym patryotyzmie i stały się dźwigniami bytu narodowego. Boć wiadomo z całej książki p. Koźmiana, że ten „polityczny patryotyzm“, to jest w waszem pojęciu tylko ten patryotyzm, jakiego szkoła uczy, polegający na zrzeczeniu się praw — i że ten „byt narodowy“, to jest według was tylko naturalna egzystencja narodu bez praw politycznych. Z tego zaś logicznie wynika, że w pojęciu p. Koźmiana tylko te „nieszlacheckie“ jednostki mają prawo do udziału w życiu publicznem, które chodzą na waszym pasku i służą waszym celom. P. Koźmian więc nie tylko nie obronił szkoły od zarzutu więcej arystokratycznego niż narodowego kierunku, lecz stwierdził raczej szlachecką jej wyłączność, a zarazem potwierdza zarzut koteryjności, gdy z nieszlacheckich żywiołów te tylko uznawać raczy, które wiernie służą szkole i stronnictwu.

Powiedzieliśmy, że i w tym tomie trzecim, autor powtarza się często, powracając do przedmiotów, o których mówił poprzednio. Rozbiera też ponownie omawiany już w tomie drugim stosunek idei niepodległości do sprawy utrzymania bytu narodowego. A gdy go spotkał z kilku stron zarzut, że pojęcia „bytu narodowego“ nie określił dokładniej i nie ustalił go, przeto w trzecim tomie powiada, co przez byt narodowy rozumieć każe.

Otóż byt narodowy polega według autora (str. 346 i 347):

1) „na posiadaniu ziemi przez Polaków, oraz na zamożności we wszystkich klermnkach całego społeczeństwa“ —

2) na moralności ogólnej, która nie może się obejść bez podstawy religijnej, zatem na religii; a gdy katolicyzm zrosł się z historią, obyczajami

i istotą narodu, przeto na katolicyzmie — on też musi pozostać główną podstawą bytu narodowego polskiego, najpierwszym i najpotężniejszym czynnikiem, którego pod grozą zaprzepaszczenia bytu narodowego opuszczać nie można, „frymarczyć nim nie wolno“ bo religia, „jeżeli ma pozostać siłą istotną, do żadnych, prócz własnych celów, używana być nie może“ —

3) na języku, literaturze i piśmiennictwie —

4) na obyczaju polskim, tradycji i historii.

Te są tedy czynniki bytu narodowego. „Oczywiście muszą być i są różne stopnie bytu narodowego“ a chociaż im bardziej ten byt przybiera formy, do niepodległości zbliżone, tem staje się silniejszym, to jednak z drugiej strony „w warunkach najbardziej od niepodległości różnych i oddalonych, istnieć i kwitnąć może“.

To wyjaśnienie, jakie daje p. Koźmian w trzecim tomie, w niczem nie zmienia stanu dyskusji, nie osłabia zarzutów, jakieśmy poczynili, mówiąc poprzednio o drugim tomie. Znajdujemy tu potwierdzenie tego, co się tam powiedziało, że pojęcie bytu narodowego jest u autora zupełnie oderwane od politycznych kształtów, skoro ten byt nawet „kwitnąć może“ w warunkach, najbardziej od niepodległości różnych i oddalonych. A po stwierdzeniu tego nie możemy ani osłabić, ani usunąć zarzutu, że teoria, która ideę bytu państwowego usuwa dla programu utrzymania tak pojętego bytu narodowego, i która dla utrzymania czynników tego bytu zrzucać się każe prawa narodu do bytu politycznego, do państwowej niepodległości — prowadzić musi do zmateryalizowania społeczeństwa „bo — powiedzieliśmy — każda polska jednostka jest tego narodowego bytu czynnikiem i konserwując siebie przedewszystkiem, jeszczeby się chełpić mogła, że spełnia obywatelski, patryotyczny obowiązek“.

Chcąc jednak swoją teorię podać w formie mniej wstrętnej — p. Koźmian spala wonne kadzidło na ołtarzu idei niepodległości — wszakże tylko w tym celu, aby zaraz potem tę ideę jako szkodliwą w kąć rzucić.

Pisze więc bardzo pięknie:

„Wielka i wzniosła myśl, cel szczytny i najpiękniejszy, posiadają same przez się siłę niezwykłą, potęgą usiłowania i nadludzkich poświęceń oraz ofiar stają się sprężyną. Najwznioślejszy cel narodu, który stracił niepodległość, odzyskanie takowej, ma niezawodnie tę moc, która tem samem udziela się w życiu codziennem pracy i usiłowaniom około bytu narodowego. Pozbawienie takowej społeczeństwa jest więc osłabieniem jego bytu narodowego; pozbawienie jest próbą niebezpieczną, która naraża ten byt na szkodę; to, co najwznioślejsze i najpiękniejsze, nie da się zastąpić czemś mniej wzniosłym i mniej pięknym; posład nie wyrówna celnemu zbożu. Wiadomem jest i dzieje ucza, jakich wielkich czynów twórcami są wielkie przedsięwzięcia. Niezawodnie, że łatwiej i silniej przemawiać musiała do uczuć i wyobraźni narodu polskiego niepodległa Polska od morza do morza, niż wojskowe parady na Saskim placu, Towarzystwo kredytowe lub Szkoła Główna i Rada Stanu, — a tem samem spajać lepiej i silniej całe społeczeństwo w jednej myśli, w jednym celu narodowym i w stałości. Stąd też powstać może niebezpieczeństwo, że w braku tej spójni i tej dźwigni, społeczeństwo rozluźnić i rozprężyćby się mogło, i że byt narodowy tem spieszniejby upadł i w samym narodzie i przez sam naród zaginałby. Słowem nie podobna na gruncie rzeczywistym, praktycznym, pozytywnym i wyłączenie politycznym zapoznawać ani użyteczności, ani mocy idei niepodległości, chociażby ta nawet nigdy odzyskaną nie była, dla bytu narodowego ani zakry-

wać przed sobą grozy dla tegoż bytu, za-
przepaszczenia tej idei“ (str. 337).

Po tych prawdziwie pięknych wyrazach — zda-
wałoby się, że w sumieniu, w przekonaniu autora idea
niepodległości odniosła zwycięstwo i że już nie nastąpi
żadne „ale“, któreby ją osłabiło lub zgoła odrzucić ka-
zało. Autor wszakże robi zaraz wzrot wstecz. Powie-
dziawszy, że nie można zapoznawać ani mocy, ani uży-
teczności idei niepodległości — w następnym ustępie
powiada, iż tę użyteczność i moc oraz niebezpieczeń-
stwo wyzucia się z niej, trzeba z m i e r z y ć — a to
„zmierzenie“ odbywa się w ten sposób, iż w kilku-
nastu wierszach powtarza to, co już mówił w drugim
tomie o potrzebie wyrzeczenia się tej idei:

„Wobec doświadczeń historii, wobec wyjątkowego
położenia, stworzonego rozbiorami, wobec właściwości
charakteru narodowego, wobec wszystkiego, nad czem
powyżej zastanawialiśmy się i co nam przyszło zapisać,
wobec następstw ostatniej klęski, która była syntezą
i zespoliła w sobie całą epokę naszych porozbiorowych
dziejów; właśnie na gruncie rzeczywistości, pozytywnej
i praktycznej polityki, dochodzi się po ścisłym
obliczeniu do konkluzji, że owa użyte-
czność przemieniła się w szkodę, że owa
moc stała się słabością, bo byt narodowy nie-
tylko nierównie więcej strat niż korzyści za ich przy-
czyną poniósł, ale zagrożonym został w swej treści
i istocie tak dalece, że cel stał się samego siebie,
bo własnego niezbędnego warunku, to jest bytu na-
rodowego, zniszczeniem.

„Wystarczałoby to, aby przekonać, że niebez-
pieczeństwo wyzucia się z owej użyteczno-
ści i mocy mniejszem jest niż to, któ-
re pociąga za sobą zachowanie tako-
wych“ (str. 337 i 338).

Jest więc rzecz postawiona tak samo, jak w tomie
drugim — i wszystko, cośmy w tym przedmiocie po-

wiedzieli w uwagach nad drugim tomem, odnosi się i tutaj. Żaden z naszych argumentów osłabionym, ani odpartym nie został, Autor sam jednak czuje słabość swego stanowiska, sam czuje, jak dalece niebezpiecznym jest to, co narodowi doradza — pisze bowiem:

„Gdyby zaś odtrącenie tego, co doświadczenie i rozumowanie wykazało, że dlań (dla bytu narodowego) jest szkodliwym, miało pociągnąć za sobą zaprzepaszczenie myśli narodowej, patryotyzmu i stałości w nim, gdyby w skutku tego pęknąć miała sprężyna, to znowu w inny sposób naród polski zgotowałaby sobie nie koniec, ale hańbiące, godne pośmiewiska, najnędzniejsze istnienie“ (str. 339).

Otóż właśnie dlatego, że jako zupełnie pozytywne i konieczne niebezpieczeństwo przewidujemy to, co w powyższym ustępie autor możliwym uznaje, że w naszym najsilniejszym, najsumienniejszym przekonaniu wyrzeczenie się wyższego celu aspiracyj narodowych, wyparcie się i zaniechanie idei niepodległości, wydarcie z piersi nadziei odrodzenia — musiałoby za sobą pociągnąć „zaprzepaszczenie myśli narodowej, patryotyzmu i stałości w nim“ — właśnie dlatego nie możemy nigdy zgodzić się na koźmianowski program. Nie wierzymy w patryotyzm polski, jeśli on nie jest natchniony tą idea, której się p. Koźmian wyprzeć każe — nie wierzymy w możliwość i użyteczność trzech patryotyzmów polskich, do których program pana Koźmiana z konieczności prowadzi — nie wierzymy, aby w warunkach, owemi trzema patryotyzmami stworzonych, duch polski zdobył się na jakąkolwiek twórczość w dziedzinie cywilizacyjnej, ażeby charakter polski nie złamał się i mógł się zdobyć na taką sumę ofiarnej pracy, jakiej wymaga samo nawet utrzymanie bytu narodowego w trudnych nad wyraz stosunkach, stworzonych przez rozbiory i przez straszny ucisk rosyjski i pruski. Nie jest prawdą, jakoby doświadczenie historii miało już

nieodwołalnie udowodnić, że wszelkie dążenie do niepodległości marnem jest, jako dążenie do osiągnięcia celu niemożliwego. To doświadczenie bowiem dowodzi tylko, że były popełniane wielkie błędy w wykonaniu, a błędów uniknąć można, dowodzi, że do tych własnych naszych błędów przyłączały się różne niekorzystne zewnętrzne okoliczności — a te przecież niekoniecznie muszą zawsze być niekorzystnymi. Nie jest prawda, która rzekomo ma być oparta na „ściśm obliczeniu“, jakoby użyteczność idei niepodległości musiała zawsze przemieniać się w szkodę, a jej moc stawać się słabością — bo ściśm obliczenie sił i czynników bytu narodowego wykazuje, że mimo strasznych klęsk, jakie na nas po każdej walce spadały. my dziś silniejsi, niż byliśmy w czasach rozbiorów. A jeżeli autor powiada kilkakrotnie, i uporczywie do tego wyrażenia powraca, że dążenie do niepodległości było zniszczeniem bytu narodowego, że cel t. j. owa idea, niszczył sam siebie, bo niszczył własny niezbędny warunek, t. j. byt narodowy — to jest w tem świadoma przesada, a na tej przesadzie opiera się całe rozumowanie. Jest przesada, bo wprawdzie niezaprzeczoną jest rzeczą, iż dotąd każde usiłowanie odzyskania niepodległości z bronią w rękę kończyło się klęską i zadawało ciężkie rany społeczności polskiej, ale klęska, to jeszcze nie zniszczenie, a rana, to jeszcze nie śmierć — i dotychczas nie brakło nam jeszcze tej siły odradzania się, która nam dozwalała klęski przeboleć, skutki ich naprawić, a rany zagoić.

Autor, który twierdzi, że swoje rzekome prawdy opiera na „ściśm obliczeniu“ — nie oblicza jednej rzeczy: co byłoby się stało z naszym narodowym charakterem, z naszym patryotyzmem, z duchową i etyczną stroną naszego bytu narodowego, gdyby nie owe usiłowania, za którymi poszły chwilowe klęski, przez autora zniszczeniem nazwane. W tej kwestyi wszelkie „obliczenia“ zawodzą — możliwe są tylko hipotezy i przy-

puszczenia. Ale wszelkie prawdopodobieństwo, na znajomości natury ludzkiej, a szczególnie polskiej oparte, przemawia za tem, że ów „byt“, pozbawiony dążenia do niepodległości, byłby się w zgniliznę i strupieszenie zamienił. Bylibyśmy dzieje nasze polityczne zamknęli na Targowicy, na okresie wielkiego zepsucia charakteru i zamarcia cnót obywatelskich; bylibyśmy dla narodowej tradycji stracili dramat kościuszkowski i cały porozbiorowy okres wielkich poświęceń, wielkiej ofiarności i patriotyzmu, stracili zatem potężny czynnik moralny dla bytu narodowego i etyczny czynnik wychowawczy dla przyszłych pokoleń; bylibyśmy dobrowolnie się pozbawili najobfitszego i najpiękniejszego źródła natchnień dla naszej poezji, literatury i sztuki, któremu głównie zawdzięczamy, iż pomimo upadku państwowego nasze umysłowe i cywilizacyjne życie nie tylko nie doznało przerwy, ale przeciwnie rozwinęło się i spotężniało. Czy te czynniki duchowe byłyby się mogły rozwinąć wśród tych warunków, jakieby dała polityka „trzech lojalności“, polityka kompromisów i „szczerego pogodzenia się z istniejącym porządkiem rzeczy“, polityka, otwierająca szerokie wrota zubożeniu, egoizmowi, służalstwu nawet, okrywajacemu się pozorami służenia idei „bytu narodowego“, bez bytu państwowego, bez kształtów odrębności politycznej? — na te pytania odpowiedź dla nas jest niewątpliwą. Daje nam ją sam p. Koźmian w wyrazach, że naród polski zgotowałby sobie nie koniec, ale „hańbiące, godne pośmiewiska, najnędniejsze istnienie“.

P. Koźmian stara się natchnąć czytelnika zapałem do owej idei bytu narodowego bez względu na polityczne kształty, przedstawiając w jaskrawych i przesadnych barwach jej podniosłość:

„Nie forma przecież zadania stanowi jego wzniosłość i piękność, ale jego treść i duch, nie pierwsza, ale drugie nadają mu tę moc, którą ono zdolne udzielić społeczeństwu. Nie mogąc być pań-

*

stwem, pozostać narodem jest — w treści i duchu, także zadaniem pięknem i wzniosłem“ (str. 338). Rzecz dziwna jednak, że dotychczas jeszcze żaden naród tego tak nie pojmował, ale każdy dążył do tego, aby tej swojej treści, temu duchowi nadać formę państwową — zapewne dlatego, iż w świecie ludzkim jakoś dotąd jeszcze nie znalazł się sposób, ażeby żyć jakąś treścią oderwaną od formy i jakimś duchem nie mogącym w formie znaleźć przybytku i wyrazu. Prawdopodobnie dlatego także, że dla tej sumy czynników, które nazywamy narodową właściwością i odrębnością, narodowym życiem i duchem narodowym, jedynym zabezpieczeniem i jedyną dotychczas możliwością wyrażenia się na zewnątrz i stałego rozwijania się w sobie, są kształty państwowe. Do nich więc dążyły dotąd wszystkie narody, które żyły cywilizacyjnym życiem — dla ich odzyskania czyniły największe wysiłki te narody, które je utraciły: Grecy, południowi Słowianie, Włosi, Węgrzy, Niemcy. Dopiero p. Koźmian wynalazł i swojemu narodowi ku zbawieniu podaje formułkę, że życie państwowe to tylko forma, bez której „treść i duch“ obejść się mogą.

Popada też w jaskrawą niekonsekwencyę, gdy powiada — że „trudniej jest ocaleć jako naród, niż jako państwo, trudniej być narodem, jak państwem“ (str. 338). Nie będziemy się zastanawiali nad uzasadnieniem tego dziwnego paradoksu. Poprzestaniemy na zaznaczeniu, że tem jednym zdaniem autor obala całe swoje poprzednie rozumowanie. To rozumowanie było takie: Nie mieliśmy dość sił do zachowania bytu państwowego, *ergo* nie mamy ich dosyć do jego odzyskania, skoro został utracony. Ci więc, co dążyli do odzyskania bytu państwowego, błędzili w tem, że chcieli rzeczy niemożliwej a powinni byli poprzestać na ocaleniu bytu narodowego. A doszedłszy do tej konkluzji, powiada nam autor teraz, że trudniej jest ocaleć jako naród, niż

jako państwo! A skoro tak — to jakimże cudem można dokonać czegoś, co jest jeszcze trudniejszym niż to, co autor niemożliwem uznał?

I znowu w dalszą autor popada niekonsekwencyę, gdy pisze:

„Nie patryotyzm porozbiorowy był błędnym, zgubnym, godnym potępienia, ale mylnie, nieraz grzeszne jego użycie i praktyki; nie istota rzeczy była bezrozumem, ale forma wadliwą, spożytkowanie nielitościwie niepolitycznem — bo nie umiejącem mierzyć celu środkami i wykluczającem w sztuce wyboru dróg, tychże rozmaitość“ (str. 340).

Prawie by nas te słowa pogodzić mogły z panem Koźmianem, gdyby nie jawna sprzeczność tego ustępu z treścią i dążnością całej książki. Bo na czemże polegał patryotyzm porozbiorowy, co było jego istotą? Oczywiście nic innego, a przedewszystkiem nic mniejszego, jak tylko dążenie do niepodległości. To było przecież celem, treścią, istotą, jedynem natchnieniem całego porozbiorowego patryotyzmu; to było pobudką wszystkich działań, z tego patryotyzmu wynikłych; z tej myśli powstały te wszystkie czynniki duchowe, które wytworzyły patryotyzm porozbiorowy. Ona i źródłem jego była, i jego istotę całą wypełniała, i urzeczywistnienie jej było tym wielkim celem, do którego on dążył. Bez tej myśli patryotyzm polski nie byłby tym i takim, jakim był. Jeżeli tedy autor w powyżej przytoczonym ustępie twierdzi, że nie istota tego patryotyzmu była błędna, bezrozumna, zgubną — to jakże to się da pogodzić z tylokrotnie wypowiedzianem zdaniem, że pokolenia porozbiorowe błędziły tem, iż dążyły do niepodległości, bo dążąc do niej, chciały rzeczy niemożliwej? Że w wykonaniu, w zastosowaniu, w praktyce politycznej były popełniane błędy — na to zupełna z autorem zgoda, chociaż my inne niż autor widzimy błędy wykonania. I w tem też zgadzamy się z autorem, że wykluczenie rozmaitości dróg

uznaje on błędnem i zgubnem. Według nas, naród który utracił niepodległość, nie powinien, nie może wykluczać żadnej drogi, żadnego środka działania, aby ją odzyskać. On powinien — jak to mawiał Bismark — w swoim arsenale politycznym mieć zawsze wszystkie rodzaje broni, ażeby w danym razie użyć tej, która właśnie jest najlepszą. Ale zwraca się to przeciw autorowi, jako ciężka z jego strony niekonsekwencja. On bowiem właśnie wyklucza różnorodność dróg, a zna tylko jedną: kompromisy z istniejącym porządkiem rzeczy — on z politycznego arsenału narodu wyrzuca wszelkie bronie, zatrzymując jedną tylko: wierną służbę każdemu z trzech rządów — on stara się do każdego innego środka i do każdej innej broni obudzić w narodzie wstręt i pogardę, niepomy, coby się stało, gdyby nadeszła pora użycia której z tych przez niego odrzuconych i potępionych broni i gdyby pokolenie polskie wychowane pod wpływem doktryny autora, broni tej użyć nie chciało i nie umiało wówczas, kiedy ona jedynie byłaby zbawczą!

To też gdyby autor pamiętał zawsze o tem, iż wykluczenie różnorodności dróg jest zgubnem i że narodowi trzeba zawsze zachować „woľność wyboru dróg“, nie byłby zapewne pisał trzytomowego dzieła pod hasłem zarzucenia idei niepodległości dla ratowania bytu narodowego, od politycznych kształtów niezależnego — nie byłby też dla wykonania tego programu podał następującej recepty:

„Środkiem najdoskonalszym znalezienia pod panowaniem obcym warunków najkorzystniejszych dla bytu narodowego, zarazem najdzielniejszym zwalczania anarchii, uznania szkoła porozumienie z istniejącym porządkiem rzeczy, uznanie i wspieranie władzy, lojalne skupienie się koło tronu i szukanie u niego opieki dla swoich przyrodzonych praw, uczciwe współdziałanie w interesie państwa,

po zespoleniu z takowem praw i potrzeb bytu narodowego“ (str. 356).

Oto program! Dla narodu podbitego, ale który cały przez jedno państwo z całym ziemi swej obszarem zagarnięty został, program taki na jakiś czas mógłby wystarczyć — nigdy na zawsze, na całą przyszłość, nigdy jako cel, zawsze jako czasowy środek. Ale dla narodu, który nie tylko byt państwowy na rzecz obcych utracił, lecz zarazem został na trzy części rozdarty, i w trzy różne organizacje państwowe wcielony — jest taki program wręcz destrukcyjny. On stwarza trzy rodzaje, trzy kierunki patryotyzmu dla jednego narodu, skoro każe w każdym z tych trzech państw uczciwie współdziałać w interesie państwa, w każdym uznać i wspierać władzę. On więc w ten sposób rozrywa najzupełniej jedność narodową, która nie na samej przecież wspólnej mowie i wspólnem piśmiennictwie i wspólnych dziejowych wspomnieniach polega, ale ponadto i przede wszystkim na wspólności politycznych dążeń i aspiracyj. Rozerwanie tej wspólności — gdyby było możliwem — byłoby zerwaniem narodowej jedności. Jeżeli zaś między interesami politycznymi tych trzech państw zachodzą sprzeczności i antagonizmy, wówczas tem jaskrawiej występuje na jaw owo zerwanie politycznej jedności narodu. Docho-
dzi się wtedy do tej prawdziwie przerażającej, monstrualnej konsekwencji, że Polacy, którzyby, według recepty p. Koźmiana, uczciwie współdziałali w interesie każdego z tych państw i „lojalnie skupili się około tronu“ — musieliby działać wrogo jedni przeciw drugim, wzajemnie jedni drugich działalność paraliżować; — musieliby — w chwili jakiegoś wielkiego dziejowego rozstrzygnięcia — całemi zastępami stawać piers przeciw piersi, broczyć w krwi bratniej, nie jako nieszczęśliwi niewolnicy przymusem na tę straszną bratobójczą walkę gnani — ale dobrowolnie, ochoczo spełniając obowiązek „uczciwego współdziała-

nia w interesie państwa“, obowiązek „lojalnego skupienia się koło tronu“.

Program trzech lojalności — jest programem samobójstwa i destrukcyi.

IV.

Przystępujemy do ostatniej części naszego zadania, do uwag nad tem, co p. Koźmian pisze „o szkole stańczykowskiej“.

Czytelnik pamięta, jak autor przedstawił nam skutki styczniowego powstania. Zostało po niem tylko zniszczenie. Została pustka. Przerwana praca naukowa, zatrzymana w rozkwicie literatura, spłoszona sztuka, uniemożliwiona naprawa społeczną, zatracone życie polityczne. Słowem: nicość!

Ale opatrność czuwała. Bo oto „na wiosnę 1866 roku Stanisław Tarnowski, wyszedłszy z więzienia¹⁾, spotkał na rynku krakowskim piszącego tę rzecz“ (t. j. p. Koźmiana) i tam, na rynku, uradzili wydawać „Przeгляд Polski“. I w wytworzonej przez to pismo szkole, i w ugrupowanem koło szkoły stronnictwie zeszło Polsce zbawienie.

Powstanie zostawiło w Polsce pustynię i ciemność, przyszedł p. Koźmian z towarzyszami i powiedzieli „stań się światło“ — i światło się stało — i tchnęli na pustynię i wnet zazieleniła się bujną roślinnością! Oni wytworzyli obok szkoły, stronnictwo stańczykowskie, to zaś sprawiło, „że w chwili pogromu, że po klęsce, zamiast zwykłego upadku ducha i apatyi, zawrzało na wszystkich polach i we wszystkich kierunkach

¹⁾ Stanisław Tarnowski wyszedł z więzienia nie na wiosnę 1866 roku, ale we wrześniu roku 1865, na skutek osobnego, wraz z kilku towarzyszami uzyskanego ulaskawienia. Reszta skazańców opuściła więzienie za ogólną amnestją 20-go listopada 1865 r. (*Przyp. autora*).

w jednej części Polski życie, podjętą została praca, zajaśniały talenta i zdolności, powstało piśmiennictwo polityczne, nauka na nowe weszła tory, sztuki piękne ogólne budziły zajęcie, zagajać się zaczęły rany społeczne, dobrobyt otoczyła czujna troska, i nastąpiła znacząca nie bez zasług a nawet pewnej świetności era; ukazali się ludzie, którzy czy w kraju, czy to w państwie zaszczytne, wytyczne nawet zajęli stanowiska, a w monarchii ustalili wpływ polski w sposób niepospolity". To wszystko zdziałano stronnictwo stańczykowskie, a kto temu nie wierzy, niech to sobie przeczyta na str. 374 trzeciego tomu „Rzeczy“ pana Koźmiana — „Rzeczy“ nie o roku 1863, ale o p. Koźmianie i jego przyjaciółach politycznych.

Wątpimy, by gdziekolwiek indziej ktokolwiek pozwolił sobie tak śmiało drwić z czytającej publiczności. Więc się naprzód pisze nieprawdę, że powstanie szkoły sztuki, ażeby potem napisać drugą nieprawdę, że tę sztukę rozbudziła „szkoła stańczykowska“ — pisze się, że literatura i nauka zamarła, co także jest nieprawdą, ażeby potem mózdz napisać, że p. Koźmian i towarzysze tę literaturę i naukę z upadku dźwignęli; pisze się, że była „pustka moralna i materyalna“ — ażeby potem napisać, że za sprawą szkoły stańczykowskiej i stronnictwa, raptem, jakby za dotknięciem czarodziej-skiej różdżki, zawrzało życie, zajaśniały talenta, ukazali się ludzie, podniósł się dobrobyt!

Cóż dopiero mówić o politycznym działaniu szkoły i stronnictwa! „Grono krakowskie“ wytworzyło szkołę „politycznego patryotyzmu“, szkoła przecięła nić szkodliwego patryotyzmu. Ona to zrobiła wynalazek, że przyczyną wszystkiego złego w Polsce porozbiorowej była anarchia, rozpoczęła więc walkę z wszelką anarchią a dodajmy: nawet z urojoną. Szkoła wykazała nietylko możliwość, ale konieczność istnienia jako naród, chociaż nie w kształcie państwowym i szczerego zadowo-

lenia się bytem narodowym bez państwowego; ona zaczęła wyrabiać w Polsce cnotę odwagi cywilnej — ona wreszcie umożliwiła i wytworzyła dobre stosunki galicyjsko-austryackie.

To wszystko zrobiła „szkoła“. Ale rzecz dziwna: jeżeli ona jest takim cudotwórcą, iż w miejsce zniszczenia byt stworzyła i polityczny stosunek Galicyi do monarchi na lepszych oparła warunkach — jeżeli dalej, jak autor zapewnia, znaczenie „szkoły“ i jej działalność sięga poza Galicyę, postawiła bowiem zasadę, żeby „zamiast szukać pomocy obcej, albo u jednego z rozbiorowych mocarstw, znaleźć warunki bytu narodowego w każdym z nich z osobna“ (str. 365) — to dlaczego dotąd polityka kompromisu tylko w Galicyi miała powodzenie? Wszak autor pisze: „Praktyczność jej (tj. szkoły) polityczna okazała się w całej pełni dopiero w jednej części dawnej Polski, w ziemiach pod panowaniem austriackiem“ (str. 364) — „w Galicyi system jej wydał najobfitsze i najlepsze owoce“ — „pod panowaniem pruskim zaczął świtać lepszy nieco dla niego dzień, korzystniejsze wyrabiać się poczęły warunki“ — „pod panowaniem rosyjskiem dotąd, jedynie negatywnymi korzyściami zdołałby się wykazać system szkoły stańczykowskiej — mógł chronić tylko przed stratami i klęskami, spowodowanemi własną winą“ (str. 371). Skądże ta różnica? Dlaczego to, co w Galicyi tak zbawczem okazać się miało, dotychczas zawiodło w obu innych zaborach? Bo, że zawiodło w zaborze pruskim, że bajką jest, co autor pisze o „świtaniu lepszego dnia“ dla Polaków pod panowaniem pruskim — o tem dziś już chyba wątpić nie można. A przecież „szkoła“ ma w obu tych zaborach swoich ludzi, swoje stronnictwa, swoje organa prasy — w obu tych zaborach próbowano według recepty p. Koźmiana, porozumienia z istniejącym porządkiem rzeczy, uznania i wspierania władzy, nawet lojalnego skupienia się około tronu: Kościelski w Berlinie, a Wielopolski w Petersburgu.

Oto sprzeczność ta, to powodzenie w Galicyi, a niepowodzenie w tamtych dwóch zaborach, jasnym się staje i zrozumiałem dla każdego, kto nie tak powierzchownie bada i nie tak mechanicznie pojmuje, jak p. Koźmian, współczesną historję. Według niego zeszło się w Warszawie kilku ludzi, zrobili spiszek, rozpoczęli agitacyę, unicestwili program „genialnego“ margrabiego, wywołali powstanie i stworzyli w Polsce pustkę i zniszczenie. A potem zeszło się w Krakowie kilku innych ludzi, założyli pismo miesięczne i przeobrazili stosunek Galicyi do monarchii i stali się twórcami epoki odrodzenia kraju tego na wszystkich polach i we wszelkich kierunkach. Tymczasem tak samo, jak powstanie nie było sztucznem dziełem „spisku“, ale wynikiem całego szeregu wydarzeń, z których i spiszek powstał, i ruch zbrojny — tak samo owo przeobrażenie stosunku Galicyi do monarchii nie było dziełem „grona krakowskiego“ ani „szkoły stańczykowskiej“, ani „stronnictwa stańczykowskiego“ — ale wynikiem całego szeregu wydarzeń politycznych, których pierwszym jest Solferino i dyplom październikowy... Bez tych wydarzeń wszelka grupa czy szkoła, czy partya nie byłyby nic zdziałała. Prawda, że ludzie muszą takim wypadkom dopomagać i umieć z nich korzystać — ale, jak się zaraz przekonamy, tymi ludźmi, zwłaszcza zaś inicjatorami skorzystania z owych wydarzeń, nie byli bynajmniej ci, których p. Koźmian twórcami tego dzieła uznaje. A nawet, właściwi twórcy i inicjatorowie, nieraz u tej grupy natrafiali na bardzo poważne przeszkody w działaniu. I tak jak wielbiony dziś przez „szkołę“ Wielopolski podkopywany był przez *Czas* — tak samo właściwi twórcy polityki korzystania z wypadków umożliwiających polepszenie galicyjsko-austriackich stosunków, spotykali się nieraz z wielkimi trudnościami, których źródłem była „szkoła“.

Analogiczny zupełnie, ale o wiele jaskrawszy zachodzi stosunek co do innych zakresów pracy publicznej w Galicyi, w których p. Koźmian przyznaje cał-

kowitą zasługę „szkole“ — podczas gdy ona przeciwnie bardzo licznym pracom stawiała opór zawzięty. Tutaj też tak samo jak w polityce, przyznawała się do tego co inni zdziałali, przyłączała się do rzeczy już dokonanych, gdy one stanęły tak silnie i poważnie, że dalszy opór byłby już szkodliwy dla szkoły i dla stronnictwa, a teraz przez p. Koźmiana robi sobie z tego reklamę. W Galicyi wyzyskała na swoją rzecz, co zrobili wypadki i co zdziałali inni ludzie — tam zaś, gdzie przeszkody były i są bardzo wielkie, w zaborze pruskim i rosyjskim, nie zrobiła nic, a jej system i jej program okazał się zupełnie bezpłodnym, nie wytrzymał próby, nie zdał praktycznego egzaminu, pomimo, że przez lat blisko trzydzieści szkoła czyni wszelkie wysiłki, ażeby i w tamtych dwóch zaborach rozwiać działalność i okazać dobre skutki swego systemu. Osiągnęła natomiast inne rezultaty: rozbiła społeczeństwo na takie stronnictwa, które nie powinny były mieć racyi bytu, bo różniły się w kwestyi, nie ulegającej wątpliwości, stojącej ponad wszelką dyskusyą, w kwestyi ostatecznych celów narodowej polityki. Tę zaś kwestyę czyniąc przedmiotem sporu, tem samem walkę zaostrzyła, rozogniła, wytworzyła w narodowym obozie przepaści tam, gdzie powinny były istnieć tylko różnice, a przez to i przez swoją ekskluzywność w wysokim stopniu utrudniła pracę wewnętrzną nad rozwojem sił narodowych. I drugi jeszcze osiągnęła rezultat: szereg upokorzeń politycznych — przymilanie się z polskiej strony, po którym następowało kopnięcie nogą od Berlina lub Petersburga — złudzenie „nowego kursu“ wobec Polaków, podczas gdy „stary“ kwitł w najlepsze — pewne odepchnięte deputacye i pewne z pogardą w kąć rzucone wieńce...

Powiedzieliśmy, że to, co p. Koźmian za główną polityczną zasługę, swojej szkoły i swego stronnictwa uważa, polepszenie galicyjsko ausryackiego stosunku, nie ich jest zasługą ale wypadków, które się bez wpływu

szkoły stańczykowskiej rozwijały, i ludzi, którzy stali poza szkołą.

Po klęsce pod Solferino weszła Austria na drogę konstytucyjną. Nowej ery twórcą był Gołuchowski. Jego dyplom październikowy — jak przypomnieliśmy w pierwszej części — w tym systemie konstytucyjnym stawiał wysoko samorząd krajów, stąd opozycja przeciw niemu centralistów niemieckich i ich intrygi, które doprowadziły do upadku Gołuchowskiego. U steru rządów staje centralista i germanizator Schmerling, prawą ręką jego jest Plener (ojciec), od którego też biorą nazwę lutowe patenty, zaprowadzające Radę państwa i Sejmy, z nadzwyczaj szczytłym zakresem samorządu. Galicya, do konstytucyjnego życia powołana, stanęła odrazu w opozycji przeciw systemowi, który wykrzywił myśl październikowego dyplomu, przeciw ówczesnemu rządowi krajowemu w pałacu pod kawkami, gdzie zawsze jeszcze kwitła w najlepsze dawna przeciw Polakom nieufność, dawna dążność germanizacyjna, dawne protegowanie świętojunców, zręcznie kokietujących i z Wiedniem i z Petersburgiem i — co najgorsza — niezgasłe jeszcze tradycje używania „chłopa przeciw Polakom“. Zarówno zatem Sejm, jak i delegacja polska w Radzie państwa, szły opozycyjnie — a silnie im sekundował kraj cały, pod wpływem coraz potężniej w Warszawie tętniącego ruchu narodowego.

Na tej opozycyjnej drodze zastało Galicyę powstanie. Legalne, konstytucyjne życie polityczne zostało przerwane. Od stycznia 1863 do grudnia 1865 Sejm nie zwoływano. Więzienia napełniły się i przepelniły patryotami. Trzeba przyznać niemieckiej liberalnej partyi, że szczerze i gorąco ujmowała się wtedy naszym krzywdom, upominała się o zniesienie stanu oblężenia, pomimo, że przez to przyczyniała się sama do zachwiania stanowiska Szmerlinga. Wreszcie w kwietniu 1865 stan oblężenia zniesiono. W parlamencie wiedeńskim coraz częstsze i silniejsze ciosy padają na Szmerlinga. Przyczy-

nia się do tego wpływ nienawidzących go Węgrów. Cesarz Franciszek Józef — jeszcze niekoronowany król węgierski — jedzie na wystawę rolniczą do Pesztu, pryskają lody między monarchą a narodem węgierskim. Szmerling pada — miejsce jego zajmuje Belcredi, który w manifeście wrześnieowym zapowiada federalistyczny kierunek wewnętrznej polityki, mówi znowu w tonie październikowego dyplomu, naprawy konstytucyi dokonać zamierza przez „porozumienie się z reprezentacjami królestw i krajów“ i oświadcza: *die Bahn ist frei!*

Nie było wtedy nietylko „szkoły stańczykowskiej“ ani „stronnictwa stańczykowskiego“ — nie było nawet „grona krakowskiego“, bo było wówczas zupełnie rozprószone. A jednak, chociaż jeszcze stańczykowska opatrność nie czuwała nad Galicyą, rozpoczęła się właśnie wtedy i dopiero wtedy akcja, mająca wdrożyć ze strony kraju polepszenie stosunków między Galicyą a Austryą, w chwili, gdy w Wiedniu dokonywała się zmiana, która to polepszenie umożliwiała i prawdopodobnem czyniła. Poseł lwowski, dr. Floryan Ziemiałkowski, wskutek zapadłego nań wyroku sądu wojennego, stracił był mandat poselski. W miejsce jego wjeźsieni 1865 r. rozpisano nowy wybór z miasta Lwowa. I wtedy to wyborcy stolicy kraju wybrali posłem byłego namiestnika i byłego ministra, Agenora Gołuchowskiego. Główną w tem sprężyną był Jan Dobrzański, który był zawsze przedmiotem najgwałtowniejszych ataków ze strony organów stańczykowskich i oczywiście pięknem za nadobne im odpłacał, z którym w pewnych wypadkach można się było nie zgadzać, ale który objawiał nieraz ten instynkt trafny, wskazujący, co w danej chwili dla narodowej sprawy najkorzystniejsze. W owej chwili, po upadku tak wielkich nadziei, wobec rozpoczętego w zaborze rosyjskim straszego prześladowania, a z drugiej strony wobec konstytucyjnych urządzeń Austrii i zapowiedzianego w manifeście wrześnieowym poszanowa-

nia narodowości, samorządu i stanowiska Sejmów — ów instynkt wskazał Dobrzańskiemu, że w interesie sprawy narodowej potrzebnem jest staranie się o kompromis z Austryą, o zapewnienie tutaj jak najlepszych dla naszej narodowości politycznych warunków, że ten kompromis jest możliwym, bez uchybienia naszej narodowej godności i że do przeprowadzenia go najodpowiedniejszą osobistością będzie Gołuchowski. Ze zwykłą energią wziął się Dobrzański do dzieła, porwał za sobą lwowskie mieszczaństwo i mimo gwałtownej opozycji wybór Gołuchowskiego przeprowadził.

Nie „grono“ zatem — ani „szkoła“, ani „stronnictwo stańczykowskie“ jest twórcą tej kompromisowej polityki w Galicyi — ale wdrożyli ją wyborcy „Tygrysowa“ przez wybór Gołuchowskiego, który potem prowadził to dzieło dalej łącznie z Ziemiańkowskim. Nie „szkoła“ wynalazła ów „system“ — ona go znalazła gotowym, ona się potem do niego przyznała — i ona też dzisiaj sobie przypisuje zasługę tych korzyści, które z tego systemu kraj odniósł. Co więcej — były chwile, w których system ten zwyciężał wbrew opozycji ludzi ze „szkoły“ p. Koźmiana. Dnia 2. marca 1867 w Sejmie galicyjskim rozstrzygało się stanowisko polityczne Gołuchowskiego i Ziemiańkowskiego. Opozycyją rzecznikiem głównym był Ludwik Wodzicki — głosował z nim razem Stanisław Tarnowski. Ich zwycięstwo wtedy byłoby się stało ciężką porażką, jeżeli nie klęską wymienionych wyżej reprezentantów kompromisowej polityki. A dzisiaj: oni się przedstawiają jako jej wynalazcy, jej twórcy, jej główne filary!*)

*) Jeżeli kto zwracał uwagę na stanowisko, jakie w owej chwili zajmował niepełnoletni jeszcze wówczas dziennikarz i jeżeli zachował to w pamięci — to może autorowi zarzucić: a wszakże i ty byłeś przeciwnikiem uchwały 2 marca, przeciwnikiem Gołuchowskiego i Ziemiańkowskiego, a stałeś po stronie opozycji, jakże możesz dzisiaj robić z tego zarzut Stańczykom? Prawda — i wypierać się tego nie myślę. Nam młodym zdawało

Przyznaje wprawdzie autor, że w sprawie austro-węgierskiego kompromisu miała „szkoła“ ułatwienia, a do tych ułatwień zalicza ustrój monarchii, zalicza też szereg ludzi, którzy w tym duchu działali — przy czem jest nader charakterystycznym, że w szeregu tym opuszcza zupełnie Ziemiałkowskiego, który był przecież jednym z głównych filarów tej polityki. Ale wszystko, co zrobili ci ludzie, jest niczem, w porównaniu z zasługą szkoły: „cel był wskazany, droga nie była wyraźnie wytknięta“... „Cel wskazanym był, ale odmiennie i zmiennie, pod wpływem jeszcze dawnych pojęć i wyobrażeń; stąd wybór ani podstawy, ani drogi, nigdy jasno i stanowczo nie został zaznaczonym, ani obranym“ (str. 366). Otóż w tej chwili, kiedy jeszcze „wybór“ nie był „obranym“ — stanęła szkoła stańczykowska jako zbawca

się wtedy, że gdyby Sejm galicyjski był się przyłączył do tych Sejmów, które zajęły stanowisko opozycyjne i ściśle federalistyczne, byłoby się dla narodowości naszej uzyskało od razu prawa bardzo poważne, a dla kraju i Sejmu pełny samorząd. Zdanie to podzielali wtedy z jednej strony demokraci tacy, jak Smolka i Leszek Borkowski, z drugiej konserwatyści, jak Wodzicki i Tarnowski. Zdanie to upadło zwyciężył Gołuchowski z Ziemiałkowskim i w krótkim przeciągu czasu uzyskał kraj Radę szkolną krajową, prawa języka polskiego w szkole, sądzie i urzędzie i skromne rozszerzenie samorządu w konstytucyi grudniowej, w każdym razie lepszej, niż była lutowa. Czy na drodze, wskazywanej wówczas przez opozycję, byłoby się to uzyskało, czy może i więcej jeszcze, tego dziś na pewno powiedzieć nie można. Wszakże nawet gdybym za udowodnione uznawał, że stanowisko ówczesne Smolki, Borkowskiego, Tarnowskiego i Wodzickiego było błędne, że zatem i ja byłem w błędzie — to w każdym razie zostaje niewzruszony zarzut, który tu przeciw „szkole“ stańczykowskiej podnoszę, że przyznaje się ona dzisiaj do dzieła kompromisu, dokonanego faktycznie przez Gołuchowskiego i Ziemiałkowskiego, pomimo że nie tylko nie jest ona twórcą tego kompromisu, ale że w dniu 2. marca dążyła do obalenia tych ludzi, którzy dzieło kompromisu prowadzili. Nie ma więc prawa przywłaszczać sobie ich zasługi.

Przypisek autora.

„weszła na właściwą drogę i położyła silną podwalinę; stanowczo i odważnie, na podstawie własnego systemu narodowego (?) powiedziała, iż w teorii i praktyce przeprowadzić należy szczerze, bez zastrzeżeń myśl i rzecz. Wtedy dopiero ludzie znaczący, kierujący i działający w kraju, zgodzili się na ten system i przyjęli go również bez zastrzeżeń“ (str. 366).

Jest to poprostu wielka blaga. Ani Gołuchowski i Ziemiałkowski, ani Leon Sapieha i Grocholski — nie potrzebowali czekać i nie czekali na „szkołę“, aby im wskazała drogę i środki działania. Przeciwnie szkoła zawsze podszywała się pod cudzą zasługę, stroiła się w cudze piórka, a zarazem umiała temu, co inni robili lub robić zamierzali, podsuwać swoje myśli i dążenia. Najlepszym dowodem tego jest właśnie ten końcowy rozdział książki p. Koźmiana, który zupełnie niezgodnie z prawdą rzecz tak przedstawia, jakoby ci, którzy pracowali nad wyrobieniem dobrych stosunków między Galicyą a Austryą, czynili to w imię stańczykowskiej doktryny i dla niej — i jakoby wszelkie pomyślnie tych usiłowań wyniki, były zwycięstwem „systemu szkoły“.

Szkoła stańczykowska nie ma jednak prawa do upatrywania zwycięstwa swojej idei, swego systemu w kompromisowem i względnie pomyślnem ułożeniu się stosunków galicyjsko-austriackich. Tego jej systemu główną, zasadniczą podstawą jest: zrzeczenie się wyższych narodowych aspiracyj, wyparcie się i porzucenie idei państwowego bytu, ażeby ratować byt narodowy. Otóż w kompromisie austriacko-galicyjskim nie było nigdy i nie ma dotychczas tej zasadniczej podstawy systemu szkoły stańczykowskiej. Ani twórcy kompromisu, Gołuchowski i Ziemiałkowski, ani główny w początkach agitator i publicysta, który im drogę torował — Dobrzański — ani ci, którzy dzieło to prowadzili dalej, nigdy i nigdzie tego wyrzeczenia się nie wypowiedzieli, ani też nikt w Austrii tego od

nich nie wymagał, nikt o jakieś w tym kierunku rękojmie nie pytał. Wymaga tego urzędowa i nieurzędowa Rosya, bo dla niej to jest kwestya bytu — i dlatego cała rzekoma mądrość „szkoły“ nie wystarcza, aby tam doprowadzić do kompromisu. Wymagają tego urzędowe i nieurzędowe Pruso-Niemcy (pamiętne słowa Bismarka: niech Polacy dadzą słowo honoru!) — bo im to służy dobrem pozorem do ciemności — i dlatego kompromisowe dążenia zawsze się tam rozbijają. Wymaga tego od swego własnego narodu szkoła stańczykowska, i dlatego wre ciągła walka między nią a wszystkimi innymi polskimi stronnictwami, a ktokolwiek z nią w chwilowe wchodził kompromisy, rychło przeraził się jej skrajności i zmuszony był przeciw temu protestować. Nie wymagała tego nigdy Austria i dlatego tutaj kompromis był możliwy, bo uszanowano naszą godność, bo nie zadano gwałtu naszemu sumieniu. Na wspólności interesu, na poszanowaniu obopólnem, na oddaniu nam względnej przynajmniej sprawiedliwości, na uznaniu z naszej strony, iż interes państwowy austriacki może w nas mieć poparcie bez zaprzepaszczenia naszej narodowej idei — kompromis ten stanął i tylko taki jest możliwy i mieć może warunki trwałości. Z chwilą, w którejby warunkiem kompromisu stać się miało w jakiejkolwiek formie dokonane wyrzeczenie się tego, co jest istotą naszej duszy narodowej — zbuntowałyby się przeciw niemu sumienie polskie i znowu nie wystarczyłby cały rozum „szkoły“ na to, ażeby kompromis uratować. W tym przeto kompromisie nie zwyciężył system „szkoły“ — zwyciężył w nim program, który bez wyrzekania się przyszłości nakazuje w terażniejszości korzystać z wszystkiego, co może posłużyć ku wzmacnianiu siły narodowej, jako środka do osiągnięcia w danej pomyślnej chwili najwyższego, a przez „szkołę“ odrzuc-

nego celu usiłowań i pracy walk porozbiorowego naszego żywota....

Autor „Rzeczy o 1863 r.“ tak się obawia posądzenia o to, że on i „szkoła“ jednak może gdzieś na dnie serca ten cel najwyższy chowają — iż zastrzega się przeciw temu, jakoby szkoła w kompromisie austriacko-galicyjским upatrywała jakąś austriacko-polską dalej sięgającą politykę. Pierwsze nazywa małym stylem, drugie wielkim stylem systemu — i powiada: „żeby szkoła stańczykowska przyjmowała mały styl systemu tylko jako konieczny początek wielkiego, to jest nieprawdą, temu przeciw cała działalność i postępowanie szkoły, oraz podstawowe jej zasady, sama zamiana szkodliwego patryotyzmu na patryotyzm polityczny“ (str. 370). Przypominamy: szkodliwym patryotyzmem jest idea bytu państwowego, rozumnym wyrzeczenie się tej idei w interesie bytu narodowego. Czy potrzeba było tak uroczyście zapewniać, że polityka szkoły jest polityką małego stylu — wątpimy. A zapewniwszy nas o tem, pisze autor dalej: „Nie przeczy my, że pozory mogły mylić i w błąd wprowadzać. Nieraz w ogniu i zapale walki szkoła używała polityki austriacko-polskiej w rozciąglejszem znaczeniu. Dopomagało to do ugruntowania jej systemu w tej dzielnicy. Były to już nie krwawe ofiary, lecz kadzidło spalone na dawnych ołtarzach. Przy jego woni ustalił się stosunek kraju do monarchii, zwyciężył nowy system. Dziś stoi już ten stosunek pod strażą nowych wyobrażeń i przyzwyczajenia“ (str. 370). Innemi słowy: rzucaliśmy wam czasem frazesy o szerszej austriacko-polskiej polityce, aleśmy tego nie brali na seryo. To nam było tylko chwilowo potrzebne, aby was — tłumie! — złapać na wędkę. Teraz nam już tego nie potrzeba. „Woń tego kadzidła“ zrobiła już swoje — i możemy otwarcie się przyznać do tego, iż mamy tylko mały styl w naszej polityce!

Bierzemy to do wiadomości — a dodajemy tylko uwagę, że po tem przyznaniu się do obłudy, szkoła chyba dziwić się nie powinna, jeżeli jej już nikt wierzyć nie będzie.

Obok działalności politycznej — przedstawia p. Koźmian działalność szkoły w tak samo przesadnem świetle na wszystkich innych polach narodowego życia. Szkoła „zapełniła próżnię duchową, wytworzoną wypadkami 1863 roku“. Oczywiście: ona sama za kraj cały myślała i pracowała, bez niej byłaby próżnia! Ona to wraz ze stronnictwem, które z niej powstało, sprawiła, że po klęsce „zawrzało życie“ — że zajaśniały talenta i zdolności — że sztuki piękne zakwitły — że się skrzepiła nauka i piśmiennictwo, że się podnosi dobrobyt!

Tak wygląda legenda p. Koźmiana o szkole stańczykowskiej. Prawda historyczna przedstawia się zgoła odmiennie. Szkoła — do której należeli przecież ludzie z wyższą inteligencją i z zasobami ekonomicznymi — nie mogła pozostać i nie pozostała bez wpływu na rozwój życia umysłowego i ekonomicznego w kraju. Ludzie ci znosili także swoje cegiełki do tej budowli. Ale ta błędna wyłączość, z jaką p. Koźmian dzisiaj szkole całą zasługę przypisuje, jak gdyby poza nią nikogo już w Polsce czy w Galicyi nie było — ta sama błędna wyłączość sprawiła, iż ci ludzie w „w szkołę“ złączeni, wszelkiej na szerszą skalę podjętej i na szerszych podstawach opartej pracy, potężne stawiali zapory. A była tego dwojaka przyczyna: Przedewszystkiem tak sobie zdogmatyzowali swój system, tak fanatycznie weń uwierzyli — że wszystko, co nie z ich ducha było, z góry potępiali i za złe uznawali. A odnosi się to nietylko do rzeczy politycznych, w których, wobec walki stronnictw, pewna ekskluzywność jest nieuniknioną, chociaż ona w wielu razach szkodliwą się staje. Odnosi się to także i do spraw naukowych, literackich, artystycznych, ekonomicznych. Wszędzie szkoła stawiała się koteryą,

kliką — a jeżeli p. Koźmian (na str. 375) żali się, że tę nazwę szkole dawano, to my mu powiemy, iż na nią najzupełniej zasłużyła. Przypisywała sobie monopol rozumu i brała monopol wpływowych stanowisk na wszelkich polach życia — każdego, kto do niej nie należał albo jej nie służył, od tego odsadzając.

A drugą przyczyną było to, czego p. Koźmian lekko się wypiera, co jednak z jego własnych słów wynika, a co stwierdzają tysiączne fakty: arystokratyczno-szlachecka wyłączność szkoły. Co nie wyszło „z góry“, to już w jej oczach było co najmniej podejrzanem; co chciało pracą sięgać w głąb społeczeństwa, co się z tego społeczeństwa samodzielnie wyłaniało — to już wręcz było niebezpiecznym i szkodliwym. Każdej tego rodzaju pracy, każdemu takiemu ruchowi szkoła czyniła największe trudności. Ale tylko do pewnego czasu. Bo kiedy się potem przekonywała, że praca bez niej a nawet wbrew niej idzie dobrze — że zyskuje grunt w kraju, że może pewnym, do szkoły nie należącym jednostkom zdobyć wzięcie i popularność — wtedy szkoła zaczynała się nawracać, uznawać fakta dokonane, po jak mś czasie nawet brać udział w robocie w tym celu, aby nią owładnąć i na swoje koło wodę skierować. Zupełnie tak samo jak bywało w powstaniach naszych — w których z początku nieprzyjazne, potem już tylko obojętne stanowisko zajmowali ludzie z tego obozu, z którego „szkoła“ powstała — aby następnie do powstania „przystąpić“ — owładnąć niem, a! i zawsze więcej szkody, niż pożytku przynieść powstaniu! Tak sam też było i we wszelkich prawdziwie organicznych pracach w tym kraju.

Na poparcie tego naszego twierdzenia liczne możemy przytoczyć dowody. Autor niniejszej rozprawki miał sposobność w samych początkach swego dziennikarskiego zawodu polemizować z artykułem „Czasu“, w którym wypowiedziano i starano się udowodnić zbyt śmiałe twierdzenie o szkodliwości idei stowarzy-

szeń. Dowodzą tam *per longum et latum*, że stowarzyszenia prowadzą do rozbicia społeczeństwa na małe kółka, z których każde do swego odrębnego celu dążyć będzie, tak, iż zatraci się wszelkie wspólne dążenie. Wątpimy bardzo, czy „Czas“ obecnie odważyłby się artykuł ten zamieścić i wziąć zań odpowiedzialność. Dziś, kiedy idea stowarzyszeń jak wszędzie tak i u nas święci najpiękniejsze tryumfy, kiedy zaprzeczyć się nie da, że specjalnie kraj nasz zawdzięcza jej bardzo znaczną część dokonanego w 30 latach rozwoju i postępu, trudno zaprawdę uwierzyć, iż była chwila, kiedy trzeba było tej idei bronić wobec tak „poważnego“ organu! Ale też z drugiej strony trudno bez uśmiechu czytać samochwalcze dytyramby szkoły, która odważnie twierdzi, że ona to obudziła życie w Galicyi i wypełniła próżnię, stworzoną przez rok 1863!

Wszelkie większe instytucje, oparte o zasadę stowarzyszania się ku samodzielnej pracy społecznej i skupiania sił w odosobnieniu drobnych a w zjednoczeniu potężnych, były przez szkołę i jej organa zwalczane dopóty, dopóki nie urosły w siłę taką, i nie zdobyły sobie takich i tak powszechnie uznanych zasług, że dalsza przeciw nim walka byłaby już śmiesznością okryła walczących. Towarzystwo oświaty ludu, zawiązane we Lwowie w r. 1868 — które do swych założycieli liczyło między innymi: Adama Sapiehę, Kazimierza Grocholskiego, Antoniego Jabłonowskiego, Alfreda Młockiego, Władysława Koziębrodzkiego, Mieczysława Pawlikowskiego — przyjęte było przez „Czas“ z najwyższą niechęcią i spotkało się w kraju z zaciętym oporem stronników tego pisma. Założyciel „Wydawnictwa dzieł tanich i pożytecznych“ w Krakowie, ś. p. Franciszek Trzeciecki, taką samą niechęć i opór tegoż stronnictwa zwalczać musiał. Śmiech powiedzieć: Towarzystwo pedagogiczne było temu stronnictwu i jego organowi strasznie podejrzane i niebezpieczne — Towarzystwo przyrodników imienia Kopernika miało do

zwalczania z tej samej strony pochodząca niechęć. Kiedy w roku 1872 zawiązał się we Lwowie komitet do zbierania składek na szkoły ludowe, komitet, do którego między innymi należeli: Włodzimierz Dzieduszycki, Ziemiałkowski, Skrzyński Ludwik, Młocki, Sapiaha Adam, Krzeczunowicz, Smarzewski, Gross — „Czas“ nie posiadał się z irytacyi i jawnie zwalczał robotę, z której powstał fundusz, wynoszący dziś przeszło 100.000 złr. Tak samo było z Towarzystwami gimnastycznymi, które uznano jako niepotrzebne, „bo przecież w szkołach uczą gimnastyki“ — zdanie, które bardziej świadczy o wytrwałej chęci przeszkadzania pożytecznej robocie, aniżeli o znajomości rzeczy. I dopiero w ostatnich latach, kiedy sokolstwo wzrosło w siły i powszechne sobie zjednałe uznanie, przekonali się panowie ze szkoły p. Koźmiana, że byłoby już dla nich niepraktycznem a nawet szkodliwem zwalczać taką instytucję. Dosłownie tak samo rzecz się miała z Kółkami rolniczemi. Niechęć swoją do tej instytucyi przenieśli ci panowie aż do Izby sejmowej, i zmienili front dopiero wtedy, kiedy Kółka bez nich rozwinęły się i stanęły silnie. Nieco odmiennie rzecz się miała z Towarzystwami zaliczkowemi i gospodarczemi. W Krakowie Henryk Kieszkowski — we Lwowie inni, innego obozu ludzie sprawę tę ruszyli. Ale rychło okazały się zasadnicze w tej sprawie różnice. Gdy ze strony konserwatywnej chciano ruch ten oprzeć na zasadzie opiekuństwa i narzucania organizacyi z góry, uznali inni, iż stowarzyszenia, na samopomocy oparte, samodzielnie stać muszą, jeżeli mają spełnić swoje arcyważne, dwojakie zadanie: ekonomiczne wzmocnienie i ochronę od wyzysku z jednej, a z drugiej strony wychowawcze zadanie, tak bardzo znaczące w społeczeństwie, które nie przechodziło praktycznej szkoły prac ekonomicznych. Ten drugi kierunek samodzielnego rozwoju, zwyciężył — utworzenie Związku stowarzyszeń stało się decydującym na tej drodze faktem, a nastąpiło to znowu wbrew prze-

szkodom, stawianym przez ludzi, należących do szkoły p. Koźmiana i do stronnictwa, które z niej wyrosło.

Tych kilka przykładów niech posłuży za dowód, że to wszystko, co było i jest pracą u podstaw społeczeństwa, zarówno w kierunku oświaty, jak i ekonomicznym, to wszystko, co nie było robotą z góry, mającą pieczęć rządu albo owych powag „szkoły“, które się raz same „moralnym rządem“ nazwały — to wszystko spotykało się zawsze z jawnym oporem tego stronnictwa, o którym dziś p. Koźmian twierdzi, iż jego zasługą jest wszystko, co od lat trzydziestu w kraju tym działośo.

A już zgoła śmiesznem jest twierdzenie, jakoby z „systemu szkoły wzięła początek cała ta praca, która się w kraju naszym w okresie po powstaniu rozwinęła“. Tak źle z nami nie było, ażeby potrzebnem było stworzyć osobną „szkołę“ i osobne stronnictwo w tym celu, by ten kraj do pracy pobudzić. Po klęsce roku 1863 nie było nikogo, ktoby nie uznawał potrzeby takiej wszechstronnej pracy nad rozwojem kraju, nad wzmocnieniem sił jego. Zgodni w tem byli i konserwatyści i demokraci, i ci, których p. Koźmian głównie odpowiedzialnymi czyni za klęski powstania i ci, którzy do powstania przystąpili wtedy, gdy im na to cesarz Napoleon i Hotel Lambert pozwolił, a którzy głównie winni byli temu, że rozlew krwi trwał tak długo. Do pracy tej wzywała zarówno lwowska „Gazeta Narodowa“ jak i krakowski „Czas“, zarówno lwowski „Dziennik Literacki“ jak i krakowski „Przeгляд“, z tą tylko różnicą, że gdy jedni do tej pracy wzywali wszystkich, drudzy ekskluzywnie chcieli ją złożyć w ręce koteryi około „szkoły“ się grupującej i w ręce rządu. Ale nie było w Polsce nikogo, ktoby nie był zrozumiał i odczuł tego, iż po klęsce ani rąk opuszczać, ani na nowe klęski narażać się nie godzi, ale że trzeba rany goić, nadwątłone siły krzepić, społeczeństwo moralnie i materyalnie wzmacniać, a prze-

dewszystkiem spajać. Ta myśl przeto nie jest wyłączną duchową własnością ani wynalazkiem żadnego stronnictwa, żadnej szkoły — ona była w powietrzu — ona była koniecznem a przez ogół od razu zrozumianem następstwem wypadków r. 1863. To też ku temu, ażeby się ta myśl w społeczeństwie polskim przyjęła, szczególnie zaś w tym kraju, który skutkiem wyjątkowych stosunków politycznych Austrii miał większą swobodę działania — ku temu nie potrzeba było tworzyć osobnej „szkoły“ politycznej i osobnego stronnictwa. A już przedewszystkiem nie potrzeba było tej szkoły i tego stronnictwa opierać na zasadzie, która musiała być i jest też wstrętną narodowi, na zasadzie wyrzeczenia się państwowej idei polskiej. Przeciwnie — zdrową polityką było, do pracy tej powołać w s z y s t k i c h pa tryotów i ludzi dobrej woli, bez względu na polityczne odcienie i różnice — bo sprawa oświaty i zdrowia i dobrobytu ekonomicznego stoi poza kwestyami, które dzielą obóz narodowy na polityczne i społeczne stronnictwa. Tego jednak szkoła stańczykowska zrozumieć nie chciała. Swoją wyłącznością, owem aroganckiem przyznaniem sobie miana „rządu moralnego“ w społeczeństwie, odsądzaniem od publicznej pracy tych wszystkich, którzy jej sztandarowi ślubować nie chcieli, stawianiem wielkich przeszkód i trudności wszystkim przedsięwzięciom, które nie wychodziły albo od niej, albo od urzędowych kół — „szkoła“ wielką wyrządziła szkodę tym wszystkim pracom, o których teraz jej główny publicystyczny przedstawiciel twierdzi, że się one z jej ducha poczęły i z jej systemu. Na walkę ze „szkołą“ i z przeszkodami przez nią i jej stronnictwo stawianemi, musiano zużytkować wiele sił, które zostały przez to dla pozytywnej pracy stracone.

Ale w inny jeszcze sposób „szkoła“ spowodowała uszczerbek tych sił i tej energii, które można było w wyższym stopniu, niż się to stało, zużytkować na rzecz pozytywnej pracy nad wzmożeniem duchowych

i materyelnych zasobów narodu. Zwróciliśmy już na to uwagę w tym ustępie naszej pracy, w którym odpowiedzieliśmy na to, co p. Koźmian o skutkach powstania pisze.

Zdrowie narodu, konieczność zagojenia ran, zadanych przez ostatnie klęski, świadomość doniosłego znaczenia, jakie w k a ż d e m położeniu narodu ma jego siła moralna — wszystko to nakazywało bacznie starać się o to, aby po klęsce nie nastąpił moralny upadek, aby po wytężeniu nie nastąpiło zbyt znaczne obniżenie patriotyzmu, ażeby ta siła, którą jest zawsze patriotyzm, nie spadła poniżej tej skali, jaka nawet w zupełnie normalnych stosunkach jest konieczną. Jeżeli nie ma wszelka praca ustać, wszelkie życie zamrzeć. W takiej właśnie chwili, kiedy same klęski po powstaniu na naród spadły i sam fakt upadku tak wysoko podniesionych nadziei mogły być wywołać złą w umysłach reakcję i złą ostudzenie serc — w takiej chwili pojawienie się „szkoły stańczykowskiej“ z jej doktryną o zrzeczeniu się programu bytu niepodległego, było nie tylko niepotrzebnym, ono wprost było niebezpiecznym. Jedynym zbawczym hasłem, jedynym lekarstwem na świeże rany, było wezwanie do pracy na wszelkich polach narodowego życia, ale wezwanie w imię tych samych ideałów, dla których świeżo krew się lała, nie zaś przeciw tym ideałom, nie na zasadzie ich porzucenia i zaparcia się samego celu wszystkich poroborowych pokoleń. Wskazać trzeba było narodowi, że do tego samego celu innymi na dziś drogami zmierzać trzeba — ale nie odrzucać celu dla tego, że drogi i środki zawiodły. Tak zwana „szkoła“ postąpiła wręcz przeciwnie. Zamiast budować i tylko budować, — wybrała się burzyć dawne świątynie czci narodowej. Zamiast skupiać wszystkich do pracy, wydawać zaczęła hasła, które musiały w obozie narodowym wytworzyć przepaściste różnice. To też,

gdy „szkoła“ skupiała około siebie zastępy, ku burzeniu tego, co nigdy nie powinno przestać być świętością narodową — drudzy musieli stanąć w obronie tego, coby w normalnym stanie rzeczy obrony nie potrzebowało. Społeczeństwu, potrzebującemu wielkiej pracy, „szkoła“ narzuciła walkę — z tem wszystkim, co walka taka za sobą wiedzie: z przesadą po jednej i po drugiej stronie, z wzajemnem odpychaniem się i spychaniem się tam, gdzie i pożądaną i możliwą była koncentracja sił w pracy, z rozgoryczeniem, a nawet nienawiścią tam, gdzie tyle potrzeba miłości! To było wielkie marnotawstwo siły, a winną temu „szkoła stańczykowska“ przez nieopatrne targnięcie się na to, co świętem było narodowi. A jest „szkoła“ pod tym względem niepoprawną. Niech tylko na chwilę walka przycichnie, a niechęci wzajemne ostygną — wnet „szkoła“ na nowo zarzewie walki podnosi. Tak przed kilku laty zrobiła, ogłaszając swoje „doświadczenia i rozmyślenia“ — tak się stało obecnie przez publikację „Rzeczy“ p. Koźmiana.

A drugą wielką winą i wielkim grzechem „szkoły“ jest jej opór przeciwko konsekwencyom tego, co jako fakt w oczach naszych się dokonywa — przeciwko koniecznym następstwom „demokratyzowania się naszego społeczeństwa“, które w jednej ze swych polemicznych publikacyj uznał główny reprezentant szkoły, hr. Stanisław Tarnowski. Źle jest w społeczeństwie, jeżeli jego formy polityczne są zbyt ciasne w stosunku do samej w te formy ujętej istoty tegoż społeczeństwa. Rozrastająca się treść rozsądzi skorupę, jeżeli nie pomyślano zawczasu o rozszerzeniu i przekształceniu formy. Wykazaliśmy już poprzednio, że p. Koźmian zastrzega się wprawdzie przeciw temu, jakoby szkoła była „arystokratyczną“, ale w innem miejscu stanowczo zaznacza, iż szkoła „nie widząc jeszcze w innych warstwach ani ani dość licznych żywiołów, ani dostatecznych rękojmi dla bytu narcdowego“, chce już nietylko utrzymania

i wzmocnienia szlachty, ale „ujęcia przez nią i trzymania silną dłońią losów narodu“. Dążenie to już jest zastarzałe, już zmienionym stosunkom nie odpowiednie, już nie da się pogodzić z ogarniającą coraz szersze warstwy oświatą i przenikającym je poczuciem narodowym i obywatelskiem! Usiłowanie to daremne, — a jednak w skutkach jeszcze zawsze bardzo szkodliwe, bo uszczupla zapasy sił narodowych zarówno przez to, iż wywołuje wewnętrzne walki i starcia i podnosi klasowe antagonizmy, jak i dlatego, że wiele dzielnych jednostek od pracy wspólnej usuwa, póki albo nie upadną w walce, albo po przełamaniu wielkich trudności same sobie terenu do pracy nie zdobędą — poczem zawsze zostaje pewien osad goryczy i niechęci.

W liście do ks. Castlereagh'a, przytoczonym przez p. Koźmiana w całej osnowie -- wypowiada Talleyrand obawę, iż odbudowana Polska popadłaby rychło w dawną anarchię. Tę obawę zaś uzasadnia różnicą, jaka w Polsce istnieje między szlachtą a ludem: „Ale bo też w tym kraju są jakby dwa ludy, dla których trzeba by dwóch odmiennych ustaw, które wzajemnie się wykluczają“. List ten przytacza p. Koźmian na poparcie swego twierdzenia, iż odbudowane państwo polskie nie miałoby wewnętrznych warunków trwania, iż społeczeństwo takie „dostatecznych rękojmi silnego bytu samoistnego dać nie mogło“ (str. 254). A przecież w liście tym, na który się autor powołuje, daną jest wyraźna wskazówka, co robić nam trzeba, jeżeli chcemy, ażeby społeczeństwo dało owe rękojmie silnego bytu samoistnego, owe warunki trwania jako państwo: Starać się o to, ażeby już nikt i nigdy nie mógł o nas powiedzieć, że „w tym kraju są jakby dwa ludy“, — ażeby to, co w roku 1815 obcemu dyplomacie przedstawiało się jako dwa ludy, dziś, po upływie 80 lat, było naprawdę jednym narodem. Temu zaś sprzeciwia się stwierdzona przez

p. Koźmiana szlachecka wyłączność szkoły, temu przeszkadza owo dążenie, aby szlachta zawsze dzierżyła „silną dłoń” ster losów kraju i spraw krajowych. Zamiast wysilać się na dowody, że siły narodu polskiego są za słabe, ażeby kiedykolwiek odzyskać byt państwowy, a odzyskany zachować — raczej powinien był pan Koźmian, a z nim i „szkoła” wziąć do serca uwagę Talleyranda, jako wskazówkę, w czym szukać spotęgowania tych sił. Czemu nie podołały tysiące, dokonać mogą miliony. Ale trzeba do nich iść z ideałem w sercu, a nie z mędrkowaniem wzorowanym na Macchiavellu i Talleyrandzie — trzeba iść z miłością i sprawiedliwością, a nie z tą pogardą, jaka tkwi w wyrazach, iż w tych innych warstwach nie ma ani dość licznych żywiołów, ani dostatecznych ręk ojm i (!) dla bytu narodowego — i nie trzeba narzucać się zawsze z wyłącznym sterownictwem spraw narodowych. Inteligencya zawsze wpływ swój i znaczenie zachowa, ale tylko pod tym warunkiem, że na prawdę na nazwę inteligencyi zasługiwać będzie, że mieć będzie w sobie nie tylko światło, ale i ciepło, że jaśnieć będzie nie tylko wiedzą, ale i czynnem, ofiarnem obywatelstwem, i że na tych tylko podstawach wpływu tego szukać będzie, zamiast prawo do wpływu opierać na zadawnionych kastowych różnicach i na drażniącej ekskluzywności. Taka inteligencya potrafi stokrotnie pomnożyć te siły narodu, w które p. Koźmian nie wierzy, — bo pomnoży je milionowemi zastępami nowych obywateli z „innych” warstw społeczeństwa. Taka inteligencya sprawi, iż już żaden Talleyrand nie będzie mógł w Polsce dopatrzeć istnienia „jakoby dwóch ludów”.

Ale takiej inteligencyi zuprawdę nie wytworzy „szkoła” opierająca się na zasadach, których wyrazem książka pana Koźmiana. A jeżeli bałwochwalczy tej książki wielbiciel p. Alfred Szczepański, który streścił ją całą w wyrazach „program trzech lojalności”, wzywa przeciwników owych zasad, ażeby zamiast krytykować,

s w ó j program postawili — to odpowiemy mu, że program taki oddawna istnieje i jeżeli komu, to p. Szczepańskiemu jest on doskonale znany, bo przez cały szereg lat p. Szczepański był programu tego gorącym zwolennikiem i obrońcą.

Jeżeli te dwa programy mielibyśmy streścić w krótkich formułkach, to program „szkoły“ polega na tem, ażeby szczerze pogodzić się ze stanem rzeczy, stworzonym przez rozbiory, szczerze wejść w system polityczny każdego z mocarstw rozbiorowych, wyrzec się idei bytu państwowego i w ten sposób w każdym za- borze doprowadzić do kompromisu, ułatwiającego utrzymanie bytu narodowego.

Program przeciwny stawia sobie ten sam cel, jaki przyświecał wszystkim dotychczas porozbiorowym pokoleniom, t. j. byt państwowy, a nie przesądzać tego, kiedy, jakimi środkami i w jakich kombinacjach cel ten osiągniętym być może, żąda na dzisiaj wyzyskania każdej sposobności do pracy nad wzmocnieniem sił narodowych, jako środka ku odzyskaniu bytu państwowego, żąda pracy, tym ideałem natchnionej, przezeń użyźnionej i spotęgowanej.

Te dwa programy mają jeden, ale też jedyny punkt styczny, iż w każdym położeniu narodu lub jego części uznają one możliwość i konieczną potrzebę, a zatem i święty obowiązek pracy nad wzmocnieniem podstaw narodowego bytu, więc nad spotęgowaniem sił narodowych.

Ale na tem kończy się ich zgodność.

Dla nas byt, który jest celem pracy narodowej, ma formy państwowe — „szkoła“ bez nich się obchodzi. Jak upadek tych form państwowych, więc upadek państwa polskiego, był według p. Koźmiana faktem dziejowo obojętnym, bo „świat“ po tym upadku idzie dalej swoim trybem „ani szczęśliwszy, ani nieszczę-

śliwszy“ — tak też odzyskanie tych form państwowych, chociaż dla narodu samego nie jest obojętnem, jednak według „szkoły“ powinno stać się obojętnem, ponieważ z porobiorowych dziejów wyprowadziła ona naukę, że dążenie do odzyskania bytu państwowego, zawsze pociągało za sobą osłabienie sił narodu, ona każe się ich wyprzeć „szczerze“ i „bez zastrzeżeń“.

Zwolennicy drugiego programu przeczą, by jakiegokolwiek pokolenie polskie miało prawo i miało możliwość takiego zrzeczenia się — przeczą, by sama praca nad utrzymaniem bytu, nie natchniona wyższą polityczną myślą, mogła być tak żyzną, jak tego stan wewnętrzny narodu i jego położenie na zewnątrz wymaga. „Szkoła“ w konsekwencji swej doktryny, która każe starać się tylko o utrzymanie bytu narodowego bez bytu państwowego i „szczerze“ wcielić się w organizmy trzech państw — odbiera nam dawne pojęcie Ojczyzny, a dla każdego odłamu Polski stwarza inną, dla każdego też jedną ściślejszą i jedną obszerniejszą ojczyznę.

Więc Polacy w Austrii mieć będą ściślejszą ojczyznę w Galicyi, obszerniejszą w Przedlitawii, najobszerniejszą w monarchii austro-węgierskiej — więc w Prusiech mieć będą ściślejszą ojczyznę w Poznańskiem i Prusach Zachodnich, obszerniejszą w Królestwie pruskiem, najobszerniejszą w cesarstwie niemieckiem — więc w Rosyi ściślejszą w Królestwie Kongresowem, drugą w Litwie i Rusi, obszerniejszą wreszcie ojczyznę Rosyę z samowładnym carem-papieżem na czele! Program drugi stoi wiernie przy dawnej Ojczyźnie Kościuszki i Mickiewicza i za trzy ojczyzny zamieniać jej nie pozwala. Świadom tego, że w tej chwili nie jest możliwą akcja polityczna, powiedzmy wyraźnie: wojenna lub dyplomatyczna, któraby bezpośrednio do odzyskania tej Ojczyzny wiodła, wie jednak, że jeżeli z serc i umysłów narodu wykorzenią tę myśl polityczną, naród skorzystać nie potrafił s takiej chwili, która przecież rychlej czy później za-

świtać musi. Na tym programie oparty patryotyzm nie potrzebuje być „patryotyzmem szkodliwym“, jak go zawsze p. Koźmian nazywa, to znaczy tym, który każdej chwili bez obliczenia sił i warunków gotów jest zerwać się do krwawego protestu, on może być i jest już patryotyzmem rozumnym, który mając zawsze najwyższy cel aspiracyj narodowych na oku, z każdej sytuacji potrafi wyciągnąć korzyści dla sprawy bytu narodowego i bytu państwowego. Patryotyzm „polityczny“ według nomenklatury p. Koźmiana, t. j. polegający na trzech szczerych lojalnościach, przestaje być patryotyzmem dlatego, że przedmiotem każdego patryotyzmu musi być Ojczyzna, a doktryna „szkoły“, dając nam trzy ojczyzny, stworzone rozbiorami, odbiera nam treść i przedmiot patryotyzmu.

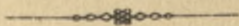
Od pierwszej chwili rzucenia w nasze społeczeństwo zarzewia walki przez „szkołę stańczykowską“ stanęły przeciw sobie te dwa programy. Znakomita większość narodu stoi dotąd przy programie jednej Ojczyzny przeciw programowi trzech ojczyzn.

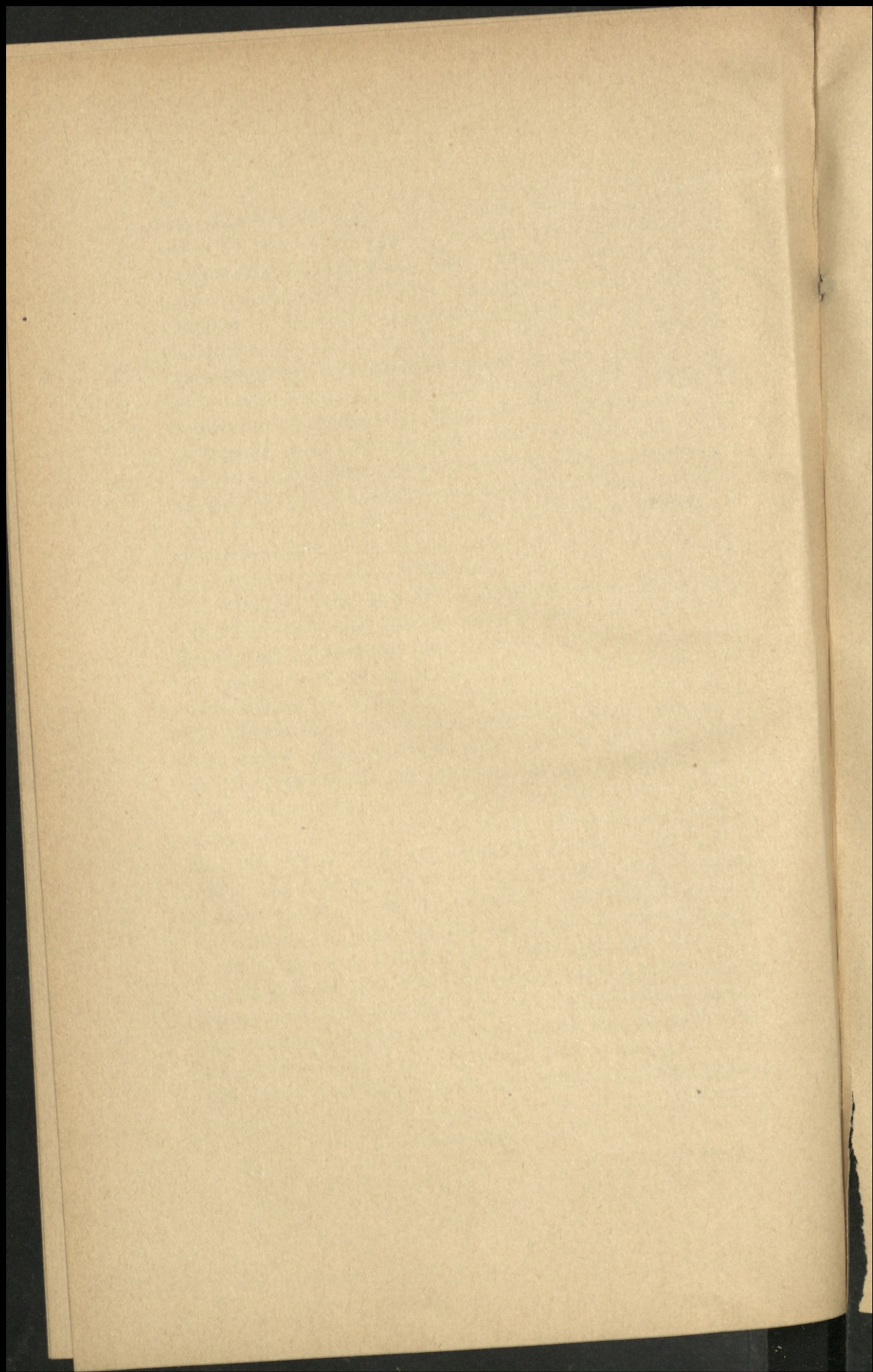
Ale ta większość dzieli się zupełnie naturalnie na dwa odłamy: do jednego z nich należą bardzo liczni nie-stańczykowscy konserwatyści, do drugiego cała narodowa demokracja polska. Pierwsi, niezgodni ze szkołą stańczykowską co do celu narodowej polityki i pracy, zgadzają się z nią co do konserwatywnych jej znamion i kierunków, zgadzają się w tem, że losy narodu ma ująć w „silne dłonie“ i zawsze działyć magnaterya i szlachta. W naszym zaś programie owa praca, zmierzając do wzmocnienia i rozszerzenia samych podstaw bytu narodowego, przedstawia się jako dalsze, dzisiejszemu stanowi społeczeństwa polskiego odpowiadające rozwinięcie Kościuszkowskiej idei. Według nas, praca narodowa, jeżeli ma być organiczną, musi

być wszechstronną, a to w dwojakim kierunku: po pierwsze obejmować wszystkie czynniki narodowej siły, a zatem obok oświaty, dobrobytu i zdrowia, także i czynniki moralne, więc w pierwszym rzędzie patryotyzm — a powtóre obejmować wszystkie żywioły społeczne, w skład narodu wchodzące. Z tego zaś założenia wychodząc, idea demokratyczna, idea oparcia życia narodowego na szerokich warstwach do obywatelstwa podniesionego ludu, jest w naszym programie przewodnią myślą wszelkiej pracy wewnętrznej. I w tem też różnimy się zarówno ze szkołą stańczykowską jak i z niestańczykowskimi konserwatystami.

Z tej różnicy umiała zręcznie skorzystać „szkoła“ p. Koźmiana — i w imię hasła konserwatywnych, w celu obrony „okopów św. Trójcy“ od napierającej na szlachecką wyłączność demokracji polskiej, umiała skupić około siebie liczniejsze stronnictwo, fałszywie głosząc, że to jest tryumf jej „systemu“. Skarży się jednak p. Koźmian, że tak sklejone stronnictwo w chwili stanowczej zawiodło, że próby nie wytrzymało. Tak jest! Ono jej wytrzymać nie mogło — bo nawet najkonserwatywniejszy umysł, jeżeli dawnego ideału Ojczyzny i dawnego polskiego patryotyzmu nie zamieniał na trzy ojczyzny i trzy partykularne patryotyzmy, odstręczyć się od „szkoły“ musi, ilekroć ona wystąpi otwarcie ze swoją zgubną i wstrętną doktryną, i musi zaprotestować, gdyby go posadzono o solidarność z tą „szkołą“.

A że tak jest, można się o tem i teraz przekonać, kiedy nawet bardzo konserwatywne organa stanęły po naszej stronie, a przeciw p. Koźmianowi w kwestyi bytu narodowego bez bytu państwowego. I to nam dodaje otuchy, że posiew „szkoły“ nigdy nie zejdzie na polskiej glebie i nigdy jej trzema patryotyzmami nie zachwaci.





Przemówienie p. J. Starkła.

Mymownie i wyczerpująco przedstawił nam referent zapatrywania swe na książkę p. Koźmiana i zdaje mi się, że streścił w nich przekonanie nas wszystkich. Jeżeli tedy zabieram głos, to dlatego, ażeby rzucić jeszcze kilka uwag, tyjących się szczególnie politycznej konstrukcyi dzieła pod względem ocenienia stosunków europejskich. Uderza w niej zaiste pewna naiwność w zestawianiu i ocenianiu czynników, które się w czasie powstania na politykę europejską składały. Stojąc niemal na odwiecznem stanowisku Machiawella, którego często i z predylekcyą cytuje, widzi p. Koźmian wszędzie przed sobą tylko władcę, *il principe* i zawładnięty, despotycznie rządzony lud. Jak gdyby rok 1848 nie był przedtem istniał, jak gdyby zasada ludowładztwa nie była się stała ciałem w Europie, jak gdyby cała serya ruchów narodowych i ludowych nie była weszła w dzieje cywilizacyi i politycznego rozwoju Europy. W oczach p. Koźmiana robi wszystko Napoleon, dla którego autor ma cześć iście bałwochwalczą — a narody, sprawy narodowościowe i wolnościowe, to poprostu pociągi na szachownicy politycznej, kierowane wołą Napoleona. Taka konstrukcyja czynników ówczesnej polityki europejskiej — i to zestawiona z pretensyą głębokiego historycznego poglądu na wszelkie przyczyny i skutki powstania r. 1863 — jest w istocie swej bardzo płytką; ani się ona liczy ani zdolna policzyć z silnym i rozwijają-

*

cym się ciągle czynnikiem idei ludowej, która przecież głównie religijno-narodowy ruch roku 1863 zasilala, ani ocenić ten entuzjazm i te nadzieje — zapewne, że zbyt przesadne — któremi wspólność dążeń uciśnionych ludów serca ówczesnego pokolenia napełniała.

Lecz nie można książce p. Koźmiana nie przypisać także pewnych zasług. Pierwszy to raz każdy może się z niej przekonać, do jakiego stopnia stronnictwo „białych“ w sprawie powstania zawinilo. Dotychczas nie mieliśmy wyobrażenia, żeby ta wina była tak wielką; p. Koźmian dopiero oczy nam na nią otwiera. Wytężona struna ekstazy religijno-narodowej byłaby może wkrótce pękła — powstanie byłoby się może wnet skończyło szeregiem wzniosłych czynów i ofiar, zostawiając na zawsze piękną kartę w dziejach — gdyby nie „biali“, którzy biorąc natchnienia od Napoleona i Walewskiego, powstanie sztucznie podsycali. Po jednej stronie mamy więc młodzież w najwyższym stopniu rozegzaltowaną, która z wiarą w sercu biegnie boso i z kijami w rękę do kampinowskiej puszczy, aby wywalczyć niepodległość ojczyzny — po drugiej „białych“, a raczej „szkołę krakowską“, która z wyrachowaniem, bez zapalu, bez wiary, owszem z potępieniem powstania w duszy, powstanie to po troszku zasila i przydłuża. Po czyjej tu stronie etyka — nie trzeba dodawać.

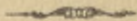
W książce p. Koźmiana widać też prawie to samo, co widział w Polsce Talleyrand pisząc do lorda Castlereigha w 1815 r.: dwie warstwy — dwa jakby obce ludy, których interesa się wykluczają. Bo p. Koźmian nie widział i nie umie ocenić tego, na prawdę wielkiego ruchu, któremu lata 1860 do 1864 zdawały się kłaść silne i trwałe podstawy, tj. gorące, szczere, serdeczne zbliżenie się szlachty do ludu, to żywotne podniesienie idei kościuszkowskiej, na której powstanie, niestety zbyt wcześnie, chciało budować.

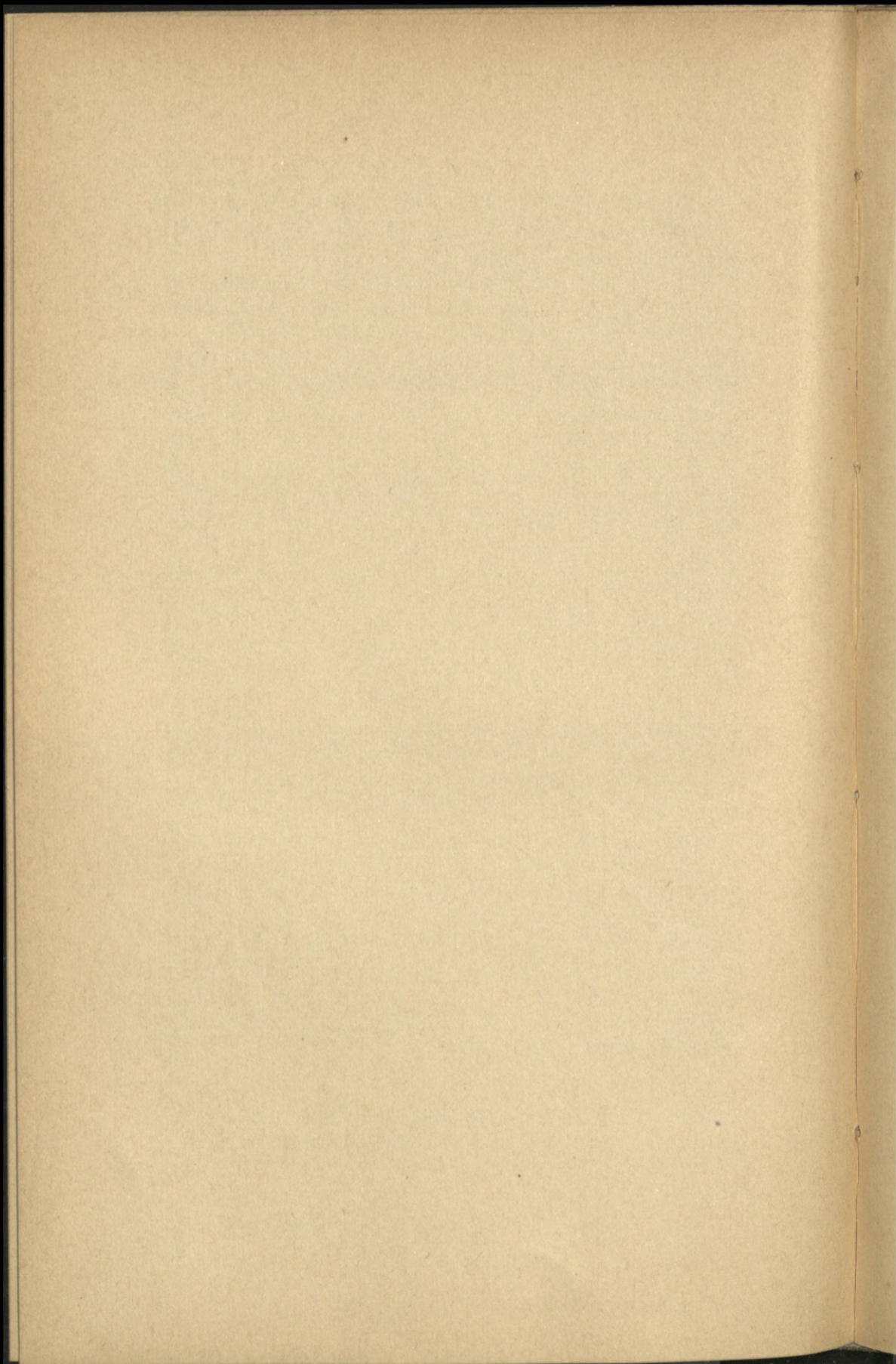
„Biali“ działali wówczas dla tej sprawy więcej, niż to p. Koźmian widzieć i ocenić zdoła — i ten za-

pał z jakim współdziałali w pracy nad ludem, a który p. Koźmian dziś jako wyraz ich słabości lekceważy, pozostanie zawsze ich zasługą.

Lecz jeśli przejdziemy do lat po powstaniu, to w tym względzie mamy znów ciężką winę „białym“ do zapisania. Zamiast przenieść tę wielką duchową treść z r. 1863 na tory dalszej pokojowej pracy, wołała „szkoła krakowska“ zostać przy rzucaniu inwektyw na czerwonych, na potępianiu ich i gaszeniu wszelkich objawów gorętszego ducha. Dlatego też wszystko, co się działo po powstaniu dla ludu, ażeby przez lud dojść do ojczyzny, było wynikiem pracy „czerwonych“, tych czerwonych warchołów, którym się tak chętnie tylko destrukcyjne działania podsuwa. I zaiste nie ich to jest winą, że dzisiaj, gdy lud przychodzi do większej świadomości w życiu publicznem, znachodzimy znów niejedną przepaść między szlachtą a ludem, widzimy znów niemal owe dwa narody z czasów Talleyranda, których dążenia wzajemnie się wykluczają.

A zatem wysnujmy naukę i dla siebie z książki p. Koźmiana — i stańmy na tej zasadzie, na której on książkę swoją kończy. Mówi tam p. Koźmian, że „szkoła stańczyków“ z rozmaitych względów zgodziła się na to, ażeby rządy przeszły w jedne, silne ręce, i żeby robiono ustępstwa z zasad i współdziałano nawet z takimi, którzy do szkoły nie należą. Ale szkoła woła p. Koźmian, powinna zostać zawsze szkołą, w całej czystości swych zasad i żadnych ustępstw nie robić. Tak jest! Szkoła powinna zostać szkołą. I my mamy szkołę r. 1863. Wytworzyła ona z siebie cały system pracy organicznej, której zaiste wstydzić się nie potrzebujemy — pozostajmy więc przy naszej szkole i dla dobra Ojczyzny brońmy czystości jej zasad.





Przemówienie p. A. Skotnickiego.

W ocenieniu pracy p. Koźmiana poświęciliśmy trzy wieczory. Pogawędki nasze były ożywione, dyskusja zajmująca, a jak sądzę i nie bez korzyści. Jako przewodniczący mam obowiązek ogłosić, że krytyka dzieła p. Koźmiana została zakończoną. Chciałbym jednak jeszcze, nim to uczynię, prosić Szanowne Zgromadzenie, aby mimo spóźnionej pory zechciało być krótką chwilę cierpliwem. Zamyślam bowiem zastanowić się nad tem, jak, rozgłośna praca autora, została w kraju przyjęta. Za wskazówkę w tym względzie w pewnej mierze posłużyć mogą ogłoszone w pismach naszych recenzje. Zamierzam je razem zestawić.

Pomijam głosy pism radykalnych i postępowych. W pismach tych bowiem znajdowały się przeważnie tylko wzmianki, nie było dokładniejszych krytyk, wzmianki te jednak były zasadowo przeciwne ogłoszonym przez p. Koźmiana opiniom. P. Bartoszewicz, recenzent *Przeгляdu Poznańskiego* i *Głosu Narodu*, zadał sobie więcej trudu, dokładnie rozpatrzył się w literaturze styczniowego powstania i w książce zatytułowanej Rok 1863 *Historja na usługach ludzi i stronnictw* dał ciętą odprawę panu Koźmianowi. *Gazeta Narodowa* w kilku artykułach ujemną także dała ocenę. *Nowa Reforma* wydrukowała znane Szanownemu Zgromadzeniu sprawozdanie 6 arkuszowe p. Romanowicza, które raczył nam na jednej z uprzednich pogawędek przedstawić*).

*) Przed oddaniem do druku, ukazał się *Przełom*, pismo w Wiedniu redagowane przez posłów Lewickiego, Rutowskiego i Szczepanowskiego, a w niem pracę pana Koźmiana poddano ostrej krytyce.

Z pism konserwatywnych, pozostających w przyjaznych stosunkach ze stronnictwem krakowskiem, do bezwzględnych wielbicieli pracy p. Koźmiana należy: *Przegląd Polski i Przegląd* wychodzący we Lwowie. Pierwszy został przed 30 laty założony przez grono krakowskie. Drugi pozostaje w obowiązkowej zależności od osób przedstawianych w *Rzeczy* o 1863 r., drukował więc to tylko, co mu osoby te interesowane przestali.

Z rozprawy p. Alfreda Szczepańskiego umieszczonej w *Przeglądzie* pod tytułem: „O prądach myśli narodowej“ dowiadujemy się, że był współpracownikiem p. Koźmiana, dostarczał mu bowiem informacyi o wypadkach 1863 r. Nawrócony czerwieniec pracą swego terazniejszego przyjaciela nazywa „książką mądrości narodu“ (*Czas*) i zaleca, aby po sprostowaniu niektórych, przeważnie do budowy dzieła, odnoszących się usterek, zrobiono nowe wydanie, „potrzeba takiego wydania, zdaniem p. Szczepańskiego, jest niezbędna, ażeby dzieło (do którego się przyczynił) znalazło się w każdym domu, ażeby wszędzie mogło być rozumianem i wpływ zbawienny wywierać“.

Gazeta Lwowska przychylnie ocenia pracę p. Koźmiana ale opowiada też o potępionych przez niego działaniach pracowników ostatniego ruchu narodowego.

P. Lisicki, o którym nawet Tarnowski i Spasowicz mówią, że nie potrafi być w sądach bezstronnym, bo nie umie zapanować nad swemi namiętnemi uprzedzeniami, jest stałym sprawozdawcą w *Kwartalniku Historycznym* dzieł dotyczących XIX. wieku. Jako wielbiciel Koźmiana za jego życzliwość dla Wielopolskiego, nie szczędzi pochwał autorowi *Rzeczy* o 1863 r., ale nawet i w jego oczach, praca p. Koźmiana nie jest bez zarzutu.

Czasopisma naszego duchowieństwa nie godzą się na poglądy i pracę p. Koźmiana.

Przegląd powszechny, organ ks. Jezuitów, jest wielbicielem talentu Koźmiana, ale nie może zgodzić się na jego poglądy filozoficzne a recenzent p. Szarlowski

co do teorii bytu narodowego przychyła się bezwzględnie do zapatrywań p. Romanowicza.

„Czyż na prawdę troska o zachowanie bytu narodowego, mówi on, nie da się pogodzić w życiu powszednim z najszczytniejszymi ideałami narodowymi, które jak ów słup ognisty, prowadzą naród nasz przez pustynię smutnej rzeczywistości?.. Niechże i narodowi polskiemu wolno będzie podumać i pomarzyć w uroczystych chwilach życia o Polsce, jaką stworzyła historia. Zresztą czy wyparcie się ideałów narodowych jest rzeczą w ogóle możliwą i czy może czegoś podobnego żądać od nas nawet rozsądny nieprzyjaciel? Na to trzeba byłoby, abyśmy całkiem zapomnieli czytać naszych historyków i boleć wraz z nimi nad upadkiem ojczyzny naszej; pojmować naszych wielkich poetów i zachwycać się dziełami pędzla naszych pierwszorzędnych artystów? Czyż byłby to środek ratowania naszego zagrożonego bytu narodowego? Nie, byłby to chyba początek końca, początek całkowitej zagłady naszego narodu“.

We Lwowie wychodzi *Gazeta Kościelna*, organ duchowieństwa polskiego, wydawana przez Towarzystwo wzajemnej pomocy kapłanów. W piśmie tem ksiądz L. Z. zmartwywstaniec, silnie atakuje Koźmiana za jego teorye bytu narodowego. Czytamy tam między innymi:

„Zapytać wypada, według jakiego planu ma się ukształcać społeczność, aby zachować byt narodowy przy wyrzeczeniu się formalnem wszelkiej myśli o niepodległości, którego p. K. wymaga na samym wstępie do roboty? Jeżeli bowiem byt narodowy na tem zawisł, abyśmy między Wartą a Tatrami mogli gryść się wzajemnie w języku ojczystym i według koncesyi ofiarowanych przez kniazia Meszczerskiego, w kontuszach wiatować na nutę „kochajmy się“, to przyznajemy Rzeczy, że taki byt narodowy może się pogodzić z postawionym ideałem zlania się żywiołu przywiślańskiego z przywołzańskim. Wtedy istotnie wystarczy mu do szczęścia rozkwit życia towarzyskiego, błyszczący urzę-

dami dworskimi szambelanów i frejlin, obracający się około teatru, reduty, resursy, wyścigów -- no i dobroczynności tańczącej... Lecz p. K. jak inni, w teorii swojej, jak się *Czas* wyraża, choć chciał, nie ustrzegł się „wielkiej polityki“. Tylko marzenia ojca swego, które chwilowo podzielał zastąpił teraz marzeniami dziadka, kasztelana, zaciętego wielbiciela Rosyi i Mikołaja, co przed 30 rokami było jeszcze dopuszczalne. Bo jestto „wielką polityką, robić plany rozwiązania kwestyi polskiej“, tego lub owego urządzania państwowego, bez prawa i mocy do ich przeprowadzania, bez względu na dążenia narodowe, czy to polskie, czy rosyjskie, tylko według tego co się przy biurku ułoży.

...P. Koźmian znalazłszy, że polityka jest nauką (chciał powiedzieć sztuką) kompromisów, proponuje nam kompromis, czy ugodę, z kimś, kto ugody innej nie chce, jak zdanie się na łaskę i niełaskę... Do tego stopnia upadliśmy przez nadużycie kompromisów, że dziś już najuczciwsi nie rozeznają, czy im p. K. wskazuje drogę czy manowce.

...Rozpoczynaliśmy niniejszą pracę (Demokracja katolicka w Polsce) przed rokiem, w obec agitacyi ks. Stojałowskiego, nie przewidując, że zanim ją skończymy, trzeba nam będzie bronić ducha polskiego i katolickiego przeciw agitacyi z przeciwnej strony idącej. Rozkład od dołu i rozkład od góry! Między socjalizmem i prawosławiem! Jak ks. Stojałowski nie wie zapewne, że gotował pole pod zasiew socjalizmu, tak i Koźmian nie wie, że gotuje pod prawosławie... Bałamuca wyższe klasy i lud. Jeżeli dotknął osobistości i życia prywatnego autora, to dla tego, że nie podobna walczyć z fałszem, używać floretów fechtunkowych. Jeżeli zresztą wyciąga się na jaw życie kapłana... to ta sama miara powinna służyć wobec każdego, co chce drugich prowadzić i moralizować... (Gazeta kościelna z 24. stycznia 1895 r.).

Od jednego z głównych szefów stronnictwa stańczykowskiego, otrzymała podobno redakcja *Gazety kościelnej* gorzkie upomnienie z żądaniem niedrukowania podobnych opinii. Redakcja jednak nie uwzględniła zdaje się żądania, zapowiada bowiem, że do tej sprawy wróci*).

Czas krakowski, którego długoletnim redaktorem był p. Koźmian, a i dziś jest jego głównym współpracownikiem, ogłosił z powodu „Rzeczy o 1863 r.” kilkanaście entuzjastycznych artykułów. W jednym z ostatnich jest dokładnie określona dążność ogłoszonego dzieła: „Nie trzeba sądzić, pisze ten organ krakowski, że szkoła stańczykowska jest tylko szkołą prowincjonalną. Być może, że twórcom jej przyświecał z początku jedynie wzgląd na stosunki Galicyi. Dzisiaj jednak, a szczególnie po dziele K., nabiera ta szkoła znaczenia ogólnie polskiego. To dzieło, które zasady tej szkoły dogmatyzuje, stwarza w gruncie rzeczy po raz pierwszy system polityczny polski, oparty na systemie szkoły, uważanej dotychczas za galicyjską. Koźmian, którego nazwano szefem sztabu generalnego tej szkoły, który był najlepszym taktykiem politycznym, nadał Stańczykom przez swe dzieło nowe znaczenie“.

To poniekąd wyjaśnia nam najnowszy zwrot *Kraju petersburgskiego*. W innym artykule *Czasu* jest ustęp znaczący:

„O błędach stronnictwa mówić? Osobnego by do tego trzeba studyum. Najgłówniejszy może na dziś, określony cytatem: Kiedy hr. Henryk w Nieboskiej

*) Pod wpływem krytyki dwóch pierwszych części dzieła, Koźmian mówiąc w trzeciej części o szkole patryotyzmu politycznego, w części programowej porobił liczne złagodzenia, widocznie chodziło mu o uwzględnienie zarzutów. Do programu przyjął obronę religii, uszanowanie tradycji, nie potępił nawet obchodów historycznych, uczucia przeszłości lub zasług teraźniejszych.

przeklina błędy przeszłości lub myślom o przyszłości daje wyraz, ostrzega go wiernie głos nadpowietrzny: „Dramat układasz“. Oby duch jakiś dobry, prze-latując w powietrzu i patrząc na działanie stronnictwa stańczykowskiego, przestrzegał je: „Książkę piszesz“, „Artykuł piszesz“. Tem się niczego nie stawi i buduje, tem tylko już zbudowany gmach określić można i do mieszkania w gmachu zachęcić“.

I mnie zdarzyło się od osób, zbliżonych do stronnictwa krakowskiego słyszeć, że Koźmian swem dziełem więcej zaszkodził niż poparł pracę swoich przyjaciół. Przegląd głosów zamieszczonych w pismach krajowych, w przeważnej części do podobnych doprowadza wniosków, a co stanowi bezwątpienia stronę najgorszą dzieła p. Koźmiana, niczem niedająca się usprawiedliwić, to owe bezcelowe drażnienie, wywołujące rozłam w społeczeństwie i to w chwili, gdy nam łączyć się wypada, a przynajmniej uszanować każdą pracę, jeżeli ona z dobrą wolą i według sumiennego przekonania prowadzona.

Pozwoli mi jeszcze Szanowne Zgromadzenie przed zakończeniem zacytować głosy dwóch osób dobrze poinformowanych o pracach szkoły stańczykowskiej.

Mam pod ręką broszurę, napisaną niewątpliwie przez osobę dobrej woli, odznaczającą się jednak dzwacznością poglądów. Broszura nosi tytuł: „Obrachunek z Rzeczą p. Stanisława Koźmiana o r. 1863“. Autorem jej jest p. Jerzy Moszyński, podobno porucznik armii austriackiej a syn zasłużonego patrioty Piotra Moszyńskiego. Piszący żył i wychowywał się w towarzystwie p. Koźmiana i jego przyjaciół i to jedynie skłoniło mnie, że zdecydowałem się na odczytanie Panom kilku uwag napisanych z sercem zbołałem. P. Moszyński w broszurce swej dochodzi do wyników o wiele straszniejszych, niż wywody autora Rzeczy o 1863 r. To jest dowodem, że przez zwątpienie i pozbycie się nadziei pożytecznej pracy dla kraju, charak-

tery najlepsze wypaczyć się mogą. O p. Koźmianie on mówi:

„Historya czułą jest matka, pisze Moszyński (str. 34), sądzi ona po skutkach siłę politycznego rozumu, ale wie, że rozum łatwo nie dopisuje śmiertelnym i dla tego błędy rozumu szybko puszcza w niepamięć. Ma ona drugą szalę sprawiedliwości, w obec której wszyscy są równi i ci co jasno położenie kraju przejrzeni i ci co błakali się po manowcach ze szczerzej miłości ojczyzny. Tą miarą jest poświęcenie siebie szczerze i gorąco dla sprawy, dla przekonań, które ze względu na dobro ojczyzny w duszy się naszej wytwarza. To też najszaleńszego fanatyka rozgrzeszy głos historii narodu, jeżeli czynem dowodzi siły swego przekonania i poświęcenia się... Wtedy to historia przebaczy Podlewskiemu, przebaczy Zygmunutowi Sierakowskiemu, przebaczy Zygmunutowi Chmiieleńskiemu, przebaczy Trauguttowi, przebaczy setkom innych dzielnych wodzów, którzy ideał swego życia krwią zapieczętowali... Wielkie nieszczęścia krajowe zawsze powoływały na widownię takie wyjątkowe potężne dusze, które uczucie i poświęcenie dla kraju potęgowały w sobie i były potem ogniem świętym, przy którym serca młodych pokoleń krzepiły się, by znów w przyszłości stokroć jaśniejszym zaświecić blaskiem... Koźmian, rzuciwszy na Margrabiego, na Napoleona, na szalony prąd wypadków, na Pawła Popiela, na Adama Potockiego, słowem jednym na świat cały odpowiedzialność za swoje szalbierstwa, kłamstwa, tumanienia szlachetnych dobrodusznym biedaków, których wyprawiał, nie łudząc się sam, a więc z zimną krwią, na śmierć bez celu i sławy... zrobiwszy ze sprawy narodowej krwawą farsę nędznego teatralnego widowiska, kapał się spokojnie przez rok cały w błocie kłamstwa i w kałuży krwi niewinnej... W Wilnie Murawiew srożył się z niesłychaną zapamiętałością. Szubienice wyrzywały z polskiego społeczeństwa najszlachetniejszych jego synów, szlachtę i mieszczan gnano gromadnie na

stepy Sybiru, ziemię polską konfiskowano, całe wsie równano z ziemią, na której potem miały się wznieść zielone kopuły cerkwi, tego przybytku chrześcijańskiej miłości i cywilizacji.

Wtedy to:

W sierpniu aresztowano w Wilnie Oskara Awejdę, byłego członka komitetu, a następnie komisarza pełnomocnego rządu narodowego na Litwie. Na jego miejsce wysłano, jako komisarza do Wilna b. studenta kijowskiego uniwersytetu, nauczyciela gimnazjum w Warszawie, Głowackiego. Jak strasznie wówczas musiało być życie w Wilnie, dowodzi fakt, że Głowacki zobaczywszy cały ogrom klęsk, jakie Murawiew na kraj sprowadził — zwarjował w kilka dni, uciekł z Wilna i przybywszy do Warszawy, uważał siebie za zdrajcę kraju i po części za sprawcę tych klęsk, poszedł do cytadeli, aby oddać się w ręce komisji śledczej. W drodze spotkał go jakiś uczciwy człowiek i zamiast poprowadzić go do cytadeli, czego od niego żądał Głowacki, przyprowadził go do mnie — pisze autor artykułu: Wspomnienia z czasów młodości*). Głowacki, chociaż mój dobry kolega z uniwersytetu, widocznie mnie nie poznał, na pytania moje nie odpowiadał, szeptał tylko wyrazy: „Zdrajca, Murawiew, Litwa, cytadela“, czasem ciężko wzdychał i zuowu z ust jego spadało fatalne słowo „zdrajca“.

„Oto jest sąd podług prawideł „bezrozumu“, którego żądał p. Koźmian. I ma pan Koźmian słuszność. W społeczeństwie szalonym, głuchym na głos sumienia i rozumu, potrzeba było dopiero rozum stracić, by się zdobyć na głos prawdy. A historyja, sądząc tego nieszczęśliwego waryata, który codziennie zazierał śmierci w oczy z błędnej, szalonej miłości ojczyzny, którego mózg pękł na widok ogromu nieszczęść, które ta szalona miłość na kraj sprowadziła, musi powiedzieć, że człowiek ten zdradził przyszłość kraju, że jest jego zdrajcą, ale zdrajcą szlachetnym“ (str. 42 i 43). Tak, pisze Moszyński o jednym, jak się wyraża Koźmian, z ostatnich w narodzie, a porównując go z autorem „Rzeczy“ wydaje sąd o p. Koźmianie tak straszny, iż wstrzymuję się od czytania tego ustępu“

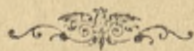
W zamian pozwalam sobie jeszcze zacytować ustęp z rozprawy ks. Waleryana Kalinki „Królestwo kongresowe i tajne związki“, napisanej przed 15

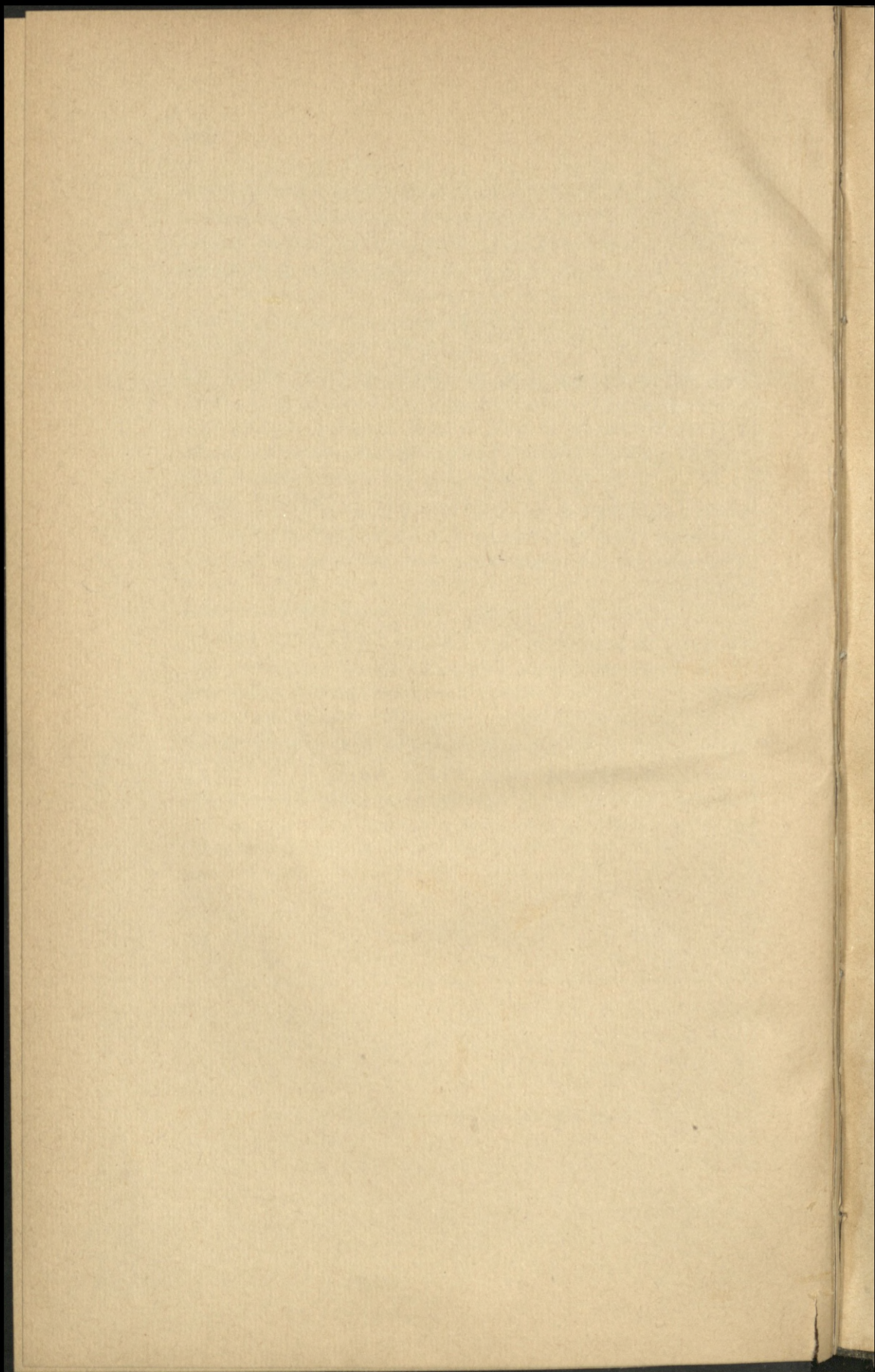
*) Wydaw. Materiałów do Historii Powstania 1863—64 r. tom IV. str. 196.

laty. Znakomity nasz historyk, dla którego z wielką czcią był p. Koźmian i był niewątpliwie wyznawcą jego opinii, mówiąc o stanie mieszkańców zaboru pruskiego w początkach bieżącego stulecia, wykazuje jakie następstwa sprowadza brak nadziei w narodzie.

„Życie nieczynne, a bardziej jeszcze zepsute, przedstawiało, pisał Kalinka, wstrętny obraz społeczeństwa, które niczego nie spodziewając się, o nic się nie troszczyło i dobrowolnie wsuwało w grób. Był to żywy dowód, że Polak, (a mnie się zdaje każdy, bez względu na narodowość) którego nie cuci nadzieja, mało ma w sobie środków utrzymania się w równowadze moralnej, do zrobienia się pożytecznym członkiem społeczeństwa; owszem spada co raz niżej i staje się w końcu istotą gładką lub gburowatą, ale zarówno do niczego niezdatną...

Zdaje mi się, że gdyby p. Koźmian się zaznajomił bliżej z tymi poglądami ks. Kalinki i dokładniej rozczytał się w pamiętnikach Berga, który z rosyjskich publicystów okazywał zawsze najwyższe dla nas sympatyje, a który mimo to nie widział możliwości usunięcia autonomizmu polsko-rosyjskiego, sądzę że byłby mniej hazardownym w wypowiedaniu swych myśli w Rzeczy o 1863 r. i nie zachęcał narodu do rozgatunkowania paetryotyzmu polskiego na trzy rodzaje.





DODATEK.

Po ukończeniu druku książki, otrzymaliśmy lipcowy zeszyt *Przeglądu polskiego*, a w nim dalszy ciąg oceny pracy p. Koźmiana, napisanej przez jednego z najwybitniejszych członków grona krakowskiego. Wobec streszczenia głosów opinii krajowej, uważamy za nasz obowiązek zaznajomić czytelników choćby w krótkości i z tym głosem doniesłego znaczenia.

Mistrz słowa, prof. Stanisław Tarnowski pospieszył na pomoc zaatakowanemu z stron wielu p. Koźmianowi. Zręcznością i elegancją w polemice odrazu rozbroił z uprzedzeń przeciwnika. Gdy p. Koźmian na każdej prawie kartce swego dzieła zdradzał chęć do samochwalstwa, ujawniał często niezgodę z rzeczywistością i zdaje się rozmyślnie dążył do drażnienia przeciwnika, to hr. Tarnowski dobrą wolą służenia sprawie ojczyznej, chociaż w wywodach dochodzi w końcu do wyników tych samych, co p. Koźmian, zniewala jednak czytelnika do wielokrotnego i głębokiego rozbioru przedstawianych argumentacyi. do szukania możliwości zbliżenia w wspólnej pracy, mimo zachodzącej różnicy zasad.

Oto najważniejsze ustępy z oceny profesora Tarnowskiego:

„Czy polskie sumienie i polska cześć mogą się zgodzić ze stanowiskiem, które spisków się odrzeka, powstań nie robi, odbudowania Polski nie stawia na swoim politycznym programie, ale mówi, że teraźniejszość, jak nie jest odpowiedzialną za rozbiór Polski, tak nie jest obowiązana do jej odbudowania, ale jest obowiązana do przechowania i wzmocnienia jej bytu narodowego, z jego koniecznymi pierwiastkami i warunkami.

Cóż na to odpowiedzieć?

Cały wiek naszych dziejów, od nieszczęsnego r. 1795, aż do dzisiejszej smutnej rocznicy końca Rzeczypospolitej zdaje się mówić: Nie! Nie można się godzić, nie można przystawać, nie można się poddawać. Tak mówi wielkim głosem wszystko, co Polska przez sto lat robiła, i wszystko co znosiła. Od tych żołnierzy, co poszli w świat, żeby broni nie złożyć i przysięgi nie złożyć, a wrócili z hasłem: „Je-szcze Polska nie zginęła“, aż do tych, co wesoraj, co dziś, zamknięci, porwani, mrą z głodu, z nędzy, z zimna, z tęsknoty, gdzieś na sybirskich zsyłkach, wszyscy życiem i śmiercią wyznawali to jedno. Cośmy przez ten wiek mieli wznio-słego w duszy a wielkiego w dziejach, to wszystko na-technione i zrodzone było tą jedną myślą i tą jedną wolą: o swoim prawie świadczyć, pod bezprawiem się nie ugiąć! To była ta wspólna dusza, bez której „niema narodu, tylko trzoda zwierząt“, niema ludzkiego życia, tylko co najwięcej karminik i chlew. A ta dusza była wielką i bohaterską. i miała cudowną moc, skoro przez wiek cały nieszczęść nie-widzianych w historii świata, utrzymała ten naród przy życiu, owszem, zrobiła go wyższym, szlachetniejszym, żywo-tniejszym, niż był przed stu laty. Z tej miłości ojczyzny, z tej żądzy niepodległości, z tej wierności bądź co bądź, płynie to wszystko, co w nas żyło i czem my żyliśmy i ży-jemy od Kościuszki po dziś dzień. Z nią w sercu, ze swoją pieśnią na ustach, pędziły czwórki ułańskie pod wawóz Somo-Sierry, za nią szły „orły srebrne obok złotych“, na wszystkie pola bitew od Madrytu do Moskwy, sławę Polski podnosząc wysoko, a nie oddając nikomu tego honoru, który im Bóg powierzył. Tak było pod Raszynem i pod Lipskiem, tak potem, gdy pod Stoczkiem grzmiały armaty, pod Gro-chowem wrzał bój o Olszynę, gdy później w dniach wrze-sniowych żołnierz kładł się, jak żęte zboże garściami, na szanцах Warszawy. A za co innego, jedni, przykuci do że-laznego drąga szli na wschód, kopiąc się przez śniegi, ko-pać w uralskich i nerczyńskich minach, żegnając wszystko, co mieli na ziemi, aż do słonecznego światła — a drudzy

szli na zachód znosić biedę, tęsknotę, wyrzec się wszystkich wdzięków i pociech życia, byle „szukać nieprzyjaciół nieprzyjacielowi swemu?” Tych nie znalazł, nie poruszył Czartoryski, ale co sam poświęcił i wytrzymał? Złym politykiem był ten emissaryusz, co z Wersalu wysłany, darł się wgłąb Polski i myślał, że na coś się przyda; nie przydawał się ale oddawał wszystko, co miał, swoje życie i siebie. Kto zliczy te sumy cierpień i poświęceń, zgruntuje to morze łez i krwi? Te setki tysięcy wdów i sierót z rodzin szczęśliwych, nędzarzy z bogatych lub dostatnich, wydziedziczonych tułaczy z osiadłych, te nieszczęścia i boleści, jakich inne narody nie znają, choć znają i chorobę, i śmierć, i nędzę, i wszystką boleść, jaka jest ogólnym ludzkiego rodu udziałem. A to wszystko dlaczego? Tylko dla swego prawa, tylko dla swojej sprawy, tylko dla tej miłości, tylko dla tej ojczyzny i tej niepodległości, która była narodu prawem, celem, treścią życia. „Wyrzeczcie się przeszłości i przyszłości, ojczyzny i Boga, a jakom kazał powbijać was na krzyż, tak każę zdjąć z krzyża, i naród szczęśliwy uczynię z was. Ale tłumy ukrzyżowane, i śnieżne tłumy niewieście, i całe rzędy dzieci, krzyknęły: Nie!”

Jak feniks z popiołów, tak z bólu po rozbiorach odrodził się duch tego narodu — a na tym stosie zjawił się ów płomyk, co nad czołem jego świecił nadziejską swoją jasnością i mocą, a duszę jego krzepił i podnosił, ten przedtem u nas niewidziany płomień geniuszu. Stopniowo się rozetlał, błądy zrazu i zaledwo dostrzegalny w Woronicza kapłańskiej modlitwie, w Brodzińskiego cichem westchnieniu, ale rozpłomieniał się podsycany żarem boleści, aż wybuchnął wulkanem *Wallenroda*, rozjaśnił, ogrzał, ozłocił nasz świat słońcem *Tadeusza*. Ten geniusz, z czego się wziął, czem żył, czemu służył, jaką siłą nam życia dodawał, jeżeli nie tą miłością, tą jedną myślą? Czy na to „wskrzeszał postacie zmarłej przeszłości i strzelał grzmiącemi słowy do serca współbraci“, na to „te Barszczany śpiewał“, a w grobie Agamemnona o Termopylach i o Cheronei dumiał, na to z „gór, gdzie dźwigał ciężkich krzyżów brzemie, widział

zdaleka obiecaną ziemię“ i prosił o „Dobrą Wolę“, na to skargi echem tłómaczył z kazalnicy „Rządy Opatrzności“, a „wytrwałości i pokuty“ uczył na to ten geniusz miłości ojezyny, gorejący we wszystkich od Mickiewicza aż do najmniejszych, od *Wallenroda* grzmotowych tonów, aż do *Matejki* blasków, na to on „palił się wciąż ofiarą na ołtarzu swej ojezyny“, byśmy, ich synowie i spadkobiercy, odstąpili sztandaru, pod którym oni służyli, a na inny mieli przysięgać, i z „Chrystusowej zejść Kalwaryi do moskiewskiej kancelaryi??“ Nie! Wszystko, czem byliśmy, co czuliśmy, co chcieliśmy, co robiliśmy, wszystko, co było w nas wartością, wzniosłością, siłą, życiem, chwałą, wszystko, co składa tę „duszę wspólną, bez której niema narodu, tylko trzoda zwierząt“, wszystko od stu lat zdaje się łączyć w jedną zgodną odpowiedź: Nie! godzić się, poddawać się, przystawać nie można; trzeba na swoim stanowisku trwać, choćby zginąć, albo się sprzyniewierzyć i spodlić.

A czyż to tylko o te ostatnie sto lat chodzi? A gdzież to wszystko, co się od lat tysiąca podziwia, czci i miłuje? gdzie pamięć wszystkich cnót i zasług, wszystkich świętości i wszystkich bohaterstw? „Batorych hart, Jadwigi ofiara, Czarnieckich rzymska cnota, Sobieskiego europejski czyn“ i wszystko, wszystko od Kościuszki i Trzeciego Maja aż do Chrobrego w górę: Żółkiewskiego tryumf i zgon, Skargi prorocze groźby, Kochanowskiego Psalmy, Zygmunta Augusta Unia, i Warna, i Grunwald, i Kazimierza Polska murywana, i Łokietkowe Odrodzenie, i Kinga z solą i Tatrami, i dalej wyżej, aż w zmierzch bajecznych czasów, aż do Piasta i Aniołów, do Krakusa i smoka, do Lecha i orlego gniazda, czyż to wszystko nie woła: Jakto? zapomniesz o mnie? odwrócisz się odemnie? nie pomścisz mnie, a mojej koronie nie chcesz przywrócić blasku, jakim jaśniała kiedyś, tak większym zajaśnieć powinna!

Ale to nie wszystko; jest jeszcze coś więcej, daleko więcej. Spzawa polska nie jest sprawą Polaków tylko, jednego narodu. Ona się toczy między rodem ludzkim, a Bogiem; na niej ma się pokazać, jak na próbie, czy ludzkość

ma Boga w sercu, czy chce i zdoła Jego przykazań się trzymać — czy jest zdolna być prawą, a godna być wolną, albo nie. W dziejach świata, jak w ludzkiej naturze, toczy się od pierwszego dnia stworzenia walka dobrego ze złem; po jednej stronie sumienie i prawo, po drugiej żądza i gwałt. W tych dziejach twoja ojczyzna, Polaku, jest teatrem i strasliwym przykładem tej walki. Gwałt, przemoc, zdrada, kłamstwo, okrucieństwo, wszystkie moce piekielne, jak żeby ją wybrały na ulubione ofiarę; boskie prawo i ludzka cywilizacja żądała, żeby nie złe odniosło zwycięstwo, ale sprawiedliwość. Odstąpiona przez cały świat, trzyma się tylko samą własną świadomością siebie. Ale jeżeli tę rzuci, jeżeli sama siebie odstąpi, to co stanie się z nią naprzód, a potem z tem wszystkimi, co świat od początku nazywa prawem, sprawiedliwością, dobrem? A uznanie złego jest zaprzeczeniem, wyparciem się dobrego. Od początku świata kto ojczyzny swojej od obcego najeźdźcy broni, ten przed sumieniem ludzkim ma słusność, i prawo, i dobrą sprawę; obowiązek spełnia święty, a kiedy pełni go dobrze, to pamięć jego bohaterskim światłem jaśnieje w dziejach, a wszystkie wieki, ile ich było, oddają mu słusność i cześć.

Gdyby chciał nawet, to czy może, on, Polak, lub ktokolwiek inny, zmienić tak na rozkaz swoją duszę, istotę? wyrwać sobie z serca to, co było samym pierwiastkiem jego życia, a zacząć żyć czem innym, oddychać inną atmosferą myśli i uczuć, inne bicie serca sobie nakazać?

Ale przypuśćmy nawet, że to możliwe, że bojąc się śmierci, a ratując byt, on zrzeka się tego, co było jego nadzieją i poprzestaje cicho, potulnie, na jakimś mniejszym, czy większym zakresie narodowych swobód; to cóż on zyska tą abdykacją? ten nieszlachetny oportunizm czem mu się w praktyce wypłaci? Nie mówimy nawet, że do ugody trzeba dwóch stron i ich dobrej woli, a Rosya takiej niema, i chce wyzyskać system, który przyjęła, a o ustępstwach i kompromisach nie myśli; dajmy na to, że rzecz jest podobna i że zrobiona. Co w takim razie dalej? Jakie skutki?

Przewidzieć łatwo. Powoli oswajamy się z nieprzyjacielem, który nas przestał dręczyć. Zrazu tylko polityczne wyrachowanie każe nam żyć z nim grzecznie i po przyjacielsku; ale z czasem wyrabia się zwyczaj, zbliżenie. Wciągamy w siebie niektóre jego pojęcia, cenimy niektóre przymioty, w niektórych osobach upatrujemy sympatyczny wdzięk. Wolno nam mówić własnym językiem, ale stosunki urzędowe i towarzyskie sprawiają, że przywykamy do jego języka i nieznacznie zaczynamy nim mówić bez wstrętu. Modni panieze, eleganty, pierwsi, przez klubowe przyjaźni z mężczyznami, a salonowe umizgi do dam, zaczynają w tych sferach czuć się, jak u siebie. Jeden i drugi (niewielu zrazu) ożeni się z panną innej krwi i wiary; nie oburzy tem nikogo i jego przykład znajdzie naśladowców. Potworzą się węzły rodzinne, z których wyplątać się trudno i niema powodu; a w młodszym pokoleniu z połową krwi i połową duszy będzie obca. Względy polityczne i światowe nakażą w pewne dni, zrazu galowe tylko, pokazać się na nabożeństwie w prawosławnej cerkwi, a z czasem znowu przyzwyczajenie stępi wstręt, rozumowanie i wpływy różne powiedzą, że różnica wiary między Kościołami a cerkwią jest naprawdę bardzo małą. Przykład będzie działał, wpływ będzie się rozszerzał: i po pewnym lat przeciągu sami się nie spostrzeżemy, jak religijny nawet kompromis wyda nam się rzeczą możliwą, nie złą, wskazaną. Nasze pojęcia ulegną zmianie. Przenoszą się często i łatwo na stanowisko dawnego nieprzyjaciela, powiemy sobie w końcu, że on miał swoje powody, nie mógł prawie postąpić inaczej; Katarzyna nie była tak zła, tak bez wymówki, jak nam się dotąd zdawało. Mikołaj był srogi, zapewne, ale był oczywiście wyzwany, sam nie zaczął, jego syn tembardziej. I tak dalej i dalej, z kompromisu w kompromis, sami nie wiedząc kiedy, z kapielą spisków i powstań, wyrzucimy samo dziecko, pamięć i miłość ojczyzny. Spokój będzie i będzie byt — tylko już nie polski. Niech tylko parę tysięcy szlachty i tyleż rozumnej ludności miejskiej przejdzie na tę wiarę i na to kompromisowe stanowisko, a szlachcie (o ile ziemi obcemu

nie sprzeda) zostanie na tej ziemi po polsku może mówiącym obywatelem wielkiej Słowiańszczyzny, gdzieindziej obywatelem niemieckiego państwa; chłop wielkopolski, przez komisye kolonizacyjne pomału z ziemi wykupiony, wyniesie się do południowej czy północnej Ameryki, i będzie byt — ale do skończenia świata już byt prowincyi, zrosłej z obcym organizmem. Stanie się to, czego przed rozbiorem kazał nam się wystrzegać Rousseau. Nie mogliśmy przeszkodzić, iżby nas nie rozebrano, ale przez sto lat nie daliśmy się strawić. Tym sposobem rychlej czy później strawić się damy. Na tej drodze leży prawdziwy *Finis Poloniae*, którego dotąd nie było i niema...“

Tak myśli i mówi wielu.

Prof. Tarnowski taką daje im odpowiedź:

„Narodu podbitego pierwszym wrodzonym popędem, instynktowym i najwznioślejszym politycznym programem, jest zwyciężyć — albo zginąć! Zwyciężyć chciał, próbował, zrywał się do walki nie jeden raz; nie zwyciężył! A więc zginąć? Gdyby można, byłoby i godniej i przyjemniej. Tylko śmierć możliwą nie jest. Oni nas wszystkich co do nogi nie wymordują; nam życia sobie odbierać zakazuje Bóg. A gdyby nawet On odwołał ten swój kanon, to wielu byłoby takich, którzyby z pozwolenia zechcieli korzystać? Nie, jeden człowiek może sobie zadać śmierć, ludność jednego miasta może się rzucić w płomienie i zginąć — naród cały wyginąć nie może. Chce, czy nie chce, żyć dalej musi.

W jakich warunkach żyć może?

Ma dwie drogi do wyboru. Może po każdej przegranej, ochłonawszy trochę, zrywać się do nowej walki — albo znosić swój los spokojnie i spokojnie starać się go polepszyć. Pierwsze jest bardziej bohaterskie na pozór, drugie bardziej męskie naprawdę. Powtarzające się zbrojne walki, co jedna, to mniej silna, co jedna, to więcej wycieńczająca, muszą wytoczyć z tego narodu stopniowo całą krew i wszystkie siły życia; muszą doprowadzić go w końcu do takiego stanu osłabienia i prostacyi, że po długich zwątpieniach i rozpaczach on dojdzie do bezwładności zupełnej, stanie

się niezdolnym myśleć, chcieć i dążyć. My nie doszliśmy jeszcze do tego kresu, ale już do nieobliczonego ubytku zasobów życia, do wzmożenia się w tym samym stosunku potęgi nieprzyjaciela. Doświadczenie całego wieku wskazuje, że to jest droga powolnego samobójstwa, podobnego do śmierci tych Rzymian, co sobie otwierali żyły w kąpiel. Jeżeli zaś popęd ludzkiego uczucia mówi, że taki koniec jest honorowy i godny, to przykazanie boskie mówi, że jest zły. Samobójstwo jest narodowi tak samo niedozwolone, jak jednemu człowiekowi. Jest więc, oprócz wszystkich politycznych i świeckich, względ religijny, względ chrześcijańskiego sumienia, który każe narodowi utrzymywać życie, utrzymywać byt — być, i być o ile możności jak najzdrowszym, jak najsilniejszym...“

W dalszym ciągu swej odpowiedzi, prof. Tarnowski, u którego góruje po nad wszystko, nieuzasadniona obawa urojonych spisków, solidaryzuje się przeważnie z poglądami p. Koźmiana. Zaleca politykę rezygnacji chrześcijańskiej — chociaż ta jest dostępową tylko dla wyjątkowych charakterów, a w większości narodu osłabia poczucie obywatelskich obowiązków, usprawiedliwia upadek moralny. „Jak Bóg, mówi hr. Tarnowski, naszą sprawę dalej poprowadzi, tego nie wiemy. Sumienie każe nam uznać, w dzisiejszym stanie, karę za wszystko, cośmy przewinili, cośmy zmarnowali i zepsuli, znosić to, „co sam Bóg znosi, dopóki inaczey nie zrządzi“... „A jak Pan Jezus poddał się władzy Piłata, choć ona sprawiedliwą nie była, tak my powinniśmy poddać się tej woli z góry, która władzę nad nami temu nieprzyjacielowi dała“. Wskazuje wreszcie, że należy zająć się „tem, żeby polska ziemia, polska oświata, nauka, sztuka, przemysł, polskie słowo i pismo, polski obyczaj i wiara, kościół, szkoła, sklep, droga, sąd, urząd, wszystko co jest, było dobrem (choć i to od nas nie zależy) silnem i polskiem, żeby wszystko było lepsze, mędrsze, tęższe niż jest i coraz lepsze, żebyśmy z czasem stali się lepsi, mędrsi i tężsi od innych. Ta ambicya może wystarczyć, a jeżeli ją potrafimy wziąć do serca, jak przykazanie miłości ojczyzny i honoru,

jej uczynić zadość, to zrobimy z siebie dosyć“... W obronie teorii p. Koźmiana, uchylającej z programu niepodległość państwową, mówi: „Jak okręt w chwili rozbicia nie o tem myśli, jak i kiedy dopłynie do miejsca swego przeznaczenia, ale o tem żeby się ratował a nie zatonął, tak po tym strasznym skutku usiłowań powstańczych, Polska nie może myśleć o tem, jak i kiedy byłaby państwem, musi myśleć o tem jakby była i iżby była“.

Argumentacye powyższe nie wydają się nam dostateczne dla osłabienia zarzutów uczynionych pracy pana Koźmiana.





41439/
12